

LESLEY DOWNER

Kurtyzana i samuraj

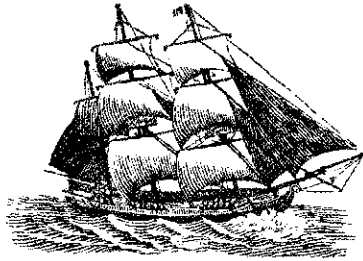
Arturowi

Żyjemy wyłącznie chwilą, poświęcamy cały czas na przyjemności księżyca, śniegu, kwitnących wiśni i liści klonu. Śpiewamy pieśni, pijemy sake, pieścimy jedno drugie, dryfując, dryfując. Nie kłopotzemy się tym, że brak nam pieniędzy, nigdy się nie smucimy. Jak tykwa podskakujemy w nurcie rzeki. To właśnie nazywamy ukiyo - pływającym światem.

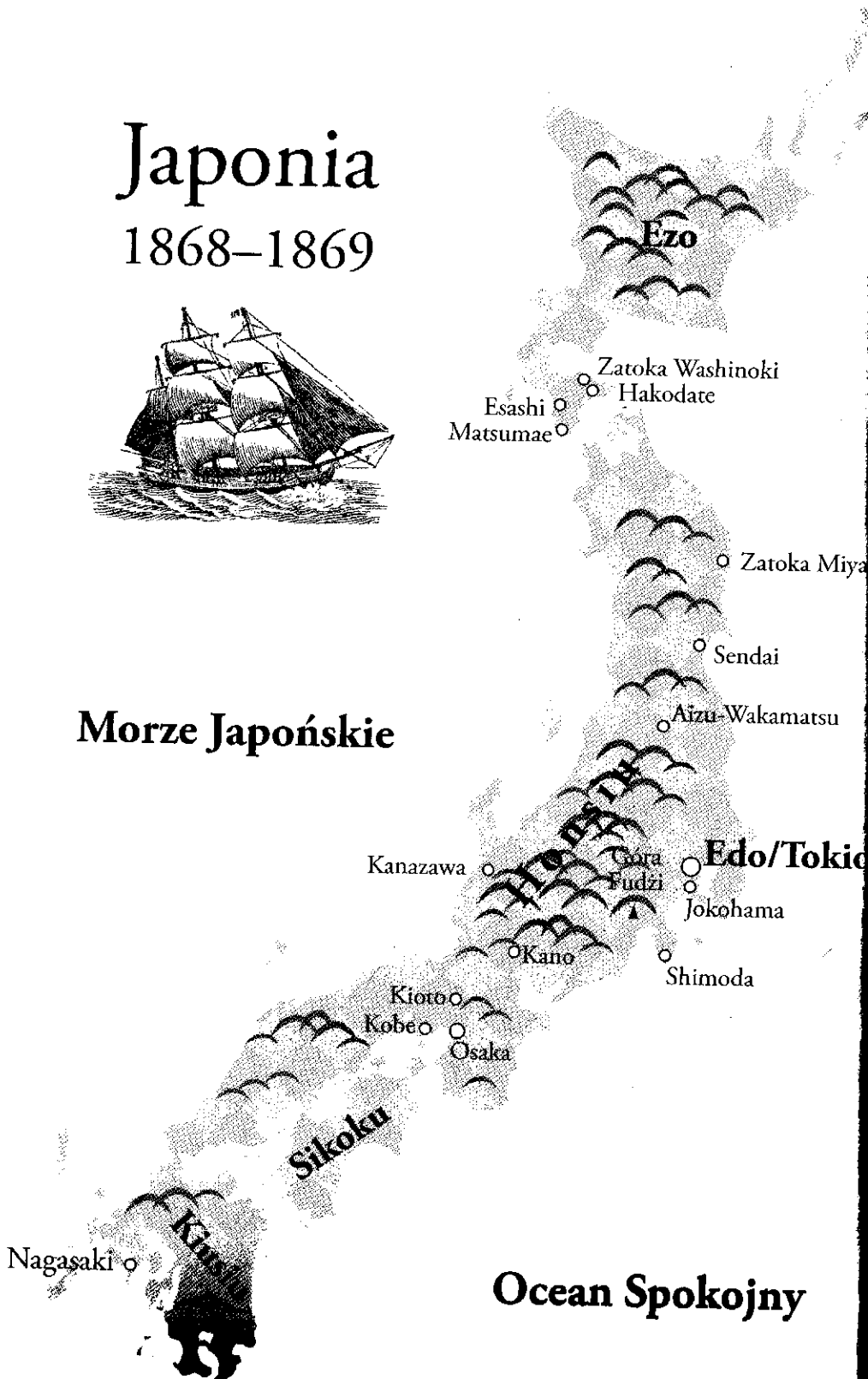
Ukiyo monogatari, Ryoji Asai, napisane po 1661 roku

Japonia

1868–1869



Morze Japońskie



Ocean Spokojny

Prolog

11 dzień czwartego miesiąca roku Smoka Pierwszy rok panowania Meiji (3 maja 1868 roku)

Ostatnie kwiaty wiśni opadały z drzew i dryfując, lądowały na ziemi. Patrząc na spływające w dół różowe płatki, Hana zastanawiała się, czy jej mąż zdąży wrócić na kwitnienie wiśni w przyszłym roku. Słyszała jego kroki w głębi domu, słyszała trzask, kiedy cisnął coś na podłogę.

- Wróg zajmuje zamek. Tego nie można tolerować! - wykrzyknął takim tonem, że służący zadrżeli. - Południowcy u bram! Zbeczcęścili wielką salę i prywatne pokoje szoguna - a my tylko uciekamy! Ale wrócimy, zapewniam cię. Wypędzimy ich i zabijemy zdrajców.

Stanął w wejściu, wysoki i wspaniały w ciemnym mundurze, z dwoma mieczami za pasem. Popatrzył na służących i swoją młodą żonę, którzy czekali niespokojnie, by go pożegnać.

Przed bramą rozmawiali między sobą młodzi ludzie, ich sandały ze słomy ryżowej chrzęściły na ubitej ziemi. Hana wiedziała, kim są. Część mieszkała w pobliskich koszarach, inni w kwaterach rekrutów. Często przychodzili do domu, sprząтали albo biegali na posyłki. Lecz teraz, odziani w jasnoniebieskie mundury i wykrochmalone spodnie hakama, z mieczami u boku, zmienili się z chłopców w mężczyzn. Widziała podniecenie na ich twarzach.

Szli na wojnę, wszyscy. Na miejscu miała zostać tylko ona, jej starzy teściowie i służba. Marzyła, żeby wyruszyć razem z nimi. Uważała, że potrafi walczyć równie dobrze jak oni.

Miała siedemnaście lat. Jako mężatka starannie goliła brwi i barwiła zęby na czarno, a długie czarne włosy, które rozpuszczone sięgały do ziemi, nacierała oliwą i upinała w schludną fryzurę w stylu marumage, stosownym dla młodych

zon. Włożyła swoje najlepsze kimono na oficjalne okazje, jak zawsze kiedy żegnała się z mężem. Z całych sił starała się zachowywać właściwie, jednak czasami żałowała, że tak wygląda jej los.

Wyszła za mąż już dwa lata temu, ale przez większość tego czasu męża nie było w domu. Walczył, więc ledwie miała okazję go poznać. Tym razem też spędził w domu zaledwie kilka dni. Był surowy i gwałtowny, a kiedy wpadał w złość, bił ją. Hana nie oczekiwała jednak niczego innego. O małżeństwie zdecydowali rodzice, a jej nie wypadało kwestionować ich decyzji.

W normalnych czasach zajęłaby należne sobie miejsce w wielkim gospodarstwie domowym teściów, które obejmowało członków świty, służących i uczniów, a także ciotki, wujów i kuzynów. Na jej barkach spoczywałoby prowadzenie domu i usługiwanie im wszystkim. Ale czasy nie były normalne. Wróg pukał do bram Edo - największego i najpiękniejszego miasta na ziemi, pełnego strumyków, rzek, ogrodów i cienistych bulwarów, gdzie dwustu sześćdziesięciu daimyo, panów feudalnych, utrzymywało domy i gdzie po zatłoczonych ulicach krążyły dziesiątki tysięcy mieszczan. Nigdy za pamięci żyjących nikt nie zagroził temu miastu, tymczasem teraz wrogowie nie tylko je oblegali, ale również zdobyli. Jego panami stały się hordy przybyłe z południa.

Południowcy obalili jego wysokość szoguna, a teraz zajmowali jego zamek. Hana próbowała sobie wyobrazić wygląd tej twierdzy - korytarze pełne echa, skrzypiące podłogi, które śpiewały jak słowiki, obwieszczając obecność nawet najostrożniejszego intruza, sale audiencyjne o wielkości tysięcy mat, zastępy służących, bezcenne skarby, wspaniałe pokoje do picia herbaty i piękne damy dworu szoguna, odziane w przepyszne szaty. To straszne, że ci południowcy o chrapliwych głosach, ostrym akcencie i prymitywnych

manierach będą wkrótce przemierzać eleganckie pokoje i niszczyć dorobek kulturalny, którego nie potrafią ani zrozumieć, ani docenić.

Całe Edo odczuwało przerażenie. Tylko o tym mówiono w mieście. Południowcy obwieścili, że ludzie muszą pozostać w domach, póki zamek nie zostanie zajęty. Grozili, że wszelki opór będzie brutalnie stłumiony. Hana słyszała szepty służących, mówili między sobą, że połowa mieszkańców miasta uciekła.

- Jestem dumny, że prowadzisz dalej walkę, mój synu - oświadczył teść Hany piskliwym głosem. Był stary i chudy i miał rzadką brodę. Stał oparty na mieczu jak zaprawiony w bojach weteran. - Gdybym był młodszy, stanąłbym u twego boku, walczylibyśmy ramię przy ramieniu.

- Północ nadal się trzyma - odparł mąż Hany. - Powstrzymamy południowców, ale mieszkańcy Edo będą musieli znieść okupację, póki nie wrócimy i nie odbijemy miasta i zamku.

Spojrzał na młodzieńców czekających przy bramie.

- Ichimura! - krzyknął.

Niezgrabny, grubokościsty chłopak o sterczących włosach podniósł głowę i wystąpił przed towarzyszy. Rozejrzał się nerwowo, a kiedy napotkał oczy Hany, zaczerwienił się po czubki dużych uszu. Hana spuściła wzrok i zasłoniła usta rękami, żeby nie widział jej uśmiechu. Jej mąż popchnął młodzieńca w stronę swego ojca.

- Mój zaufany człowiek - powiedział, klepiąc go po plecach tak mocno, że Ichimura stracił równowagę i musiał postąpić kilka kroków. Potem chłopak pokłonił się tak nisko, aż jego plecy były niemal równoległe do ziemi. - Nie jest piękny, ale to dobry szermierz i umie pić. Ufam mu całkowicie.

Patrząc, jak Ichimura idzie niezgrabnie po kamiennej ścieżce do towarzyszy, Hana poczuła nagły smutek. Zagryzła wargę. Uświadomiła sobie właśnie, że może już nigdy nie zobaczyć żadnego z tych mężczyzn.

Służący stali wzdłuż ścieżki prowadzącej od drzwi domu do bramy. Twarze mieli całe we łzach. Mąż Hany był surowym panem i wszyscy się go bali, ale szanowali go i wiedzieli, że jest wielkim i sławnym wojownikiem. Podszedł teraz do nich i żegnał się z każdym z osobna.

- Kiku, pamiętaj, żeby dokładać do ognia, a ty, Jiro, przynoś regularnie drewno i wodę. Oharu, dbaj o swoją panią, a ty, Gensuke, strzeż domu przed ogniem i obcymi.

Nawet stary kaleki Gensuke ocierał oczy.

Hana stała opodal służących wraz ze swoją teściową. Za plecami miała Oharu, swoją pokojówkę. Kiedy mąż zbliżył się do niej, poczuła piżmowy zapach jego pomady do włosów. Uniósł palcami jej podbródek. Podniosła wzrok i ujrzała przed sobą jego zaciętą twarz i przenikliwe oczy, zmarszczone czoło i gęste czarne włosy, natarte pomadą i związane w błyszczący kok. Dostrzegła pasma siwizny, których wcześniej nie zauważyła. Miała świadomość, że być może widzi go po raz ostatni w życiu.

- Znasz swoje obowiązki - powiedział szorstko. - Służ wiernie mojej matce i zajmuj się domem.

- Zabierz mnie ze sobą - poprosiła gwałtownie. - Wiem, że macie oddziały kobiet walczących naginatami. Mogę do nich wstąpić.

Jej mąż parsknął śmiechem i zmarszczka między jego brwiami jeszcze się pogłębiła.

- Pole bitwy to nie miejsce dla kobiety - stwierdził. - Szybko byś się o tym przekonała. Twój obowiązek to opieka nad moimi rodzicami i chronienie domu. To też ważne

zadanie, może nawet ważniejsze niż walka. Pamiętaj, nie będzie tu mężczyzn, jedynie ty. To wielki ciężar.

Westchnęła i pochyliła głowę.

- Pamiętaj - ciągnął mąż, machając długim palcem przed jej nosem. - Zamykaj bramę i rygluj drzwi deszczowe. I nie wychodź, jeśli nie musisz. Miasto jest teraz w rękach wroga. Nikt nie strzeże ulic. Południowcy wiedzą, kim jestem, i mogą się mścić na mojej rodzinie. Nie zapomnisz, co ci powiedziałem?

- Jeśli wszystko zawiedzie i znajdę się w niebezpieczeństwie, mam iść na most Nihon i spytać o... Chikuzenya.

- Służą naszej rodzinie od pokoleń. - Mąż złagodniał, ujął jej twarz w obie dłonie. - Jesteś dobrym i odważnym dzieckiem - powiedział. - Cieszę się, że ożeniłem się z córką samuraja. Masz serce wojownika. Będę pamiętał tę uroczą buzię na polu bitwy, a kiedy wrócę, urodzisz mi syna.

Skłonił się swemu ojcu i poprosił go o błogosławieństwo, a potem ruszył do bramy. Mężczyźni ustawili się w szeregach. Zamilkli, kiedy zajął miejsce na czele oddziału. Hana, jej teściowie i służący stali w pokłonie, póki ostatni błękitny kaftan nie zniknął im z oczu. Odgłos kroków ucichł w oddali, ich uszu dobiegało jedynie brzęczenie owadów, śpiew ptaków i szum liści.

Zima

冬

I

Dziesiąty miesiąc roku Smoka Pierwszy rok panowania Meiji (grudzień 1868 roku)

Hana klęczała koło piecyka w obszernym głównym pokoju i dumiała nad książką przy blasku dwóch świec. Próbowwała się skupić na opowieści i zapomnieć o ciszy i smutku. Nagle gdzieś w oddali usłyszała hałas. Podniosła wzrok, serce zaczęło jej walić. Nasłuchiwała ze zmarszczonymi brwiami, nie śmiała nawet oddychać. Dźwięk przypominał najpierw szept, ale zaczął narastać, aż zmienił się jakby w ryk lawiny - kroki mnóstwa stóp obutych w sandały ze słomy ryżowej.

Zbliżali się. Nagły huk odbił się echem w ciszy zalegającej w ciemnych pokojach. Walili w masywną drewnianą bramę, którą Hana zamykała i ryglowała, tak jak polecił jej mąż. Wiedziała, że wkrótce ją wyważą. W takich czasach nikt nie składa wizyt. To mogli być tylko żołnierze wroga. Przyszli, żeby ją zabrać lub zabić.

Zacisnęła pięści, usiłując poradzić sobie z narastającą paniką. Mąż zostawił jej pistolet - ukrył go w szufladzie jednej z wielkich skrzyń - ale nigdy z niego nie strzelała. Uznała, że lepiej sobie poradzi, walcząc naginatą.

Naginata to była broń odpowiednia dla kobiet - lekka i długa, dwa razy wyższa od osoby, która nią walczyła, i trzy razy dłuższa od miecza samuraja. Dawała kobiecie zaatakowanej przez uzbrojonego mężczyznę moment przewagi; jeśli ofiara była szybka, mogła ciąć napastnika w łydki. Mężczyźni instynktownie chronili głowy, szyje i piersi, ale cios w nogi zawsze ich zaskakiwał.

Hana od dziecka uczyła się walczyć halabardą. Kiedy trzymała ją w ręku, miała wrażenie, że to część jej ciała. Kroki i pięć podstawowych ruchów - uderzenie, cięcie, pchnięcie, parowanie i blokowanie - były dla niej równie naturalne jak

oddech. Dotąd jednak walczyła jedynie drewnianą halabardą ćwiczebną. Nigdy nie miała okazji użyć prawdziwej broni.

Poderwała się z kolan, pobiegła do przedpokoju i zdjęła halabardę z uchwyty nad nadprożem. Była ciężka, cięższa niż ćwiczebna. Trzymając ją w rękach, Hana czuła, jak wraca jej odwaga.

To była piękna broń o smukłym drzewcu inkrustowanym macicą perłową. Hana zdjęła pochwę z laki, odsłaniając długą, wygiętą, elegancką i ostrą jak brzytwa głownię. Cieszyła się, że nie zapomniała o oliwieniu jej i polerowaniu. Mogła się teraz w niej przejrzeć. Była mała i smukła, ale mimo drobnej postury potrafiła się bronić.

Walenie w bramę stawało się coraz bardziej natarczywe. Oharu wypadła z kuchni z tasakiem w ręku, oczy miała wielkie, a czoło błyszczące od potu. Za tą wiejską dziewczyną o grubych nogach, lojalną i silną, ciągnął się zapach spalenizny, jakby w panice zapomniała zdjąć ryż z ognia. Gensuke, stary członek świty, przyszedł zaraz za nią, kuśtykając na chudych, krzywych nogach. Oczy wybałuszył z przerażenia. W ręku, jak miecz, dzierżył pogrzebacz, którego czubek nadal był rozgrzany do czerwoności. Oharu i Gensuke przybyli tu z Haną, kiedy przeniosła się do miejskiego domu męża. Wiedziała, że zrobią wszystko, by ją ochronić. Ze wszystkich służących zostali jej tylko oni.

Kilka miesięcy temu teść posłał po nią. Klęczał pochylony nad listem. Kiedy podniósł głowę, na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen znużenia i rezygnacji. Hana od razu odgadła, że ma dla niej złe wieści.

- Polecono nam wracać do domu, do Kano - oświadczył cicho.

- Czy mam się spakować, ojczy? - spytała niepewnie. Było coś niepokojącego w tym, jak na nią patrzył. Oczy miał

załzawione. Wydał usta i pokręcił głową. Wyraz jego twarzy wykluczał wszelkie dyskusje.

- Musisz tu zostać - powiedział stanowczo. - Twoje miejsce jest w tym domu. Pewnego dnia nasz syn wróci, a wtedy go tu powitasz.

Hana kiwnęła głową. Wyobraziła sobie targaną wiatrami równinę i ulice, przy których stały domy samurajów, przycupnięte obok grubych kamiennych murów zamku Kano. W ostatnich miesiącach z Kano przychodziły jedynie złe wieści - o kłótniach, wewnętrznej niezgodzie i zabójstwach. Podobno sąsiad zabijał tam sąsiada. Zarówno rodzina Hany, jak i rodzina jej męża należały do prowincji Kano i musiały słuchać rozkazów tamtejszego daimyo, choć mąż Hany zbudował też dom tutaj, w Edo, w pobliżu zamku szoguna, by móc wypełniać swe wojskowe powinności.

Pamiętała płacz, z jakim służący pakowali kufry i kosze. Teściowie wyruszyli tego samego dnia, w palankinach, a służba szła za nimi pieszo. Pozostały po nich pokoje pachnące dymem tytoniowym i szuflady otwarte po pospiesznym pakowaniu. Z pomocą Oharu Hana pochowała do kredensów zagłówek, niskie stoliki i podłokietniki, futony i drewniane poduszki pokryte laką. Wielkie pokoje oficjalne, gdzie jej mąż i teść zabawiali gości, prywatne pokoje rodziny, kwatery służby i kuchnie, niegdyś pełne rozgadanych i roześmianych ludzi, teraz pogrążyły się w ciszy.

Miesiąc po odjeździe teściów do Hany dotarły straszne wieści o egzekucjach w Kano. Mówiono, że wszyscy, którzy związani byli z przeciwnikami południowców, zginęli - w tym rodzice Hany i jej męża. Podejrzewała, że teść zostawił ją tutaj po to, by ją ocalić. Płakała przez wiele dni, ale potem wzięła się w garść. Kazano jej żyć w jakimś celu, więc musi sprostać temu zadaniu.

Ale prawda była taka, że straciła wszystko. Został jej tylko ten dom I wspomnienia o mężu. Przynajmniej on nadal żył. Przysłał list, pisał, że Jest w drodze do Sendai, stolicy jednej z północnych prowincji.

W przeszłości drewniane drzwi deszczowe, tworzące ściany domu, rozsuwano, aby wpuścić do pokoi światło. Teraz Hana trzymała je zamknięte i zaryglowane. Wielki pusty dom był ciemny i zimny, jakby słońce nigdy tu nie zaglądało. Jego promienie wdzierały się przez szczeliny na łączeniach paneli i rysowały na tatami blade, przypominające pręty klatki kreski. Od wyjazdu teściów Hana miała niewiele do roboty. Zwykle siadała przy palenisku i czytała przy świecy.

Ucichły nawet nawoływania handlarzy na ulicach za bramą. Sprzedawcy tofu i złotych rybek, domokrażcy oferujący słodkie ziemniaki I małże przestali wyruszać na swoje obchody. Hana rzadko kiedy słyszała na zewnątrz kroki czy głosy. Brakowało zapachu pieczonych kasztanów i ośmiornic. Większość sąsiadów uciekła - Hana nie miała pojęcia, dokąd się udali i czy dotarli do celu.

* * *

Przy wtórze okrzyków: „Otwierać, albo wyważymy bramę”, Hana zebrała spódnice i usiłowała zawiązać rękawy kimona. Halabarda była bezużyteczna w ciasnej przestrzeni, to nie broń do walki w pomieszczeniach. Wielkie drzwi frontowe były zaryglowane, Hana pobiegła więc do bocznych - kuchennych. Odsunęła je gwałtownie wpuszczając do środka lodowate powietrze. W oślepiającym świetle dnia zobaczyła wielkie, poczerniałe od dymu krokwie i dym unoszący się z paleniska. Zamrugła, po czym wybiegła na zewnątrz, a Oharu i Gensuke za nią.

Słońce świeciło na bezbarwnym niebie, zamarznąłą ziemię pokrywał szron. Kilka liści, zupełnie suchych, nadal

wisiało na sękatych gałęziach dużej wiśni. Hana pobiegła ku frontowej bramie i zajęła pozycję w sporej odległości od niej, ustawiając stopy jedną przed drugą. Trzymała drzewce halabardy mocno, ale nie kurczowo.

Odgłosy wskazywały, że po drugiej stronie bramy zebrało się wielu ludzi.

- Otwierać! Wiemy, że tam jesteście! - zawołał jakiś głos. Rozległo się szuranie, przekleństwa i stukot spadających kamieni, po czym nagle w polu widzenia Hany pojawił się mężczyzna. Podciągnął się na kryty dachówką wierzchołek wysokiego muru z ubitej ziemi. Jego oddech zmieniał się w parę, wyglądał jak dym. Musiał się wspiąć na ramiona towarzyszy, żeby wejść tak wysoko. Miał szeroką twarz o wysoko umieszczonych kościach policzkowych. Hanie wydał się wielki i straszny, z tymi potarganymi włosami i długimi rękami uwiecznionymi w wąskich rękawach czarnego munduru.

Na jej widok wydał gardłowe parsknięcie.

- Nikogo tu nie ma, tylko dwie dziewczyny i starzec! - zawołał do towarzyszy. Po drugiej stronie muru rozległy się śmiechy.

Hana odetchnęła głęboko i spróbowała się skupić. Mało co słyszała, prócz pulsu walącego jej w uszach. Widziała rękojeści dwóch mieczy sterczące zza pasa mężczyzny. Miała tylko jedną szansę, musiała uderzyć w chwili, gdy on skoczy, ale przerażała ją myśl o krwi czy zabiciu kogoś. Drżąc, napomniała się w myślach, że jest samurajem i musi bronić domu.

Wycelowwała halabardę w mężczyznę.

- Nie ruszaj się! Umiem walczyć i będę się bronić, jeśli mnie zmusisz! - zawołała. Starła się mówić stanowczo, ale jej głos zabrzmiał słabo i wywołał kolejny wybuch śmiechu za bramą.

Mężczyzna przyglądał jej się pożądliwie. Położył rękę na rękojeści miecza. Hana usłyszała brzęk metalu, kiedy wyciągnął go z pochwy. W tej samej chwili skoczył. Znowu rozległo się walenie w bramę.

Kiedy mężczyzna wylądował, potknął się i stracił równowagę. Nim zdołał ją odzyskać, Hana zaatakowała. Słońce błysnęło na ostrzu halabardy, kiedy zatoczyła nim wielki łuk, ze świstem przecinając powietrze. Czuła, jak broń nabiera rozpędu. Mężczyzna otworzył usta, gdy halabarda rozcięła jego pierś. Popłynęła krew, a Hana cofnęła się, drżąc na całym ciele. Spodziewała się oporu, ale wcale go nie było. Ostrze rozcięło ciało i kości tak łatwo, jakby to była woda.

Mężczyzna wydał krztuszający się dźwięk i zamachał rękami, bezsilnie szukając miecza, a potem padł na kolana i przewrócił się na bok. Kiedy tak leżał skulony na ziemi, a krew ciekła z jego ust i piersi, wydawał się szokująco młody i bezbronny. Oharu i Gensuke podbiegli do niego i wyrwali mu miecze zza pasa.

Hana nadal patrzyła na mężczyznę, gdy kolejni napastnicy pojawili się na szczycie muru. Uświadomiła sobie, że na pewno ją zamordują, skoro zabiła jednego z nich. Krzycząc co sił w piersiach, uderzyła na kolejnego wroga. Musiała obrócić ostrze, żeby je wyrwać z jego ciała, a potem pchnęła z całych sił, aż spadł do tyłu. Kolejny żołnierz zeskoczył na ziemię, ale Oharu chwyciła oburącz wielki miecz, który zabrała pierwszemu mężczyźnie, i zdołała rozciąć mu udo. Cofnął się chwiejnie, ściskając nogę i wyjąc. Trzeci napastnik zamachnął się mieczem na Gensuke, ale Hana wytrąciła mu go z ręki halabardą i rozcięła łydki.

Coraz więcej mężczyzn wspinało się na mur, a drewniane panele bramy przebiły ostrza mieczy.

- Szybko, Oharu! - zawołała Hana, dysząc ciężko. - Musimy zabarykadować się w domu!

* * *

Chwilę później Oharu wbijała wielki drewniany rygiel w zardzewiały skobel na bocznych drzwiach. Szeroką twarz miała wilgotną od potu. Ręce jej się trzęsły.

- Jak dotąd mieliśmy szczęście - wysapała Hana. - Ale nie zdołamy pokonać ich wszystkich.

- Im chodzi o ciebie - stwierdziła Oharu. - Musisz uciekać.

- I zostawić was tutaj? Nigdy.

- Jesteśmy służącymi, nic nam nie zrobią. Zostaniemy na miejscu i opóźnimy pogoń.

Nagle Oharu odwróciła głowę i przyłożyła palec do ust. Na zewnątrz rozległ się tupot. Mężczyźni wyważyli bramę i biegli teraz w stronę domu. Z walącym sercem Hana chwyciła watowany kaftan, narzuciła na głowę i twarz szal, po czym zebrała spódnice i odsunawszy pospiesznie drzwi, zaczęła biec przez pokoje. Wszystkie pachniały wilgocią.

Kiedy jej teściowie wyjechali, przygotowała sobie na tyłach domu tobołek z niezbędnymi rzeczami, na wypadek, gdyby musiała uciekać w pośpiechu. Teraz chwyciła go i sięgnęła do rygla zamykającego drzwi deszczowe. Ku jej przerażeniu ani drgnął. Złapała drewnianą miskę i waliła nią w rygiel, aż odskoczył, po czym odsunęła drzwi. Kiedy do środka wpadło słońce, odwróciła się i patrzyła przez chwilę na wielką porcelanową wazę stojącą w alkowie, porozwieszane na ścianach zwoje, ogromne drewniane skrzynie z żelaznymi uchwytemi i wrzeczadkami, starannie klejone papierowe drzwi i zniszczone tatami. To wszystko nosiło w sobie wspomnienia minionych czasów. Próbowiła zapamiętać ten widok, świadoma, że widzi to wszystko po raz ostatni.

Tłumiąc łkanie, wyszła na wąską werandę na tyłach domu, zasunęła za sobą drzwi i zgrabiłymi palcami z trudem zawiązała sandały ze słomy ryżowej. Ogród otaczały sosny

okręcone słomianymi sznurami, które chroniły je przed mrozem. Kamienną latarnię i porośnięte mchem kamienie pokrywał szron, staw całkiem zamarzył.

Ogród stanowił istny labirynt, ale Hana знаła go dobrze. Ściskając swój tobołek, biegła ścieżkami i pod treliazami do bramy w tylnej części muru. Kiedy ją otwierała, usłyszała za sobą trzask i rumor. To żołnierze wyłamali frontowe drzwi domu i przewracali kufry.

Wkrótce usłyszała kroki na ścieżkach. Wypadła na ulicę i pobięła wzdłuż muru, najpierw jednym wąskim zaułkiem, potem drugim i trzecim. Dyszała ciężko, serce waliło jej jak młotem, ale nie śmiała się zatrzymać, póki dom nie został daleko w tyle. Wtedy stanęła i pochyliła się, by odzyskać dech w piersiach, a mroźne powietrze paliło ją w płucach.

Sprawdziła, czy za pas nadal ma zatknięty sztylet, a potem spróbowała sobie przypomnieć, co jej mówił mąż. Prom. Musiała się dostać na prom.

Kiedy Hana dotarła nad rzekę, nogi jej się trzęsły z wysiłku. Ciemna woda wydawała się tłusta, odbijała wiszące nisko chmury i wierzby porastające brzeg. Dawniej pływało po niej mnóstwo statków transportowych i pasażerskich, ale obecnie było niemal pusto.

Wśród trzcin podskakiwała na wodzie mała płaskodenna łódka o spiczastym dziobie. Na rufie przykucnął mężczyzna z głową obwiązaną szalem i pykał z fajki o wąskim cybuchu. Wydmuchiwał w powietrze okrągłe kółka dymu. Wpatrywał się przez chwilę w Hanę oczami jak paciorki, a potem wyjął fajkę z ust i trzymał cybuch delikatnie w dwóch palcach.

- Gdzie biegniesz tak szybko, młoda damo? - zapytał schrypniętym głosem. Miał mocny akcent z Edo.

Hana uznała, że samotna kobieta w łódce zwróciłaby powszechną uwagę. Powinna znaleźć prom, gdzie mogłaby się ukryć wśród pasażerów. Ale żadnego nie dostrzegła.

- Do mostu Nihon - szepnęła, usiłując zapanować nad drzeniem głosu. - Możesz mnie tam zawieźć?

Nigdy wcześniej nie wypływała łodzią tak daleko i bała się nawet myśleć, ile to będzie kosztowało, ale nie miała wyboru.

- Most Nihon? - Stary przewoźnik kiwnął głową, spoglądając na Hanę jak żaba, która wypatrzyła muchę. - Jedno złote ryo - wychrypiał, wymawiając starannie każdą sylabę.

Hana aż jęknęła. Nie miała tyle pieniędzy. Nagle usłyszała w oddali jakieś zamieszanie. Spomiędzy domów wybiegli mężczyźni w czarnych mundurach i runęli przez łąkę w stronę rzeki. Dziewczyna wskoczyła do łódki z takim pośpiechem, że ta się zakołysała, a woda zapluskawała głośno o burty.

Właściciel łodzi wstał tak powoli, że Hanie aż chciało się krzyknąć. Na chudych nogach miał czarne spodnie o wąskich

nogawkach, bezkształtny bawełniany kaftan prawie nie chronił go przed lodowatymi podmuchami wiatru na rzece. Wciąż trzymając w zębach fajkę, ujął w ręce tyczkę ułożoną wzdłuż burty i zanurzył ją z pluskiem w wodzie. Odepchnął się tak mocno, że Hana była pewna, iż zaraz wpadnie do wody. Łódź zakołysała się i odpłynęła od brzegu.

Hana patrzyła prosto przed siebie, choć mrowiło ją w karku. Miała wrażenie, że słyszy ludzi idących za nimi po ścieżce holowniczej, ale kiedy odważyła się spojrzeć, nikogo tam nie było. Skuliła się na dnie łodzi, a ponieważ nie patrzył na nią nikt prócz przewoźnika, ukryła twarz w dłoniach. Świat był taki wielki, a ona taka mała.

Tuląc tobołek do piersi, zastanawiała się, co spotkało Oharu i Gensuke. Wróciła myślami do dnia, kiedy przeglądała z Oharu swoje kimona, decydując, które zapakować. Wtedy uważała, że to śmieszne, że się pakuje, bo przecież na pewno nie będzie musiała uciekać. W końcu Oharu starannie poskładała dwa najlepsze kimona, w tym czerwone ślubne, i zapakowała do tobołka razem z niezbędnymi kosmetykami i ulubioną książką Hany, Kalendarzem kwitnących śliw.

Łódź zakołysała się i myśli Hany powędrowały ku innej podróży wodą. Klęczała wtedy w palankinie z czerwonymi zasłonami i słuchała szeptu rzeki niosącej ją do Edo i nieznanego mężczyzny, którego miała poślubić. Oharu była z nią na łodzi i od czasu do czasu pytała: „Pani, czy wszystko w porządku? Czy czegoś potrzebujesz?”. Jej głos kołował nerwy Hany. Oharu była też obecna przy ceremonii zaślubin, pomagała jej wkładać kolejne kimona, aż po to wierzchnie, czerwone i jedwabne. Potem zawiązała obi tak mocno, że Hana ledwie mogła oddychać.

Hana przywołała w pamięci obraz żegnających ją rodziców, takich pewnych, że znaleźli dla niej doskonałą partię. Żadne z nich nie wiedziało, że zaraz po jej ślubie

zamieszki, które wstrząsały krajem, zmieniają się w prawdziwą wojnę domową. Teraz cała jej rodzina nie żyła. Została na świecie sama, a każde pchnięcie tyczki oddala ją od wszystkiego, co знаła - domu, Oharu, Gensuke. Westchnęła z rozpaczą i obiecała sobie w duchu, że bez względu na wszystko znajdzie drogę powrotu.

Jednak teraz najważniejsze to przeżyć. Dotrzeć do mostu Nihon, jak kazał jej mąż, a potem zapytać o... panicznie zaczęła szukać w pamięci nazwy miejsca, o które miała zapytać, ale nie mogła jej sobie przypomnieć.

Wkrótce do jej uszu dobiegły odgłosy piłowania, rąbania i walenia młotkiem. Poczwała zapach świeżo ściętego drzewa przemieszany z odorem zgniłych ryb, warzyw, ludzkich odchodów i cuchnącej wody. Uniosła głowę. Przepływali między wysokimi brzegami obudowanymi kamieniem. Kiedyś widywała tu dzieci bawiące się piłkami i patykami, szarlatanów zachwalających swoje towary, pary spotykające się potajemnie pod drzewami. Dziś dostrzegła tylko kilka skulonych z zimna osób śpieszących w swoją stronę.

- Teraz musimy nazywać miasto Tokio - stwierdził przewoźnik i pociągnął nosem. - Mnie tam odpowiadało Edo, ale nasi panowie kazań nam mówić Tokio. - Zmarszczył nos przy słowie „panowie”, odchrząknął i splunął w mętną wodę. - To - kio, wschodnia stolica. Chciałbym wiedzieć czyja. Despotów z Południa. Oddajcie nam nasze miasto, mówię, sprowadźcie z powrotem jego wysokość szoguna.

Skierował łódź ku niewielkiej przystani koło spinającego rzekę mostu. Po przeciwnej stronie wznosiła się warowna kamienna brama, wysoka niczym wieża zamkowa.

- Chciałaś się dostać na most Nihon, prawda? To jest most Sujikai, a to brama Sujikai - machnął sękatą ręką w tamtym kierunku. - Dotrzesz przez nią do mostu Nihon, jeśli

pójdiesz główną drogą. Czeka cię długi spacer, ale poradysz sobie.

Hana zaczęła grzebać w swoim zawiniątku, ale ku jej zdumieniu przewoźnik pokręcił głową.

- Zatrzymaj pieniądze - powiedział, krzywiąc się. - Będą ci potrzebne. - W jego czarnych oczach dostrzegła serdeczny blask.

Odwrócił się i pomachał jej, odpływając. Hana okryła twarz szalem i niepewnie weszła na most. Przy bramie na pewno jest punkt kontrolny. Kiedy się pakowała, nie pomyślała o dokumentach, a strażnikom bez wątpienia kazano zwracać uwagę na samotne kobiety.

Ale punktu kontrolnego nie było, nie było też strażników uzbrojonych w bosaki ani poważnych urzędników sprawdzających papiery. Mur bramy kruszył się, wielkie kamienne bloki porastał mech. Ludzie przechodzili nie niepokojeni przez nikogo.

W pobliżu przejścia kręciło się kilka obdartych kobiet, chude policzki miały umalowane, usta jaskrawoczerwone od szminki. Kiedy mijał je jakiś mężczyzna, biegły za nim, czepiały się jego ramion i wrzeszczały:

- Jedno miedziane mon, tylko jedno miedziane mon - póki nie odwrócił się z przekleństwem i ich nie przegonił.

Opadły też Hanę, kiedy przechodziła, jak psy broniące terytorium. To dlatego, że jestem sama, pomyślała. Kiedy się obejrzała przez ramię, nadal za nią patrzyły.

Przeszła pospiesznie przez zakurzony rynek i rozejrzała się z przerażeniem. Przewoźnik kazał jej się trzymać głównej ulicy, ale tu drogi rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Wybrała najszerszą, wkrótce jednak stwierdziła, że połowa sklepów i domów jest zabita deskami, a w wielu brakowało drzwi i dachów. Spodziewała się bogatego miasta, a nie na wpół opuszczonych ruin.

Nagle usłyszała podniesione głosy i chrapliwy śmiech. Ulicą kroczyła dumnie grupa młodzieńców, zupełnie ją blokując. Hana uświadomiła sobie, że robi dokładnie to, przed czym przestrzegał ją mąż - chodzi sama po mieście. Przerazona skręciła w boczną uliczkę i odetchnęła z ulgą, kiedy młodzieńcy poszli w swoją stronę. Ale teraz zgubiła się zupełnie. Uliczki tworzyły prawdziwy labirynt, stały przy nich walące się domy, stłoczone tak blisko siebie, że okapy całkiem zasłaniały niebo. Chodniki były śliskie, kanały ściekowe zablokowane, a powietrze śmierdziało odpadkami. Hana potknęła się o coś miękkiego i brązowego - to był martwy szczur, porzucony na środku uliczki, żeby zgnił. Dawniej bramy na końcach ulic zamykano o zmierzchu, ale teraz zwisały smutno z zawiasów. Widziała w sieniach młode kobiety - natychmiast znikaly, kiedy poczuły na sobie jej wzrok.

Hana usiłowała nie wpaść w panikę. Skręciła w następną uliczkę i dotarła do pompy i dużej studni zakrytej wiekiem. Padała na nią smuga światła. Dalej zobaczyła jasno oświetloną łaźnię, zza której drzwi wydobywały się kłęby pary. Po chwili wyszła stamtąd kobieta niosąca naręcze wilgotnych ręczników. Jej pulchna twarz była rozgrzana i błyszcząca, a na głowie miała ręcznik. Hana podbiegła do niej, pełna ulgi, że wreszcie spotyka kogoś zwyczajnego.

- Przepraszam - wydyszała. - Czy możesz mi powiedzieć...? Czy może wiesz...? - Urwała, próbując sobie przypomnieć nazwę, którą podał jej mąż. Potem nagle ją olśniło. - Chikuzenya? - Zapytała, po czym powtórzyła to jeszcze raz, bardzo wyraźnie: - Chikuzenya.

Kobieta popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Oczywiście, przecież wszyscy wiedzą, gdzie jest Chikuzenya. O tam - powiedziała i machnęła dużą czerwoną dłonią. - Idź do końca ulicy i skręć w lewo, a potem w prawo.

Jak wyjdiesz na główną ulicę, to Chikuzenya będzie po lewej stronie, na pewno nie przeoczysz. Tyle że...

Ale Hana już biegła w tamtą stronę. Przypomniała sobie kupca z Chikuzenya, który przyjeżdżał do nich do domu. Miał okrągłe okulary. Towarzyszyła mu grupa nerwowych czeladników, uginających się pod ciężarem wielkich zwojów jedwabiu. Chikuzenya to jeden z największych sklepów w Edo. Znajdzie tam ludzi, którzy ją znają i przyjmą do siebie, a mąż odbierze ją stamtąd, kiedy wróci z wojny. Pośle od razu wiadomość do Oharu i Gensuke, powie im, gdzie jest. Wszystko będzie dobrze.

Szybko dotarła na główną ulicę, szeroką arterię komunikacyjną, przy której stały piętrowe drewniane budynki. Ku jej zdumieniu ona też sprawiała wrażenie wymarłej, a wszystkie domy zabite były deskami. Największy wyglądał, jakby stał pusty od miesięcy. Drzwi deszczowe pochłapane były błotem, a deski połamane i przegniłe.

Nagle ujrzała podartą kotarę powiewającą smutno na wietrze. Była tak zniszczona, że Hana ledwie mogła dostrzec namalowane na niej obrazy. Przyjrzała się uważnie - widniał na niej wyblakły okrąg ze znakiem Chiku w środku. To było Chikuzenya.

Hana spuściła głowę, straciła ostatnią nadzieję. Zapadała noc, na ulicach wkrótce zrobi się niebezpiecznie. Hana była wyczerpana - nic dziś nie jadła. Na domiar złego właśnie zaczął padać śnieg.

Zmarznięta, przysiadła na ulicy, oparła się o drzwi deszczowe, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

Yozo Tajima otworzył luk i wystawił głowę prosto w wicherę. Wiatr cisnął mu w twarz garść śniegu. Yozo wygramolił się na zewnątrz, zamknął za sobą luk i narzucił na niego brezent. Od steru dzieliło go tylko kilka kroków, ale wiatr był tak silny, że ledwie mógł ustać na nogach. Ponad wyciem wichury i trzeszczeniem wielkiego statku słyszał złowieszczy łopot żagla. Odgarnął kosmyki włosów i starł z twarzy drobinki lodu. Gdy spojrział w górę, zobaczył, że główny bramsel się zerwał.

Pokład był śliski od lodu, zamarznęte krople wody wbijały mu się w twarz i ręce niczym igły, a słomiana peleryna łopotała gwałtownie na wietrze, jakby się szykowała do ucieczki. Chwycił ją swoimi dużymi dłońmi marynarza. Przez chwilę zastanawiał się, co tu właściwie robi. Kto by przypuszczał, że będzie walczył ze sztormem, płynąc na północ przez nieznane wody, i to w najgorszej porze roku.

A jednak był właśnie tutaj, młody, śmiały i silny. Wprawdzie różnił się od innych marynarzy - osiłków o krzywych nogach wywodzących się ze starych pirackich rodzin z Wewnętrznego Morza Japońskiego albo wiecznie pijanych marynarzy z doków Nagasaki - niemniej był żeglarzem, i to dobrym. Napawało go to dumą.

Statek zanurkował na fali, a maszty skłoniły się ku czarnym odmętom. Wiatr zaskrzeczał w takielunku, pokład stanął niemal pionowo. Yozo chwycił się liny i wisiał na niej, póki okręt się nie wyprostował. Mijali go marynarze, biali od śniegu, pochyleni przez wiatr.

Sternicy przywiązali się do steru i usiłowali utrzymać kurs na wiatr. Kilku nosiło na mundurach psie skóry, a reszta, jak Yozo, słomiane peleryny, które gwałtownie trzepotały na wietrze. Był to żaloszny widok, ci mężczyźni w słomianych

sandałach zajadle trzymający się steru. Jeden wychudły młodzieniec, niewysoki i drobny, wyraźnie nie dawał rady.

Jego twarz poznaczona dziobami była ściągnięta i blada, oczy miał puste z wyczerpania.

- Jak się nazywasz, chłopcze? - zawołał Yozo. Wiatr porywał jego słowa.

- Gen, panie - odparł chłopak, dzwoniąc zębami.

- Zejdź pod pokład i znajdź sobie jakieś ciepłe ubranie. - Kiedy Gen się odwiązał, Yozo zajął jego miejsce za sterem.

- Mocno na sterburte! - krzyknął. Ośmiu mężczyzn naparło z całej siły, a wielkie koło sterowe zaczęło się obracać. Okręt drżał z wysiłku, wbijając się w wiatr. Yozo był już zupełnie przemoczony i przemarznięty do szpiku kości, ręce miał zdarte do krwi od ściskania koła sterowego, ale poczuł satysfakcję, falę czegoś na kształt rozkoszy, gdy potężny statek usłuchał jego woli.

Znał każdy zakątek „Kaiyo Maru” równie dobrze, jak mężczyzna zna zakamarki ciała ukochanej. Wiedział, czego może się po nim spodziewać, zarówno kiedy ten odpoczywał ze zwiniętymi żaglami, wysoki i majestatyczny, jak i wtedy, gdy przecinał spokojne wody, ciągnąc za sobą spieniony kilwater, lub płynął ociążony od ładunku i pasażerów. Uwielbiał trzymać w dłoni koło sterowe, czuć jego wibrowanie, słyszeć trzeszczenie kadłuba i takielunku, kochał zaciętość, z jaką statek przemierzał wzburzone fale.

„Kaiyo Maru” był okrętem flagowym szoguna, najwspanialszą, najnowocześniejszą jednostką wojenną jego marynarki. Dzięki niemu siły Północy zasłynęły zwycięstwem w bitwie morskiej pod Awą. Jak na okręt wojenny, nie był wielki - miał jedynie trzy maszty i dwa tysiące pięćset dziewięćdziesiąt ton wyporności, ale wyposażono go w silnik pomocniczy o mocy czterystu koni mechanicznych, zasilany węglem. Miał na pokładzie trzydzieści jeden dział oraz załogę

liczącą trzystu pięćdziesięciu marynarzy, zwerbowanych w japońskich portach i stoczniach. Zabrał również oddział żołnierzy, pięciuset czy sześciuset, tylu, ilu się zmieściło.

Wraz z siedmioma innymi okrętami, które tworzyły flotę szoguna, płynęli na północ. Wszyscy wiedzieli, że o tej porze roku to ryzykowne przedsięwzięcie, ale nikt się nie spodziewał, że pogoda będzie aż tak okropna. Nie mieli jednak wyboru. Stanęli po niewłaściwej stronie w wojnie domowej, przegrywali z rewolucjonistami, którzy obalili szoguna, ich pana, i zastąpili go jego odwiecznymi wrogami, członkami klanów z Południa.

Większość sprzymierzeńców szoguna skapitulowała, ale nie admirał Enomoto. Rozkazano mu przekazać flotę szoguna nowym panom kraju, on jednak nie należał do ludzi, którzy przyjmują rozkazy od wroga. Odmówił, po czym wraz z Yozem i wszystkimi, którzy pozostali lojalni wobec szoguna, uciekł na północ, zabrawszy ze sobą wszystkie osiem statków. Teraz jednak walczyli nie tylko o swoje ideały, ale i o przeżycie.

Yozo oparł się o ster i przypomniał sobie tamten dzień. Enomoto krążył nerwowo po kabinie. Wiedzieli, że muszą gdzieś popłynąć, i to szybko. Ale dokąd?

- Na Ezo! - wykrzyknął Enomoto, a jego twarz rozjaśniła się na chwilę. Ezo była dużą wyspą na północnym skraju Japonii, na samym krańcu cywilizowanego świata. Tylko wysunięta najbardziej na południe część była zamieszkała, reszta pozostawała w zasadzie bezludna. Armie Północy mogłyby tam stworzyć silną bazę, zebrać siły, a potem, na wiosnę, pomaszerować znów na południe i odebrać kraj w imieniu szoguna.

- Gwiazdzisty Fort to serce całej wyspy - wykrzyknął Enomoto, rozkładając mapę. - To główne umocnienia obronne miasta Hakodate. Jeśli go zajmiemy, miasto będzie nasze. Jest

tam doskonały port, bardzo głęboki i osłonięty przez wzgórza, więc będziemy mogli zakotwiczyć flotę. Potem zwrócimy się do zagranicznych konsulatów w Hakodate, wyjaśnimy naszą sprawę i zdobędziemy poparcie reszty świata. Na Ezo są jeszcze tylko dwa miasta: Matsumae i Esashi. Łatwo je zajmiemy, a wtedy cała wyspa będzie nasza. W imieniu szoguna założymy demokratyczną republikę Ezo ze stolicą w Hakodate. Potem ruszymy na południe i odbierzemy wrogom resztę Japonii. W końcu mamy „Kaiyo Maru” - dodał, podnosząc głos. - A ten, kto posiada „Kaiyo Maru”, jest władcą Japonii. Wojna się jeszcze nie skończyła!

Yozo popatrzył przez zasłonę ze śniegu na postać pochyloną nad naktuzem. Oficer wachtowy wyprostował się i przyłożył do ust skulone dłonie. Ledwie go było słychać w wyjąłym wietrze. - Wschód ku północy i pół rumba ku wschodowi. Utrzymać kurs. Ale Yozo wrócił myślami do innego statku - „Calypso”, na którego pokładzie sześć lat wcześniej zmierzał do Europy. Co to była za przygoda!

Odkąd sięgał pamięcią, Japończykom pod groźbą śmierci nie wolno było opuszczać kraju. Jedynymi zachodnimi barbarzyńcami, jakim pozwalano przebywać w Japonii, byli Holendrzy. Zamieszkiwali oni maleńką enklawę Deshima pod Nagasaki. Yoza od dzieciństwa fascynowała zachodnia kultura - jego liberalny ojciec posłał go do szkoły doktora Koana Ogaty, gdzie uczono na modłę holenderską. Ledwie ją ukończył, zniesiono wreszcie zakaz podróży poza kraj i rozeszły się wieści, że rząd szuka piętnastu lojalnych młodych ludzi, gotowych wyruszyć za granicę na trzy lub cztery lata.

Stojąc na pokrytym śniegiem pokładzie, Yozo wspominał podróż do Edo: niekończące się posłuchania u starych dworaków organizowane w salach audiencyjnych zamku szoguna oraz to, jak czekał z zapartym tchem na decyzję. Nie mógł uwierzyć, że został wybrany.

Aż wreszcie, jedenastego dnia dziewiątego miesiąca drugiego roku Bunkyu, 2 listopada 1862 roku wedle kalendarza barbarzyńców, wyruszyli w drogę. Wraz z Enomotem i trzynastoma innymi towarzyszami Yozo miał się nauczyć zachodnich języków i zdobyć wiedzę na temat nawigacji, artylerii czy inżynierii. A co najważniejsze, mieli zamówić okręt wojenny, pierwszy, jaki Japonia kupowała za granicą, nadzorować jego budowę i przyplłynąć nim do kraju.

Po sześciu długich miesiącach na morzu przybili do wybrzeży Holandii. Kiedy złożyli zamówienie na okręt, Yozo

od czasu do czasu chodził do stoczni nadzorować budowę, ale przede wszystkim wraz z innymi podróżował - do Londynu, Paryża i Berlina. Widział pociągi i statki, odkrył, jak działa telegraf, i wkrótce przestał się dziwić, że wody nie trzeba nosić ze studni, gdyż leci z kranu, a ulice i bogate domy nie są oświetlane świecami czy latarniami, tylko lampami gazowymi.

Potem - trzy lata po ich przybyciu do Europy - „Kaiyo Maru” zwodowano i wyruszyli w podróż powrotną do Japonii. To była okropna droga. Kiedy dotarli do domu, szogun został obalony. Yozo i jego przyjaciel Enomoto postanowili walczyć do końca za swego pana, stanęli po stronie Północy, zabierając ze sobą „Kaiyo Maru” i całą flotę szoguna.

Z zamieci śnieżnej wyłonił się jakiś marynarz. Wyglądał zupełnie jak duch, ślizgał się niebezpiecznie po oblodzonym pokładzie. Przyłożył usta do ucha Yoza.

- Rozkaz kapitana. Masz zejść na dół. Ja przejmę twoją służbę. Kiedy Yozo otworzył luk, uderzyła w niego fala ciepłego powietrza, gęstego od dymu, pyłu węglowego i oparów ropy. Zszedł po drabinie prosto w ciemność ładowni, usiłując utrzymać równowagę pod naporem wiatru, który wiał mu w plecy. Był przemarznięty do szpiku kości i cały pokryty śniegiem. Wyprostował ręce i poruszał dłońmi, usiłując odzyskać w nich czucie, a potem pomajstrował zgrabiętymi palcami przy słomianej pelerynie i zdjął kaptur. Śnieg obsypywał się z niego i spadał na ziemię w zamarzniętych grudkach. Gruby wełniany mundur z plecionką i złotymi guzikami miał zupełnie przemoczony.

U stóp drabiny stał wysoki, chudy mężczyzna o długich, kościstych palcach, potarganych czarnych włosach, bladej twarzy i zapadniętych policzkach. Kitaro Okawa, najmłodszy z piętnastu śmiałków, którzy wyruszyli do Europy, był prawdziwym intelektualistą. Nawet teraz wyglądał na zbyt

młodego jak na doświadczonego marynarza. Miał duże, pełne uczucia oczy i szyję tak chudą, że gardło Buddy - jabłko Adama, jak je nazywali Europejczycy - sterczało z niej jak dziób i podskakiwało, kiedy mówił. Nawet jego włosy były cienkie, zwinięte w nieporządny kok na czubku głowy.

- Czekają na nas na dole - powiedział, podając Yozowi ręcznik. Yozo wytarł głowę i twarz i przeczesał włosy rękami. Nie wyglądał odpowiednio, żeby się stawić w kajucie kapitańskiej. Spojrzał pytająco na Kitara.

- Będzie musiało wystarczyć - odparł ten, wzruszając kościstymi ramionami.

Kiedy szli przez mrok pokładu artyleryjskiego, wycie wiatru i buk fal tłumiło skrzypienie dział oraz brzęczenie talerzy i misek. Na hakach wisiało kilka lamp olejowych, rzucających migotliwe żółte światło, ale większość wygaszono z obawy przed pożarem. Ponad szumem palenisk słyszeli gdakanie kurczaków w kojcach i pełne oburzenia beczenie kóz.

Pokład artyleryjski był zatłoczony. Żołnierze, którzy tak zwawo wmaszerowali na okręt i ustawili się dumnie koło kubryku, teraz wyglądali jak polegli na polu bitwy. Niektórzy kołysali się w hamakach, zawieszonych nad działami i stołami, właściwie wszędzie, gdzie tylko znaleźli trochę miejsca. Reszta leżała pokotem na cienkich słomianych matach albo bezpośrednio na deskach pokładu. Oczy mieli zamknięte, a twarze niezdrowo blade. Wokół śmierdziało wymiocinami.

- Są tu upakowani ciasno jak ziarnka ryżu w sushi - stwierdził Kitara, kiedy przechodzili między leżącymi.

Pochylając się pod belkami stropu i przytrzymując się mosiężnych barierek, szli w stronę kajuty kapitańskiej. Z kabiny sączyło się światło, słychać było rozmowę. Yozo otworzył drzwi.

Admirał Enomoto siedział przy stole w towarzystwie wyższych oficerów i dziewięciu Francuzów. Pochylali się nad mapami. Wszyscy mieli na sobie eleganckie mundury, z muszkami i złotymi łańcuszkami od zegarków. Galony na ich mankietach, guziki i wypomadowane włosy połyskiwały w świetle lampy. Zamilkli, kiedy weszli Yozo i Kitaro.

- Merde - mruknął jeden z Francuzów. - Co za cholerny sztorm!

Yozo uśmiechnął się szeroko. Jak wszyscy przebywający na pokładzie Francuzi, sierżant Jean Marlin był drażliwy i arogancki. Wprawdzie mówił po japońsku, ale wysławiał się w zabawny, kobiecy sposób - bez wątpienia nauczył się języka w dzielnicach rozkoszy. Pod tą arogancją kryło się jednak wielkie poczucie humoru. Marlin zaczynał jako jeden z cudzoziemskich instruktorów wojskowych. Ćwiczył ich, aż zmienili się z bandy samurajów, machających mieczami, kiedy im się tylko spodobało, w zdyscyplinowaną, doskonale wyszkoloną armię, maszerującą równym krokiem, walczącą jak jeden mąż i potrafiącą trzykrotnie naładować i wystrzelić z karabinów Chassepot w ciągu minuty. Yozo wiedział, że Marlin jest równie oddany sprawie jak oni wszyscy.

Okręt zanurkował gwałtownie, a mężczyźni chwycili się stołu i przytrzymali rękami mapy oraz instrumenty. Enomoto siedział zupełnie nieruchomo, póki statek się nie wyprostował, a potem spojrzał na Yoza, z którego słona woda ociekała prosto na piękny holenderski dywan.

- Dobra robota, Tajima - powiedział. - Mógłbyś sam poprowadzić ten okręt.

Przez jego twarz przemknął uśmiech. Ostatnio zapuścił wąsy i ściał włosy krótko, z przedziałkiem z jednej strony, na modłę zachodnią. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie idealnego dżentelmena, wyniosły i flegmatyczny, ale podbródek znamionujący upór oraz determinacja w jego

oczach mówiły co innego. Yozo był jedyną osobą na statku, która nie czuła przed nim respektu.

- Jeśli moje odczyty są prawidłowe, jesteście mniej więcej tutaj - powiedział Enomoto, wskazując jedną z map. - Zatoka Washinoki. Zawiniemy do portu, rzucimy kotwicę i o świcie wysadzimy żołnierzy na brzeg. Miejmy nadzieję, że pogoda będzie nam sprzyjać. Tajima - dodał, patrząc prosto na Yozę. - Chcę, żebyś wylądował razem z komendantem Yamaguchim i jego milicją.

Yozo popatrzył zszokowany.

- Z komendantem Yamaguchim? - powtórzył bezwiednie, a pozostali oficerowie wymienili między sobą spojrzenia. Ale rozkaz to rozkaz, więc Yozo skłonił się energicznie, a potem wyprostował i zaszalutował w zachodnim stylu. - Aye, aye, admirale.

- Ty też, Okawa - powiedział Enomoto do Kitara. - A teraz słuchajcie uważnie. Kiedy wylądujecie w zatoce Washinoki, pomaszerujecie w poprzek półwyspu, przez przełęcz Kawasui, i dotrzecie do Gwiazdzistego Fortu pod Hakodate. Pamiętajcie, musicie maszerować szybko. Na lądzie znajdziecie przewodników. Sierżant Marlin i kapitan Cazeneuve pójdą z generałem Otorim bezpośrednią drogą z północy, przez góry. Jeśli będziemy mieć szczęście, oba oddziały dotrą do fortu jednocześnie. Garnizon nie spodziewa się, że ktoś zdoła przebyć góry w taką pogodę, więc weźmiecie ich z zaskoczenia. Tymczasem flota wpłynie do zatoki Hakodate i rzuci kotwice, kiedy fort znajdzie się bezpiecznie w naszych rękach.

* * *

Po zakończeniu narady Yozo i Kitaro zeszli po drabinie na niższy pokład. Z kotłowni wydobywały się opary ropy i pył węglowy, kilka latarni kołysało się gwałtownie, rozświetlając ciemność.

- Bohater trzyma świat w dłoni - powiedział Kitaro, przekrzykując ryk palenisk.

- Chodzi ci o komendanta? - Yozo przysiadł na zwoju liny. Widział, że niefrasobliwość Kitara jest udawana. Znał go za dobrze, żeby dać się nabrać. Przyjaciel był równie oddany sprawie jak wszyscy, ale był też marynarzem i naukowcem, a nie żołnierzem, i w przeciwieństwie do Yoza widział niewiele bitew. Yozo czuł się świetnie z karabinem w rękę, Kitaro był raczej filozofem. Jego metier, powołaniem, było myślenie.

Yozo odczepił od paska manierkę i podniósł do ust. Ręce miał całkiem czarne. Rozkoszował się, gdy mocny alkohol palił go, spływając do gardła.

- Komendant Yamaguchi to bohater, ale i brutal - powiedział w zamyśleniu. - Przezywają go demonem. Być może Enomoto chce, żebyśmy mieli go na oku. Słyszałem, że trochę za swobodnie poczyną sobie z mieczem. Może dlatego admirał wysyła nas z nim, a nie z regularnymi oddziałami.

Kitaro przykucnął obok.

- Widziałeś go na zamku Sendai, prawda? Yozo kiwnął głową.

- Rada wojenna. - Pociągnął kolejny łyk rumu i smakował przez chwilę, zanim połknął. Przypomnił sobie masywne granitowe mury i wysokie wieże zamku, płonące barwami klony na terenie twierdzy, czerwone, pomarańczowe i żółte, oraz labirynt wielkich zimnych sal i korytarzy, gdzie nigdy nie dociera słońce. To było mniej więcej czterdzieści dni temu. Nad cytadelą powiewał sztandar Sojuszu Północnego, pięcioramienna gwiazda, biała na czarnym polu. Yozo udał się tam jako prawa ręka Enomota. Polecono mu słuchać i milczeć.

Wielka sala posłuchań była ciemna i zimna. Wysokie świece rzucały żółte światło na maty i złote parawany pod ścianami. Nad paleniskiem zalegał dym, unosił się też z fajek o długich cybuchach. Przybyli oficjele z byłego rządu szoguna

oraz starsi doradcy reprezentujący trzydziestu jeden panów Sojuszu Północnego, wszyscy w wykrochmalonych ceremonialnych strojach. W spotkaniu brali też udział wojskowi, w tym dowódca armii Północy, generał Otori. Początkowo wszyscy - oficjele, doradcy i wojskowi - klęczeli w oficjalnych pozach, zabierając głos wedle rangi, ale w miarę rozwoju dyskusji zapominali o pierwszeństwie.

Spierali się wiele godzin. Niektórzy doradcy optowali za poddaniem się i złożeniem przysięgi wierności nowemu rządowi. Przecież zostaliśmy pobici, argumentowali. Południowcy maszerowali na północ i niszczyli zamki jeden po drugim. To szaleństwo walczyć dalej. Powinniśmy przyznać się do porażki.

Yozo słuchał ich narzekań w milczącej pogardzie. Potem przemówił Enomoto.

- To jeszcze nie koniec - oświadczył. - Nadchodzi zima. Nasi ludzie są zahartowani i przywykli do trudów, a południowcy to słabeusze. Nie mają pojęcia, jakie są zimy na północy. Wymarzną, zobaczycie. Nie będą mieli odwagi nas ścigać, a jeśli to zrobią, zginą. - Jego cichy, głęboki głos nabierał stopniowo mocy, aż wypełnił zakurzone kąty wielkiej sali i sprawił, że pajęczyny zadrżały. - Nie zapominajcie, że nasi ludzie są najtwardsi w kraju. Mamy w swoich szeregach nie tylko regularną armię, ale i milicję Kioto.

- A przynajmniej jej resztki - parsknął tęgi, rumiany starzec. - Południowcy ścigają ich jak psy. Komendant Yamaguchi to ostatni z dowódców milicji, który nadal zachował głowę.

- Zgadzam się z admirałem Enomotem - warknął generał Otori, niski, gwałtowny mężczyzna o okrągłej twarzy. - Jeśli połączymy siły, będziemy nie do pokonania.

- Komendant jest tu dziś z nami - oznajmił Enomoto. - Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Yozo pamiętał pomruk, jaki przeszedł po sali, oraz poruszenie wśród zebranych, gdy wszedł legendarny wojownik. Ten dość wysoki mężczyzna o niezwykle bladej skórze, przystojny, ubrany w długi kaftan i spodnie do kolan, z dwoma mieczami zatkniętymi za pas, zdaniem Yoza wyglądał raczej jak ktoś, kto spędza czas w ciemnych salach na snuciu intryg, a nie na ulicach Kioto, likwidując wrogów. Chodziły jednak słuchy, że zabił ich setki. Jego włosy, długie i błyszczące jak laka, zostały niezbyt starannie zaczesane do tyłu. Zmierzył starszyznę zuchwałym spojrzeniem.

- W chwili, gdy komendant otworzył usta, od razu było wiadomo, że nie jest samurajem - powiedział Yozo do Kitaro. - Krążą plotki, że to prosty wieśniak z Kano. Mówił głośno i wyraźnie. „Przyjmę połączone dowództwo skonfederowanych oddziałów”, oświadczył. A potem urwał i rozejrzał się po sali, patrzył po twarzach wielkich panów, którzy tam klęczeli i pykali z fajek. „Ale jest jeden warunek”, ciągnął. Usłyszałybyś, jak piórko spada na podłogę, tak było cicho. „Moje rozkazy mają być ściśle wykonywane. Jeśli któryś z moich ludzi ich nie usłucha, nawet starszy doradca z wielkiej prowincji, zabiję go osobiście”. Dokładnie tak powiedział. Wszyscy popatrzyli po sobie. Widać było, co myślą. Co on sobie wyobraża? Szkoda, że nie słyszałeś, jak on to powiedział, z jaką groźbą w głosie. Miał taki wyraz oczu, jakby był gotów zaraz wprowadzić swoje słowa w czyn.

- Kiedy mężczyzna jest dostatecznie uparty i przekonany, że ma rację, nic go nie powstrzyma - zauważył Kitaro. - Zbierz razem trzech upartych mężczyzn, a nie wiadomo, co się stanie.

Yozo kiwnął głową. Otori, Enomoto i komendant mieli pod swoim dowództwem armię, marynarkę i milicję Kioto. Wszyscy trzej byli bezwzględnie lojalni wobec szoguna. I wszyscy trzej mieli w oczach ten błysk szaleństwa.

* * *

O świcie następnego ranka Yozo wyszedł na pokład. Śnieg nadal padał, tak gęsty, że ledwie było widać brzeg. Z takielunku i noków rei zwisały sople. Kiedy trochę się rozjaśniło, rozróżnił w oddali kilka skał i pojedynczych chałup, wznoszących się na stokach pokrytych śniegiem wzgórz. Wzburzone morze miało kolor ołowiu. Fale rozbijały się o skały, tworząc jakby ścianę wody. Niełatwo będzie wpłynąć do zatoki Washinoki.

Wokół niego stali skuleni z zimna ludzie. Pechowcy mieli na sobie tylko bawełniane mundury. Inni chronili się przed mrozem pod pelerynami ze słomy ryżowej lub skórą z niedźwiedzi albo psów. Yozo założył na siebie wszystko, co zdołał znaleźć, ale chłód i tak przenikał przez warstwy odzieży.

Marynarze szykowali pierwszą szalupę, przymocowali ją do noka rei. Następnie obrócili reję, ściągając liny z jednej strony i poluzniając z drugiej, po czym opuścili szalupę na wodę. Sternik, bosman i dwunastu wioślarzy zeszli na dół i ostrożnie wsiedli do łodzi, która miotła się na falach i waliła w burtę statku, wyrzucając w powietrze pióropusze lodowatej wody dwa razy wyższe od człowieka. Żołnierze stali w szeregu na pokładzie, zgięci pod ciężarem plecaków, z karabinami zwisającymi z ramion. Yozo pierwszy wyjrzał za burtę na wąskie stopnie w kadłubie okrętu prowadzące prosto w czarną wodę. Zawahał się, wciągnął z sykiem powietrze przez zęby, a potem uniósł głowę i wyprostował się, kiedy usłyszał za sobą ciężkie kroki.

Twarz komendanta Yamaguchiego była blada z powodu choroby morskiej, niemniej okazywał swą zwykłą arogancję, ramiona odciągnął dumnie do tyłu, a głowę nosił wysoko. Niecierpliwie marszcząc brwi, przeskoczył za burtę i zszedł

po stopniach na dół na oczach swoich ludzi, przytrzymując się przeciągniętych po obu stronach lin.

Żołnierze poszli w jego ślady, a kiedy ostatni wszedł do łodzi, ta zakołysała się i omal nie przewróciła, aż wszyscy jęknęli. Usta komendanta wygięły się w pogardliwym grymasie.

Yozo chwycił lunetę i przyglądał się przez płatki śniegu, jak mała łódka podskakuje na falach. Od czasu do czasu miał wrażenie, że za chwilę przewróci się do góry dnem. Druga szalupa była już w drodze, kiedy pierwsza wracała na okręt.

Yozo i Kitaro popłynęli z trzecią grupą. Kiedy schodzili do szalupy, ta zanurkowała na fali. Wioślarze naparli na wiosła, a wiatr zaganiał łódź prosto w stronę lądu. Kilka metrów od brzegu Yozo wskoczył do morza i aż zaparło mu dech w piersiach, tak lodowata okazała się woda. Razem z wioślarzami przytrzymał szalupę, kiedy żołnierze wyskakiwali z łodzi i zdążali na brzeg. Tam ustawili się jeden za drugim, żeby podawać sobie skrzynie ze sprzętem i zapasami.

Śnieg przestał padać, niebo się rozjaśniało. Z brzegu Yozo widział wielką, szarą połąć oceanu ciągnącą się aż po horyzont oraz flotę ośmiu okrętów najeżonych masztami. Szalupy krążyły między nimi a brzegiem, przewożąc żołnierzy. Nagle jedna z nich zniknęła. Kiedy znów się pojawiła, celowała w niebo kilem. Maleńkie postacie miotały się w ołowianej wodzie. Yozo ruszył ku płyciźnie, ale Kitaro chwycił go za ramię.

- Oszalałeś? Są za daleko - krzyknął ponad rykiem fal.

Żołnierze ponuro zakładali plecaki. Stracili dobrych ludzi, i to nawet nie w bitwie. Ale śmierć w służbie szoguna przynosiła zaszczyt. Czy na pewno? - zastanawiał się Yozo, kiedy razem z Kitarem ruszyli ścieżką ku przełęczy, którą prowadziła droga do Gwieździstego Fortu i miasta Hakodate.

- Nic ci nie jest?

Hana wzdrygnęła się, kiedy ktoś dźgnął ją palcem w ramię. Okazało się, że to jakaś kobieta. Głowę owinęła szalem, a jej twarz skrywał cień. Głos wydawał się młody.

- Co tu robisz? - spytała ostrym dialektem ludzi z centrum. Hana widziała tylko jej czarne oczy.

- Szukałam Chikuzenya. Mieli mi pomóc - wyszeptała. Całkiem zdrętwiała z zimna.

Kobieta pokręciła głową.

- Zamknęli się kilka miesięcy temu. Wszyscy odeszli. To znaczy ci, których było na to stać. Pojechali do Osaki. Dziewczyna, która mówi tak jak ty, nie powinna siedzieć sama na ulicy. To niebezpieczne.

Przerażona Hana rozejrzała się po pustej ulicy, nagle uświadomiwszy sobie, gdzie jest. Niedaleko słyszała chrapliwe okrzyki i natychmiast przypomniała sobie grupę młodzieńców, których mijała. Wymachiwali pięściami, mieli miecze i groźne miny. Zimny deszcz bębnił w drzwi deszczowe majaczące w ciemności. Nagle do Hany dotarła cała groza jej sytuacji - rodzice i teściowie nie żyli, mąż poszedł na wojnę. W ostatnim liście, jaki od niego dostała, donosił, że zmierza ku Sendai. Nie miała pojęcia, gdzie to jest, ale wydawało jej się, że niewyobrażalnie daleko.

Kobieta wsunęła dłoń w rękaw, wyciągnęła fajkę, nabiła ją i wyciągnęła do Hany.

- Masz - powiedziała, po czym dodała z ukłonem. - Jestem Fuyu. Hana powoli rozwinęła szal i uśmiechnęła się z wdzięcznością do swej nowej znajomej.

Kiedy Fuyu przykucnęła koło niej, poczuła zapach taniego pudru i oliwy do włosów. Fuyu też rozwinęła szal i teraz Hana widziała, że faktycznie jest młoda, niewiele starsza od niej, ma okrągłą twarz pokrytą grubą warstwą pudru, zadarty nos i

ładne usta. Sprawiała wrażenie osoby praktycznej, co spodobało się Hanie. Uderzyła krzesiwem i przysunęła się tak blisko, że widać było pory na jej nosie i dołki w policzkach. Hana zaciągnęła się dymem z fajki, smakując tytoń.

- Jesteś odważna, że dotarłaś aż tutaj - stwierdziła Fuyu. - Pełno tu hołoty i bezrobotnych samurajów.

- Zgubiłam się - wyjaśniła Hana, kręcąc głową. - Byłam pewna, że znajdę w Chikuzenya kogoś, kto się mną zajmie.

- Twój mąż jest samurajem, prawda? - Fuyu przyglądała się Hanie tak uważnie, że ta poczuła się niezręcznie. - Zapewne pojechał na wojnę i zostawił cię samą. Wojna jest ciężka dla kobiet, prawda?

- Czy ty też masz męża na wojnie? - spytała Hana z powątpiewaniem. Fuyu z pewnością nie wyglądała na żonę samuraja, nie zachowywała się odpowiednio.

Ale Fuyu nie odpowiedziała. Siedziały w milczeniu, a chrapliwe okrzyki młodzieńców, których Hana widziała wcześniej, zaczęły się przybliżać.

- Potrzebujesz jakiegoś schronienia, prawda? - odezwała się nagle Fuyu. - Bezpiecznego miejsca. Znam takie.

- Naprawdę? - Hana była zaskoczona, że kobieta, która zjawiała się tu jakby znikąd, chce jej pomóc.

- Tam interesy kwitną, a przy bramie stoją strażnicy - ciągnęła Fuyu. - Nie wpuszczają żołnierzy z południa, więc nikt nie będzie cię niepokoić. To najlepsze miejsce, jeśli chcesz się ukryć. - Urwała, nadal przyglądając się Hanie. Rozciągnęła usta w przypochlebnym uśmiechu. - No i znajdziesz pracę. Potrafisz szyć, prawda? Możesz być szwaczką albo służącą, albo artystką. Potrafisz pewnie czytać i pisać. Zawsze jest popyt na takich ludzi.

- Ale... gdzie to jest? - spytała Hana. Zaczynała odczuwać niepokój.

- Możesz tam tylko zanocować. Nie musisz zostawać na stałe, jeśli nie będziesz chciała.

Hana pokręciła głową.

- Dziękuję, poradzę sobie. Sama coś znajdę. - Odparła, ale wiedziała, że nie ma dokąd iść.

Na twarzy Fuyu odmalowała się zaciętość.

- Jak sobie chcesz - powiedziała i brzydsko wykrzywiła usta. - Ale powiem ci jedno, jeśli nie pójdziesz za moją radą, skończysz, sprzedając swoje ciało przy bramach miasta.

Hana zamknęła oczy, czując przerażenie na samą myśl o kobietach, które tam widziała.

Fuyu złapała ją za rękę.

- Chodź. Nim zrobi się ciemno.

- Ale... ale gdzie jest to miejsce, o którym mówisz? - wyjąkała Hana.

- Słyszałaś o Pięciu Ulicach, prawda? - warknęła Fuyu. - Można tam zarobić na dobre życie.

Pięć Ulic. Hana aż sapnęła ze zdumienia. Wszyscy o nich słyszeli - to było barwne, hałaśliwe miejsce, gdzie światła nigdy nie gasły, pełne jaskrawo wymalowanych kobiet. To tam mężczyźni chodzili szukać rozkoszy. Jej mąż często chwalił się swoją popularnością wśród tamtejszych kobiet. Mówiono, że to najgorsze ze Złych Miejsc, prawdziwe miasto, odległe o dobrą godzinę drogi od murów Edo, by uczciwi ludzie nie musieli cierpieć widoku tego, co tam się dzieje. Z całą pewnością nie było to miejsce odpowiednie dla kogoś takiego jak ona.

- Nie, nie - jęknęła. - Zaczekaj, muszę pomyśleć.

- Możesz myśleć po drodze - stwierdziła Fuyu i zmusiła Hanę, by wstała.

* * *

Wzeszedł księżyc. Droga przed nimi była zupełnie prosta, na poboczach rosły smukłe sumaki lakowe, z których nagich

gałęzi zwisały ostatnie listki połyskujące jak złote monety. Hana widziała przed sobą na ubitej, zamrożonej ziemi swój mały cień. Daleko pod nimi, po obu stronach drogi biegnącej szczytem grobli, nikły w mroku błota i pola ryżowe. Od czasu do czasu mijał je ktoś, konno lub pieszo, niekiedy przechodzili tragarze dźwigający palankiny. Nad głowami przeleciał im żuraw.

Dawno zostawiły za sobą wąskie ulice i ponure ciemne dachy Edo. Hana czuła rękę Fuyu na swoim ramieniu, popychając ją cały czas naprzód. Wprawdzie mogła się łatwo wyrwać i pobiec z powrotem, ale gdzie miałyby się udać? Wiedziała, że idą w miejsce oferujące rozkosz mężczyznom, ale w końcu to było miasto, przynajmniej ludzie tak mówili. Musi być tam masa innej pracy.

- Proszę! - wykrzyknęła Fuyu. - Patrz. Tam! Szybko, już zapalili latarnie.

W oddali za groblą coś połyskiwało w ciemności niczym rój świetlików w letnią noc. Wiatr przywiał szept głosów i śmiechy, a także słaby zapach dymu, pieczonej ryby, kadzidła i ścieków. Przed nimi leżała legendarna Yoshiwara. Tyle że była prawdziwa, a Hana wkrótce miała się w niej znaleźć. Popatrzyła w ciemność, a serce waliło jej jak młotem.

Pomimo skrupułów, jakie odczuwała, Yoshiwara przyciągała ją i wabiła. Na jej widok ruszyła szybciej. Niemal zapomniała o pustym domu, żołnierzach, ucieczce przez pustkowie. Dźwięki, zapachy i połyskliwe światła obiecywały nowe egzotyczne życie, jakiego dotąd nawet sobie nie wyobrażała.

Zadrżała na lodowatym wietrze i mocniej owinęła sobie szalem twarz. Nogi ją bolały, kamienie wrzynały się jej w stopy, a sandały ze słomy ryżowej obcierały skórę przy każdym kroku. Ale światła przed nimi stawały się coraz

jaśniejsze. Już wkrótce rozróżniała brzęk shamisenów i śpiewy.

Było zupełnie ciemno, kiedy dotarły do samotnej wierzby. Jej pozbawione liści gałęzie kołysały się i trzeszczały na wietrze.

- To Wierzba Ostatniego Spojrzenia - wyjaśniła Fuyu.

Hana czytała o niej. Tu właśnie mężczyźni zatrzymywali się, by po raz ostatni popatrzeć na mury Yoshiwary, kiedy rano ruszali do domu. W dole biegło Pięć Ulic, kwadrat światła i koloru w błotnistej ciemności.

Hana popatrzyła na groblę prowadzącą do Edo i jej dawnego życia. Miała wkroczyć do nowego świata i wiedziała, że kiedy stamtąd wyjdzie - o ile kiedyś wyjdzie - grobla, księżyc i gwiazdy będą takie same, ale ona już nie.

Hana pobiegła za Fuyu po zboczach ku murom miasta. Mijały stłoczone stragany i herbaciarnie - kobiety chwytaly przechodzących mężczyzn za ubrania i próbowały zaciągnąć ich do środka - aż wreszcie dotarły do mostu i przeszły na drugą stronę nad mętnymi wodami fosy. Przed nimi wznosiła się ogromna brama. Po przeciwnej stronie dostrzegła tłumy i jasne światła, a jej uszu dobiegły odgłosy miasta.

Hana zatrzymała się i zadrżała, kiedy drogę zastąpił im strażnik. Miał szyję grubą jak pień drzewa i całkiem płaski nos, jakby wpadł na ścianę. W wielkiej dłoni trzymał żelazną laskę zakończoną hakiem.

Pochylił się ku nim, ale Fuyu uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie, pomachała mu przed twarzą jakimś papierem i wsunęła do ręki kilka monet. Strażnik otworzył w uśmiechu wielkie usta, ukazując szczyrby i spróchniałe pieńki zębów.

- Proszę dalej, moje panie - powiedział i mrugnął do Fuyu. - Życzę dobrej zabawy!

I tak znalazły się w Yoshiwarze. Początkowo Hana szła ze spuszczonego wzrokiem. Mijali ją ludzie, czuła zapachy słodsze i subtelniejsze niż wszystko, co dotąd знаła. O ręce ocierały jej się jedwabne szaty, widziała spódnice kimon falujące wokół maleńkich stóp odzianych w sandały wiązane na atlasowe wstążki. Wielkie drewniaki stukwały wokoło, tkwiły w nich rozczapierzone palce, porośnięte czarnym włosiem. Słyszała głosy i okrzyki mężczyzn, a także paplaninę kobiet świergoczących jak ptaki.

Rozpoznała zachęcający zapach pieczonych wróbli i ośmiornicy i już dłużej nie była w stanie powściągać ciekawości. Podniosła wzrok i aż jęknęła. Ludzie - tak wielu, że ledwie dawało się przejść. Rozglądała się wokoło, szeroko otwierając oczy. Kupcy w Jedwabiach i brokacze kroczyli ramię w ramię z samurajami z błyszczącymi kokami na

głowach, sprzedawcy i służący uwijali się wokoło albo kucali na ulicy, mężczyźni o brązowej skórze rozglądali się niepewnie, jakby to była ich pierwsza wizyta w tym miejscu i nie wiedzieli, jak się zachować. Stare kobiety przysiadły w sieniach, pochylały ku sobie wysuszone twarze i plotkowały. Krzepcy młodzieńcy przebiegali obok, dźwigając tace pełne jedzenia, jedną na drugiej, a małe dziewczynki z pomalowanymi na biało twarzami i jaskrawoczerwonymi ustami stapały dumnie, niosąc listy albo trzymając się za ręce.

Edo było w ruinie, ale Yoshiwarę wypełniali ludzie szukający rozkoszy. Hana rozglądała się, oczarowana zapachami, widokami i dźwiękami, jednak dręczył ją niepokój. To nie było miejsce dla niej.

Właśnie kiedy postanowiła powiedzieć Fuyu, że zmienia zdanie i musi natychmiast wracać, ta zacisnęła mocno palce na jej ramieniu i wepchnęła ją w ciemną boczną uliczkę i w jakieś otwarte drzwi. Przybyły na miejsce.

* * *

Na powitanie wybiegła im starsza służąca w bezkształtnym brązowym kaftanie narzuconym na kimono w kolorze granatowym. Przyniosła misę z wodą, by mogły umyć nogi. Kiedy Hana weszła do środka, ujrzała długie korytarze i mężczyzn znikających za drzwiami, zza których dobiegał śmiech i dźwięki muzyki. Fuyu poprowadziła ją przez oświetlone latarniami werandy i liczne pokoje, aż wreszcie odsunęła jakieś drzwi.

Przy niskim stoliku klęczała kobieta i pisała coś w księdze rachunkowej przy świetle lampki oliwnej. Z tyłu wyglądała elegancko i wyrafinowanie. Miała na sobie gładkie czarne kimono przewiązane czerwonym obi, a jej włosy były upięte w błyszczący kok. Obok niej stała fajka i filizanka, a na ceramicznym piecyku szumiał imbryk.

Kiedy jednak odwróciła się do nich, Hana omal nie cofnęła się gwałtownie na widok pomarszczonej twarzy pokrytej grubą warstwą białego pudru, który zbił się w grudki w każdej zmarszczce. Kobieta miała usta pomalowane na szkarłatno i zaczerwienione, pełne irytacji oczy, a na podbródku pieprzyk, z którego sterczał pojedynczy włos. Mimo to zachowywała się niczym sławna piękność.

Zmierzyła wzrokiem ubłocone kimono Hany i brudny szal na jej głowie. Hana zadrżała. Nagle dotarło do niej, że dała się tu zwabić, uwiedziona harmidrem, barwnością i egzotyką Yoshiwary. Teraz czuła jedynie lodowaty chłód tego miejsca. Dała się zaprowadzić prosto w pułapkę.

- Wybacz, że przeszkadzam - wyszeptała Fuyu, służalczo kuląc ramiona, i zmusiła Hanę, by uklękała.

- To znowu ty, Fuyu? - powiedziała kobieta ze znużeniem. Głos miała niski i głęboki, mówiła z melodyjnym zaśpiewem w dialekcie, jakiego Hana nie słyszała nigdy wcześniej. - Ile razy mam ci mówić, że interesy idą źle? Sprowadzasz mi tu kobiety, ale one tylko jedzą i śpią, zamiast zarabiać na utrzymanie. Gdybyś mi sprowadziła dziecko, które mogłabym wyszkolić, wtedy miałybyśmy o czym rozmawiać. Ale niewykszkolona kobieta? Takie sprawiają więcej kłopotów, niż są warte. Nie sprowadzaj mi ich więcej. - Odwróciła się do księgi rachunkowej i wzięła pędzelek.

Nagle Hana poczuła wściekłość. Nie miała zamiaru płaszczyć się przed tą szpetną staruchą.

- Może i jestem obdarta, ale nie brak mi wykształcenia - powiedziała gwałtownie, nie zważając na konsekwencje. - Pochodzę z dobrej rodziny. Jestem wykształcona, potrafię pisać i czytać. Przyszłam tu prosić o schronienie. Mogę uczyć i zarabiać uczciwie na życie, ale jeśli nie możesz oferować mi pracy, która nie splami mojego honoru, wyjdę stąd i poszukam szczęścia gdzie indziej.

Kobieta popatrzyła na nią czarnymi oczami ukrytymi w fałdach pomarszczonej skóry.

- A więc umie mówić - stwierdziła zaskoczonym tonem. - I jest odważna.

Pasmo włosów Hany wysunęło się spod szala i opadło jej na twarz. Starucha chwyciła je i pociągnęła. Hana skrzywiła się. Włosy zaczepiały się o szorstką skórę palców starej kobiety.

- Dobre włosy - stwierdziła starucha. - Grube i czarne. Żadnych loków.

- Szal - syknęła Fuyu, szarpiąc szal na głowie Hany. Ta próbowała go przytrzymać, ale Fuyu była silniejsza.

Kobieta pochyliła się ku Hanie i przyjrzała się jej uważnie. Uniosła brwi i otworzyła szeroko oczy, po czym chwyciła jej podbródek między stwardniały kciuk i palec wskazujący, dysząc ciężko. Zaskoczona Hana cofnęła się, gdy uderzył w nią odór zjełczanego pudru i przepoconych ubrań skropionych pachnidłem.

Kobieta przysiadła na piętach i zmrużyła oczy z przebiegłym wyrazem twarzy.

- Oczywiście to nie jest klasyczna piękność - powiedziała do Fuyu. - Ale istotnie, nie taka zła. Ładna, okrągła twarz, może nieco owalna. - Cofnęła się i zawołała: - Ojczulku! Ojczulku!

Usłyszały szuranie stóp po tatami, po czym ktoś odsunął drzwi. W progu pojawił się mężczyzna o kwadratowej twarzy i brzuchu wyдутym nad nisko zawiązanym pasem. Towarzyszył mu zapach sake i tytoniu.

- Nowa? - zapytał, zamykając z trzaskiem usta po każdej sylabie. - Nie przyjmuj ich więcej, ciotko. Interesy idą źle, prawie nie ma klientów. Nie stać nas na więcej gąb do wykarmienia.

Kobieta przechyliła na bok głowę i popatrzyła przez rzęsy na mężczyznę.

- Masz rację, ojczulku - zaświergotała. - Ale ta...

- Tylko marnujesz mój czas, kobieto - narzekał.

Ukląkł, wyjął okulary z rękawa i włożył je na nos. Pochylił się ku Hanie, a kobieta wzięła świecę ze stolika i zbliżyła ją do jej twarzy. Oczy mężczyzny, małe za grubymi szklami, na moment otworzyły się szerzej, potem zwężyły. Przysiadł na piętach i patrzył na Hanę, jakby podziwiał obraz albo filizankę do herbaty, lub też sztukę jedwabiu.

- Niezła - orzekł wreszcie. - Twarz niemal w kształcie nasion melona. I ładna skóra, biała, bez pieprzyków. Przynajmniej żadnych nie widzę. Duże oczy, ładny nos, małe usta, smukła szyja. Wszystko tak jak trzeba.

Wstrząśnięta Hana gapiała się na niego w milczeniu. Już miała zaprotestować, kiedy mężczyzna złapał ją za podbródek tak mocno, że aż zabolalo. Ściągnął go w dół jedną ręką, a drugą rozdzielił jej wargi. Omal nie wymiotowała, kiedy poczuła smak tytoniu na jego poplamionych palcach.

- Zdrowe zęby - mruknął.

Fuyu uklękła, jej oczy biegały niespokojnie.

- Zdejmij kaftan - warknęła.

Mężczyzna chwycił dłoń Hany, odwrócił i pogładził wewnątrz, potem odchylił jej palce tak mocno, że omal ich nie połamał. Hana zamrugwała gwałtownie, walcząc ze łzami.

- Drugiej takiej nie znajdziecie - stwierdziła Fuyu twardo.

- Nigdy nie wiadomo, co wyrosnie z dzieciaka, ale przy dorosłej od razu wiecie, co dostajecie. Nie chcę wam zaprzeczać, ciotko, ale sama widzisz. To prawdziwa piękność, klasyczna.

Hana popatrzyła na mężczyznę o obwisłych policzkach, na staruchę z pomalowaną twarzą i na Fuyu, wpatrzoną w nią głodnymi oczyma. Nie było sensu apelować do ich sumień,

widziała to wyraźnie. Ale nie podda się bez walki. Odetchnęła głęboko. Musi im przypomnieć, że jest osobą, a nie przedmiotem, który można kupować i sprzedawać.

- Nie po to tu przyszłam - powiedziała drżącym głosem. - Moja twarz nie ma z tym nic wspólnego. Potrafię czytać i pisać. Mogę uczyć.

- Posłuchaj tylko, ojczulku - wymruczała starucha. - Ma w sobie ducha. I klasę. I jak mówi! Tylko posłuchaj.

Mężczyzna schował okulary do rękawa i dźwignął się z klęczek.

- Za stara - orzekł, wzruszając ramionami, i ruszył do drzwi.

- Daj jej szansę, ojczulku - namawiała kobieta zachęcająco. - Każda potrafi śpiewać i tańczyć, ale pisanie i czytanie to rzadka umiejętność. Zobaczmy, jak pisze. Dziewczyno, podejdź tutaj. Pokaż nam, co potrafisz.

Ale Fuyu już zerwała się na równe nogi. Spódnice jej kimona były wygniecione.

- Pójdę gdzie indziej. To wspaniała młoda dziewczyna. Bez trudu znajdę takiego, co ją weźmie - oświadczyła głosem gładkim jak jedwab.

Świeca zaskwierczała i kropla wosku powoli spłynęła po jej boku. Mężczyzna patrzył na Hanę małymi bezlitosnymi oczkami.

- Na plecy - rozkazał nagle.

Nim Hana zorientowała się, co się dzieje, starucha złapała ją za ramiona i pchnęła. Choć Hana krzyczała i walczyła, stara okazała się zaskakująco silna. W dodatku Fuyu zatkała jej usta ręką i przytrzymała ją mocno.

Tymczasem mężczyzna podciągnął jej spódnice i szeroko rozłożył nogi. Hana słyszała skrzypienie tatami, kiedy ukląkł między jej udami. Potem poczuła dotyk szorstkich palców, które szarpały, naciskały, szczypały. Słyszała sapanie, czuła

gorący oddech mężczyzny na swoich udach. Poczwała ostry ból, gdy wbił w nią gruby paluch. Krzyczała i wyrywała się z całej siły.

W końcu mężczyzna ją puścił i przysiadł na piętach.

- Ładny okaz - stwierdził. - Jędrna, dobry kolor, różany. Wygląda świeżo. Ładny kształt. - Zachichotał. - Klientom się spodoba.

Hana usiadła, obciągając ubranie na gołe nogi. Była wstrząśnięta, czerwona na twarzy z upokorzenia. Przełknęła z trudem, a po jej policzkach popłynęły gorące łzy.

- No więc? - pytała Fuyu.

- Zrobimy ci tę uprzejmość i pozbawimy cię kłopotu - powiedział mężczyzna z namysłem.

- Jesteś za dobry, ojczulku - stwierdziła starucha, wyginając kokieteryjnie usta. - Nikt inny nie wziąłby kogoś tak starego. Oczywiście wszystko zależy od...

Fuyu popatrzyła na jedno, potem na drugie.

- Porozmawiajmy na zewnątrz - zaproponowała. - Na pewno dojdziemy do porozumienia. Z pewnością znajdziecie zajęcie dla tej dziewczyny.

* * *

Hana klęczała zgarbiona, ledwie śmiać oddychać, kiedy drzwi zasunęły się, a kroki cichły w oddali. Za późno. Teraz zrozumiała, jaka była naiwna. Ukryła głowę na kolanach i zapłakała.

Po dłuższej chwili wyprostowała się. W domu słyhać było śpiew, brzęczenie shamisenów, rozmowy i śmiechy, ale wszystkie dźwięki były stłumione, jakby dochodziły z daleka, zza wielu ścian. Z imbryka unosiła się para, a węgle w piecyku żarzyły się czerwono. Filiżanki do herbaty, pędzelki do pisania i wazon z kompozycją z zimowych gałęzi, podobnie jak różne inne drobne przedmioty leżące w pokoju, zdawały się poruszać w migotliwym świetle, jakby żyły. Hana

odetchnęła głęboko i otarła twarz rękawem. Chyba ma jeszcze szansę - choć niewielką - żeby stąd uciec. Wzięła swój tobołek i ostrożnie odsunęła drzwi.

Weranda na zewnątrz była pusta. Widziała światła, za papierowymi ścianami pokoi wokół dziedzińca poruszały się cienie, przysadziste i krągłe, roznoszące tace, i inne, smukłe, tańczące z wdziękiem. Tu i tam widziała gwałtowne ruchy męskiej sylwetki. Wszystko sprawiało przyjazne, wesołe wrażenie, ale Hana wiedziała, że to nieprawda. Rozejrzała się ostrożnie w lewo i w prawo, sprawdziła jeszcze raz, a potem wymknęła się na zewnątrz. Przez chwilę była pełna nadziei, ale zaraz zorientowała się, że nie ma pojęcia, którądy iść. Zasunęła za sobą drzwi i przekradła się przez werandę, najciszej jak potrafiła.

Minęła dwa inne pokoje, kiedy jakieś drzwi odsunęły się i wyszła z nich postać odziana w jedwab, ciągnąc za sobą woń piżmowych perfum. Hana stanęła jak wryta, serce waliło jej mocno w piersiach. W ciemności widziała twarz kobiety - to była biała maska, gładka i nieskazitelna, jaśniejąca w słabym świetle padającym przez papierowe ściany. Podkreślone na czarno oczy nie miały wyrazu. Na środku warg widniały narysowane czerwone plamki, które zmieniły jej usta w maleńki, wydatny pączek. Wyglądała jak porcelanowa lalka.

Hana zaskoczona cofnęła się, kiedy nieznajoma zwróciła się do niej w jakiejś niezrozumiałej mowie.

- Oczywiście - stwierdziła kobieta pogardliwie, starannie wymawiając sylaby, jakby mówiła językiem, którego rzadko używa. - Nie znasz naszego języka. To pierwsza rzecz, jakiej będziesz się musiała nauczyć. Nie gap się tak. Właśnie szłam po ciebie.

Do Hany dotarło nagle, że pod makijażem kobieta zapewne wygląda całkiem zwyczajnie. Miała wydęte usta, a włosy nie proste, tylko falujące. Ich luźne pasma wisały

wokół twarzy. Z rękawów oszalałającego czerwonego kimona wysuwały się duże dłonie o grubych palcach.

Ale to nie miało znaczenia. Makijaż zmienił ją w tajemniczą zjawę, istotę z innego świata.

- Nie wiem, za kogo mnie bierzesz - wybuchnęła Hana. - Ja tu nie mieszkam. Ja... ja właśnie wychodzę.

Już kiedy to mówiła, uświadomiła sobie, jak śmiesznie to zabrzmiało. Istniał tylko jeden powód, dla którego kobiety przychodziły w takie miejsca, a nie były to wizyty towarzyskie.

- Wy, rozpieszczone żony samurajów, wszystkie jesteście takie same - stwierdziła kobieta. - Myślisz, że jesteś dla nas za dobra, ale tak naprawdę to masz szczęście, że się tu dostałaś. Wiele dziewcząt odrzucono. To dobry dom. Kazano mi się tobą zająć. Możesz zwracać się do mnie Tama. Tak się nazywam.

Ignorując protesty Hany, kobieta wzięła ją za łokieć i poprowadziła przez werandę w jakiś korytarz. Przez szczeliny w papierowych drzwiach Hana dostrzegła odbywające się w środku zabawy. Słyszała śpiew, widziała tańce, czuła rozkoszne zapachy jedzenia, które uświadomiły jej, jak bardzo jest głodna.

W ich stronę szła grupa młodych kobiet we wspaniałych kimonach, niczym stadko jaskrawo ubarwionych ptaków. Ich pomalowane na biało twarze połyskiwały w świetle lamp.

- Nie znoszę tych południowców - powiedziała jedna gwałtownie piskliwym głosem, ale jej akcent był zupełnie taki jak u Hany, która popatrzyła na nią zaskoczona. - Nienawidzę rozkładać przed nimi nóg.

- Dziś tylko oni mają pieniądze - stwierdziła inna. - Jeśli będziemy mieć szczęście, niedługo odejdą.

Przemknęły obok Hany, nie zauważając jej, tak jak rzeka mija skałę. Hana zaczerwieniła się gwałtownie, nagle zawstydzona swoimi brudnymi ubraniami.

- Południowiec, którego zabawiam, powtarza, że Edo jest skończone - parsknęła pierwsza kobieta. - Mówi, ta tylko Yoshiwara czyni je znośnym. Nazywa naszych mężczyzn buntownikami. - Jej głos zmienił się w gniewny pomruk. - Buntownikami! Mówi, że ci, którzy nadal żyją, udali się do Sendai i połączyli z flotą, naszą flotą.

Serce podskoczyło Hanie w piersiach. Przecież jej mąż napisał w ostatnim liście, że udaje się do Sendai.

Kobiety zniknęły za rogiem.

- Zmierzają na północ wielką siłą - dobiegł Hanę przenikliwy głos, cichnący w oddali. - Oczywiście nie powiedziałam mojemu południowcowi, co naprawdę myślę. Schlebiałam mu, mówiłam, jaki jest mądry, więc na pewno powie mi więcej. Ale wiem już najważniejsze: statki wypłynęły. Nasze statki.

Hana słyszała wyraźnie jej słowa, jakby kobieta mówiła wprost do niej. O ile jej mąż nie zginął, był na jednym z tych statków.

Więc nadal jest nadzieja. Będzie musiała zrobić co w jej mocy, by przeżyć, i modlić się, żeby po wojnie przybył do Yoshiwary i ją wyswobodził.

Yozo nigdy w życiu nie doświadczył takiego zimna. Przed chwilą niebo było błękitne, a słońce połyskiwało na skałach, odbijało się od włóczni i bagnatów niesionych przez idących przodem żołnierzy, a teraz zupełnie jakby zapadła noc, a śnieg sypał się z nieba w dzikich porywach. Z powodu silnego wiatru ledwie mogli się utrzymać na nogach. Oprócz jego wycia słyszeli jedynie skrzypienie gałęzi, na których zbierał się ciężki śnieg, i stłumiony huk, z jakim śnieżne czapy spadały na ziemię.

Pod koniec pierwszego dnia Yozo był przemarznięty i przemoczony do szpiku kości. Szczękał zębami, palce u rąk i nóg miał zupełnie pozbawione czucia. Zajadle wspinał się pod górę wraz z Kitarem i resztą żołnierzy, ślizgając się na skałach i próbując otrzepać się ze śniegu. Powoli i z mazołem brnęli ku przełęczy prowadzącej do Gwiazdzistego Fortu i miasta Hakodate.

Kiedy zapadł wieczór, ujrzeni wśród drzew domy skupione nad skutym lodem jeziorem. Wokół placu wznosiły się obszerne budynki kryte szpiczastymi strzechami. Z wioski popłynął ku nim apetyczny zapach dymu i jedzenia. Wśród domów kręciły się wychudzone psy o grubym białym futrze. Wieśniacy skulili się ze strachu na widok żołnierzy i ich karabinów. Byli to wysocy, grubokościści mężczyźni o rozczochranych włosach i długich brodach, ubrani w grube watowane kaftany albo niedźwiedzie skóry - lud Ezo, mieszkańcy wyspy. O ile Yozowi było wiadomo, zajmowali się połowem łososi i polowaniem na niedźwiedzie.

Usłyszał pomruk, jaki przeszedł przez szeregi.

- Komendant mówi, że tu się zakwaterujemy na noc.

Wszedł do jednego z domów, a za nim Kitaro. W środku śmierdziało rybami, ale przynajmniej było ciepło i nie wiało. Kiedy oczy przywykły mu do ciemności, zauważył palenisko

na środku, a na wilgotnym klepisku słomiane maty oraz dwie rolki kory brzozonej palące się w uchwytach i rzucające migotliwe światło. Wkrótce do budynku weszło jeszcze z pięćdziesięciu mężczyzn. Przykucnąwszy przy tłącym się palenisku, chuchali w dłonie i zacierali je. Zapach dymu mieszał się ze smrodem potu i brudnych ubrań.

Tubylcy, aby zadowolić żołnierzy, uwijali się wokoło, szykując posiłek.

Yozo przykucnął na szorstkiej macie, trzymając w dłoniach miseczkę z zupą. To był gęsty bulion o dziwnym zapachu, tłusty i trochę zjełczały. Pływały w nim ości. Zmarszczył nos, napił się i z ulgą stwierdził, że jest ciepły i sycący. Jego towarzysze rozmawiali głośno i zanosili się śmiechem.

- Pamiętajsz, jak wpadliśmy do gospody Ikedaya? - rozległ się jakiś głos. - Zabiłem szesnastu bękartów z Południa. Liczyłem.

- To jeszcze nic - krzyknął ktoś inny, uderzając pięścią w podłogę. - Ja zabiłem dwudziestu.

- Znów chciałbym poczuć, jak mój miecz tnie kości - mruknął ktoś jeszcze, ogorzały mężczyzna o szerokim nosie i mięsistej twarzy wieśniaka.

- Jutro, jeśli będziemy mieć szczęście - powiedział ten pierwszy. - Kiedy dotrzemy do Gwiazdzistego Fortu.

Jakaś kobieta dorzucała drewno do ognia. Początkowo Yozo sądził, że się uśmiecha, ale po chwili zorientował się, że ma wokół ust tatuaż, zupełnie jak wasy. Ponad szumem rozmów słyszał niemelodyjne nucenie. Inna kobieta wzięła jakiś instrument i brzdąkała na nim, śpiewając cicho.

Poprzez dym Yozo obserwował w półmroku komendanta Yamaguchiego. Dowódca milicji siedział sztywno wyprostowany na podwyższeniu w końcu pokoju i rozmawiał z dwoma zastępcami. To był dziwaczny widok, ten wielki

wódz w chacie wieśniaka zachowujący się tak dumnie, jakby przebywał w pałacu.

Yozo rzucił okiem na Kitara. On również patrzył z konsternacją na komendanta, jakby też się zastanawiał, co, u licha, robią na końcu świata, na ziemi odpowiedniej tylko dla dzikusów.

* * *

Następnego dnia wczesnym popołudniem Yozo brnął przed siebie, zbyt zmarznięty, by rozmawiać. Starał się obserwować komendanta idącego przodem. Maszerowali przez las. Wysokie sosny i cichy biały pejzaż przywiodły Yozowi na myśl wielkie katedry Europy. Nigdy wcześniej nie widział równie wspaniałych budowli. I tak niewiarygodnie wysokich.

Pozwolił myślom błądzić. Znów był na pokładzie „Avalonu”, parowca z napędem kołowym, na którym popłynął z Rotterdamu do Harwich, do kraju najsilniejszego narodu na ziemi. Stamtąd pojechał pociągiem do Londynu i błądził po ulicach, oszołomiony wielkimi kamiennymi gmachami, roztaczającymi aurę bogactwa i chlubnej przeszłości, a także parkami i miejscami kultu, tak wysokimi, że szyja go bolała, kiedy zadzierał głowę i patrzył w górę na spiczaste dachy celujące w niebo.

Jednak teraz, kiedy wrócił do Japonii, tęsknił nie za wielkimi pomnikami, ale za codziennymi sprawami: dorożkami, mężczyznami w błyszczących cylindrach i kobietami w sukniach w kształcie dzwonów świątynnych, skromnymi uliczkami, przy których stały domy z cegły, metrem, które wgryzało się głęboko pod ziemię jak kret, przenikliwym gwizdem pociągów, dławiącym pyłem węglowym, który wypełniał powietrze, i za gęstą, wilgotną mgłą - nazywali ją zupą - która spowijała miasto w zimie.

Przede wszystkim jednak za kobietami paradującymi po Haymarket. Miały pomalowane twarze i wydatne biusty, a z tymi niebieskimi oczami, żółtymi włosami i różową cerą różniły się bardzo od kobiet z Yoshiwary. Witały go równie chętnie i zapewniały te same przyjemności. Ileż bym oddał, żeby wrócić tam pewnego dnia, pomyślał.

Nagle wpadł na plecy żołnierza, który szedł przed nim. Komendant zatrzymał oddział na polanie, a sam poszedł na skały i wyciągnął lunetę. Stał i patrzył w dół, a potem odwrócił się i skinął władczo na swoich ludzi.

Yozo wrócił gwałtownie do rzeczywistości i wyciągnął własną lunetę. Dotarli na przełęcz, pod nimi aż po horyzont ciągnęła się pokryta śniegiem i lodem równina. W oddali widniały wzgórza. Bliżej widzieli domy i sieć zaśnieżonych ulic, a za nimi ocean, szary jak ołów. Przebyli półwysep. Dokładnie pod nimi znajdował się niewielki, ale groźny fort w kształcie pięcioramiennej gwiazdy. Yozo widział dym i połyskiwanie wody w fosie.

- Gwiazdzisty Fort - rozległ się okrzyk. Inni podjęli go: - Gwiazdzisty Fort! Banzai!

Yozo odnosił wrażenie, że zamiast palców ma patyki z lodu, ale nie zwracał na to uwagi. Wszyscy tłoczyli się, nurkowali pod drzewa albo szukali skał, z których mieliby lepszy widok. Komendant stał wyprostowany i dumny na wielkim występie skalnym, odciągnął w tył ramiona. Jego buty na modłę zachodnią pokrywał brud i śnieg, a płaszcz mundurowy plamy. Błyszczące czarne włosy zwisały mu strakami wokół twarzy. Popatrzył na żołnierzy.

- Członkowie milicji Kioto! - wykrzyknął. Jego głos rozległ się wyraźnie w panującej ciszy. - Ochotnicy, patrioci. - Wskazał dłonią równinę. - Gwiazdzisty Fort jest jak gwiazda Sojuszu Północnego. Należy do nas, jest nasz, to nasze przeznaczenie!

Zdrajcy z Południa wypędzili naszego pana z zamku Edo i zmusili go do udania się na wygnanie. Wymordowali nasze rodziny, zniszczyli naszą ziemię i zajęli nasze zamki. Ale teraz fala zaczyna się odwracać. To jest nasza szansa.

Wszyscy wiemy, że Gwiaździsty Fort jest nie do zdobycia. Ale jego garnizon niedawno przeszedł na stronę Południa i na pewno nie chce zginąć za sprawę, w którą nie wierzy. My zaś jesteśmy wielkimi wojownikami. Walczymy za naszego pana i nie obawiamy się śmierci.

Generał Otori i regularna armia idą od przełęczy po drugiej stronie wzgórz. Zaatakują fort od północy i zajmą północny most. Naszym zadaniem jest przekraść się niepostrzeżenie na dół i zająć most południowy. Będziemy działać w ukryciu, pod osłoną nocy. Kiedy zajmiemy fort, Hakodate będzie nasze, a nasza flota rzuci kotwice w zatoce. Dzisiaj Gwiaździsty Fort, jutro cała wyspa Ezo! Niech żyje szogun! Banzai!

Żołnierze wiwatowali tak głośno, że śnieg zaczął spadać z gałęzi drzew.

Yozo śmiał się donośnie. Był gotów ruszać, chciał znów trzymać karabin w rękach, czuć jego odrzut i ciąć mieczem ciało. Nawet Kitaro rozpromienił się i wiwatował na całe gardło.

Żołnierze zeszli ze wzgórz jak stado wilków, a potem rozdzielili się i cicho przebyli równinę. Robiło się ciemno, śnieg tłumiał dźwięk ich kroków.

Yozo i Kitaro trzymali się razem. Brnęli przez śnieg, ukrywali się za drzewami. Osłaniali wyloty luf swojej broni i pilnowali, żeby amunicja nie zamokła. Parę razy któryś z nich źle ocenił głębokość zasy śnieżnej i zapadł się po szyję. Już po zmroku zobaczyli przed sobą grube granitowe mury górujące nad białą równiną oraz cienie umieszczonych na nich

dział. Yozowi zaschło w gardle. Serce waliło mu jak młotem, czuł węzeł w żołądku. Czas nadszedł.

Rozległ się gwizd na podobieństwo pisku nietoperza. Yozo rozejrzał się. Pełzające po ziemi cienie podkładały się coraz bliżej murów. Yozo oddychał szybko i płytko. Musiał być czujny, skupiony, spokojny, powtarzał sobie w duchu.

Dwójkami i trójkami przemykali niepostrzeżenie na skraj fosy. Pod murami fortu zebrały się zasy, śnieg pokrywał umocnienia. Fosa zamarzła.

Śnieg uprzątnięto tylko z mostu. Cicho jak dziki kot Yozo przemknął po zamarzniętych deskach, inni za nim. Widział wartowników w płaszczach mundurowych i słomianych sandałach, pilnujących wielkiej bramy. Ich oddech zamieniał się na mrozie w kłęby pary. Poruszali się niezgrabnie, jakby było im niewygodnie w cudzoziemskich mundurach. Yozo wyciągnął nóż, złapał jednego za szyję i wbił mu ostrze w gardło. Gorąca krew trysnęła z rany, zalewając mu ręce. Kiedy drugi strażnik ruszył ku niemu, Yozo przeszedł nad ciałem i wbił mu nóż w brzuch.

Wraz z Kitarem odciągnął zwłoki strażników na bok. Mijały ich milczące postacie. Zaraz potem zaskrzypiała otwierana brama i żołnierze, z komendantem na czele, wdarli się do fortu. Yozo zauważył, jak jego wilcze oczy strzelają w ciemności na prawo i lewo, dostrzegając wszystko.

Kiedy znaleźli się w środku, Yozo stwierdził, że Gwiazdzisty Fort nie przypomina zamków, w jakich zdarzyło mu się bywać. To był prawdziwy labirynt, rozległe koszary. Przemykając od budynku do budynku, żołnierze biegli w stronę wielkiej drewnianej konstrukcji o stromym dachu pokrytym czapą ze śniegu i z wieżą obserwacyjną na górze. Pod okapami wisały jak włócznie sople lodu. Wiatr niósł ze sobą połyskujący w ciemności śnieg. Zasypywał nim ludzi i budynki.

Nagle rozległ się huk, ogłuszająco głośny, i Yozo padł na ziemię, pociągając za sobą Kitarą. Po chwili uniósł głowę i rozejrzał się. Huk powtórzył się, a wtedy Yozo uświadomił sobie, że dochodzi spoza fortecy. Powtarzał się raz za razem, a towarzyszył mu ogień z broni palnej. Niebo rozjaśniły rozbłyśki odbijające się od chmur i zmieniające wielką fortecę w płaski, ciemny szkic.

- Nasi ludzie. Generał Otori - mruknął. Kitaro kiwnął głową. Yozo usłyszał jego westchnienie ulgi.

Wybuch rozerwał niebo i przez chwilę obdarł zastępy komendanta, sześciuset straceńców, widocznych było jak na dłoni, jak przekradają się przez fort, trzymając karabiny gotowe do strzału. Ktoś bił na alarm, z budynków dobiegały krzyki.

- Kryjcie nas! - wrzasnął komendant.

Yozo wspiał się na drzewo rosnące na terenie fortu i usiadł w rozwidleniu gałęzi. Sięgnął do plecaka po nabój i naładował swój karabin Snider - Enfield, Skupił się na światłach, wycelował w okno i wypalił. Przeładował i zaczął strzelać raz za razem, a komendant i jego milicja szturmowali drzwi, wrzeszcząc jak dzikie zwierzęta.

Yozo pochylił się, kiedy coś z gwizdem przeleciało mu koło ucha. Kula. Kolejna wbiła się w drzewo. Pochylił się jeszcze bardziej i częściowo zeskoczył, a częściowo spadł w zaspę. Biegły ku niemu ciemne postacie z obnażonymi mieczami. Podniósł się z ziemi, złapał karabin za lufę i zamachnął się. Powietrze zagwizdało cicho, po czym rozległ się trzask. To kolba zderzyła się z czyjąś czaszką. Kolejny mężczyzna biegł ku niemu z wojennym okrzykiem. Yozo zarzucił karabin na ramię i położył rękę na rękojeści miecza. Jednym ruchem wyciągnął go z pochwy i ciął mężczyznę w gardło. Cofnął się, by napastnik nie upadł na niego.

Usłyszał za plecami czyjeś kroki. Obrócił się, sparował cios, po czym rzucił się na przeciwnika. Padli w śnieg, tłukąc się zajadle. Wreszcie Yozo wykręcił wrogowi rękę za plecy, przytrzymał go kolanem i wepchnął mu twarz w zaspę.

- Po co walczysz za zdrajców? - krzyknął.

Mężczyzna desperacko próbował się wyrwać. Yozo przytrzymał go, gdy nagle usłyszał walenie w bębny. Podniósł wzrok. Wśród drzew zajaśniało światło licznych latarni. Słyszał jakiś dźwięk, początkowo odległy, ale stopniowo coraz głośniejszy. To tysiące stóp odzianych w sandały ze słomy ryżowej tupą na północnym moście nad zamarzną fosą i przez bramę wkraczało do Gwiazdzistego Fortu. Zauważył coś białego połyskującego między drzewami. Pięcioramienna gwiazda Sojuszu Północnego.

Ocaleli członkowie garnizonu wyszli z kwater, mundury mieli podarte i skrwawione, ręce trzymali nad głowami. Yozo puścił przeciwnika.

- Wstawaj - rozkazał ostro. Mężczyzna dźwignął się na kolana, oddychając gwałtownie. Ten chudy młodzieniec nie miał więcej niż szesnaście lat. Twarz cała w krostach, wystające zęby.

- Zapłacisz za to - zawarczał.

- Wracaj do domu, do rodziny - powiedział Yozo ze znużeniem. - I okaż wdzięczność, że darujemy ci życie.

* * *

Tej nocy świętowali. W kwaterach na zamku generał Otori zorganizował odprawę, chwalił ludzi za odwagę.

Komendant siedział na zewnątrz ze swą milicją. Ludzie zebrali się wokół ognisk, jedli i pili, a potem poruszali się powoli i majestatycznie w tańcu no. Później, kiedy włali w siebie dość rumu i ryżowego wina, śpiewali nostalgiczne pieśni o tęsknocie za domem, żonami i kochankami.

- Och, zabierz mnie do domu, do domu na północy, zabierz mnie do domu - śpiewał ktoś. Reszta kołysała się i cicho mruzczała refren.

Ci ludzie przynajmniej wiedzieli, gdzie jest ich dom, choć zapewne został zniszczony, pomyślał Yozo. Wiele domostw spalono, żony i dzieci zabito. Ale on... Jego rodzina nie żyła, wiedział to na pewno. Tyle podróżował i to tak daleko, że jego jedynym domem stał się „Kaiyo Maru”.

Spojrzał na komendanta, który siedział w cieniu w pewnym oddaleniu od swoich ludzi, grzejąc ręce i patrząc w płomienie. Ogień podkreślał ostre rysy jego twarzy, w jego oczach widział zaciętość. Dostrzegł w nich też jednak zaskakującą łagodność, jakby komendant myślał o czymś czy o kimś z przeszłości. Odwrócił wzrok, mając wrażenie, że podsłuchuje cudze myśli.

- Hej, Tajima! - zawołał ktoś. - Zaśpiewaj nam holenderską piosenkę, coś smutnego.

Yozo się skrzywił. Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to podkreślanie różnicy pomiędzy sobą i Kitarem a resztą.

- Nie znam żadnych piosenek - mruknął.

- Piosenka, piosenka - skandowali żołnierze. Kitaro siedział obok.

- Ja znam piosenkę - oznajmił. Yozo złapał go za ramię i pociągnął, ale Kitaro strząsnął jego dłoń i wstał niepewnie. W świetle ogniska jego szyja ze sterczącym jabłkiem Adama wydawała się dłuższa i chudsza niż zwykle.

Stał przez chwilę, patrząc w ogień i przypominając sobie słowa, a potem zaczął śpiewać szanty i kołysać się w takt melodii.

Zaśpiewam wam pieśń, dobrą pieśń morza które sprowadza z kursu okręty...

Yozo zamknął oczy. Cudzoziemskie słowa przeniosły go do odległych miejsc, w czasy podróży do Europy. Nagle znów

był na morzu, czuł zapach soli, potu, ropy i węgla, słyszał śpiew marynarzy, gdy powoli stawiali żagle. Ale żołnierze kręcili się niespokojnie przy ognisku. Yozo uświadomił sobie, że w ich uszach ta melodia brzmi chrapliwie i nieharmonijnie.

- Co to za pieśń? - warknął jakiś głos. Kitaro urwał i wbił wzrok w ziemię.

- Marynarska - wymamrotał cicho. - Śpiewamy ją, kiedy podnosimy żagle.

- Czy w istocie? - spytał komendant, przeciągając sardonicznie słowa. - Dla mnie brzmi zupełnie po barbarzyńsku. Wy dwaj na pewno wiecie wiele o cudzoziemcach, ale powiem wam jedno, jeśli ma się z nimi za dużo do czynienia, zaczyna się śmierdzieć jak oni. Nie zapominajcie o tym. Mamy dość własnych kłopotów, bez cudzoziemców najeżdżających nasz kraj, depczących naszą ziemię, wtrącających się w nasze sprawy, sprzedających broń naszym wrogom. Ale wy - wy wyglądacie jak Japończycy i możecie nas oszukać, że należycie do nas. Skąd mamy wiedzieć, że nas nie szpiegujecie? Nie potrzeba nam tu barbarzyńców.

Zapadła cisza, potem jakiś żołnierz wziął shamisen i zaczął grać nostalgiczną melodię.

- Jesteście odważni, więc tym razem puścimy to płazem - zakończył komendant, patrząc surowo na Yoza. - Ale nie obrażajcie znów naszych uszu swoimi brzydkimi barbarzyńskimi pieśniami.

- Barbarzyńcy też mają serca - odezwał się ponury głos z ciężkim akcentem. Komendant odwrócił się powoli. Masywna sylwetka z głęboko osadzonymi oczami i sumiastym wąsem przykucnęła na skale w cieniu. To był Jean Marlin, ponury Francuz o mocnej szczęce, który towarzyszył oddziałom generała Otoriego.

Mężczyźni zrobili mu miejsce przy ogniu. Marlin był barbarzyńcą, w to nikt nie wątpił, ale był również przyjacielem, świetnym żołnierzem i nauczycielem. Należał mu się szacunek.

Komendant chrząknął, a Yozo zeszywniał, czując, że przygląda się jemu i Kitarowi. W świetle ogniska jego twarz była nieprzenikniona jak te maski, które noszą aktorzy w dramatach no. Komendant stracił twarz i będzie ich za to winił, choć nie było to sprawiedliwe. Muszą się pilnować.

Następnego dnia wcześniej rano Yozo i Kitaro ruszyli do portu na czele oddziału żołnierzy. Miasto Hakodate leżało na równinie. Kiedy szli szerokimi ulicami, pomiędzy górami odgarniętego śniegu, Yozo zwrócił uwagę, jak niewielkie i biedne są tutejsze drewniane domy. Spod śniegu na dachach wystawały kamienie, które zapobiegały zwiewaniu dachówek. Ciepło odziane kobiety twarze miały opuchnięte i czerwone, a dłonie spierzchnięte. Stały bez uśmiechu przy straganach ze skórami niedźwiedzi i wydr oraz rogami jeleni. Na innych kramach wily się łososie, można też było kupić kawały mięsa niedźwiedzia i jelenia. To było posępne miejsce.

Yozo uśmiechnął się, kiedy poczuł zapach morza, i przyspieszył kroku. Szli drogą biegnącą pomiędzy oceanem a stromym stokiem góry Hakodate do portu, gdzie pod ołowianym niebem pienila się szara woda. Dżonki kiwały się na kotwicy, mewy krzyczały i przysiadały na falach, podskakując jak czarne kropki na powierzchni oceanu. Zatokę otaczały skaliste, pokryte śniegiem wzgórza. To był doskonały port, dokładnie tak jak powiedział Enomoto, osłonięty z trzech stron przed wiatrem i falami.

Yozo zapędził do pracy żołnierzy i tłum robotników portowych, oczyszczali stanowiska kotwiczne. Późnym popołudniem szósty zmysł kazał mu podnieść głowę. Wzgórza po drugiej stronie zatoki niknęły już w mroku, ostatnie promienie słońca padały na szarą wodę. Tuż za cyplem ujrzał znajomy dziób. Poczuł, że serce bije mu szybciej, a oddech przyspiesza. - „Kaiyo Maru”! - krzyknął.

Kitaro wyprostował się i wydał okrzyk radości na widok żagli, smukłego dziobu i błyszczącego kadłuba. Na szczycie głównego masztu powiewała gwiazdzista flaga Sojuszu Północnego, na rufie czerwone słońce Japonii. Zamiast galionu na dziobie umieszczono liście malwy w kole,

emblemata szoguna. Żołnierza rzucili łopaty i zaczęli wiwatować.

Yozo przeczytał wiadomość nadaną chorągiewkami sygnalizacyjnymi. „Można lądować?”.

Wyjął z kieszonki lusterko, pochwycił w nie promień słońca i nadał wiadomość serią krótkich i długich błysków. „Wszystko w porządku”. Natychmiast przyszła odpowiedź z pokładu: „Lądujemy”. Rozległ się ogłuszający grzmot, z luf dział uniosły się kłęby dymu. Kule armatnie wpadły w wodę, wzbijając wysokie fontanny, a huk odbił się echem od wzgórz.

Żołnierze stali na brzegu i patrzyli na salut, osłaniając oczy rękami i klepiąc się po plecach. Okręt zbliżał się do nich jak wielki biały łabędź. Potem do portu wpłynęło pozostałych siedem jednostek floty.

- Banzai! Banzai! - krzyczeli żołnierze, aż ochrypli. Byli w domu, Gwiazdzisty Fort należał do nich, podobnie jak miasto Hakodate. Na wyspie były jeszcze dwa miasta - Matsumae i Esashi. Kiedy je zdobędą, całe Ezo znajdzie się w rękach Północy. Wreszcie nadszedł ich czas.

* * *

Później tego wieczoru Yozo wbiegł na pokład, szczęśliwy, że znów czuje pod nogami kołysanie statku. Ruszył do kabiny kapitańskiej, rozglądając się po drodze. Sprawdzał każdą deskę pokładu, każdy gwóźdź, upewniał się, że wszystko jest w porządku. „Kaiyo Maru” nie należał do niego i nigdy nie będzie należeć. Należał do szoguna, do kraju. Mimo to każdy, kto na nim pływał, darzył go uczuciem. Yozo uważał jednak, że jego miłość jest większa. Był przy tym okręcie od chwili jego poczęcia, kiedy jawił się zaledwie jako iskierka w oku szoguna. Był przy nim, kiedy złożono zamówienie i nadzorował jego budowę. Był, puchnąc z dumy, przy jego wodowaniu i przepłynął na nim pół świata, wracając do Japonii. Ich losy były ze sobą związane.

Enomoto siedział w swojej kabinie, zbierał papiery. Podniósł wzrok, kiedy Yozo otworzył drzwi. Złota plecionka na jego czarnym mundurze zabłysła, gdy się wyprostował i odwrócił - wyniosły admirał w każdym calu. Potem jego surową twarz rozjaśnił uśmiech, a oczy nabrały ciepła.

- Oto człowiek, którego chciałem zobaczyć - powiedział. - To było coś, dopłynąć tutaj. Pogoda jest okropna, ale pomógł nam wiatr.

Podszedł do przeszklonej szafki i przyjrzał się butelkom.

- Usiądź - powiedział, wskazując krzesło z nogami rzeźbionymi w szpony lwa, tapicerowane czerwonym aksamitem. Yozo rozejrzał się po kabinie. Po długim marszu przez ośnieżoną przełęcz sprawiała szczególnie luksusowe wrażenie, z tym biurkiem z drzewa różanego, holenderskimi sztychami, błyszczącymi bibliotekami, grubym czerwonym dywanem, stołem, przy którym Enomoto jadał sam lub z oficerami, i kapliczką na ścianie. To było coś niesamowitego znaleźć się nagle w holenderskim salonie, małym zakątku Holandii kołyszącym się lekko na morzu pod szarym niebem Ezo.

Enomoto zwykle zachowywał dystans wobec ludzi. Był odpowiedzialny za życie i dobro załogi i wymagał od niej bezwzględności posłuszeństwa oraz lojalności. Jedynie wtedy, gdy byli z Yozem sami, mógł się odprężyć. Wyjął z szafki karafkę z rżniętego szkła.

- Pamiętasz ten koniak, który przywiozłem z Francji? - spytał. Yozo uśmiechnął się szeroko. Znał ten rytuał.

- Oszczędzałeś go.

- Na specjalne okazje.

Enomoto energicznie wyciągnął korek i napełnił dwie szklanki. Potem wyjął pudełko cygar i poczęstował Yoza. Sam też zapalił. Siedzieli przez chwilę w przyjacielskiej ciszy, a nad ich głowami kłębił się dym. Zapach przywiódł Yozowi na

myśl eleganckie salony Europy, kluby umeblowane skórzanymi fotelami i dużych mężczyzn z czerwonymi nosami, o grubej bladej skórze i donośnych głosach.

- Czyli dobrze się spisałeś - stwierdził wreszcie Enomoto.

- Zrobiłem, co w mojej mocy - odparł Yozo.

- I Gwiazdzisty Fort jest nasz - Enomoto popatrzył surowo na przyjaciela, w jego oczach zabłysła determinacja. - Opowiedz mi, jak to się odbyło. Chcę usłyszeć prawdę. Wkrótce otrzymam na pewno oficjalną wersję.

- Nietrudno to opowiedzieć - odparł Yozo. - Nie byli nawet w połowie tak dobrze uzbrojeni i wyszkoleni jak my. No i nie byli gotowi na śmierć. Nie utrzymali się długo. Wielu uciekło. Jeśli garnizony w Matsumae i Esashi są równie słabe, bez trudu tam wkroczymy.

Enomoto kiwnął głową i zaciągnął się cygarem.

- Dobry z ciebie człowiek - powiedział. - A komendant?

Yozo wiedział, że to jest pytanie, które Enomoto naprawdę chciał zadać. Wpatrywał się w czerwony dywan.

- Nie przystoi mi oceniać komendanta - odparł wreszcie.

- Znamy się od dawna, Yozo, i nikogo więcej tu nie ma - stwierdził Enomoto. - Powiedz mi, czy jest dobry w strategii, czy tylko w wywijaniu mieczem? Czy możemy mu ufać?

- To wspaniały wojownik - odpowiedział Yozo. - Nie wiem tylko, czy zaakceptuje twoje zwierzchnictwo, kiedy zajmiemy wyspę.

* * *

Dziesięć dni po przybyciu do Hakodate Yozo i Kitaro wrócili na pokład „Kaiyo Maru”, który ruszył w drogę do miasta Esashi. Komendant zajął już Matsumae - drugie miasto lojalne wobec południowców - z pomocą innego okrętu z floty Północy.

Yozo był na pokładzie, kiedy zamek Matsumae pojawił się w polu widzenia. Leżał w ruinie. Wielkie kamienne mury były

podziurawione, wyglądały jak usta pełne połamanych zębów. Ściany poczerniały od ognia armatniego, a dachówki pospadały z dachu. Spod śniegu sterczały połamane belki. Na szczycie cytadeli powiewała pięcioramienna gwiazda Sojuszu Północnego. Samo miasto zniszczył pożar. Nitki dymu nadal unosiły się znad poczerniałych zgliszczy.

- Nasz demon z pewnością wykonał zadanie - stwierdził Yozo. - Wygląda na to, że aż za dobrze. Traktuje każdą bitwę jak wendetę. Ten zamek zbudowano tak dawno temu, że nie wytrzymałby długiego ostrzału. Nie sądzę, byśmy ponieśli wielkie straty.

- Jeśli dopisze nam szczęście, południowcy w Esashi się spakują - powiedział Kitaro - i będą chcieli zniknąć przed przybyciem komendanta.

Ruiny Matsumae zniknęły w oddali, kiedy „Kaiyo Maru” okrążył cypel i skierował się na północ, wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy. Ale gdy wypłynął na otwarte morze, zerwał się szkwał, wzbijając fale i grożąc rozbiciem statku o przybrzeżne skały.

Enomoto szybko wydał rozkazy.

- Uruchomić silniki!

Marynarze zwinęli żagle, a palacze rozpalili pod kotłami. Sternicy robili, co mogli, by utrzymać statek na kursie.

Padał gęsty śnieg, kiedy w ich polu widzenia ukazało się Esashi. Było to posępne, chłostane wiatrami miejsce, skupisko nędznych domków przytulonych do siebie u podnóża pokrytych śniegiem wzgórz. Załoga załadowała działa i wycelowała w mury, ale w mieście panowała dziwna cisza. Wydawało się wymarłe.

Yozo i Kitaro stali na mostku z Enomotem i trzymali przy oczach lunety.

- Miałeś rację - powiedział Yozo do Kitaro. - Garnizon uciekł.

- Zdobędziemy miasto bez walki - ucieszył się Kitaro.

- Wygląda na to, że nie przybyły jeszcze siły lądowe - stwierdził Enomoto. - Wyślemy oddział, żeby zajął miasto. W taką pogodę lepiej wysłać na brzeg jak najwięcej ludzi. Niech sprawdzą okolicę. Rzucimy kotwicę w bezpiecznej odległości od brzegu.

Marynarze refowali żagle i zabezpieczali luki brezentem. Ku miastu płynęła szalupa, podskakując niebezpiecznie na falach. Załoga przesłała sygnał, że wszystko w porządku, i wraz z żołnierzami na brzegu wylądowała większość z trzystu pięćdziesięciu marynarzy. Enomoto został na pokładzie wraz z Yozem, Kitarem i pięćdziesięcioosobową szcątkową załogą, niezbędną do kierowania okrętem.

Niemal zapadła już noc. Yozo rozwiesił hamak na pokładzie artyleryjskim i zamknął oczy. W mgnieniu oka zasnął, ukołysany ruchami i trzeszczeniem wielkiego okrętu. Nagle obudził się gwałtownie. Hamak kołysał się tak mocno, że omal nie spadł na ziemię. Statek zanurkował niebezpiecznie.

Yozo wspiał się po drabinie na wyższy pokład, gdzie ośmiu sterników przywiązało się do koła sterowego. Ponad rykiem wichury słyszał jęczenie łańcuchów kotwicznych. Okręt miotał się na falach, niebo przecinały błyskawice. Chmury mknęły po niebie, a wielkie fale przewalały się przez pokład, oblewając Yoza lodowatą wodą. Wielki statek podskakiwał na falach jak zabawka, wiatr szarpał nim tak gwałtownie, że groziło zerwaniem kotwicy i rzuceniem go na skały.

Enomoto wyszedł z kabiny. Rozkazał podnieść kotwice i dać całą naprzód. Yozo i Kitaro wzięli wachtę przy kole sterowym, walczyli, by utrzymać statek na kursie, kiedy wypływali w morze, jak najdalej od niebezpiecznego

wybrzeża. Wiatr z wyciem przelatywał nad pokładem, ciskał im w twarze lód i śnieg.

Po zmianie wachty Yozo, przemarznięty do szpiku kości, zszedł na pokład artyleryjski. Było ciemno jak w grobie, gdyż Enomoto kazał wygasić latarnie z obawy przed pożarem. Yozo zapalił jedną i ruszył w obchód, aby sprawdzić, czy zamknięto wszystkie otwory strzelnicze i zabezpieczono działa. Nagle gwałtowny wstrząs rzucił go na ziemię. Latarnia zgasła. Przez chwilę leżał oszołomiony w ciemności, ale zaraz wstał, potrząsając głową, by pozbyć się dzwonięcia w uszach. W głowie miał tylko jedną myśl, która szybko zmieniała się w pewność: tonęli.

Po omacku ruszył chwiejnie ku kotłowni. Okręt przechylał się gwałtownie, pokład wznosił się pod dziwnym kątem. Yozo wiedział, że dębowe poszycie kadłuba ma trzydzieści pięć centymetrów grubości. Trzeba było naprawdę silnego zderzenia, żeby je przebić. Okręt był podzielony na osiem przedziałów, więc nawet gdy dochodziło do uszkodzenia kadłuba, woda potrzebowała czasu, żeby wedrzeć się za następną gródź. Jeśli będą mieli szczęście, znajdą uszkodzenie i załatają je, nim nabiorą za dużo wody. Ale coś w przechyle okrętu kazało mu podejrzewać, że to płonna nadzieja. Odszukał luk i w pośpiechu omal nie spadł z drabiny. Zobaczył zbliżające się światło latarni. To był Enomoto. Ich oczy spotkały się na chwilę.

- Wygląda na to, że wpadliśmy na skały - powiedział Enomoto, przekrzykując hałas. - Wydałem rozkaz cała wstecz. Jeden z marynarzy opuścił się za burtę, żeby znaleźć uszkodzenie, a dwóch innych zeszło do zęży ocenić zniszczenia.

Yozo ponuro pokiwał głową. Podczas takiej pogody nurkowanie przy kadłubie statku oznaczało wyrok śmierci. Ale musieli zrobić, co w ich mocy.

W kotłowni palacze skupili się przy jednej z grodzi dzielących kadłub, w świetle latarni widać było ich ponure miny. Pracowali jak szaleni. Znaleźli uszkodzoną sekcję poszycia i zamknęli pierwszy z przedziałów. Yozo usłyszał huk, z jakim odcięli kolejny przedział. Część ludzi została uwięziona w środku. Słyszeli ich krzyki, gdy poziom wody zaczął się podnosić, ale nie mieli czasu do stracenia. Musieli ocalić statek.

Enomoto ukląkł i przesunął palcami po pokładzie. Yozo też położył rękę na klepkach i serce podskoczyło mu w piersi. Nie było wątpliwości. Woda przesączała się przez mocne drzwi wyposażone w stalowe rygle.

Yozo widział w świetle latarni twarz Enomota. Była wykrzywiona i dzika, oczy wychodziły mu na wierzch, a na czole błyszczały krople potu. Wiedział, że sam też wygląda jak szaleniec.

Zapadła długa cisza. Kiedy Enomoto podniósł głowę, na jego twarzy nie było już żadnych oznak troski.

- Przetrzymamy burzę! - krzyknął ponad rykiem silników. Wziął się w garść. Wszyscy uspokoili się na dźwięk jego głosu. - Potem wprowadzimy statek do portu.

Yozo wiedział jednak - wszyscy wiedzieli - że mają marne szanse zdążyć na czas, by dało się naprawić uszkodzenia. Sztorm szalał, nie mogli nawet opuścić pokładu. Było oczywiste, że okręt skazany jest na zagładę.

Przez całą noc wypompowywali wodę, która przeciekała przez grodzie, aż wreszcie musieli zamknąć kolejny przedział. Yozo pilnował poziomu wody w kotłowni, ale pomimo wysiłków ten ciągle się podnosił. Statek przechylał się niepokojąco.

Rano sztorm wcale nie ucichł. Fale waliły w burty, zalewały lodowatą wodą pokłady, groziły zmyciem ludzi do

morza. Wiatr wył i zawodził, chwycił statek i ciskał w odmęty. Yozo widział, jak „Kaiyo Maru” zaczyna się poddawać naporowi wiatru i fal.

Ludzie krążyli po pokładzie, zbierając broń i ekwipunek. Wyrzucili za burtę trzydzieści dział i kartaczożnicę Gatlinga wraz z kulami armatnimi, karabinami i amunicją, chcąc jak najbardziej odciążyc statek.

Wreszcie przywiązali się linami do relingów i usiedli. Trochę rozmawiali, ale głównie trwali w ponurym milczeniu. Nawet najbardziej doświadczeni żeglarze nie mieli ochoty na posiłek. Nie mogli zrobić nic więcej, jedynie patrzeć, jak statek tonie na ich oczach, i starać się nie myśleć o nieuniknionej śmierci. Do tej pory byli zbyt zajęci, żeby się bać, ale teraz siedzieli beczynnie na pokładzie i czekali na koniec.

Yozo patrzył prosto przed siebie. Gdyby stanęła przede mną wielotysięczna armia, przynajmniej mógłbym walczyć, pomyślał. Tak powinien ginąć mężczyzna. Ale utonąć w oceanie, zostać połkniętym przez wody, zniknąć w lodowatych odmętach i nic po sobie nie zostawić?

Obok niego siedział Kitaro, jego jabłko Adama podskakiwało konwulsyjnie. Patrzył w pokład, przesuwał w palcach paciorki mali, przyzywając raz po raz imię Buddy Amida.

- Myślisz za wiele - zganił go Yozo.

- Właśnie kiedy nam się udało - jęknął Kitaro. - Jesteśmy panami Ezo, a teraz...

- Przepłynęliśmy Atlantyk - przerwał mu Yozo stanowczo. - Nie możemy teraz umrzeć. Nie tak blisko domu.

* * *

Minęły cztery dni, nim wiatr ucichł. Ludzie byli wygłodzeni, zmarznięci, odrętwiali. Kiedy wstał czwarty świt, wzięli tyle, ile mogli unieść, i zeszli z oblodzonego pokładu,

który pochylał się jak pokryte śniegiem zbocze. Choć byli słabi, zdołali opuścić szalupy. Yozo patrzył bezradnie, jak marynarz, który poślizgnął się na oblodzonych stopniach, przez chwilę wisi na linach, a potem spada w czarną wodę. Inni przyglądali się w milczeniu, jak przez chwilę unosi się na falach, a potem znika. Woda była tak zimna, że bez wątpienia zamarznął na śmierć. Bardzo prawdopodobne, że wkrótce pójda w jego ślady.

Yozo i Kitaro wsiedli do ostatniej szalupy. Kiedy Kitaro schodził po schodkach, poślizgnął się i ledwie zdołał chwycić się liny. Wisiał przez chwilę, machając gwałtownie chudymi nogami, nim odszukał stopnie. Szalupa była straszliwie przeciążona.

Yozo nadal stał na pokładzie. Gdy się obejrzał, zobaczył Enomota na mostku. Admirał twarz miał ściągniętą, patrzył na skazany na zagładę statek, jakby nie mógł się z nim pożegnać. Yozo pokiwał na niego gwałtownie, ale Enomoto stał jakby w transie, wpatrując się w okręt, więc Yozo pognał na mostek, złapał przyjaciela za ramię i pociągnął za sobą.

- Szybko! - krzyknął. Okręt przechylał się coraz bardziej. Yozo musiał niemal wypchnąć Enomota za burtę, na stopnie.

Rzucili cumę i pozostawili „Kaiyo Maru” własnemu losowi. Kiedy płynęli przez fale, Yozo obejrzał się po raz ostatni na swój ukochany statek pogrążający się w lodowatych wodach. Miał wrażenie, że wraz z nim toną wszystkie jego nadzieje.

Hanę obudziły dzwony świątynne, dźwięczące krystalicznie w lodowatym powietrzu. Wrony krążyły po niebie, ich chrapliwe krakanie cichło w oddali, a na zewnątrz, na ulicach rozbrzmiewały kroki pierwszych przechodniów.

Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Potem, kiedy przypomniła sobie wypadki poprzedniego dnia, zadrżała z przerażenia. Ostrożnie otworzyła oczy. Na ścianach wisiały jaskrawe kolorowe kimona, a na podłodze leżały posłania. Spod kołder wystawały głowy, ręce i nogi. Tama, kobieta, którą poznała zeszłego wieczoru, spała opodal. Jej wielka, błyszcząca od oliwy fryzura spoczywała podparta drewnianą poduszką. Usta miała otwarte i pochrapywała lekko. W bezlitosnym świetle poranka nie wyglądała jak tajemnicza piękność, tylko jak wiejska dziewczyna o okrągłej twarzy.

Hana usiadła. Musiała uciekać, i to szybko. Była pewna, że w Yoshiwarze są miejsca, gdzie zdoła znaleźć pracę, prawdziwą pracę. Mogła szyć, pisać, uczyć - mogła robić coś pożytecznego.

Ostrożnie wzięła swój tobołek i przeszła nad pochrapującymi ciałami. Potknęła się o kogoś i gwałtownie wstrzymała oddech, ale kobieta tylko coś mruknęła i przekręciła się na bok. Lawirując między przewróconymi butelkami po sake, pudełkami na tytoń pełnymi popiołu i zgniecionymi kulkami papieru, Hana wykradła się do sąsiedniego pokoju, a potem do kolejnego, mniejszego. W korytarzu na zewnątrz zalegały resztki jedzenia i pałeczki, śmierdziało też sake i tytoniem. Zza zamkniętych drzwi dobiegły ją męskie głosy. W oddali słyszała jakieś hałasy i uświadomiła sobie, że cały dom jest już na nogach. Biegła po wypolerowanej podłodze, zamierając i oglądając się za każdym razem, gdy deski zaskrzypiały. Wreszcie dotarła do stromych schodów i powoli zeszła na dół.

Jej postrzępione słomiane sandały stały na półce przy drzwiach prowadzących na zewnątrz, tam, gdzie je zostawiła zeszłej nocy. Wkładała je właśnie, kiedy usłyszała za sobą kroki i poczuła zapach zwietrzałych perfum. Jakaś dłoń chwyciła ją za ramię.

- Już nas opuszczasz, kochanieńka? - spytał gardłowy głos. - Przecież ledwie miałaś szansę nas poznać.

Bez makijażu skóra staruchy była szara i sucha jak pole ryżowe na jesieni, a włosy, zaskakująco białe, nastroszone jak ogon wiewiórki.

- Jak śmiesz! - krzyknęła Hana. - Puść mnie. Nie możesz mnie tu zatrzymać.

Odepchnęła z całej siły kobietę i pobiegła do drzwi. Nim jednak zdołała je otworzyć, jakieś silne dłonie chwyciły ją i unieruchomiły jej ręce. Walczyła i kopała, ale nie mogła się uwolnić. W następnej chwili została poderwana z ziemi i ciśnięta do stóp staruchy. Dysząc ciężko, dźwignęła się na kolana.

- Puśćcie mnie! - krzyknęła.

- Nie pogrywaj z nami, moja droga - powiedziała kobieta.
- To nie działa. Nieprawdaż, ojczulku?

Zjawił się mężczyzna, którego Hana widziała poprzedniej nocy. Szeroką twarz miał zaczerwienioną, a jego policzki pokrywała siateczka żyłek. Kok mu się przekrzywił. Jedną ręką przytrzymał koszulę nocną, w drugiej dzierżył gruby kij. Nie odpowiedział, tylko uniósł go nad głowę. Hana przez moment widziała blady, trzęsący się brzuch, gdy opuścił gwałtownie kij na jej udo. Odskoczyła, z oczu popłynęły jej łzy. Ponad zamieszaniem słyszała głos staruchy powtarzający spokojnie:

- Ostrożnie! Nie w twarz. Nie w twarz. Skuliła się, kiedy mężczyzna znów uniósł kij.

- Nie macie prawa mnie tu trzymać! - krzyknęła.

- Nie rób nam kłopotów - zawarczał ojczulek i spuścił kij na jej plecy. Hana zwinęła się w kłębek, próbując się osłonić przed ciosami. Płakała podczas bicia.

- Dość hałasów! - powiedziała wreszcie starucha. - Klienci zaraz wyjdą. Nie chcemy tu scen.

Kiedy mężczyzna i jego młodzi pomocnicy wywlekali Hanę z korytarza, walczyła, kopała ich po nogach i chwyciła się wszystkiego, na co tylko natrafiła. Próbowiła też drapać i gryźć, ale byli od niej dużo silniejsi. Gdzieś po drodze wyrwali jej tobołek. Biegli korytarzami i przez pokoje pełne śpiących ludzi, na wpół ją wlokąc, a na wpół niosąc, aż znaleźli się na tyłach domu. Tam otworzyli drzwi komórki i wrzucili ją na klepisko.

Jeden z młodych mężczyzn przekręcił ją na plecy, gwałtownie szarpnął jej kimono i usiadł na niej, grzebiąc pod ubraniami. Hana zauważyła czubek nabrzmiałego penisa, zaczęła kopać i się wyrywać. Nagle pojawił się ojczulek i odepchnął młodego.

- Tę nie - warknął. - Zostaniesz tu, aż ochłoniesz - zapowiedział Hanie i zwrócił się do młodzieńców. - Zwiążcie ją!

- Proszę... nie zostawiajcie mnie tutaj! - jęczała Hana.

Drzwi zamknęły się z hukiem. Została sama w zimnej ciemności.

Kiedy oczy przywykły jej do mroku, rozejrzała się wokoło. Musiała istnieć jakaś droga ucieczki, ale w świetle przesączającym się pod drzwiami widziała jedynie półki z prześcieradłami i poduszkami, stosy skrzynek i starych kufków. Oparła się o zamkniętą skrzynię i płakała z wściekłości i strachu.

Linia światła przesuwiała się z dręczącą powolnością po podłodze. Hana wierciła się i wykręcała, lecz więzy na jej nadgarstkach i kostkach były ciasne. Wreszcie udało jej się

usiąść i odrzucić w tył długie pasma włosów, które spadły jej na twarz. Była cała posiniaczona i zakurzona, miała połamane paznokcie, palce jej krwawiły.

Szlochając, przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego dnia. Usiłowała wyłowić tę chwilę, kiedy powinna była zrozumieć, co się dzieje. Widziała ściągniętą twarz Fuyu i jej bezlitosne oczy i słyszała jej gruchający głos, gdy zapewniała: „Na pewno dojdziemy do porozumienia”. Do porozumienia... Te słowa wywołały w niej dreszcz. Przecież Fuyu nie mogła zrobić czegoś tak okropnego? Na pewno nie mogła jej sprzedać! Jednak ta myśl czaiła się w ciemności jak potwór, napierając na Hanę, miażdżąc ją swym ciężarem.

Jeśli to prawda, to już po mnie, pomyślała. Jej jedyną nadzieją jest teraz uległość. Potem może ci ludzie przestaną jej tak pilnować i będzie miała szansę uciec.

Niegdyś tyle rozmyślała o Yoshiwarze, a teraz była tu naprawdę. Tyle że to okropne miejsce, zupełnie inne, niż sobie wyobrażała. Pamiętała, z jakim zapalem pochłaniała stronice Kalendarza kwitnących śliw, marząc o tym, że chodzi po Pięciu Ulicach. Bohaterowie książki wydawali jej się starymi przyjaciółmi - słodka Ocho, olśniewająca gejsza Yonehachi i piękny lekkoduch Tanjiro, którego obie pożądały. Czytała tę książkę tak często, że mogła recytować z pamięci całe ustępy.

Uwięziona w domu ze starymi teściami, przy mężu, którego nie znała i którego nigdy nie było, uciekała w świat fantazji. Karmiła umysł historiami o cudownym, otoczonym murami mieście, które nigdy nie zasypia. Nawet zapakowała tę książkę do swojego tobołka i zabrała ze sobą.

Lecz w głębi duszy zawsze wiedziała, że córka samuraja nie może zostać Ocho ani Yonehachi, chyba że na kartach romansu. Nic w tym złego, póki to tylko marzenie. Jednak teraz stało się to prawdą i Hana zrozumiała swoją głupotę.

Chłód podłogi przenikał ją do szpiku kości. Zwinęła się w kłębek i podciągnęła kolana do podbródka. Trzęsła się, zbyt przemarznięta nawet, żeby myśleć.

Nie miała pojęcia, ile godzin minęło, kiedy usłyszała skrzypienie rygla i drzwi otworzyły się wreszcie. Modliła się, żeby ktoś ją uwolnił, teraz jednak bała się spojrzeć, kto to. Białe światło zalało pokój, wyławiając z mroku półki i zakurzone skrzynie. Hana skuliła się jeszcze bardziej, obawiając się, że usłyszy ciężkie kroki mężczyzny. Zamiast nich rozbrzmiał stukot drewniaków i poczuła zapach drzewa sandałowego oraz ambry.

- Nie rozczulaj się tak nad sobą - rozległ się głos Tamy, zaskakująco głośny w panującej ciszy. - Nie wiem, dlaczego byli dla ciebie tacy pobłażliwi. Zwykle biją uciekinierki prawie na śmierć.

Tama stała w progu, oświetlona od tyłu, i przyglądała się Hanie. Otworzyła duże usta i ziewnęła, a jej oddech zmienił się w zimnym powietrzu w obłoczek pary. Miała na sobie gładkie, granatowe, bawełniane kimono z grubym kołnierzem, jak służąca. Trudno było sobie wyobrazić, że ta grubokoścista dziewczyna to ta sama umalowana na białą zjawa, którą Hana widziała zeszłej nocy.

- Nie jestem uciekinierką - sapnęła Hana. - Ci ludzie nie są moimi właścicielami.

Tama parsknęła śmiechem.

- Wy, żony, jesteście wszystkie takie niewinne - stwierdziła. Przykucnęła i zaczęła rozwiązywać Hanę. - Oczywiście, że są twoimi właścicielami. A może myślisz, że nagle zjawi się tu twój mąż i spłaci twój dług?

Kiedy ostatni węzeł puścił, Hana przeciągnęła się, rozcierając zmarznięte członki. Czyli Fuyu jednak ją sprzedała. Gorące łzy spłynęły jej po policzkach.

- O co robisz taką tragedię? - spytała Tama, biorąc z kąta kołdrę i narzucając jej na plecy. - To dobre życie. Pracuj pilnie, a będzie ci tu dobrze. Może uda ci się wykupić, jeśli tak ci stąd spieszno. Zachowuj się dobrze, a ciotka i ojczulek będą dla ciebie jak prawdziwa rodzina. Zostaniesz ich ulubionym dzieckiem, zobaczysz.

* * *

- Jedwabna krepa - powiedziała Tama, unosząc rękaw, żeby pokazać wzór. - Okres Tenmei. Jest w tym domu od pokoleń.

To było niezwykle kimono w intensywnym odcieniu błękitu, z karmazynową podszewką, która wyglądała z mankietów i obrąbka. Hafty na spódnicach przedstawiały gałęzie śliwy z pąkami kwiatów, tak realistycznie, że wydawały się one prawdziwe. Na plecach i rękawach wirowały złociste postacie.

Hana czuła ciężar kimona i miękkość materiału. Słyszała, że kurtyzany noszą wspaniałe stroje, ale nigdy dotąd nie widziała tak bogatych jedwabi i satyny. Jej własna rodzina nie była tak zamożna, a teściowie również utrzymywali skromny dom. Miała jedynie ukochane ślubne kimono z czerwonego jedwabiu, na co dzień nosiła wyłącznie tkane w domu kimona z bawełny.

- Widzisz? - powiedziała Tama. - Dobrze nam się tu żyje.

Minęło pięć dni i jak do tej pory nie zdarzyło się nic okropnego. Hana nie widziała przez ten czas ani staruchy, ani jej towarzysza. Owinięta w kołdrę odpoczywała po swoich przejściach. Nawet udało jej się odzyskać tobolek - schowała go bezpiecznie w kącie. Kiedy została na chwilę sama, sprawdziła zawartość - kimona, zestaw kosmetyków i książka były nietknięte.

Nie zapomniała jednak, że zaledwie kilka dni temu była żoną samuraja krążącą po pokojach pogrążonego w ciszy

domu, ani też o koszmarze ucieczki przez wymarłe miasto - opustoszałych ulicach, zrujnowanych domach, popękanych ścianach i wyłamanych drzwiach, splądrowanych magazynach i wymizerowanych kobietach, które pilnowały swojego terytorium jak zdziczałe psy. Raz po raz widziała w snach puste ulice i budziła się spocona, z walącym sercem, słysząc za sobą kroki, widząc twarze wygłodniałych kobiet wśród ruin.

Często śniła o rodzicach i o ukochanej babci, która miała skórę jak pergamin i kościste nadgarstki. Byliby przerażeni, gdyby się dowiedzieli, gdzie przebywa, pomyślała. Potem do oczu napływały jej łzy. Oni wszyscy nie żyli, nawet jej teściowie. Jedyna osoba, która być może pozostała przy życiu, to jej mąż, ale on znajdował się daleko.

Potem pomyślała o kobiecie, którą minęła na korytarzu, tej o przenikliwym głosie mówiącej, że statki wypłynęły w morze. Była jej jedynym łącznikiem z odległym światem, gdzie walczyli i umierali mężczyźni i gdzie przebywał jej mąż.

W miarę upływu dni wspomnienia bladły, aż same zaczęły przypominać marzenia. Być może życie w Yoshiwarze nie było jednak takie straszne. Przynajmniej na razie od Hany wymagano jedynie, by patrzyła i uczyła się.

Tama była pierwszą konkubina tego domu. Mieszkała w apartamencie złożonym z trzech pokoi - salonu, pokoju przyjęć i sypialni, gdzie wraz z nią spała Hana, praktykantki i część służących. Pokój przyjęć, największy i wspaniale urządzone, miał alkowę, w której stał wazon z kunsztownie ułożonymi gałęziami śliwy. Nad nim wisiał zwój z wizerunkiem żurawia. Obok alkowy zawieszono półki na książki, a o ścianę stały oparte instrumenty muzyczne. Stała tam również głęboka skrzynia z laki, taka, na której można

ułożyć płaszcze gości, oraz wieszak na kimona i parawan o sześciu panelach pokrytych złotymi liśćmi.

Na ścianie wisiała tablica z wymalowanymi na niej czterema słowami: „sosna, chryzantema, wieczne, są”. Hana wiedziała, co to znaczy: czar kurtyzany jest wieczny jak urok sosny i chryzantemy rozkwitającej w zimie, kiedy inne rośliny już obumarły. Gdyby to tylko była prawda, pomyślała, nawet ta brzydka stara kobieta musiała niegdyś być piękna.

Odkryła, że staruchę wszyscy nazywają ciotką. Ona też musiała tak się do niej zwracać, choć nie łączyło ich żadne pokrewieństwo. Ciotka zarządzała domem i nic nie umykało jej uwadze.

W sypialni Tamy bardzo gruba pościel piętrzyła się tak wysoko, że niemal dotykała plecionego bambusowego sufitu. Na podstawkach stały wysokie prostokątne lustra, a na podłodze leżały tubki z kremami, farbami i pudrami. Pełno tu było lamp i komód, na piecyku szumiał imbryk. Jedwabne kimona, haftowane w przepyszne, połyskujące złotem i srebrem wzory, wisiały na ścianach i na wieszakach, wypełniając pokój kolorami. Niektóre udrapowano nad kadełkami. Hana nigdy w życiu nie widziała równie pięknych rzeczy.

Początkowo rozglądała się wokoło wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami. Nie czuła się swobodnie w tym przepychu. Nie wydawało jej się rzeczą słuszną żyć wśród takiego luksusu, skoro za bramami tyle było cierpienia.

Kiedyś udało jej się wyrzeć z apartamentu Tamy, lecz zobaczyła tylko zamknięte drzwi innych pokoi w korytarzu. Wieczorem słyszała rozmowy i śmiech przybyłych mężczyzn. Od czasu do czasu jakiś klient stukał fajką o bambusową spluwaczkę, czekając na przybycie Tamy. W środku nocy budziły ją ekstatyczne jęki i pochrząkiwania dobiegające zza papierowych ścian. Te Tamy były szczególnie głośne.

Próbowała to przesypiać, ale czasami, wbrew jej woli, te okrzyki ją podniecały.

Na ile zdołała się zorientować, Tama przyjmowała co wieczór czterech czy pięciu klientów i zabawiała ich, przechodząc z jednego pokoju do drugiego. Czasami zostawała z nimi godzinę lub dwie, innym razem krócej, a potem wracała do siebie, całkowicie opanowana, wygładzając włosy i z ziewaniem prostując kimono.

- To jest mój dom - wyjaśniła Hanie pewnego ranka, kiedy klęczały razem w pokoju przyjęć, grzejąc dłonie nad piecykiem. Wokoło uwijały się służące, z zapałem zamiatały podłogi, czyściły miotłami rzeźbione drewniane nadproża i kąty sufitu. - Byłam jeszcze mała, kiedy tu przybyłam - ciągnęła. - Moi rodzice klepali biedę, a ja byłam ładna, więc sprzedanie mnie to była rozsądna decyzja. Nadal ich odwiedzam od czasu do czasu i daję im pieniądze. Dobrze im się teraz wiedzie. Mają duży dom i uprawiają tyle ryżu, że czerpią nawet zyski ze sprzedaży. Moi bracia i siostry zawarli korzystne małżeństwa, i to wszystko dzięki mnie. Jak widzisz, jestem więc dobrą córką i wypełniłam swój obowiązek wobec nich. Pamiętam, jak się buntowałam, kiedy tu przybyłam. Zupełnie jak ty. Ale czy naprawdę sądzisz, że żałowałam opuszczenia domu? Naprawdę myślisz, że wolałabym mieszkać w górach i orać ziemię motyką? Już byłabym stara.

Hana otworzyła usta, żeby zaprotestować, powiedzieć, że w jej przypadku jest inaczej, że jest córką samuraja, nie wieśniaka. Ale przypomniała sobie, że wszystko się przecież zmieniło. Jej rodzina nie żyje, a jej mąż poszedł na wojnę.

- Od chwili, gdy ciotka mnie zobaczyła, wiedziała, że jestem wyjątkowa - ciągnęła Tama. - Słyszałam, że była najlepszą kurtyzaną, jaka kiedykolwiek pracowała w tej dzielnicy. Nauczyła mnie tradycji i zwyczajów, tańca i gry na shamisenie. Oczywiście karała mnie, i to dużo surowiej niż

ciebie, dużo surowiej. Musiałam w środku nocy wychodzić na dach, stać tam godzinami i śpiewać na cały głos. Kiedy próbowałam uciekać, bito mnie, a raz zrzucano ze schodów i złamałam rękę. Żeby się czegoś nauczyć, trzeba zostać ukaranym. Trzeba czasu, by zrozumieć, jak to tutaj działa. Ja przeżyłam, więc i ty przeżyjesz.

- Czy nie rozumiesz? - zaprotestowała Hana. - Trwa wojna, dlatego tu jestem! Mężczyźni walczą i umierają, kobiety również. Jak możesz mówić o czymś tak trywialnym jak wasze zwyczaje i tańce, kiedy wszystko wokoło płonie?

Tama uśmiechnęła się łaskawie i poklepała Hanę po ramieniu.

- Moja kochana, jedyna rzecz, jaka się tu liczy, to klienci. Pokój jest lepszy niż wojna, ale teraz, gdy Północ przegrywa, mamy masę klientów z Południa. Słyszałaś o pływającym świecie? To właśnie my, jesteśmy jak wodne rośliny. Wszystko jedno, co to za woda, my i tak unosimy się na powierzchni. Wojna tym się różni od pokoju, że pojawiają się tu inne kobiety - z porządnych domów, jak ty, a to dobre dla interesów. Sądysz, że robi mi różnicę, kto zwycięży, a kto zostanie pokonany? Nie!

W drugim końcu pokoju przyjęć klęczały młode kobiety i grały w karty, świergocząc jak ptaki.

- Moje praktykantki - wyjaśniła Tama, machając dużą dłonią w ich kierunku. Niektóre Hana widziała już wcześniej. Wpadały i wypadały z sypialni, kiedy leżała w pościeli, paplały i śmiały się, jakby nie miały żadnych zmartwień. Wieczorami wyglądały jak rajskie ptaki w jaskrawych kolorowych kimonach z watowanymi obrąbkami spódnic, ułożonych jeden na drugim. Teraz, w świetle dnia, kiedy nie było klientów, miały na sobie ciepłe watowane ubrania.

Hana słuchała ich śpiewnej gwary o dziwacznym układzie zdań. To był kokieterijny, zalotny język - bardzo się różnił od

poważnej mowy żony samuraja. Kobiety miały na celu okręcenie sobie mężczyzny wokół małego palca. Hana zastanawiała się, kim te dziewczyny są, skąd pochodzą i dlaczego się tu znalazły. Niektóre miały pospolitą urodę, duże usta i mięsiste policzki, inne sprawiały wrażenie bardziej wyrafinowanych, ale język powodował zatarcie wszystkich różnic. Praktykantki były dobrze wyszkolone i zadbane, wiedziały, jak się ubrać i co zrobić, by wyglądać zalotnie. Ich pochodzenie przestało się liczyć. Teraz były dziewczętami z Yoshiwary.

Tama skinęła na nie władczo, a one podchodziły po kolei, by mogła je przedstawić.

- Kawanoto - ogłosiła, kiedy dziewczyna o delikatnej twarzy i wielkich oczach lani przycisnęła czoło do jej rąk. - Moja główna praktykantka. Zaczęła pracę dwa lata temu.

- Kawagishi i Kawanagi. - Dwie dziewczyny uklęknęły obok siebie i ukłoniły się. Jedna, uśmiechnięta, była niska, druga wysoka i smukła. Pozostałe młode kobiety uklęknęły za nimi. - Kawayu, Kawasui... Wszystkie noszą imiona zaczynające się od Kawa. Ja nazywam się Tamagawa - Tama i Kawa. Ofiarowałam im część własnego imienia, żeby każdy wiedział, że to moje praktykantki. Ten, kto je pozna, od razu się domyśli, że należą do mnie, więc muszą się odpowiednio zachowywać.

Hana nigdy nie słyszała równie dziwacznych imion. W niczym nie przypominały zwyczajowych imion żeńskich, brzmiały bardziej jak nazwy sklepów czy imiona aktorów kabuki. Kawanoto, dziewczyna o wielkich, niewinnych oczach - jej imię znaczyło dosłownie „ujście rzeki” - wyjęła ze stojącego na podłodze pudełka na tytoń długą fajkę o metalowym cybuchu i napełniła maleńką glinianą główkę. Potem przycisnęła do niej węgielek i zaciągnęła się dwa razy, aż fajka się rozpałała. Wtedy podała ją z ukłonem Tamie.

Tama uniosła fajkę do ust, odginając mały palec. Zaciągnęła się i wydmuchiwała kółko niebieskiego dymu. Zawisło w powietrzu, wygięło się i wydłużyło, aż wreszcie zniknęło. Tama przechyliła głowę.

- Podobno potrafisz pisać? - spytała cicho. - Jak to możliwe, skoro ledwie umiesz mówić? Ciotka powiedziała, że tak twierdzisz.

Hana poczuła iskierkę nadziei. Może planowali jednak wykorzystać ją jako skrybę? Miała zamiar powiedzieć: „oczywiście, że umiem pisać, jestem córką samuraja i dobrze mnie wychowano”, ale zaraz przygryzła wargę. Próbując mówić gwarą Yoshiwary, skłoniła głowę i wymamrotała:

- Prawdę mówiąc, potrafię pisać tylko trochę. Jeśli mogę jakoś pomóc...

- Nieźle - stwierdziła Tama. - Widać, że się starasz.

Oddała fajkę Kawanoto. Nagle drzwi odsunęły się gwałtownie i do pokoju wpadła mała dziewczynka w jaskrawoczerwonym kimonie. Na rękawach miała naszyte dzwonki. Spodnie wydymały spódnicę o watowanym obrąbku. Podbiegła do Tamy, rzuciła się na kolana, położyła ręce na tatami i oznajmiła na cały głos:

- Widziałam go!

- Ciszej, ciszej - strofowała Tama, uśmiechając się do małej. - Proszę - skinęła głową na starszą służącą, a ta podała dziecku ciastko ze słodką pastą z fasoli. Dziewczynka uśmiechnęła się dumnie. Była ładnym dzieckiem o twarzy w kształcie serca, nosie jak guziczek i wielkich czarnych oczach. Włosy zaczesano do góry i ozdobiono koroną z jedwabiu. Odwróciła się do Hany i ukloniła ładnie.

- Jak długo tu jesteś, Chidori? Trzy lata? A ile masz lat? Siedem? Sama widzisz - Tama zwróciła się do Hany - już potrafi ładnie mówić i wie, jak się zachować. Chidori to jedna z moich młodszych praktykantek. Możesz się od niej uczyć.

Imię Chidori znaczyło dosłownie „siewka”. Zdaniem Hany było bardzo odpowiednie dla dziewczynki, która przypominała ptaka o bystrych oczach, szybkiego i energicznego.

- Jesteś pewna, że to był on? - spytała Tama.

- Tak, to był pan Shojiro. Wychodził z domu Tsuruya.

- Tsuruya...? - Tama zmarszczyła czoło, a jej twarz spochmurniała. - Ciekawe, kogo tam odwiedzał.

- Stałam na środku drogi. Wyślizgnął się stamtąd, obejrzał w prawo i w lewo. Kiedy mnie zobaczył, zbladł jak ściana.

- I słusznie. Jak śmie uważać, że może mnie oszukiwać? Ta Yugao rzuciła na niego urok. - Tama urwała na chwilę, po czym dodała: - Najpierw zajmiemy się nim, później nią. Teraz słuchaj. Potrafisz napisać list miłosny? - spytała Hanę, która czekała w milczeniu na kolanach.

- List miłosny? - przez chwilę Hana czuła się zagubiona. Potem wróciła myślą do romantycznych poematów, których uczyła się w dzieciństwie. Pomyślała o Kalendarzu kwitnących śliw i o słowach, których używała Ocho, kiedy rozmawiała z Tanjirem. - Do Shojira?

- Oczywiście, że nie - Tama westchnęła bezradnie. - Zamierzam ukarać Shojira, a nie nagradzać go listem. Nie, napiszesz do Mataemona. To południowiec, przychodzi tu od niedawna. Nie wie, jak się zachować, ale zachętą wskażę mu właściwą drogę. Musimy sprawić, by sądził, że za nim szaleję!

Na tatami koło świecy osłoniętej kwadratowym papierowym abażurem leżały przybory do pisania. Hana starła trochę tuszu. Kiedy pocierała laską tuszu o kamień, przywoływała w myśli ustępy z Kalendarza kwitnących śliw.

- Może tak: „Czy mam znów spać w nocy sama, na wąskiej macie, wyczekując spotkania z mężczyzną, za którym tęsknię?” - spytała. - Coś w tym stylu?

- No proszę - powiedziała sarkastycznie Tama. - Dziewczyna z klasycznym wykształceniem. To trochę za trudne dla Mataemona. Napisz tak: „Wczoraj byłeś w moich snach, ale kiedy się obudziłam, nie było cię przy mnie i teraz moja poduszka jest mokra od łez. Pragnę znów cię zobaczyć”. Napisz to od razu kilka razy, przyda się dla innych klientów.

Hana rozwinęła zwój papieru, wybrała pędzelek i napisała tekst, starannie kaligrafując znaki.

- Jak zaadresować?

Tama klasnęła językiem o zęby.

- Nie wiem, co wstąpiło w ciotkę i ojczulka - stwierdziła. - Dziesięciolatki, które zaczynają od samych dołów, mają więcej sprytu niż ty. Mataemon pracuje w jakimś biurze rządowym. To by mu złamało karierę, gdyby zaczął otrzymywać listy adresowane kobiecą ręką. Chidori, idź po jakiegoś posłańca. Niech on napisze adres. - Tama odwróciła się do Hany i westchnęła głośno. - Tyle się musisz jeszcze nauczyć.

Hana wbiła wzrok w tatami. Zauważyła na nich wytarte miejsca i postrzępiony jedwab na brzegach. Luksus był tylko fasadą, podobnie jak zachowanie Tamy. Pisanie listu stanowiło test, teraz to rozumiała - test, w którym nie wypadła tak źle.

Hana grzała ręce nad piecykiem w dużym pokoju przyjąć Tamy, która właśnie się wykąpała i uklękła przed lustrem. W kącie pokoju, garbiąc się, grała na shamisenie chuda stara kobieta. Miała siwe włosy związane w kok i kimono w ciemnych kolorach gejszy. Była tak mała i chuda, że niemal nikła we własnym cieniu.

- Gdybyś była dziesięć lat młodsza, zaczęłybyśmy cię szkolić od podstaw, ale w twoim wieku nie ma czasu do stracenia - powiedziała Tama. - Ojczulek będzie chciał zwrotu swojej inwestycji. - Skinęła na Kawanoto, żeby wymasowała jej ramiona. - Chciałam wprowadzać cię powoli, ale mam zbyt wielu klientów. Musisz dziś pójść ze mną i sama zobaczyć, jak to się robi.

- Przecież wcale mnie nie potrzebujesz - powiedziała Hana z przerażeniem. - Potrafię pisać. Na pewno trzeba pisać jakieś listy.

- Nie bądź głupia - warknęła Tama. - Jak chcesz tu przeżyć? Jak spłacisz swój dług? Masz tylko patrzeć i sprawić, by cię dostrzeżono, to wszystko.

Przywołała starszą służącą. Silna stara kobieta o zniszczonych rękach i falujących białych włosach wymamrotała coś cicho w gwarze Yoshiwary i posadziła Hanę przed lustrem. Ściągnęła jej z ramion kimono i zatknęła górną połowę wokół talii. Obok lustra stała mosiężna taca z dzbanem i małą miseczką. Hana zmarszczyła nos, czując znajomy kwaśny zapach wyciągu z liści sumaka, octu i herbaty. Jak każda szanująca się kobieta czerniła zęby od chwili zamążpójścia.

Ale Tama pokręciła głową.

- Nie będziesz czernić zębów - zdecydowała. - Zaczynasz nowe życie. Jesteś warta więcej jako dziewczyna. Nikt się nie pozna, że nią nie jesteś, póki nie będzie za późno.

Hana otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz Tama odwróciła się do niej tyłem.

Do pokoju weszła kobieta uginająca się pod ciężarem dużego tobołka. Otworzyła go i rozłożyła na podłodze grzebienie, buteleczki z pachnącymi olejkami, tubki pomady, pliki papieru i ozdoby do włosów. Metalowe prostownice do włosów położyła na piecyku. Pokój wypełnił zapach palonych włosów, kiedy zaczęły się rozgrzewać.

- Mamy nową - zwróciła się do niej Tama. - Dużo czasu zajmie ci układanie jej włosów.

Hana przywykła do samodzielnego robienia fryzury. Jako dziewczynka ćwiczyła tak długo, aż mdlały jej ręce. Dzielila włosy na pasma i zawijała każde w górę, do przodu i w tył, a potem mocowała na miejscu pozłacaną nicią albo sznurkiem z kolorowego papieru. Potrafiła zręcznie uczesać się w ciężki kok z tyłu głowy w wyszukanym stylu shimada, który uważano za odpowiedni dla dziewcząt w jej wieku.

Kłęcząc przed lustrem, patrzyła na swoje odbicie w zmatowiałym srebrnym prostokącie. Fryzjerka zabrała się do pracy, szarpała ją za włosy grzebieniem o cienkich zębach tak mocno, że Hanie płynęły po policzkach łzy. Nie ocierała ich. Niech myślą, że to z bólu, pomyślała. Nikt nie musi wiedzieć, że płaczę za tym, co straciłam.

- Ciężko, jeśli się tu trafi jako dziecko - powiedziała cicho kobieta, rozgrzewając wosk i nakładając go gorącym żelazem na włosy Hany. Rozległo się skwierczenie, nozdrza wypełnił ostry swąd spalonych włosów. - Ale dużo trudniej jest tu dorosłym kobietom, które znają inne życie. Nie jesteś jedyna, wiele z nas to żony, konkubiny, kobiety, które straciły mężów lub kochanków i nie mają dokąd iść.

Zaskoczona Hana spojrzała w lustro. Kobieta ubrana była jak służąca, w zwykłe kimono w brązową kratę z czerwonym

kołnierzem, włosy związane miała w węzeł na karku. Coś błyszczało na jej ręce, a pod szyją miała metalową broszkę.

- Najlepiej zapomnieć o przeszłości - ciągnęła. - To jedyny sposób, żeby przeżyć. Jeśli kiedyś poczujesz się samotna, możesz mnie odwiedzić. Pytaj o Otsune, wszyscy mnie tu znają. - Pociągnęła Hanę za włosy tak mocno, jakby chciała je wyrwać.

- Nie wypuszczają mnie.

- Wypuszczą, kiedy zaczną ci ufać. Tkwiąc tutaj, jesteś dla nich bezużyteczna.

Otsune rozczesywała, podpinała i woskowała włosy Hany, aż zaczęły błyszczeć jak jedwab. Rozprowadziła po nich grzebieniem białą pomadę i pachnący piżmem olej z kamelii, a potem rozdzielała je na pasma, zwijała i podwiązywała. Wreszcie sięgające podłogi włosy Hany zmieniły się w wysoką wieżę eleganckich pętli i loków, błyszczącą jak lakier. Hana uniosła rękę. Włosy miała sztywne i trochę lepkie. Ledwie śmiała oddychać z obawy, że cała ta misterna konstrukcja zaraz się zawali. Przez chwilę Otsune trzymała palce na ramieniu Hany.

- Proszę - szepnęła, wkładając jej coś w rękę. - To amulet. Nim tam wejdiesz, wepnij go z tyłu we włosy, ale tak, żeby ciotka nic nie zauważyła, bo ci go odbierze. Ochroni cię przed wybraniem.

Hana zacisnęła dłoń na małym grzebyku. Nie miała pojęcia, o czym Otsune mówi, ale i tak była jej wdzięczna.

Kiedy Otsune zajęła się jedną z praktykantek, starsza służąca wzięła gałkę miękkiego białego wosku i ugniotła ją w palcach. Natarła nią twarz Hany, potem pomalowała jej szyję, podbródek, policzki, nos i czoło na biało i posypała obficie chmurami pudru ryżowego. Hana widziała w lustrze, jak jej twarz zmienia się w białą maskę. Została jedynie wąska linia niepomalowanego ciała tuż przy włosach.

Służąca pędzelkiem malowała na biało jej ramiona, piersi i górną część pleców, a potem podała jej drugie lustro, żeby mogła obejrzeć swój kark. Pozostały na nim trzy fragmenty niepomalowanego ciała, błyszczące na tle matowej bieli pleców niczym rozdwojony język węża.

- To strasznie podnieca mężczyzn - wyjaśniła stara kobieta i zachichotała. - No wiesz, kark kobiety. Ten kształt każe im myśleć o... Cóż, sama zobaczysz.

Namalowała Hanie brwi w kształcie półksiężyców i obwiodła jej oczy na czerwono, a potem na czarno, wyciągając linię daleko poza kąciaki. Potem nałożyła róż na jej policzki.

- Wstań - nakazała. Hana, naga i drżąca, stała niczym posąg, kiedy służąca zakładała jej perfumowaną halkę ze szkarłatnej krepy, potem białą spodnią bluzę z czerwonym kołnierzem i długimi czerwonymi rękawami i zawiązała jedwabne wstążki kolejnej halki. Następnie założyła jej na szyję sztywny haftowany kołnierz i pomogła włożyć haftowane czerwone kimono z długimi rękawami i watowanym brzegiem. Na nie założyła kolejne, potem jeszcze jedno i jeszcze jedno, każde umocowując na miejscu wstążkami. Na koniec wzięła długi szal z brokatu i owinęła Hanę kilka razy. Kiedy Hana odwróciła się do niej tyłem, stara kobieta zachichotała.

- Co ona sobie myśli, że jest dziewicą? Starą służącą? Żoną, co siedzi w domu? Sądzi, że chcę jej zawiązać obi na plecach! - Wszyscy odwrócili się i zaczęli śmiać. - Wszystko się zmieniło, moja droga. Nie zauważyłaś?

Hana w milczeniu odwróciła się twarzą do służącej, a ta ciągnęła i ciągnęła, aż ścisnęła ją w pasie tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Potem służąca zawiązała razem oba końce z przodu, a następnie, mrużąc coś przez wargi pełne

szpilek i pomagając sobie wstążkami, uformowała wielki ozdobny węzeł. Końce sięgały Hanie niemal do stóp.

Czerwony jedwab przypominał Hanie dzień jej ślubu, kiedy Oharu uczesała ją i pomogła jej się ubrać. Gardło jej się ścisnęło. Była ubrana jak panna młoda, jakby znów miała wyjść za mąż. Jedyna rzecz, która się nie zgadzała, to obi. Nawet gejsze wiązały je na plecach. Tylko jeden rodzaj kobiet wiązał je z przodu, w ostentacyjny węzeł, jakby wyzywając mężczyzn, by je rozwiązali. Zadrżała na myśl o tym, co to za kobiety.

Służąca zacisnęła usta, przetarła Hanie twarz, a potem poprawiła kołnierz, sprawdziła, czy brzegi i mankiety wszystkich kimon leżą równo, włożyła grzebień z drewna sandałowego z przodu jej fryzury i zamocowała szpilkami do włosów. Na koniec włożyła jej na włosy koronę z kwiatów z jedwabiu.

- Lepiej załóż ten amulet - mruknęła. Hana podała jej mały grzebyk, który dostała od Otsune, i pozwoliła jej wpiąć go mocno we włosy. Następnie służąca wzięła laskę szafranowej pasty, zamoczyła w niej cienki pędzelek i namalowała czerwony płatek na środku dolnej wargi Hany. Górną wargę pozostawiła białą.

Wszyscy się odwrócili - półnagie praktykantki z kimonami zatkniętymi wokół talii Otsune, z grzebieniem w ustach i prostownicą do włosów w ręku i Tama, która wiązała swoje obi. Nawet małeńka stara gejsza przestała grać na shamisenie i podniosła głowę.

- Śliczna, piękna - mrużano pod nosem.

Hana zrobiła kilka niepewnych kroków. Nawet w dzień ślubu jej strój nie był taki ciężki. Niezgrabnie odwróciła się, ledwie śmiać spojrzeć w lustro. Kiedy się odważyła, aż zaparło jej dech w piersiach. Zmieniła się w drzeworyt, nie była już osobą, tylko jej namalowanym wizerunkiem.

Za tą białą maską nadal jestem Haną, powiedziała sobie gwałtownie. Ale pomimo wszystko nie mogła powstrzymać zachwytu. Zupełnie jakby zrzuciła z siebie dawną siebie, jak motyl wynurzający się z poczwarki. Nie była już Haną, nie, wcale nie była Haną. Była kimś zupełnie innym.

- Znajdziemy ci nowe imię - obiecała Tama, jakby czytając jej w myślach. - Porozmawiam o tym z ciotką. A teraz przejdź się. Zbierz spódnice lewą ręką i ruszaj. Stąd aż tam.

Hana zebrała ciężki materiał i zrobiła boso kilka niepewnych kroków, próbując nie potykać się o spódnice. Ciężki tren i wielki węzeł obi utrudniały jej utrzymanie równowagi. Nie przywykła do dźwigania takiego ciężaru. Potknęła się i omal nie upadła.

- Kop spódnice, żeby ci nie wchodziły w drogę - nakazała jej Tama. - Nie ma nic złego w pokazywaniu kostek.

Sama też była odmieniona, stała się tajemniczą istotą, którą Hana widziała pierwszego wieczoru w Yoshiwarze. Włosy miała uczesane w dwa połyskliwe skrzydła, spoczywała na nich korona nabita pozłacanymi i szylkretowymi szpilkami, które wyglądały jak promienie słońca. Zdobiły ją kwiaty i liście z jedwabiu, miała wiszącą ozdobę z macicy perłowej i sznur koralu obciążony pąkami ze złotej folii. Węzeł jej wspaniałego brokatowego obi, zawiązany fantazyjnie z przodu, niemal zasłaniał grube watowane kimona.

- Tylko tyle musisz zrobić dziś wieczorem - powiedziała. - Najpierw przejść kawałek, a potem uklęknąć. Skoncentruj się na tym, zrób to najlepiej, jak potrafisz. I nie odzywaj się. Patrz i słuchaj, to wszystko.

* * *

Zapadł już niemal zmierzch, nadeszła godzina mały. Dochodzący z oddali melancholijny dźwięk dzwonu odbijał

się echem od wzgórz miasta. Jakby w odpowiedzi odezwały się małe dzwonki, niektóre daleko, inne całkiem blisko. Jeden dźwięczał tak głośno, jakby znajdował się w środku domu.

Tama majestatycznie wstała z klęczek. Jej wspaniała fryzura i sterczące szpilki błyszcząły jak aureola. Była bardziej boginią niż kobietą. Trzeba odważnego mężczyzny, żeby rozwiązać jej obi, pomyślała Hana.

- Będą zaskoczeni - stwierdziła Tama, unosząc brwi. Popatrzyła w lustro, kiwając głową z zadowoleniem.

- Nie idziesz z nami, prawda, starsza siostrze? - dopytywały się praktykantki.

- Idę - odparła Tama z uśmiechem, ukazując połyskliwe, pomalowane na czarno zęby. - Dziś czeka ich wyzwanie.

Praktykantki zebrały się wokół niej, ustawiły w pary według wzrostu. Mała Chidori posmutniała. Miała zostać w domu razem z Namiji, drugą dziewczynką.

Kawanoto, praktykantka o wielkich niewinnych oczach, chwyciła Hanę za rękę i pociągnęła ją za sobą, w pierwszą parę. Cała ósemka wyglądała jak lalki w czerwonych kimonach, z białymi twarzami i koronami kwiatów we włosach. U starszych rękawy kimon sięgały tylko do talii, sugerując, że są dorosłe. Młodsze nosiły kimono z rękawami długimi niemal do ziemi.

- To moje miejsce - odezwał się nadąsany głos. Dziewczyna, która to powiedziała, miała około szesnastu lat, tyle co Kawanoto. Jej twarz była bardziej biała niż u innych, oczy mocniej umalowane, wargi bardziej czerwone, a włosy upięte przesadnie wysoko. Nosiła takie samo kimono jak towarzyszki, jednak zawiązała je luźniej, ukazując skraj pomalowanych na białą piersi. Węzeł jej obi zwisał zachęcająco.

- Nie rozumiem, dlaczego muszę iść z wami - narzekwała. - Już jestem zamówiona na dzisiaj.

- Idziesz, ponieważ ja ci tak mówię, Kawayu - warknęła Tama. Ktoś odsunął drzwi na korytarz. Do pokoju wpadła muzyka i śpiewy oraz odór perfum. Pojawiła się też twarz pomalowana jak maska.

- Ciotka!

Wszyscy, nawet Tama, padli na kolana i przycisnęli czoła do podłogi. Pamiętając o zimnym magazynie, Hana spojrzała z obawą na starą kobietę.

Ciotka miała na sobie eleganckie jasnobłękitne kimono i połyskliwą czarną perukę. Nosiła się dumnie, jakby nadal uważała się za piękność, ale gruby makijaż podkreślał każdą zmarszczkę na jej twarzy. Obwiedzione na czarno oczy zapadały się w policzki, a pomalowane na szkarłatno wargi rozlewały się bezkształtnie w okalających je zmarszczkach. Podeszła prosto do Hany.

- Wstawaj - nakazała. Poprawiła jej kimono i schowała luźne włosy. Potem obróciła ją i poszukała ręką amuletu zatkniętego z tyłu fryzury. Hana zamarła, pewna, że go zabierze, ale ciotka uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Zobaczymy, jakie dostanie oferty - oznajmiła. Tama ukloniła się i kiwnęła głową. - Może mamy tu coś dobrego. - Ciotka nachyliła się do Hany. - Chodź - powiedziała miłym tonem. - Czas, żeby świat cię zobaczył.

Kiedy wyszły na korytarz, dźwięki muzyki, głosy i śmiech stały się głośniejsze, cały dom od nich wibrował. Służące prowadziły je korytarzami, niosąc lampy i świece, które rozpędzały cienie. Ciemność czaiła się na granicy kałuż światła. Mijane drzwi rozsuwały się, wychodziły z nich kobiety, jak lunatyczki przywabione muzyką. Korytarz wypełniał szelest jedwabiu i zapachy perfum. Hana kopała spódnice kimon bosymi stopami, tak skupiona na tym, by się nie potknąć, że ledwie widziała, dokąd idą.

Zeszły ze schodów, przeszły przez werandę. Hana poczuła chłód przeciągu, a także zapach kurzu, pieczystego i dymu - zapach ulicy. Uniosła głowę i stwierdziła, że znajdują się w pobliżu wyjścia. Gdzieś niedaleko grały shamiseny, młody, czysty głos śpiewał balladę, drewniane pałeczki wybijały rytm, jak w teatrze kabuki przed przedstawieniem.

Nagle ktoś krzyknął, odsunięto drzwi i Hana ujrzała światło, tak jaskrawe, że zawahała się i zakryła oczy.

Kawanoto położyła ręce na jej talii i pchnęła ją do przodu. Hana wyszła prosto w chłodną jasność. Kawanoto zmusiła ją, żeby uklęknęła. Słyszała oddechy stłoczonych wokół niej kobiet, czuła ciepło ich ciał i perfumy. Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się ryk, jakim wita się aktora, kiedy wychodzi na scenę.

Hana podniosła wzrok i aż wstrzymała oddech. Nie była wcale na scenie, ale w klatce, wielkiej klatce z drewnianymi prętami. Widziała podobne, kiedy przybyła do Yoshiwary. Siedziały w nich kobiety. Teraz sama była jedną z nich.

Ryk umilkł i jakiś mężczyzna zawołał:

- Nowa dziewczyna! Prawdziwa piękność! Hej, kochana, spójrz na mnie!

Przerwał mu inny głos.

- Jest moja. Hej, ty, nowa, jak się nazywasz? Wkrótce cały chór domagał się odpowiedzi.

Ciemność za prętami była pełna oczu, dużych i małych, okrągłych i migdałowych, a wszystkie patrzyły tylko na nią. Hana rozróżniała sylwetki mężczyzn, niektórzy przyciskali nosy do prętów, inni trzymali się z tyłu, tylko zerkali ciekawie. Cofnęła się ze strachem, zadowolona z obecności innych kobiet. Położyła rękę na amulecie we włosach. Teraz wiedziała, przed czym miał ją chronić.

Kobiety klęczały, milczące i nieruchome, niczym postacie z wosku spowite w przepyszne jedwabie, złoto i srebro.

Mężczyźni przechadzali się przed nimi, zbierali w grupy, zaglądali do klatki. Niektórzy tkwili z nosami przyklejonymi do prętów, próbując zwrócić na siebie uwagę dziewcząt, inni szli dalej.

Tama klęczała w głębi klatki, zwrócona twarzą do widzów, w towarzystwie dwóch innych kobiet, ubranych równie ekstrawagancko jak ona. Kiedy Hana odwróciła się do niej, ta wzięła fajkę o długim cybuchu i zaczęła ją palić, tak spokojna i odprężona, jakby siedziała we własnych pokojach. Niedbale wydmuchiwała dym, niemal nieświadoma obecności mężczyzn, którzy przestępowali z nogi na nogę, pohukiwali i gapili się na nią.

Po chwili wyjęła z rękawa zwój papieru, rozwinęła go i powoli prześlizgała się po nim wzrokiem, uśmiechając się lekko, mrużąc oczy i przesuwając językiem po wargach, jakby to był list od wielbiciela. Potem odwróciła się i szepnęła coś do sąsiedniej kurtyzany, wdzięcznie schylając głowę i ukrywając twarz za rękawem, jakby tłumiała śmiech.

Spojrzała przebiegle na mężczyzn i lekko przekręciła głowę. W tłumie rozległ się pomruk, kiedy odwróciła się i znów pyknęła z fajki.

Hana przyglądała się, zahipnotyzowana tym przedstawieniem. Tama była jak lalkarz, kontrolowała tłum, kazała mu robić to, co chciała.

Czas płynął, praktykantki zaczęły szeptać do siebie i chichotać.

- Och, popatrz na tego, jaki przystojny.
- To Jiro. Nie znasz go? On zawsze przychodzi.
- Ojciec go wydziedziczył, prawda?
- Nie ma ani grosza. Bez sensu tracić na niego czas.
- Co za kaftan, taki niemodny i w okropnym kolorze. Zupełnie nie ma gustu. Prostak.

- Wcale go nie lubię. Mam nadzieję, że o mnie nie poprosi.

Dwie praktykantki przepchnęły się na front klatki i zaczęły się mizdrzyć. Inne kiwały na mężczyzn i mrugały do nich. Kawagishi o pulchnej dziewczęcej twarzy i szerokim uśmiechu i smukła Kawanagi, które zawsze trzymały się razem, wróżyły sobie z dłoni.

- Kiedyś tylko biedacy przychodzili nas oglądać - szepnęła Kawanoto do Hany. - Na więcej nie było ich stać. Bogaci zawsze wiedzieli, czego chcą. Ale teraz, przy tylu nowych przybyszach, to dobry sposób na zdobycie klienta. Nigdy nie wiadomo, kto cię zobaczy.

- Kawanoto - sama, Kawanoto - sama - rozległ się jakiś głos. Do klatki przepchnął się młody mężczyzna. Kawanoto przesunęła się na front i zbliżyła twarz do jego twarzy. Kiwnęła głową, a wtedy przybysz zniknął.

Kawayu, ponura, zbyt mocno wymalowana dziewczyna, też przysunęła się do prętów. Wygięła plecy, przekrzywiła głowę i zatrzepotała rzęsami, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Zamiast tego znów rozległ się okrzyk:

- Hej, nowa, jak się nazywasz? Powiedz nam, jak się nazywasz! Kawayu rzuciła Hanie mordercze spojrzenie. Hana uśmiechnęła się do niej niewinnie i skłoniła się z przesadną uprzejmością. Przynajmniej ta dziewczyna nie mogła jej skrzywdzić.

Nagle poczuła, że wszyscy na nią patrzą. Dotąd mężczyźni wymieniali się uwagami i przestępowali z nogi na nogę, ale nagle po drugiej stronie

prętów zapadła cisza.

Hana poczuła się onieśmielona. Zasłoniła usta dłońmi, a kiedy to zrobiła, rękaw jej kimona zsunął się i odsłonił nagą skórę ręki. W tłumie rozległ się głodny pomruk. Pospiesznie cofnęła dłoń i poprawiła rękaw. Przez kraty przyglądał jej się

jakiś młody człowiek. Kiedy ich oczy się spotkały, szurnął nogą i spuścił wzrok, czerwieniąc się tak, że purpura pojawiła się nawet na jego ogolonej głowie.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Hana odwróciła się tyłem do patrzących. Za plecami usłyszała poruszenie w tłumie. Wpatrując się w swoje ręce złożone na podołku, żałowała, że nie może zniknąć. Tymczasem pomruk narastał - drżące westchnienie, jęk rozkoszy. Nagle uświadomiła sobie, na co oni patrzą - na jej kark i trzy punkty niepomalowanego ciała. Wróciły do niej słowa starej służącej: „Ten kształt każe im myśleć o...”. Pod białą farbą twarz zaczęła jej płonąć, była pewna, że wszyscy widzą jej czerwone uszy.

Uniosła głowę i poprawiła kołnierz, świadoma, że Tama ją obserwuje. Kurtyzana kiwnęła głową, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Wyglądała na bardzo zadowoloną.

Kiedy dzwon wybił godzinę, Tama i jej koleżanki kurtyzany podniosły się z klęczek. Podbiegły do nich służące, by poprawić kołnierze i warstwy kimon, ułożyć wielkie węzły obi i wyprostować fryzury. Zza drzwi klatki dobiegł Hanę wysoki przenikliwy głos, ten sam, który słyszała w noc swego przybycia, ten, który mówił o wypłynięciu statków. Nareszcie miała szansę odszukać tę kobietę.

Zapominając o wszystkim, przepchnęła się przez tłum młodych kobiet. Kawanoto przesuwiała się za nią, ciągnąc ją za rękaw. Hana zauważyła rąbek kimona znikający za drzwiami.

- Musimy wracać - powiedziała Kawanoto niespokojnie. - Klienci będą czekać.

Mężczyźni tłoczyli się w westybulu, gdzie zamiast podłogi było klepisko, i chuchali w ręce. Ich oddechy parowały na mrozie. Niektórzy byli starzy, inni młodzi, ale wszyscy wyglądali na zamożnych. Ubrani byli elegancko w nakrochmalone spodnie hakama, płaszcze haori i grube wełniane peleryny. Bardzo różnili się od mężczyzn o wygłodniałych oczach tłoczących się przy klatce. Rozpychając się łokciami, witali się ze sobą i kłaniali, zdejmowali drewniaki i oddawali je służącym, którzy wydawali im w zamian drewniane bilety. Za nimi tłoczyły się gejsze z shamisenami owiniętymi w jedwab i uśmiechnięci pulchni trefnisie.

Hana wiedziała tylko, że musi odszukać kobietę o przenikliwym głosie. Nie liczyło się nic innego.

Wyrwała rękaw Kawanoto, zebrała oburącz ciężkie spódnice, przepchnęła się przez tłum i wybiegła za drzwi, prosto w noc. Aż westchnęła, gdy poczuła na skórze mroźne powietrze. Zauważyła błyszczącą fryzurę dryfującą wśród morza mężczyzn w kierunku sąsiedniego domu. Wpadła do

środka i zajrzała w oświetlony korytarz. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak za kobietą zasuwiają się drzwi. Pobiegnęła ku nim, zdyszana.

Kiedy kładła na nich rękę, nagle uświadomiła sobie, jak skandalicznie się zachowuje. Jeśli otworzy drzwi do pokoju prostytutki i wejdzie nieproszona, kto wie, co zastanie w środku? Ale co innego mogła zrobić?

Odetchnęła głęboko i przesunęła drzwi.

Znalazła się w salonie niemal równie dużym i luksusowym jak u Tamy. Przez otwarte drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju widziała ogień płonący w wielkim piecyku i zastawiony stół. Wysokie świece na podstawkach paliły się dużymi żółtymi płomieniami. Na środku pokoju grupa gejsz grała na bębnach i shamisenach, śpiewając do wtóru. Niewątpliwie odbywało się tu przyjęcie.

Mężczyźni w głębi sali klaskali w takt muzyki i popijali sake z maleńkich miseczek. Wśród nich siedziały kobiety, jedne przytulały się do nich lub przyglądały się im, wydymając wargi, inne wyglądały na pogardy i obojętne. Dwie dziewczynki ubrane równie wytwornie jak Chidori roznosiły miseczki z sake.

Każda z kobiet miała białą twarz i jaskrawe kimono z wielkimi węzłami obi. Wszystkie wyglądały niemal tak samo. Oniemiała Hana zagapiła się na nie. Nie miała pojęcia, której z nich szuka i czy w ogóle trafiła we właściwe miejsce. Muzyka, klaskanie i śmiech były tak głośne, że obecni nie zauważyli jej wejścia.

Młodzieniec w granatowym kaftanie i stara służąca podbiegli do niej truchtem.

- Kto cię wezwał? - syknęła służąca. - Jeden z naszych gości? Nic mi o tym nie wiadomo. - Przyjrzała się Hanie uważnie. - Zgubiłaś się, tak? Uciekaj stąd, szybko.

- Przepraszam. Mam wiadomość dla... dla jednej z pań - wymamrotała Hana, starając się mówić w dialekcie Yoshiwary.

- Przekaż ją mnie, ja ją dostarczę.

- Muszę ją przekazać osobiście - upierała się Hana desperacko.

Służący zaczął wypychać ją za drzwi. Wykręciła mu się, zadarła spódnicę i wbiegła do pokoju, gdzie odbywało się przyjęcie. Służący dogonili ją w progu i chwycili za rękę.

Ponad muzyką rozległ się męski głos.

- Moja droga Kaoru, kim jest twoja protegowana? Jakiż to sekret ukrywasz przed nami?

Muzyka przycichła i zamarła, gejsze znieruchomiały w tańcu. Wszyscy - mężczyźni, kurtyzany i gejsze - odwrócili się i popatrzyli na Hanę. Służąca padła na kolana.

- Bardzo przepraszam - wyszeptała. - Pozbędą się jej.

- Nie, niech zostanie - powiedział ten sam mężczyzna. - Kto to jest?

- Właśnie, kto to jest, Kaoru - sama? - zaczęli pytać inni mężczyźni.

- Musi zostać z nami.

- Nigdy wcześniej jej nie widziałam - rozległ się wysoki głos, który Hana natychmiast rozpoznała.

W środku grupy klęczała z wyprostowanymi plecami pełna rezerwy kobieta. Jej sztywne białe obi zdobił haftowany delikatny wzór gałązek sosny, śliwy i bambusa. Wierzchnie kimono również miała białe, a zamiast korony na głowie lśniły przemyślnie ułożone szpilki. Jej twarz bez wyrazu wyglądała jak maska w sztuce no. Wydeła wargi i patrzyła zaskoczona na Hanę.

- Co to ma znaczyć? - spytała.

Przez chwilę Hana stała jak oniemiała, ale potem przypomniała sobie, że ma tylko tę jedną szansę. Dlatego

zaczęła mówić, starając się używać słodkiego dialektu Yoshiwary.

- Przepraszam. Chciałam wiedzieć, czy nadeszły jakieś wieści z... zewnątrz. Z frontu.

Kobieta na moment otworzyła szeroko oczy, a na jej czole pojawiły się zmarszczki. Szybko odzyskała jednak równowagę i zaśmiała się srebrzyście. Inne kobiety, zapewne jej młode praktykantki, zasłoniły usta rękawami i chichotały, jakby miały nigdy nie przestać.

- Głupia mała - parsknęła Kaoru, a jej głos zrobił się jeszcze bardziej przenikliwy. - Dlaczego sądzisz, że wiem coś o tym, co się dzieje na zewnątrz? Nie rozmawiamy tutaj o takich nudnych sprawach. Bawimy się, prawda, panowie? Właśnie tym się zajmujemy. - Zwróciła się do służącej. - Daj jej kilka groszy i odpraw ją.

Skinęła na gejsze. Znow rozległy się urywane tony shamisenów i tancerki zaczęły płaszać.

- Niech zostanie - powiedział ten sam mężczyzna co wcześniej. Hana spojrzała na niego zaskoczona. Był młody i smukły, miał śniadą cerę, wąskie czarne oczy i pełne zmysłowe usta. - Potrzeba nam młodych dziewcząt. Może być moim gościem. - Zwrócił się do Hany. - Chodź i usiądź z nami. Napij się.

Hana postąpiła kilka kroków naprzód. Jako żona samuraja pędziła życie w odosobnieniu. Przywykła do usługiwania gościom przy posiłkach, ale rozmawiała jedynie z mężczyznami należącymi do własnej rodziny oraz z mężem. Tymczasem teraz otaczali ją obcy i przyglądali jej się z uśmiechem.

- Jak się nazywasz? - spytał mężczyzna. - Chodź i usiądź tutaj. - Wyciągnął rękę i Hana zauważyła, jakie ma długie, smukłe palce. Postąpiła kolejny krok w jego stronę, a potem zatrzymała się, przerażona, gdyż nagle dotarł do niej jego

akcent, chrapliwy i gardłowy. Nie słyszała takiego nigdy wcześniej. Musi pochodzić z południa, pomyślała. To wszystko są południowcy. Kogo innego byłoby stać na takie przyjęcie?

Znów popatrzyła na jego rękę. Miał brązowe zgrubienia na bocznych krawędziach palców - odciski, jakby od miecza albo karabinu. Jak to się stało, że jest w Edo, stolicy Północy?

Mężczyzna patrzył na nią przyjaźnie. Kaoru uśmiechnęła się zimno.

- Oczywiście, że możesz się do nas przyłączyć, moja droga, nie bądź nieśmiała.

Nagle odsunęły się drzwi i do sali weszła Tama w chmurze perfum, a zaraz za nią Kawanoto. Tama rozejrzała się, zorientowała w sytuacji, uklękła ceremonialnie i skłoniła się, szeleszcząc jedwabiem.

- Jestem Tamagawa, a to - wskazała na Hanę - moja praktykantka. Proszę, wybaczyć jej, jest jeszcze młoda i musiała się zgubić. Chodź, moja droga, musimy już iść.

Hana odwróciła się, całkowicie oszołomiona. Nie uzyskała odpowiedzi na swoje pytanie, zdołała jedynie zniechęcić do siebie Kaoru, swoją jedyną łączniczkę ze światem zewnętrznym.

- Chwileczkę. Nie zrobiła nic złego. Powiedz mi, kochana, jak ci na imię? - spytał mężczyzna.

Nim Hana zdążyła odpowiedzieć, Tama wyprostowała się i rozejrzała dumnie wokoło. Połyskliwe kolory jej kimona zdawały się wypełniać pokój.

- Hanaogi - oznajmiła. - Nazywa się Hanaogi. Będzie następną gwiazdą domu Tamaya.

Zapadła cisza.

- Czy ma już patrona? - spytał mężczyzna.

- Jeszcze nie, panie. Możesz złożyć ofertę. Jestem pewna, że znasz, panie, procedurę.

- Hanaogi - powtórzył mężczyzna powoli, obracając sylaby na języku, jakby je uznał za szczególnie melodyjne. - Hanaogi. Cóż, Hanaogi, pytałaś o wieści. Powiem ci więc, że wkrótce nastanie pokój. Mamy nowy rząd, który będzie dobrze traktował was, dziewczęta. - Jego twarz zmieniła się na chwilę, nie był już taki pewny siebie. - Buntownicy nadal stawiają opór na północy, ale zajmiemy się nimi.

Hana kiwnęła głową, starannie utrzymując obojętny wyraz twarzy.

„Zajmiemy się nimi” oznaczało, że jeszcze tego nie zrobili. Czyli Północ się trzyma. Z trudem powstrzymała triumfujący uśmiech. Miała setki pytań - o męża, czy są o nim jakieś wieści - ale nie mogła się posunąć za daleko. Odwróciła się, gotowa odejść.

- Pozwól, niech usłyszę jeszcze raz twój głos, śliczna Hanaogi. Skąd pochodzisz? Z jakiej części kraju?

- Pochodzi... - zaczęła Tama, ale Hana chciała sama mówić w swoim imieniu.

- Znikąd - odparła z dźwięcznym zaśpiewem. Z trudem poznawała własny głos. - Postanowiłam zapomnieć wszystko, co się zdarzyło, nim tu przybyłam.

I z szelestem jedwabiu wyszła z pokoju za Tamą i Kawanoto.

春

WIOSNA

Drugi miesiąc roku Węża Drugi rok panowania Meiji
(marzec 1869)

Yozo siedział ze skrzyżowanymi nogami na tatami w kwaterze prezydenckiej w Gwiazdzistym Fortcie, grzejąc ręce nad piecykiem. Pomimo szumnej nazwy kwatera była dokładnie tak samo zadymiona i zimna jak cała wyspa Ezo. Przeciągi poruszały drewniane drzwi deszczowe i liche ramy okien. Oddech Yoza zmieniał się w obłoki pary.

Kończył się drugi miesiąc, według kalendarza panowała wiosna, ale tu, na Ezo, ziemię nadal pokrywała gruba warstwa ubitego śniegu. Minęły już cztery miesiące, odkąd zajęli Gwiazdzisty Fort, i trzy od czasu utraty „Kaiyo Maru”.

Na zewnątrz Yozo słyszał kroki i burkliwe komendy wydawane z silnym francuskim akcentem.

- Biegiem naprzód marsz!

Na placu apelowym rozległ się tupot nóg. Rżały konie, z odległej strzelnicy dochodził huk wystrzałów, lecz w środku było spokojnie i cicho.

Enomoto stał na rozstawionych szeroko nogach, ręce złożył na plecach i przyglądał się zawartości barku z przeszklonym frontem, który na szczęście udało się przetransportować do fortu, nim „Kaiyo Maru” zatonął. W środku stała imponująca bateria butelek. W prywatnych pokojach i w towarzystwie przyjaciół Enomoto porzucił niewygodny zachodni mundur i relaksował się w grubych bawełnianych kimonach i watowanym kaftanie. Błyszczące włosy i twarz o drobnych rysach sprawiały, że w każdym calu wyglądał na arystokratę. Wreszcie wyjął z barku butelkę szkockiej.

- Glendronach rocznik 1856 - oznajmił. - To nas powinno rozgrzać.

- Wspaniały rocznik - zgodził się Yozo, niczym prawdziwy koneser. Uniósł kryształową szklanę w swych dużych palcach marynarza. - Na pewno przebyliśmy daleką drogę, szczególnie ty, panie generale gubernatorze Ezo. Zawsze wiedziałem, że dokonasz wielkich rzeczy.

- I tylko popatrz, co osiągnęliśmy! - powiedział Enomoto z uśmiechem. - Zorganizowaliśmy wybory i stworzyliśmy pierwszą japońską republikę, Republikę Ezo. Jesteśmy młodym narodem, jak Ameryka, i wytyczamy nową ścieżkę. Te bękarty z Południa może i wygrywają bitwy dzięki działom i karabinom, które sprzedają im Anglicy, ale tylko w ten sposób są w stanie dorwać się do władzy. Nie śmieliby zorganizować wyborów, ponieważ wiedzą, że nikt by na nich nie głosował. Nadal tkwią w epoce feudalnej, mogą wprowadzać swoje zasady tylko siłą. Prawo dżungli. Czy nie tak to nazywają?

Yozo zakręcił przejrzysty złoty płyn w swojej szklance i upił trochę. Przez chwilę trzymał whisky w ustach, a potem pozwolił jej spłynąć do gardła. Milczał, rozkoszując się smakiem.

- Prawo dżungli - powtórzył z leniwym uśmiechem. - Przetrwanie najlepiej przystosowanych, przynajmniej tak napisano w tej książce, o której wszyscy mówili w Europie.

- O pochodzeniu gatunków - odpowiedział Kitaro. Owinął swą chudą postać w gruby watowany kaftan i siedział skulony przy ogniu. - Karola Darwina. - Wymawiał słowa bardzo starannie, smakując cudzoziemskie sylaby.

- Przeczytałeś to, Kitaro - stwierdził Yozo z podziwem. - Przeczytałeś całą książkę po angielsku. Ja bym tego nie dokonał. Gdyby tylko wiedziały o tym te pawiany z Południa czy komendant i ci jego brutale z milicji. Ale ich interesuje jedynie, czy umiesz wymachiwać mieczem.

Kitaro przysunął szklankę do nosa i spojrzał ponad jej brzegiem z komicznym wyrazem twarzy.

- Najlepiej przystosowani do życia wygrywają - powiedział, wykrzywiając się z udawaną powagą. - Ale pamiętajcie, że to niekoniecznie oznacza najsilniejsi. To mogą być najbardziej inteligentni. Zwykle przeżywają właśnie tacy.

Pozostali roześmiali się.

- Pamiętasz tę kawiarnię, gdzieśmy dyskutowali? - spytał Enomoto. - No wiesz, tę z dużymi szklanymi oknami i skórzanymi siedzeniami.

Yozo pokręcił głową z uśmiechem.

- Wszędzie się spieraliśmy. W Londynie, Berlinie, Paryżu, Rotterdamie...

- To było w Dordrechcie - powiedział Kitaro.

Dordrecht. Wszyscy zamilkli. Słuchali kroków maszerujących żołnierzy, komend i walenia w bębny.

- Pamiętacie tamten wschód słońca? - spytał Enomoto, patrząc w dal. Nie był już generałem gubernatorem Ezo, ale młodzieńcem porwanym przez wspaniałą przygodę.

To był trzeci dzień jedenastego miesiąca 1866 roku według kalendarza barbarzyńców. Czternastu z piętnastu ludzi, których wybrano, by odbyli podróż do Europy, spotkało się w Dordrechcie, żeby świętować zwodowanie wspaniałego statku „Kaiyo Maru”. Piętnasty, który pojechał do Holandii jako kowal, zapił się na śmierć. Yozo nie był z nim blisko i nigdy się nie dowiedział, dlaczego tak się stało. Na cześć wodowania porzucili spodnie, marynarki i krawaty i włożyli formalne stroje japońskie: krochmalone plisowane koszule kimonowe i kaftany z ramionami sterczącymi jak skrzydła. Stali dumnie, z odciągniętymi w tył ramionami i dwoma mieczami w skórzanych pochwach zatkniętymi za pasy. Znowu byli samurajami, choć obcięli włosy i nosili je na styl zachodni.

- Ustawili koksowniki wzdłuż kadłuba - wspominał Yozo. Widział to wszystko wyraźnie: błyszczący czarny kadłub spoczywający na pochylni, większy niż wiatraki i katedra. Widzowie tłoczący się na brzegu i podskakujący w małych łódkach na wodzie. Wszyscy machali kapeluszami i wiwatowali. - Ale pogoda była idealna. Nie było nawet lodu.

- Lord Admiralicji wygłosił mowę - dodał Enomoto. - A potem rozbił o dziób butelkę wina.

- Pamiętacie ten ryk, kiedy ruszył po pochylni...? - I jak ludzie wiwatowali i klaskali...?

- Aż wpadł w wodę....

- Z jakim rozbryzgiem! Ależ wzbił falę! Myślałem, że powywraca te łódki.

- Co za okręt! - powiedział Enomoto. Pochylili głowy i popatrzyli w ogień. Tu, w kwaterze prezydenckiej w Gwiazdzistym Forcie na zamrożonej wyspie Ezo trudno było uwierzyć, że to, co wspominali, wydarzyło się naprawdę. Choć Yozo próbował sobie wyobrazić Dordrecht, obraz wyblakł w jego pamięci.

- I ten sztorm, kiedy wypłynęliśmy z Rio. Omal nie spadłeś wtedy z masztu - Kitaro podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Myślałem, że już po tobie.

- Wiele razy myślałem, że już po nas i po statku. Ale zawsze nam się udawało - odparł Yozo.

Sto pięćdziesiąt dni, tyle trwała podróż z powrotem do Japonii. Mieli holenderską załogę, głównie ludzi z Dordrechtu. Zabunkrowali w Rio, opłynęli Przylądek Dobrej Nadziei, przebyli Ocean Indyjski i przybili do Batawii. Przeżyli sztormy, przedzierali się przez fale wysokie jak góry, ale nie stracili statku.

Jednak kiedy wrócili do Japonii, nic nie było takie, jak zapamiętali. Stopniowo dowiadywali się, co zaszło podczas czterech i pół roku ich nieobecności - zdrada, morderstwa,

zamachy i wreszcie wojna domowa. Kilka miesięcy po ich powrocie szogun został obalony. Yozo i Kitaro przyłączyli się do Enomota. Wszyscy trzej chcieli walczyć do końca o to, w co wierzyli.

„Kaiyo Maru” był ich domem. Każda deska pokładu, każdy jęk kadłuba i wydęty wiatrem żagiel przypominały im o szczęśliwych dniach na Zachodzie. Teraz statku już nie było.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, myśląc o swoim pięknym okręcie. Yozo wyobraził sobie, jak jego dziób przecina fale, przypomniawszy sobie moc, z jaką ciął wody, luksus kajuty kapitańskiej, błyszczące działa, mosiężne wykończenia, które polerowali z miłością, cały ogrom jednostki, dość wielkiej, by pomieścić trzystu pięćdziesięciu marynarzy i sześćset żołnierzy. A potem ujrzał oczyma duszy ten ostatni widok, samotny czarny kadłub pogrążający się w lodowatym odmęcie. Przesunął ręką po oczach i przełknął z trudem.

Enomoto wyprostował się i zmarszczył brwi. Był znowu generałem gubernatorem Ezo.

- Teraz to jest nasz dom - powiedział stanowczo. - Wyspa Ezo. Rozmawiałem z przedstawicielami cudzoziemców w mieście Hakodate, wyjaśniłem im nasz plan założenia liberalnej republiki i ulepszenia warunków życia ludu. Amerykanie, Francuzi i Anglicy zobowiązali się uznać nasz rząd.

Urwał na chwilę, twarz mu spochmurniała.

- Jest coś jeszcze - powiedział. - Przyszły wieści o „Stonewallu”... Yozo gwałtownie podniósł głowę. Widział „Stonewalla” w porcie

Jokohama. To był statek o żelaznym kadłubie, najnowocześniejszy, najpotężniejszy okręt świata. Miał wielki silnik i poszycie dwa razy grubsze niż udo mężczyzny, a na dodatek pokryte ciężkimi żelaznymi płytami. Kule armatnie po prostu odbijały się od niego. Oprócz żagli miał napęd

parowy i pływał dużo szybciej niż „Kaiyo Maru”. Nawet nie wyglądał jak okręt. Siedział nisko na falach, a z tym złowieszczym czarnym dziobem wyglądał jak groźna drapieżna ryba.

Rząd szoguna zamówił go u Amerykanów i zapłacił większość ceny,

Ale kiedy okręt przybył do Japonii, szogun został już obalony. Nim opuścili Edo, Enomoto odwiedził amerykańskiego ministra, van Valkenburgha, i zażądał wydania okrętu; w końcu szogun już za niego zapłacił. Van

Valkenburgh był jednak nieugięty. Stwierdził, że rząd szoguna już nie istnieje, a nowy jeszcze nie powstał. Wszyscy przedstawiciele cudzoziemców uzgodnili między sobą, że zachowają neutralność, póki w kraju trwa wojna, więc nie mógł przekazać jednostki żadnej ze stron.

- Nie zaskoczy was wieść, że kiedy południowcy usłyszeli o zatonięciu „Kaiyo Maru”, zaczęli przekonywać van Valkenburgha, że bez okrętu flagowego nasz rząd nie ma szans na przetrwanie. Dali mu słowo, że wojna jest skończona.

Yozo rzucił szklanę na podłogę i zacisnął pięści. Czyli południowcy powiedzieli amerykańskiemu ministrowi, że wojna się skończyła, żeby skłonić go do przekazania „Stonewalla”? To kłamstwo. Wojna wcale się nie skończyła, ale skoro południowcy dostali w swoje ręce pancerny okręt, ruszą na północ, przeciwko nim. Jeśli przeżyć mieli tylko najlepiej przystosowani, ich szanse kurczyły się z dnia na dzień. Im więcej Yozo słyszał o podstępności południowców, tym bardziej pragnął ich pozabijać. Będzie walczył do końca, bez względu na to, jak krwawa okaże się ta walka, i zabije tylu wrogów, ilu tylko zdoła.

- Południowcy przybędą tu z armią liczącą dziesiątki tysięcy żołnierzy - powiedział Enomoto ponuro. - Czekają tylko na nadejście wiosny. Musimy się na to przygotować.

Budowa umocnień jest na ukończeniu - nadzoruje ją kapitan Brunet. I mamy trzy tysiące żołnierzy, którzy szkolą się dzień i noc. Tyle że to zbieranina. Jest kilku profesjonalistów - francuscy oficerowie dobrze ich wyszkolili, a poza tym zdobyli doświadczenie w wielu akcjach. Reszta to rekruci, którzy przyłączyli się do nas, ponieważ są lojalni, albo dlatego, że zostaliby straceni przez południowców, gdyby dostali się w ich ręce. Niektórzy nie należeli nawet do milicji. Część ledwie umie strzelać.

- Na przykład ja - stwierdził Kitaro.

- A jeśli chodzi o milicję Kioto komendanta Yamaguchiego, to są to wspaniali i nieustraszeni żołnierze, ale walczą głównie na miecze. Mar - lin i Cazeneuve próbują ich przeszkolić na strzelców, ale oni pochodzą z innej epoki. Nocami wychodzą z fortu i wdają się w pojedynki z miejscowymi, żeby nie wyjść z wprawy. Zabijają ich i uważają, że to zupełnie w porządku. Mienią się samurajami, lecz większość nigdy nimi nie była i nigdy nie będzie. W dodatku przyjmują rozkazy tylko od komendanta. - Enomoto zmarszczył brwi i dolał wszystkim whisky. - Jeśli nie zrobimy z tych ludzi prawdziwych żołnierzy, będziemy w niemałym kłopotcie, kiedy przybędą południowcy.

Następnego ranka plac defiladowy kipiał życiem. Maszerował po nim raźnie oddział żołnierzy w czarnych mundurach i w skórzanych hełmach z grzebieniem, z dwoma dobozami na czele.

Na skraju placu ludzie tłoczyli się przy wielkich kołach jednego z nowych błyszczących dział odtylcowych. Yozo, Enomoto i ich koledzy przywieźli je z Prus.

Nagle żołnierze rozpierzchli się biegiem we wszystkich kierunkach, niczym spłoszone króliki. W następnej chwili rozległ się huk i działo odskoczyło do tyłu, a pocisk przeleciał w powietrzu i wbił się w ziemię, wyrzucając w górę fontannę piachu i żwiru. Konie, przywiązane w pobliżu, zaczęły rzeć i przysiądać z przerażenia.

Brakowało tylko jednej rzeczy. Wśród zebranych na placu nie było żadnego ubranego na niebiesko milicjanta.

- Odmawiają ćwiczenia z naszymi żołnierzami, ponieważ uważają, że już to wszystko potrafią - wyjaśnił Kitaro.

- Czas, byśmy zobaczyli na własne oczy, co takiego ćwiczą - stwierdził Yozo. - Miecze nie ochronią ich przed kulami, bez względu na to, jak świetnie nimi władają.

- Komendant nie ufa ani nam, ani Enomotowi - powiedział Kitaro nerwowo. - Uważa, że jesteśmy skażeni, ponieważ przebywaliśmy w krajach cudzoziemców.

- Od chwili, gdy opuściliśmy Japonię, staliśmy się wyrzutkami - mruknął Yozo. - Ale to jest wojna i mamy do czynienia z przeważającymi siłami wroga. Jeśli komendant ma choć trochę rozsądku, zachowa dla siebie swoje opinie, przynajmniej póki walki się nie skończą. Enomoto chciał, żebym go obserwował, a ja zamierzam wykonać ten rozkaz.

Milicja komendanta zajmowała duży drewniany budynek, stojący w pewnej odległości od koszar, w których mieszkały regularne oddziały.

Kiedy Yozo i Kitaro zbliżali się do niego, słyszeli okrzyki i stukot drewna uderzającego o drewno.

Nikt nie wydawał się zaskoczony ich widokiem. Komendant siedział na podwyższeniu pod proporcem szoguna przedstawiającym liście malwy. Miał na sobie mundur milicji, błękitny płaszcz haori i pasiaste długie kimono. Długie wypomadowane włosy zaczesał do tyłu. Kiwnął głową Yozowi i Kitarowi, kiedy się zbliżyli, po czym znów skupił uwagę na dwóch mężczyznach walczących na kije.

Inni członkowie milicji stali wokoło, wszyscy odziani w mundury. Niektórzy mieli włosy zebrane w lśniące kucyki, inni upięte w koki na czubku głowy. Yozo znał większość z nich z twarzy po marszu przez góry - teraz byli czysti i odprężeni. Sprawiali wrażenie bardziej zjednoczonych. Rozejrzał się po ich twarzach i stwierdził, że jest wśród nich wielu młodzieńców o miękkich rysach i prowokacyjnie wykrzywionych ustach - którzy tradycyjnie odgrywali rolę kobiet w takiej męskiej społeczności. Oczywiście byłoby błędem lekceważyć ich umiejętności władania mieczem, pomyślał. Często najładniejsi młodzieńcy byli też najlepszymi szermierzami.

Kilku wojowników o stalowym wzroku stało z tyłu, z pogardliwie założonymi na piersi rękami. Widać było, że przywykli do krążenia po ulicach i krzyżowania mieczy z wrogiem. Bez wątpienia tęsknili za walką. Było w nich wszystkich coś takiego, że Yozo czuł się, jakby zabłądził do kwatery krwawego bractwa. Wrogość, z jaką patrzyli na gości, sprawiała, że dostał gęsiej skórki.

Na jednej ze ścian w widocznym miejscu wisiała tablica, na której męskimi znakami wymalowano słowa: „Kodeks postępowania”. Obok znajdowała się lista przewin: „Łamanie kodeksu samurajów. Dezercja z milicji. Pożyczanie pieniędzy. Walka z przyczyn osobistych. Otrzymanie rany w plecy.

Darowanie życia przeciwnikowi". Po każdej z przewin podano tę samą karę: seppuku - egzekucja w formie rytualnego samobójstwa. Widniała tam też zasada, która Yozowi zmroziła krew w żyłach: „Kiedy dowódca padnie w walce, jego ludzie muszą podążyć za nim do grobu". Nigdy wcześniej nie widział kodeksu, który tak obsesyjnie koncentrowałby się na śmierci. Na zewnątrz słyszał komendy wykrzykiwane przez francuskich sierżantów. Tu natomiast, tak jak powiedział Enomotowi, znajdował się w innej epoce.

Na pierwszy rzut oka pojedynk toczący się na środku sali sprawiał wrażenie wyrównanego, ale po chwili stało się jasne, że jeden z walczących jest nauczycielem, a drugi uczniem. Uczeń robił uniki i tańczył wokoło, usiłując zadawać ciosy. Od czasu do czasu musiał wykonać przewrót, by wydostać się z tarapatów, nauczyciel natomiast bez wysiłku odpierał wszystkie ataki, a potem wykorzystał chwilę nieuwagi ucznia i zmusił go do defensywy, a wreszcie do poddania się. Na środek wystąpił kolejny uczeń, potem następny, a nauczyciel pokonał ich wszystkich, ledwie co się pocąc.

Yozo rozpoznał jego twarz, opalone policzki i pełne usta. Walczył u jego boku podczas zajmowania fortu i dziwił się wówczas, że taki młodzieniec jest tak doskonałym wojownikiem. Tylko oczy miał stare, a nad nosem widniała głęboka zmarszczka. Patrzył na świat ze znużeniem, jakby widział tak wiele, że nie obawiał się niczego, a już na pewno nie śmierci. Walczył z kolejnymi uczniami z całkowitą obojętnością, lecz od czasu do czasu, kiedy jego przeciwnik na chwilę zyskiwał przewagę, na jego twarzy pojawiała się furia, jakby staczał pojedynk nie z uczniem, tylko z zaciekłym wrogiem, który chce go zniszczyć.

Obserwując go, Yozo pomyślał ze ściśniętym sercem o kartaczołnicach Gatlinga, którymi dysponowali południowcy. Wystrzeliwały one ciągły strumień kul, dużo bardziej

zabójczych niż francuskie mitraliezy, które mieli oni. Przeciwno takiej broni nawet najwspanialszy szermierz nie miał żadnych szans: zostanie podziurawiony kulami, nim zdąży wyciągnąć miecz. Wszystko to było zwyczajną stratą czasu.

Ostatnia runda dobiegła końca i przeciwnicy ukłonili się sobie. Komendant odrzucił w tył kosmyki wypomadowanych włosów i spojrzał ostro na Yoza i Kitarę. Jego oczy płonęły szaleństwem, co bardzo zaniepokoiło Yoza.

Kitarę poruszył się niespokojnie, kiedy komendant tak na nich patrzył.

- Proszę, proszę, znowu nasi podróżnicy - powiedział wreszcie Yamaguchi, wykrzywiając usta. - Przyszli zobaczyć, jak to się robi w Japonii. A może szpiegujecie nas, pilnujecie, czy wszystko jest tak, jak chce generał gubernator Enomoto? Zapewne zapomnieliście już, jak wygląda samurajski miecz. - W sali rozległy się śmiechy. Twarz komendanta odprężyła się. - Wszystko jedno, witajcie. Jesteście odważni, nawet ty, Okawa. - Skinął głową Kitarowi, a potem spojrzał na Yoza, mrużąc oczy. - Tajima, jesteś dobrym strzelcem, równie dobrym jak barbarzyńca. Ale zastanawiam się... Nadal umiesz walczyć jak samuraj czy zapomniałeś, jak to się robi, po tylu latach spędzonych na Zachodzie? - Skinął na nauczyciela. - Jak sądzisz, Tatsu? Może masz ochotę na rundę czy dwie z naszym przyjacielem? Chcesz?

- Oczywiście - powiedział Tatsu obojętnie.

Yozo uczył się kiedyś w szkole walki Jinzaemon Udo w Edo i poznał kilka technik władania mieczem, ale wątpił, by zdołał sprostać Tatsu. Wiedział jednak, że jeśli się wycofa, przyniesie wstyd Enomotowi i wszystkim jego ludziom. Skinął głową.

Komendant zaśmiał się, jakby bawił go sam pomysł.

- Tym razem na miecze - zdecydował.

Miecze. Yozo poczuł dreszcz na plecach. Samurajskie miecze, ostre jak brzytwa, z zagiętą klingą długości nogi mężczyzny, mogły odciąć kończynę czy przeciąć ciało równie łatwo jak nóż kroi tofu. To była zupełnie inna sprawa niż walka na kije.

Milicjanci pochyłili się w oczekiwaniu, na ich ustach pojawiły się szydercze uśmiechy. Przez salę przeszedł szept podniecenia.

Kitaro robił, co mógł, by zachować obojętny wyraz twarzy, ale Yozo widział, jak podskakuje mu jabłko Adama. Uśmiechnął się do niego uspokajająco.

- Myślą, że zobaczą widowisko - powiedział cicho. - Myślą, że zobaczą krew, albo jeszcze lepiej, mnie na kolanach, jak błagam o litość. Ale nie sprawię im tej przyjemności.

- Lepiej to włóż, na wszelki wypadek - powiedział komendant wesoło. Opaska z ochronną metalową płytką poleciała po wypolerowanej podłodze do stóp Yoza. Ten skłonił się, podniósł ją i zawiązał na miejscu.

- Tatsu - sama - powiedział uprzejmie. - Może też powinieneś założyć opaskę, na wszelki wypadek.

Tatsu odmownie pokręcił głową.

Yozo wyciągnął miecz i trzymał go przez chwilę, gładząc rękojeść i wyczuwając jego ciężar. To była dobra broń, wykuta w kuźniach Bizen, z pieczęcią mistrza. Teraz musiał się tylko trzymać. Tylko komendant mógł przerwać starcie, jeśli zobaczy, że jemu lub Tatsu grozi niebezpieczeństwo.

Chwycił rękojeść obiema rękami i przykucnął na środku sali, przodem do Tatsu, próbując przeniknąć wzrokiem przeciwnika. Ale w oczach tamtego widział tylko mrok. Duch Tatsu już nie żył, nie było w nim strachu, nie miał nic do stracenia. W przeciwieństwie do niego Yozo zamierzał

zachować życie i zdawał sobie sprawę, że działa to na jego niekorzyść.

Czubki kling zetknęły się i Yozo poczuł energię drżącą w mieczu Tatsu. Świat się skurczył, Yozo widział teraz jedynie nieruchomą twarz przeciwnika i słyszał w ciszy jego oddech.

Wyprostowali się, nadal stykając się mieczami. Krążyli powoli, nie spuszczając z siebie wzroku. Yozo był idealnie skupiony, wszystkie jego zmysły trwały w najwyższej gotowości. Wyczuwał wokół siebie ściany zawieszane chorągwiami i tłum mężczyzn w błękitnych kaftanach obserwujących go jak sępy. Zbliżył się. Miecz Tatsu błysnął, Yozo odskoczył i przyjął uderzenie na swój miecz, blisko rękojeści. Rozległ się ogłuszający brzęk metalu. Siła ciosu sprawiła, że musiał się cofnąć. Odzyskał równowagę, uniósł miecz, ruszył do przodu i ciął w poprzek. Tatsu odparował. Stał dźwięczała o stal, gdy wymieniali szybkie ciosy. Uchylali się, atakowali i parowali, i przy każdym uderzeniu krzyczeli na całe gardło.

Yozo brał udział w bitwach i pojedynkach, ale to było coś innego. Tatsu był nieustępliwy. Nikt i nic nie mogło go powstrzymać od pokonania przeciwnika. To była walka na śmierć - i to śmierć Yoza.

Cios nadszedł jakby znikąd. Kucali, mierząc się wzrokiem, chwilę później Yozo cofał się, a ramię mrowiło mu nieprzyjemnie. Tatsu ciął go w bark, po rękę ściekała mu gorąca krew. Zaczął tracić czucie w palcach, dyszał, był mokry od potu, choć w sali panował chłód. Tatsu natomiast nadal wyglądał świeżo.

Usłyszał brzęk i stłumiony śmiech. Widzowie zakładali się ze sobą o to, kto wygra - akcje Tatsu stały wysoko. Znowu usłyszał brzęk monet. Kątem oka widział twarz komendanta, który obserwował go, pogardliwie wykrzywając usta. Przez chwilę Yozo czuł wściekłość tak oślepiającą, że ledwie co

widział, ale potem jego gniew zastąpiła lodowata determinacja. Nie zamierzał przegrać tej walki.

Tatsu krążył niczym wilk szykujący się do ataku. Yozo obserwował go uważnie. Jego przeciwnik miał gęste, nieco falujące włosy, sterczące niemal pionowo, i kilka pieprzyków po prawej stronie twarzy. Znowu zamierzył się mieczem. Chciał jak najszybciej zakończyć walkę. Yozo sparował cios, wytrzymując napór Tatsu. Przepychali się, napierając na siebie klingami, spodnie hakama furkotały. Przesuwali się szybko ku końcowi sali. Yozo przez cały czas nie odrywał wzroku od oczu Tatsu, maksymalnie skupiony.

Być może spowodowało to mignięcie błękitu, gdy zebrani w sali mężczyźni pospiesznie schodzili im z drogi, albo może Tatsu wyczuł nowy przyływ determinacji w swoim przeciwniku, gdyż na moment zawahał się. Yozo na to czekał. Uwolnił miecz i zadał uderzenie w łydki Tatsu, rozcinając poły jego kimona. To było podstępne posunięcie, ale na wojnie męczyzna musi być gotowy na wszystko. Tatsu walczył wedle prawideł, osłaniając głowę, ręce i pierś, ale nie pomyślał o nogach. Teraz, zaskoczony, potknął się o podarte kimono, a Yozo z satysfakcją dostrzegł krew.

Krzyknął, obrócił się na palcach i zaatakował. Klinga uderzyła w klingę, ale zamiast cofnąć się, Yozo naparł całym ciężarem na Tatsu, przyciskając go do ściany. Niemal słyszał syknięcie widzów. Szczęście odwróciło się od Tatsu - teraz przegrywał.

Szybko, nim przeciwnik miał szansę odzyskać równowagę, Yozo cofnął się i zajął pozycję, prawa noga wysunięta, kolana luźno, środek ciężkości nisko. Uniósł oburącz miecz. Wykrzywił w napięciu twarz i opuścił broń, aż rękojeść znalazła się na wysokości jego twarzy, a czubek celował w sufit.

Słyszał własny oddech. Był gotowy. Nigdy nie będzie bardziej gotowy. Wiedział z absolutną pewnością, że przy kolejnym oddechu rozpląta głowę Tatsu, i ujrzał tę samą wiedzę w oczach przeciwnika. Spokojnie wziął zamach.

- Dość! - warknął jakiś głos.

To był komendant. Mężczyźni zamarli. Przez chwilę stali jak posągi, a potem opuścili miecze, schowali je do pochew i skłonili się sobie.

Komendant siedział pochylony do przodu i z uwagą obserwował walkę. Teraz wyprostował się i spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego.

- Tajima, walczysz nieczysto, ale wygrałeś. Nic na to nie poradzisz, Tatsu - dodał, uśmiechając się z przymusem.

Yozo uklonił się. Widział, że komendant próbuje zlekceważyć porażkę Tatsu, choć to musiało być upokorzenie dla nauczyciela. Yozo mógł wygrać, jedynie nie stosując się do reguł, ale bez względu na sposób, w jaki tego dokonał, pokonał najlepszego szermierza komendanta, a czyniąc to, ośmieszył również jego, zarówno w oczach jego ludzi, jak i w oczach Enomota. Od tej chwili będzie musiał się pilnować.

- Lepiej wróćmy do koszar i zajmijmy się twoją raną - powiedział Kitaro.

Yozo kiwnął głową. Skrzywił się z bólu, gdy spróbował ruszyć ręką. Zapomniał o ramieniu w ogniu walki, ale teraz miał wrażenie, że ręka jest zupełnie sztywna i płonie. Poruszał nią niepewnie, odchylił koszulę, która przyschła już do skóry. Przecięte były tylko mięśnie, ale głęboko.

Koszary okazały się puste, więc Yozo i Kitaro udali się na poszukiwanie lekarza, przysadzistego młodego człowieka, który był z nimi na pokładzie „Kaiyo Maru”, a także w Europie. Choć był młody, opanował i zachodnią, i chińską sztukę medyczną, a także założył w koszarach prowizoryczny szpital, gdzie zachodnie lekarstwa stały w butelkach obok marynowanego korzenia żeń - szenia, sproszkowanych rogów jeleni i wspaniałej kolekcji noży. Miał tam nawet stół operacyjny.

Zabandażował ranę Yozowi, a potem włożył do glinianego imbryka gałkę chińskich ziół, zalał wodą i postawił na palenisku.

- Proszę, wypij - zwrócił się do Yoza, podając mu filiżankę gorzkiego naparu. - Zaśniesz po tym na trochę.

- Pójdę poszukać Enomota - powiedział Kitaro. - Musi wiedzieć, co się wydarzyło. Wrócę sprawdzić, co z tobą, za jakieś dwie godziny.

* * *

Kiedy Yozo się obudził, zapadł już zmierzch. Ból ramienia zmienił się w tępe pulsowanie. Ktoś wołał jego imię ze śpiewnym francuskim akcentem. Usiadł powoli.

- Tutaj!

Odrzucił pościel i chwiejnie wyszedł na korytarz. Lampy na ścianach się paliły, a żołnierze siedzieli przy posiłku.

Dochodzące z kuchni apetyczne zapachy mieszały się z odorem potu i brudu.

W korytarzu pojawiła się tęga sylwetka sierżanta Marlina. Yozo wiedział, że we własnym kraju nie uchodzi on za specjalnie wysokiego, ale tutaj był olbrzymem. Wypełniał całe przejście i musiał się schylać, żeby zmieścić się w drzwiach. Yozo uśmiechnął się na widok ciężkich rysów jego twarzy i sumiastych wąsów, ale jego uśmiech szybko zbladł. Widział po twarzy Francuza, że stało się coś złego.

- Mamy ofiarę - powiedział Marlin ostro. - Na strzelnicy. Wypadek. - Długa pauza. - Bardzo mi przykro.

Ból ramienia zaczął powracać, po naparze doktora głowę miał jak z waty. Spróbował się skupić na słowach Marlina. Od czasu do czasu ktoś ginął, to nie do uniknięcia. Dlaczego Marlin przyszedł zawiadomić go o tym osobiście?

- Lepiej chodź ze mną. To wygląda jak...

Nagle podejrzenie wyrwało Yoza z otępienia. Gdzie jest Kitaro? Nie zatrzymując się, by wziąć płaszcz, wybiegł w lodowatą noc i skierował się ku strzelnicy. Droga wlokła mu się w nieskończoność, miał wrażenie, że bez względu na to, jak szybko biegnie, w ogóle nie zbliża się do celu. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie śpi i nie przeżywa jakiegoś koszmaru, ale lodowaty wiatr, który walił go w twarz i przenikał przez jego cienki mundur, dowodził, że się myli. Wszedł księżyc, zalewając zimnym blaskiem odległe budynki i umocnienia. Niekończącą się połąć nagiej ziemi pokrywały zwały ubitego śniegu. Za murami fortu zawył wilk. Ten melancholijny dźwięk odbił się echem od wzgórz.

Strzelnica znajdowała się na skraju terenu fortu, z dala od koszar. Yozo zobaczył w oddali rząd tarcz strzelniczych, a potem ciemny kształt na ziemi koło jednego ze stanowisk. Zatrzymał się, serce waliło mu jak młotem. Drżąc, położył

ręce na kolanach i starał się odzyskać oddech. Potem bardzo powoli ruszył w tamtą stronę.

Kitaro leżał na plecach, usta i oczy miał otwarte. Jego okulary znajdowały się kawałek dalej, szkła były potłuczone. Duże kościste ręce rozrzucił na boki, jakby upadł nagle na plecy i nie miał czasu się asekurować. Wielka czarna plama rozlewała się po jego piersi.

Yozo padł na kolana i patrzył na przyjaciela, usiłując pojąć, co się stało. Wyciągnął rękę i niepewnie dotknął zimnego policzka Kitara. Potem położył palce na jego powiekach i delikatnie je zamknął.

Pochylił się do przodu, rozerwał koszulę przyjaciela i przesunął ręką po jego kościstej piersi. Znajdowała się tam tylko jedna rana, długie, wąskie cięcie. Od miecza, nie od kuli. Kitaro został powalony jednym ciosem, nie miał szansy się bronić.

Yozo przysiadł na piętach. Widział w przeszłości pola bitew pokryte trupami, zawsze, odkąd pamiętał, ludzie ginęli na jego oczach. Ale to było coś innego - to był jego przyjaciel, ktoś, z kim tyle przeszedł. Z jękiem chwycił Kitara w objęcia i dźwignął z ziemi. Głowa przyjaciela opadła do tyłu. Yozo przyciągnął ją do piersi, a potem delikatnie ułożył na powrót na ziemi. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Kitaro był niezgrabnym siedemnastolatkiem o zapadniętych policzkach i niesfornych czarnych włosach, noszącym absurdalnie grube okulary. Yozo krył go na pokładzie, kiedy trzeba było wykonywać trudne prace, na przykład rozwijanie żagli. Ale w Holandii to Kitaro przystosował się szybciej niż inni. Był jak kawka, pochłaniał informacje wielkimi kęsami.

Wszystkie te podróże, cała ta wiedza, długa droga powrotna do Japonii i wyprawa na wyspę Ezo - wszystko po to, żeby umrzeć tak bez sensu, od jednego cięcia mieczem, w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat.

Yozo potarł oczy. Ktoś za to zapłaci.

- Daję ci słowo - obiecał Kitarowi, a jego głos zabrzmiał głucho w panującej ciszy. - Jeśli przeżyję i wrócę, odzyskam twoją rodzinę i powiem im, że umarłeś z honorem. Dopilnuję, żeby dobrze im się wiodło. Znajdę też twojego zabójcę i zemścę się na nim, przysięgam.

Drgnął, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Marlin patrzył na niego z troską. Yozo odtrącił jego dłoń i wstał.

Kiedy wreszcie zwrócił uwagę na otoczenie, okazało się, że doszedł do budynku milicji. Czuł dziwny spokój, zmysły mu się wyostrzyły. Nie miał wątpliwości, kto zabił Kitara. Broń wskazywała na Tatsu albo jednego z jego uczniów. I z pewnością stało się to za wiedzą i zgodą komendanta. Zemsta za poranny pojedynek. Być może Kitara zabił sam komendant. W końcu chodziły plotki, że nie waha się uśmiercać tych, którzy wywołali jego niezadowolenie.

Wszystko jedno, kto to zrobił, Yozo go znajdzie i wyrwie na nim zemstę. Był bez płaszcza, na ubraniu miał krew Kitara. Otarł twarz chusteczką i wygładził mundur. Musi być przebiegły.

Stojący w grupach milicjanci gapili się na niego, gdy szedł energicznie przez salę ku tej części budynku, gdzie, jak się domyślał, znajdowały się prywatne pokoje komendanta.

- Hej, tam nie wolno wchodzić! - krzyknął ktoś za nim.

- Mam wiadomość dla komendanta - warknął Yozo. - Od generała gubernatora. To pilne. Muszę ją przekazać osobiście.

Milicjanci ruszyli za nim, gdy przechodził przez puste pokoje, odsuwając jedne drzwi po drugich. Przez szpary w ostatnich przesączało się światło. Dwóch milicjantów w błękitnych mundurach chwyciło go za ramiona, ale odepchnął ich i odsunął drzwi, a potem mrugał przez chwilę, oślepiony światłem. Przed sobą miał niewielki pokój wyłożony tatami.

Milicjanci, wyraźnie wzburzeni, położyli ciężkie ręce na jego ramionach i zmusili go, by ukląkł.

Komendant klęczał na środku pokoju, wokół twarzy wisiały mu pozlepiane pomadą włosy. W rękę trzymał pędzelek, przed sobą miał duży arkusz papieru rozłożony na podłodze na kawałku materiału i przygnieciony przyciskami. Czuć było zapach świeżo startego tuszu. Yozo widział bladą twarz komendanta, szeroki nos i surowe czoło, zapadnięte oczy i duże usta. Widział pory na jego skórze i czuł piżmowy zapach pomady do włosów.

Dwaj ludzie klęczeli naprzeciwko komendanta. Poderwali głowy, kiedy Yozo otworzył drzwi. Przeszedł go dreszcz, kiedy rozpoznał pieprzyki na policzku Tatsu.

Komendant musiał słyszeć odsuwanie drzwi, ale nawet nie drgnął. Zanurzył pędzelek w tuszu rozrobionym na kamieniu i narysował na papierze czarną linię, unosząc lekko włosie tam, gdzie powinna być cienka, albo przyciskając mocniej w miejscach, gdzie chciał, by była gruba. Zakończył ją zawijasem. Yozo przyglądał się jak zahipnotyzowany. Choć nienawidził komendanta, nie mógł go nie podziwiać.

Z miejsca, w którym klęczał, odczytał pierwsze znaki. „Choć moje ciało zgnije na wyspie Ezo...” Słowa niemal wychodziły z papieru, wbijały się w jego mózg. Przed oczami znów miał zwłoki Kitora skąpane w świetle księżyca. W końcu wszyscy zgniją na tej przeklętej wyspie.

Komendant wyplukał pędzelek, wytarł i odłożył. Posypał papier piaskiem, strząsnął nadmiar i przez chwilę klęczał, przyglądając się swemu dziełu. Potem odwrócił się powoli i popatrzył na trzech mężczyzn klęczących w progu.

- Tajima - powiedział łagodnie, jakby wcale nie zaskoczyło go przybycie Yoza. - Napisałeś już swój poemat śmierci?

Yozo nie mógł wykrztusić ani słowa. Krew waliła mu w uszach.

- Toczemy przegraną walkę w imię rządu, który już nie istnieje - ciągnął komendant z powagą. - Po upadku szoguna byłoby hańbą, gdybyśmy nie zginęli za niego. Stoczę najlepszą bitwę mego życia i umrę za mój kraj. Czy mężczyzna może prosić o większą chwałę?

Yozo tak mocno ścisnął rękojeść miecza, że oplot wbijał mu się w dłoń. Teraz miał szansę pomścić Kitara. Zebrał wszystkie siły, odetchnął głęboko i już miał skoczyć, kiedy za jego plecami pojawiła się masywna postać.

- Przepraszam, panie - Marlin położył rękę na ramieniu Yoza, ale zwracał się do komendanta. Mówił z tym swoim dziwnym francuskim akcentem. - Mój przyjaciel przybył przekazać ci wieści. Podobno południowcy przejęli pancernik i zamierzają przysłać tu flotę, gdy tylko pogoda się poprawi. Jeśli będziemy działać wspólnie, może uda nam się ich pokonać. Armia francuska jest najlepsza na świecie, a południowcy mają tylko angielską broń. Nie ma powodu do rozpacz. Zniszczymy tych drani.

Yozo nadal patrzył na komendanta.

Uważaj, Yamaguchi, nie jesteś nieśmiertelny, pomyślał. Jesteś człowiekiem jak my wszyscy. Poczekam na okazję, ale mój czas nadejdzie. Znajdę sposób, by pomścić śmierć przyjaciela.

Drżąc z wściekłości i nienawiści, wstał. Wciąż czując dłoń Marlina na ramieniu, wyszedł z pokoju komendanta.

Hana obudziła się, z niewiadomego powodu czując podniecenie. Świtało, powietrze pachniało wiosną, a jednak w apartamentach Tamy wszyscy jeszcze spali. Pokojówki i praktykantki leżały na podłodze w pokoju przyjęć, a Tama w swojej sypialni z ostatnim tej nocy kochankiem.

To była zbyt dobra okazja, by jej nie wykorzystać. Hana przebywała w Yoshiwarze na tyle długo, by wiedzieć, że nie pozwolą jej dalej tylko siedzieć w klatce. Wkrótce zaczną oczekiwać od niej więcej - dużo więcej. Trzeba wykorzystać szansę i jeszcze raz spróbować uciec, bez względu na konsekwencje.

Włożyła prosty kaftan i bawełniane skarpetki, przekradła się przez skrzypiący korytarz i zbiegła na dół. Przy wyjściu zawahała się, przypomniała sobie z drzeniem, jak stojąc tu poprzednim razem, słyszała za sobą tupot pogoni, a potem na jej plecy spadał kij. Dziś jednak nikt się nie zjawił, a hol był ciemny i pusty. Widziała tylko półki na sandały. Włożyła jakieś na nogi i odsunęła kotarę zasłaniającą wyjście.

Na zewnątrz ujrzała niesamowicie błękitne niebo i usłyszała śpiew ptaków. Pachnąca bryza poruszyła jej spódnice. Koło drzwi przykucnął służący, pochrapując cicho. Rozejrzała się wokoło, podniecona wolnością, choćby miała się okazać chwilowa.

Wokoło snuli się ludzie - chudzi sprzątacze wymachiwali miotłami, tragarze uginali się pod ciężarem tobołków dźwiganych na kijach, a żalosne krzywonogie stworzenia wносиły z sapaniem kubły nieczystości. Jakiś mężczyzna wyszedł na ulicę, wyglądał tak, jakby dopiero teraz sobie uświadomił, jak jest późno.

Kiedy odwrócił się w jej stronę, zauważyła przekrwione oczy i ciemny zarost na twarzy. Cofnęła się w cień, przekonana, że wszyscy na nią patrzą.

Nagle rozległ się huk, głośny jak grzmot. Hana podskoczyła i zadarła głowę, pewna, że to pogoń, ale to tylko służące otwierały okiennice w domu naprzeciwko. Hana po raz pierwszy widziała za dnia tę ulicę. Budynki wyglądały jak pałace, były wielkie i wspaniałe, miały drewniane ściany z listewek. Nigdy dotąd nie widziała równie imponujących domów. Przed wielkimi wejściami kotary powiewały na wietrze jak chorągwie, na wyższych piętrach były balkony, na których już pojawiali się ludzie. Ulica sprawiała wrażenie zmiętoszonej, jakby wyczerpanej po nocnej zabawie.

Na jasnobrązowych kotarach domu, z którego właśnie wyszła, widniała jego nazwa: Tamaya.

Oglądając się przez ramię i zatrzymując co chwila, by nasłuchiwać pogoni, na wpół przeszła, a na wpół przebiegła do wylotu ulicy. Za rogiem ujrzała szeroki bulwar, wzdłuż którego rosły śliwy pokryte pąkami. Ze straganów z jedzeniem unosił się dym, powietrze napełniał zapach pieczonych wróbli i ryby, i gotującego się gulaszu warzywnego. To był ten sam bulwar, którym szła kilka miesięcy temu z Fuyu, kiedy przybyła do Yoshiwary. Miała wrażenie, że to było w innym życiu.

Na końcu bulwaru wznosiły się mury miasta, za wysokie, żeby zdołała się na nie wspiąć. Wielka Brama była otwarta, a strażnik przykucnął w słońcu, drzemiąc. Na jego masywnych udach pyszniły się tatuaże. Hana wiedziała, że dzień i noc bramy pilnuje czterech strażników, żeby żadna kobieta stąd nie uciekła, a mężczyźni nie ulatniali się bez płacenia, ale w tej chwili widziała tylko tego jednego. Obejrzała się w prawo i w lewo, a potem ruszyła tak pewnie, jak tylko mogła.

Znajdowała się już blisko, kiedy z jednego z domów wybiegła jakaś kobieta. Czerwone kotary nad wejściem powiewały za nią jak skrzydła. Zaskoczona Hana aż podskoczyła, ale kobieta uśmiechnęła się do niej szeroko.

- Witam w Chryzantemowej Herbaciarni! - wykrzyknęła.
- Proszę wejść, proszę wejść! Jestem Mitsu, a to moja herbaciarnia. Tak się cieszę, że wreszcie się poznałyśmy.

Hana skłoniła się, skonsternowana. Nigdy w życiu nie widziała tej kobiety.

- Hanaogi - sama, prawda? Ta młoda dama, o której wszyscy mówią? - trajkotała kobieta. Była maleńka i podobna do ptaka, miała delikatną, nadal piękną twarz i białe włosy, uczesane w nieskazitelny kok. - Zasypują mnie pytaniami o ciebie.

Hana patrzyła na nią zaskoczona. Nie sądziła, że wieści rozchodzą się tak szybko. Inna kobieta wyszła z za zasłony sąsiedniego domu, potem jeszcze jedna z kolejnego, aż wokół Hany zebrał się cały tłumek. Przedstawiały się jedna przez drugą.

Mitsu zaśmiała się wysokim, przenikliwym śmiechem i odprawiła je ruchem ręki.

- Chryzantemowa Herbaciarnia jest najlepsza w Yoshiwarze - oświadczyła stanowczo tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Możesz być pewna, że każdy mężczyzna, którego polecę, będzie wart twego zainteresowania. A teraz wejdź, zapal fajkę i napij się herbaty!

Wszelka nadzieja na ucieczkę rozwiała się, przynajmniej jeśli chodzi o dzień dzisiejszy, a jednak Hana poczuła dziwną ulgę. W końcu gdyby ją złapano, znowu dostałaby baty, a poza tym nie miała pojęcia, dokąd mogłaby pójść. Nagle pomyślała o kobiecie o słodkiej twarzy, która uczesała ją i dała jej grzebyk chroniący przed wyborem.

- Następnym razem z chęcią wejdę - powiedziała z uśmiechem. - Ale dziś szukam Otsune, fryzjerki. Czy wiesz może, gdzie ona mieszka?

* * *

Domy przy brudnej uliczce, gdzie mieszkała Otsune, były małe i skromne, upakowane tak gęsto, że do ziemi nie docierał ani jeden promień słońca. Hana podeszła do drzwi oznaczonych imieniem Otsune, odsunęła je i zajrzała do środka.

W kątach i na półkach stały pudła pełne grzebieni, szpilek i prostownic do włosów oraz pasm niedźwiedziego włosia, a także tubek oleju kameliowego i wosku. Małe pomieszczenie wypełniał paskudny swąd spalonych włosów, farby i dymu.

Otsune klęczała przy niskim stoliku, w ręku trzymając pasmo włosów. Pracowała nad peruką. Podniosła głowę i rozpromieniła się na widok Hany. Była ubrana w pasiaste kimono w kolorze granatowym z watowanym kołnierzem. W ceramicznym piecyku na środku pokoju żarzyły się węgle, dwie świece rozpraszały cienie.

Otsune napełniła imbryk i podała Hanie filiżankę herbaty. Kiedy to robiła, na jej twarz padł promień światła, podkreślając zmarszczki na jej czole i w kącikach ust. To dość smutna twarz, pomyślała Hana.

Popijając herbatę, zaczęła opowiadać Otsune o niezwykłym spotkaniu z Mitsu i właścicielkami herbaciarni.

- Bardzo dobrze ci idzie - stwierdziła Otsune, kiedy skończyła. - Ciotka z Tamaya będzie bardzo zadowolona.

Hana wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy fryzjerka zapyta, dlaczego włóczy się sama po ulicach, ale najwyraźniej jej to nie obchodziło.

- Herbaciarnie są bardzo ważne - ciągnęła Otsune. - To tam mężczyźni chodzą umawiać się na spotkania. Niektórzy zawsze odwiedzają tę samą kobietę, inni próbują wielu, a jeszcze inni chcą sobie zarezerwować czas sławnej kurtyzany, ale na to muszą mieć wiele pieniędzy. Jeśli nie wiedzą, o kogo prosić, właścicielka herbaciarni rekomenduje im kogoś. Nawet mężczyźni, którzy widzieli cię w klatce, muszą cię

zarezerwować za pośrednictwem herbaciarni. Mitsu była najślawniejszą kurtyzaną w całej dzielnicy i nadal jest tu legendą. Kiedy się wycofała, jej patron kupił jej Chryzantemową Herbaciarnię, która teraz jest najpopularniejsza w mieście. Mitsu ma najlepsze koneksje, a jej lokal odwiedzają najlepsi klienci. Jeśli Mitsu cię lubi, wszystko będzie dobrze.

Wiosenny wietrzyk wpadał przez szczeliny w ścianach domu. Hana owinęła się ciasniej kaftanem. Skoro ma zostać w Yoshiwarze, musi znaleźć sposób, by uczynić swoje życie znośnym. Na przykład takiej Tamie wiodło się całkiem nieźle.

- Zauważyłam, że Tama nie sypia ze wszystkimi klientami, nawet jeśli jej płacą - powiedziała w zamyśleniu. - Widziałam, jak czasami siedzi i pije z kimś sake, rozmawia i flirtuje, a po godzinie odprawia go z kwitkiem.

- Ach, ale Tama jest tu od dawna, od dziecka, i jest bardzo sprytna. Opanowała wszystkie sztuczki: jak rozmawiać, jak się zachowywać, jak zadowalać stare damy, które wszystkim tu rządzą. Potrafi tańczyć i układać poematy, śpiewać i przeprowadzać ceremonię picia herbaty. Ale i tak to bez znaczenia. Nadal ma wielki dług i oddałaby wszystko, żeby ktoś wykupił jej wolność. Sypia z bogatymi klientami, oczywiście. Kobiety naszej profesji nie stać na zbytnią wybredność.

- Naszej profesji... - Hana spojrzała na nią uważnie.

Drzwi odsunęły się i wyjrzała zza nich chuda, uśmiechnięta twarz chłopca. Za nią pojawiła się chuda szyja i także pierś. Otsune podniosła się, wzięła torebkę i dała przybyszowi kilka monet. Zniknął i wrócił chwilę później z dwoma miseczkami parującego makaronu.

- Czytałam, że w dawnych czasach niektóre kurtyzany w ogóle z nikim nie sypiały, chyba że ktoś się im spodobał - powiedziała Hana, biorąc miseczkę w obie dłonie i napawając

się zapachem. Jeśli mam zostać w Yoahiwarze, pomyślała, chcę być właśnie taką kurtyzana.

Otsune odstawiła swoją miseczkę i zaniósła się śmiechem.

- Wszystkie mają na to nadzieję, a ty, przy swojej urodzie, może zdołasz to osiągnąć, ale szanse są nikłe. Większość z nas przyjmuje takich klientów, jacy się zjawiają. Pamiętaj, że to tylko praca, i napełniaj mu ciągle miseczkę sake, a zaśnie, nim do czegoś dojdzie. To zawsze dobrze działa. Jest też wiele sposobów na przyspieszenie całej sprawy. Tama jest w tym specjalistką. Nawet ja mogę udzielić ci wskazówek.

Położyła chudą rękę na błyszczącej broszy na kołnierzu kimona i pogładziła ją lekko, uśmiechając się do siebie, jakby myślała o jakimś przyjemnym sekrecie.

- Najważniejsze jest to, byś nigdy nie zapomniała, że to tylko praca. Zawsze powtarzamy to nowym dziewczynom. Przede wszystkim nie oddawaj nikomu serca. Niebezpieczeństwa nie stanowi to, że niekiedy musisz się kłaść z okropnymi mężczyznami, ale to, że stracisz dla kogoś serce. Zawsze to jest ktoś nieodpowiedni - młody i przystojny, którego nie stać na ciebie. Przyjdiesz wtedy do mnie z płaczem, pytając, co robić. A jeśli chodzi o sypianie z klientami, może ci się to nawet spodobać. Miałaś męża i sypiałaś z nim, prawda?

Hana poruszyła się niespokojnie.

- Ja... ledwie go znałam. - szepnęła. - A on mówił do mnie tylko: „Naszykuj mi kąpiel! Przynieś mi herbatę!”.

Przypomniwała sobie jego twarz, mroczną i pełną złości. Niemal poczuła zapach jego pomady do włosów. Kiedyś zamierało jej od niego serce. Mąż warczał tylko: „Kąpiel! Herbata! Obiad! Co? Jeszcze nie gotowy?”. A potem przyciskał jej czoło do podłogi, bił ją i kopał. W nocy wbijał się w nią tak mocno, że musiała zaciskać zęby, żeby nie krzyczeć z bólu. Jeśli spędził w domu dłużej niż dwa dni,

zaczynał się dopytywać, czy nosi już jego dziecko, i wybuchał gniewem, że jeszcze nie dała mu syna.

W jego domu była tylko służącą, teraz to rozumiała. Sprzątała i gotowała, zносиła połajanki i kuksańce od jego matki. Kiedy wybuchła wojna, to jakby bóg nastąpił na ich małe mrowisko i położył kres dawnemu światu i wszystkiemu, co w nim pewne. Choć wówczas wydawało się to zdradą, poczuła wielką ulgę, kiedy mąż poszedł walczyć. Bycie kurtyzaną nie mogło być gorsze od bycia żoną.

- Wcale go nie obchodziłam - wymamrotała.

- Mojemu na mnie zależało - szepnęła Otsune, gładząc swoją broszę. Hana z zaskoczeniem zobaczyła w jej oczach łzy. - Zależało mu na mnie.

Na ulicach rozbrzmiewały kroki przechodniów, wysokie głosy kobiet dobiegały z sąsiednich domków. Wieczko na imbryku wiszącym nad piecykiem zaczęło podskakiwać.

- Twojemu mężowi? - spytała Hana cicho.

- Mojemu patronowi - Otsune zdjęła broszę i pokazała jej. To był mały, wyblakły kawałek materiału, wystrzępiony na brzegach, z wyszytym czarnym ptakiem trzymającym w dziobie zielonego węża. Z obszycia zwisała srebrna moneta. Po jednej stronie widniały słowa, zbyt wytarte, by dało się je przeczytać, po drugiej profil mężczyzny o ostrym nosie i spiczastej brodzie. Hana nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego.

- Dał mi to, żebym o nim pamiętała - wyjaśniła Otsune stłumionym głosem. Mówiła tak cicho, że Hana musiała się ku niej pochylić, żeby coś usłyszeć. Zapadło długie milczenie. - Nim tu przybyłam, byłam konkubina człowieka, który pracował dla pana Okudono. Nienawidziłam go, ale moi rodzice byli biedni i sprzedali mu mnie. Tylko tak mogliśmy przeżyć.

Hana patrzyła na broszę, słuchając cichych słów Otsune. Nie sądziła, że w głosie można zawrzeć tyle bólu.

- Trzy lata temu mojemu panu polecono wrócić na wieś. Zostawił mnie w Edo bez pieniędzy i bez jedzenia. Chodziłam po mieście przez trzy dni, aż znalazłam pusty dom, położyłam się tam i czekałam na śmierć.

Drobna twarz Otsune wyglądała blado w mrocznym pokoju.

- Zobaczył mnie pewien mężczyzna i dał mi kilka kulek ryżu. Powiedział, że da mi więcej, jeśli będę się z nim kłaść, więc się zgodziłam i skończyłam tutaj. Byłam niskiej klasy prostytutką w domu Yamatoya na Kyomachi 2 - to był tani dom, nie taki jak Tamaya. Zwykle siedziałam w klatce, tak jak ty teraz, ale mężczyźni woleli młodsze ode mnie. Nie byłam taka jak Tama. Nie wiedziałam, jak sprawić, żeby mnie pożąдали. A potem, pewnego dnia, pojawił się on. Był... - zawahała się.

- Był...? - zachęciła ją Hana, wstrzymując oddech.

Otsune pokręciła głową, wzięła broszę i trzymała ją przez chwilę, a potem wpięła z powrotem w kołnierz.

- Prosił o mnie raz po raz, a potem powiedział, że nie chce, bym sypiała z innymi. Kupił moją wolność i ten dom dla mnie. Wszystko, co mam, on mi podarował. - Otarła oczy rękawem i ponownie napełniła imbryk.

Hana pogładziła ją po ramieniu. Pod watowanym kimonem Otsune była chuda, istny szkielet. Hana chciała zapytać, co się stało z jej patronem i dlaczego, skoro tak mu na niej zależało, odszedł, ale Otsune milczała. Być może on również poszedł na wojnę, pomyślała Hana. Rozejrzała się. Teraz, kiedy jej oczy przywykły do nędznego światła, zauważyła oznaki obecności mężczyzny - parę wielkich butów wepchniętą w głąb półki na sandały i ciemnoniebieskie obi, które wyglądało na męskie.

Są gorsze rzeczy niż zostanie pierwszą kurtyzaną domu Tamaya, teraz zaczynała to rozumieć. Pomyślała o zrujnowanych domach, które widziała w mieście, i o kobietach sprzedających się przechodniom. Tutaj, za Wielką Bramą, przynajmniej interesy szły dobrze.

Kiedyś zbierała drzeworyty przedstawiające kurtyzany z Yoshiwary, czytała o ich romansach, strojach i fryzurach, podziwiała je, a nawet próbowała naśladować. Pomyślała o swoim ulubionym romansie, Kalendarzu kwitnących śliw, o gwałtownych uczuciach Ocho i Yonehachi. Kiedyś pragnęła równie romantycznego życia. Tak sobie zawsze wyobrażała Yoshiwarę.

A teraz sama tu była.

No i był jeszcze ten mężczyzna poznany u Kaoru. Wiedziała, że jest południowcem i wrogiem, ale, jak patron Otsune, był dla niej miły. Nadal pamiętała jego szeroką twarz i pełne usta wygięte w uśmiechu, a także delikatne dłonie o długich palcach. Spotkała w życiu tak niewielu mężczyzn, że wyobrażała sobie, iż każdy klient, z którym będzie musiała się położyć, będzie potworem. Ale nie byłoby źle kłaść się z kimś takim jak on.

Odetchnęła głęboko i wyprostowała ramiona. Teraz to jest jej życie, przynajmniej chwilowo. Być może znajdzie nawet sposób, żeby odnaleźć szczęście.

Kiedy Hana odsunęła drzwi domu Otsune i wyszła na wąską uliczkę, cienie zaczęły się już wydłużać. Na wielkim bulwarze zapalono latarnie, a pierwsi goście znikali za kotarami herbaciarni. Mężczyźni oglądali się z zaciekawieniem za Haną, kiedy ich mijała, więc pochyliła głowę i skuliła ramiona.

Kiedy dotarła do domu Tamaya, kotarę odsunęła właśnie ręka o pomalowanych na różowo paznokciach. Za nią ukazała się twarz przypominająca maskę. Czarne oczy połyskiwały wśród białej farby, gdy Kaoru wyszła, szeleszcząc jedwabiem. Rąbek kimona tańczył u jej stóp.

- Przepraszam za wtargnięcie - szepnęła Hana, kłaniając się nisko. Miała na myśli wieczór, kiedy wpadła niezaproszona do pokoi Kaoru. Od tamtej pory jej nie widziała.

Kaoru patrzyła wyniośle w dal. Wyglądała wspaniale w pięknie haftowanych kimonach i z włosami upiętymi w błyszczący węzeł ozdobiony grzebieniami, klejnotami i szpilkami. Wysokie drewniaki sprawiały, że górowała nad wszystkimi, jak domagająca się czci bogini na ołtarzu. Mężczyźni zatrzymywali się, żeby popatrzeć, ale zachowywali pełen szacunku dystans.

Kaoru otwarła pomalowane na czerwono usta, ukazując nienagannie wypolerowane czarne zęby.

- Mówiłaś, że chcesz poznać wiadomości z frontu?

- Tej nocy, kiedy tu przybyłam, słyszałam, jak mówiłaś o statkach, które wypłynęły - szepnęła Hana, świadoma, że twarz Kaoru złagodniała nieco.

Ta kobieta zachowywała się jak żona albo konkubina daimyo, jakby kiedyś rządziła wielkim domem. Hana zastanawiała się, czy nie była przypadkiem jedną z dam szoguna. Upaść z tak wysoka i skończyć w Yoshiwarze to

musiało być dla niej ciężkie przeżycie. Jeśli to prawda, pozostała jej tylko дума. Być może dlatego tak kurczowo się jej trzymała.

- Mogę ci powiedzieć coś jeszcze - powiedziała Kaoru. - Wylądowali na Ezo i zajęli połowę wyspy. Może nawet pewnego dnia wrócą i zaczną nas szukać. - Na jej pięknej twarzy pojawił się wyraz bólu. - A jak sądzisz, co zrobią, kiedy nas znajdą? Kiedy dowiedzą się, że uprawialiśmy miłość z ich wrogami? Wszystko jedno, czy wygramy, czy przegramy, jesteśmy skończone. Nasze życie dobiegło końca, twoje i moje. - Opanowała się i wyprostowała dumnie. - Od tej chwili trzymaj się swojej części domu, z dala od moich klientów. Jeśli będziesz miała szczęście, może znajdziesz własnych.

Przygnębiona Hana ruszyła przez dom do pokoi Tamy. Kiedy otworzyła drzwi, dosięgła ją fala zapachu perfum, kosmetyków, wosku i kwaśny odór czarnego lakieru do zębów. W piecyku na środku pokoju tliły się węgle, zapalono świece i lampy. Najpiękniejsze kimona Tamy wisiały na ścianach na wieszakach, a ich grube watowane rąbki falowały, ukazując niezwykle hafty. Luksusowe brokaty ze złotą i srebrną nicią połyskiwały w migotliwym świetle. Wszystko to sprawiało wrażenie niezwykłego przepychu.

Hana uśmiechnęła się. Jak na gust samurajów było tu szokująco wulgarnie. Pamiętała ciemne i puste pokoje w najwspanialszych rezydencjach samurajów, jakie zdarzyło jej się odwiedzić. Nawet pałac szoguna nie był tak ozdobiony jak ten pokój, pomyślała. Nigdy nie widziała czegoś takiego przed przybyciem do Yoshiwary. To wyglądało raczej na podmorski pałac króla smoka, a nie ziemskie domostwo. Nieoczekiwanie poczuła, że to się jej podoba.

Praktykantki szykowały się na wieczór, rozmawiały między sobą wesoło. Kiedy zobaczyły Hanę, przesunęły się,

by zrobić jej miejsce przed lustrem. Zauważyła, że patrzą na nią dziwnie, ale żadna nie pyta, gdzie była.

Tama popijała herbatę, na ramiona narzuciła szlafrok. Dość pospolitą twarz miała zaczerwienioną jak po kąpieli. Ziewnęła i zaciągnęła się fajką, jakby nie zwróciła uwagi, że Hany nie było.

- A więc poznałaś Mitsu - stwierdziła.

Hana skłoniła się nisko. Tama była jej sprzymierzeńcem, teraz to rozumiała. Musiała za wszelką cenę utrzymać jej przychyłność.

- Z pewnością nie urodziłaś się, by być żoną - ciągnęła Tama, patrząc na nią surowo. - Wiedziałam o tym, jak tylko cię zobaczyłam. Wyglądasz jak domowy kot, ale nim nie jesteś. Masz pazury jak ja. A to czyni cię dobrą kurtyzaną.

Hana odetchnęła. Tama była sprytna i przebiegła. Nierozsądnie byłoby mówić wprost.

- Wiem, że nigdy nie będę tak dobrą kurtyzaną jak ty - powiedziała, zdając sobie sprawę, że też musi być przebiegła, jeśli ma przeżyć w tym nowym świecie. - Ale chciałabym się uczyć. Czy zechcesz być moją nauczycielką?

Tama spojrzała na nią kątem oka i uśmiechnęła się.

- Tak się cieszę, że zaczynasz myśleć jak ja. - Zaciągnęła się dymem. - Ale to przecież ty miałaś być tą mądrą. Potrafisz czytać i pisać, prawda? Coś jeszcze?

- Umiem dość dobrze tańczyć i śpiewać, i grać na koto. Potrafię przeprowadzać ceremonię picia herbaty i grać w grę kadzideł...

- Czegóż jeszcze potrzebujesz? - spytała Tama złośliwie. - Niczego więcej nie mogę cię nauczyć.

Z zewnątrz dobiegły je nawoływania domokrażcy. Tama kazała Chi - dori pobiec i kupić lekarstwa.

- Czy kurtyzana nie powinna posiadać szczególnej wiedzy? - szepnęła Hana, a twarz jej pałała.

Tama wytrząsnęła zawartość fajki do pudełka i spojrzała tajemniczo na swą rozmówczynię.

- Chcesz się nauczyć, jak śpiewać w nocy, prawda? - spytała, a Hana kiwnęła głową. - No cóż, wiedzą coś o tym ptaki w klatkach. Shosanuro zamówił mnie na dzisiaj. Zajrzyj w nocy do sypialni. To wykształcony kochanek, bardzo namiętny, prawdziwy mistrz. Możesz się przyglądać przez całą noc, jeśli chcesz. - Zmrużyła oczy, aż zaczęły przypominać szparki, i oblizała usta. - Tak, masz rację, są rzeczy, których mogę cię nauczyć. Tego, jak jadeitowa kolumna porusza struny lutni, czterdziestu ośmiu pozycji, wszystkich tajników miłości. Możesz stać się mistrzynią, a nawet jeśli nie, na pewno zdołam cię nauczyć, jak się bawić.

Wzięła kulkę tytoniu i ugniotła ją w palcach, po czym wsunęła do maleńkiej główki fajki o długim cybuchu, wzięła szczypcę, wyjęła węgielek z piecyka i zapaliła tytoń.

- Ale większość mężczyzn pragnie marzenia - dodała.

W świetle ognia jej twarz wydawała się poważna, niemal smutna. Hana zauważyła pierwsze zmarszczki, lekko obwisłe policzki i worki pod oczami. Tama już traci urodę, pomyślała.

- Chcą się czuć młodzi, przystojni i pożądanym, bez względu na to, jak są starzy i brzydzy. Chcą wierzyć, że są bystrzy i dowcipni, że są najbardziej pożądanymi mężczyznami na ziemi. Chcą, żebyśmy patrzyły im w oczy, jakbyśmy nie mogły znieść rozstania, jakbyśmy były gotowe oddać wszystko, byle spędzić z nimi choć chwilę dłużej. Spraw, by mężczyzna to poczuł, a będzie twój na zawsze. - W zadumie zaciągnęła się dymem. - Nauczysz się szybko, a przy twojej twarzy i sposobie zachowania mężczyźni zaczną o ciebie walczyć. Nieco oglądy podniesie jednak twoją atrakcyjność.

Za drzwiami rozległy się kroki. Tama otworzyła szerzej oczy i zmarszczyła czoło. Hana poczuła, jak panika ściska jej

żołądek. Ojczulek musiał odkryć, że włóczyła się po ulicach, i szedł ją ukarać.

Kiedy drzwi się odsunęły, kobiety oparły ręce na podłodze i przycisnęły twarze do ziemi.

- Znowu tracisz czas! - rozległ się znajomy głos.

Drżąc, Hana podniosła wzrok i spróbowała nie cofnąć się na widok tłustej twarzy i małych chciwych oczek ukrytych w fałdach skóry.

- Jeszcze nie ubrana, młoda damo? - Patrzył prosto na nią.
- Kilku panów pragnie cię poznać.

Hana rzuciła Tamie zrozpaczone spojrzenie, ale ta patrzyła w podłogę. Nawet ją zastraszyli.

- Mówiono nam, że jesteś dziewicą - stwierdził ojczulek z lubieżnym uśmiechem.

Hanie serce waliło jak młotem. Spróbowała coś powiedzieć, lecz zaschło jej w gardle.

- Ale... - wychrypiała. - Ja nie...

- Nikt się tym nie przejmuje - warknął ojczulek. - To standardowe postępowanie.

Tama przysiadła na piętach, uniosła fajkę do ust, zaciągnęła się i wydmuchała kółko dymu. Zawisło nad jej głową, po czym powoli rozwiało się w powietrzu.

- To moja protegowana - powiedziała, patrząc ojczulkowi w oczy. - Oddaliście mi ją pod opiekę i dopiero zaczynam ją szkolić. Możemy wiele zyskać, jeśli trochę zaczekamy.

- Nie jest już dzieckiem. Kto uwierzy, że jest dziewicą, jeśli będziemy zwlekać?

Mając Tamę po swojej stronie, Hana była gotowa stawić czoło każdemu, nawet ojczulkowi. Pomyślała o tym, co starsza kurtyzana mówiła o marzeniach mężczyzn.

- Pozwól mi zabawiać tych panów - powiedziała cicho. - Pozwól mi pić z nimi, rozmawiać, tańczyć, śpiewać i przeprowadzać ceremonię picia herbaty. Sprawię, że uwierzą,

iż naprawdę chcę ich poznać, i dopiero wtedy zdecyduję, z kim chcę się kłaść. Poczują się wtedy wyjątkowi. Jeśli nie będą mogli zlec ze mną od razu, będą wracać, aż dopną swego. Czy nie powinnam zostać właściwie przedstawiona w dzielnicy? Czy nie tak to się robi?

Za ramieniem ojczulka pojawiła się wyschnięta twarz ciotki. Świece zamigotały, podkreślając jej obwisłe policzki i puste, okropnie umalowane oczy. Potem światło się zmieniło i przez chwilę Hana widziała piękność, jaką ciotka była kiedyś.

- Mówiłam ci, ojczulku, ona ma w sobie ducha - wymruczała stara kobieta. - I słusznie mówi, potrzebny jej prawdziwy debiut. Interesy idą fatalnie, absolutnie fatalnie. Potrzebujemy czegoś, co przypomniałoby klientom o dniach, kiedy Tamaya była chlubą Yoshiwary. Przy odrobinie szkolenia ta mała zostanie gwiazdą. Znajdziemy jej doskonałego patrona, który wiele zapłaci.

Ojczulek przyjrzał się Hanie podejrzliwie.

- Jeśli potrafisz zarabiać, nie sypiając z nikim, niech i tak będzie. Ale jeśli za kilka dni nie zostaniesz ponownie zamówiona, trafisz do klatki.

Hana kiwnęła głową, wdzięczna za odroczenie. Pomyślała o młodym człowieku o szerokiej twarzy i delikatnych rękach. Jeśli wystawią na sprzedaż jej dziewictwo, miała nadzieję, że złoży najwyższą ofertę.

Kitaro leżał w grobie już od miesiąca, kiedy wreszcie wiśnie zakwitły. Chmury jasnoróżowych kwiatów unosiły się nad terenem Gwiazdzistego Fortu i opadały na ziemię, ścieląc się jak dywan. Stada mew przelatywały z krzykiem, po niebie szybowały myszołowy, śpiewały skowronki, a wielkie wrony o oczach jak żółte paciorki krakały rozgłośnie. Wyspa Ezo stała się dla Yoza domem, czymś, o co warto walczyć.

Wraz z kwiatami wiśni nadeszły wieści, że osiem okrętów nieprzyjaciela wypłynęło z Edo i zdąża na północ. Czujki dzień i noc obserwowały horyzont, kierując lunety na wejście do portu, ale nic się nie działo, nie pojawił się ani jeden wrogi okręt.

Pewnego pięknego wiosennego poranka Enomoto zwołał w kwaterze prezydenckiej zebranie. Kiedy Yozo przyszedł na miejsce, w wejściu do budynku stały rzędem słomiane sandały i skórzane buty. Przywódcy nowej republiki przyszli w swoich mundurach ze stójkami, wypolerowanymi guzikami i mieczami za pasem. Cichy, poważny generał Otori, obecnie minister armii, stał obok Arai, ministra marynarki, tyczkowego mężczyzny z przedwcześnie przerzedzonymi włosami i oczami, które niemal wychodziły mu z orbit, gdy był podekscytowany. Obecnych było też trzech z dziewięciu francuskich doradców; wyglądali olśniewająco w przewiązanych pasami niebieskich kurtkach ze złotymi epoletami i w czerwonych spodniach - elegancki kapitan Jules Bruner, obecnie zastępca dowódcy armii, oraz sierżanci Marlin i Cazeneuve, dwaj dowódcy batalionów. Wszyscy, i Japończycy, i Francuzi, dopiero niedawno przekroczyli trzydziestkę. Rozmawiali głośno i z zapalem, a oczy im błyszczały gorliwością dla sprawy.

Komendant Yamaguchi stał trochę z boku, przyglądał się wszystkim z uwagą. Yozo obserwował go zmrużonymi

oczami. Po raz pierwszy od czasu śmierci Kitara znalazł się w jego towarzystwie.

Na stole na środku pokoju rozłożono mapy. W stosie książek obok znajdowały się dwa cenne tomy o strategii morskiej, które Enomoto przywiózł z Holandii i ocalił z „Kaiyo Maru”. Inny gruby tom, Regles internationales et diplomatie de la mer, leżał otwarty przy mapach.

Enomoto uniósł rękę i w pokoju zapadła cisza.

- Panowie - powiedział. - Dostaliśmy wieści. - Mówił z powagą, jak przystało na generała gubernatora Republiki Ezo, ale w oczach miał blask, a na ustach cień uśmiechu. - Jak wiecie, siły Południa są w drodze. Wygląda jednak na to, że nie potrafią nawigować „Stonewalla”. Wpadli w kłopoty, jak tylko opuścili Edo, wpłynęli do zatoki Miyako i nie ruszyli się stamtąd do tej pory. Załoga dostała przepustki na ląd.

Zebrani popatrzyli na niego, a potem na siebie. Minister marynarki Arai wybuchnął śmiechem, reszta zaczęła chichotać. Nawet komendant się uśmiechnął.

- Bez wątplenia czekają na poprawę pogody - stwierdził Arai, kiedy śmiech przycichł.

- Co za żeglarze! - parsknął kapitan Brunet. - A nam się udało tu dopłynąć w środku zimy!

- Załoga na pewno dobrze się bawi w miejscowych burdelach - dodał Arai. - Jeszcze długo o nich nie usłyszymy!

- Słuchajcie, panowie - przerwał im Enomoto. - Nie będziemy dłużej siedzieć i wyglądać przybycia południowców. Podejmiemy walkę. Arai i komendant przygotowali plan.

- Mamy tylko sześć okrętów od czasu utraty „Kaiyo Maru”, a ani „Shinsoku”, ani żaden inny nie są tak potężne jak „Stonewall” - zauważył trzeźwo generał Otori.

- „Stonewall” jest kluczem - stwierdził komendant. Rozejrzał się po pokoju, oczy mu błyszczały. - Musimy go

tylko odebrać wrogom, a wygramy wojnę. Zresztą nawet jeśli nam się nie uda, wyrządzimy im poważne szkody.

W pokoju zapadła cisza.

- Południowcy myślą, że się tu ukrywamy - ciągnął komendant. - Pokażemy im, jak bardzo się mylą. Weźmiemy „Kaiten”, „Banryu” i „Takao” i popłyniemy do zatoki Miyako...

- ... pod amerykańską flagą! - wpadł mu w słowo Arai. - Prawo międzynarodowe dopuszcza taki podstęp. - Uderzył ręką w Regles internationales, wzbijając chmurę kurzu z pożółkłych stronic.

- W ostatniej chwili wciągniemy naszą banderę - kontynuował komendant podniesionym głosem. - „Banryu” i „Takao” popłyną do „Stone walla”, a „Kaiten” będzie je osłaniał ogniem z dział. Wejdziemy na pokład, uwięzimy załogę, przejmiemy okręt i wrócimy do Hakodate, nim ktoś się zorientuje, co się stało.

Zdaniem Yoza plan był co najmniej lekkomyślny, co do tego nie miał wątpliwości, ale takie plany są zwykle najlepsze. Mimo okazywanej radości, wszyscy byli świadomi, że południowcy mają nad nimi wielką przewagę liczebną i że wkrótce popłyną na północ przepędzić ich z wyspy i zniszczyć nową republikę, chyba że to oni wykonają pierwszy ruch. Tęsknili do walki, a pomysł zaskoczenia południowców wydawał im się genialny.

Żołnierze też rwali się do akcji. Ćwiczyli już tak długo walkę na miecze i strzelanie, że chcieli wreszcie zobaczyć wroga. Podstępny atak mógł się powieść, a nawet jeśli nie - no cóż, musieli przecież coś zrobić. Nie mogą w nieskończoność siedzieć i czekać, aż wróg wypłoszy ich z kryjówek. Niech zwierzyna stanie się myśliwym! Pokażą południowcom, że są siłą, z którą trzeba się liczyć. Jeśli im się uda przejąć „Stonewalla”, będą rządzić morzem wokół Ezo. Tak, pomyślał

Yozo, to ryzyko, które warto podjąć. Przy odrobinie szczęścia mogą obrócić szanse na swoją korzyść i raz na zawsze pokonać południowców.

Przez chwilę słowa komendanta wisiały w powietrzu. Potem mężczyźni zaczęli wiwatować, śmiać się i klepać po plecach.

Jedyną osobą, która zachowała sceptycyzm, był generał Otori.

- Mają osiem okrętów - powiedział, cedząc słowa. - A my wysyłamy trzy?

- Zadziałamy z zaskoczenia - wyjaśnił Enomoto. Oczy mu błyszczały. - „Stonewall” ma pewnie pokład artyleryjski zapchany prowiantem i drewnem opałowym. Nie zdołają dostać się do dział. Zresztą na pewno wygasili kotły. Nim będą gotowi do bitwy, my będziemy już w połowie drogi do domu.

* * *

Kiedy inni wyszli, Yozo został z Enomotem. Generał gubernator wyjął miecze zza pasa i rzucił na podłogę dwie poduszki, a potem otworzył butelkę starej Glendronach i nalał im po szklaneczce.

- Będiesz chciał z nimi popłynąć - powiedział, kiedy tręcili się szklankami.

Yozo usiadł na jednej z poduszek, skrzyżował nogi i napił się ognistego trunku, obracając go w zamyśleniu w ustach. Słońce prześwitywało przez papierowe ekrany i padało na holenderski dywan i meble z różanego drewna. Na chwilę zapomniał, że jest na wyspie Ezo. Wyobrażał sobie, że z przyjaciółmi są z powrotem w Holandii.

- Żołnierzom przyda się taka akcja - stwierdził. - Jeszcze nie toczyliśmy prawdziwych walk, niczego, co można by tak nazwać. Jasne, zajęliśmy Gwiazdzisty Fort i Matsumae, ale to były zwykłe potyczki, a Esashi w ogóle nie walczyło.

Chciałbym zobaczyć na własne oczy potęgę floty Południa i dowiedzieć się, co nam mogą zgotować.

- Szkoda, że ja nie mogę popłynąć - powiedział Enomoto.

- Taka jest cena sukcesu. Generał gubernator Ezo nie może po prostu porzucić stanowiska i ruszyć na jakąś szaloną wyprawę. A co z generałem Otorim?

- Dowodzi garnizonem, a to będzie bitwa morska. Zresztą nie podoba mu się ten plan - Enomoto dopił whisky i popatrzył na Yoza. - Chcę, żebyś popłynął na „Kaitenie”. Nikt nie wie więcej o działach odtylcowych Kruppa niż ty.

Yozo kiwnął głową. Pruskie działa odtylcowe, które przywieźli z Europy, były najnowocześniejsze na świecie, dużo bardziej efektywne niż stare, ładowane przez lufę. Były jednak również mniej pewne i dużo bardziej niebezpieczne w obsłudze. Często zdarzały się wypadki. Oprócz Enomota, Yozo jako jedyny wśród ludzi Północy posiadał szczegółową wiedzę o ich działaniu i potrafił o nie dbać.

Enomoto patrzył w dal.

- Pamiętasz pana Kruppa i jego rezydencję w Essen? - spytał. Yozo przypomniał sobie przemysłowca o długim nosie i szarej brodzie jak łopata oraz jego ekstrawagancki dom i uśmiechnął się szeroko.

- Villę Hugel nazwałbym raczej zamkiem, a nie rezydencją.

Ze wszystkich ich przygód wizyta u Alfreda Kruppa była jedną z najbardziej niezwykłych. Kiedy wraz z trzynastoma kolegami przybyli do Europy, wszędzie chodzący za nimi tłumy i gapiły się na samurajskie spodnie hakama, wypomadowane koki i długie miecze, więc szybko ścięli włosy i zaczęli ubierać się na modłę zachodnią, żeby móc wmieszać się w tłum. Prędko odkryli, że kiedy wkładali stroje samurajów, wszyscy zapominali, że są tylko uczniami, i

traktowali ich, jakby byli wysokiej rangi emisariuszami swego kraju.

Yozo, Enomoto i jeden z ich kolegów, Akamatsu, byli obserwatorami w wojnie o Szlezwik - Holsztyn. Pojechali na linię frontu i zobaczyli tam w akcji nowe pruskie działa polowe. Poprosili o wstęp na teren fabryki broni Kruppa w Essen, ale powiedziano im, że ze względów bezpieczeństwa nie jest to możliwe w czasie wojny. Zamiast tego otrzymali zaproszenie na obiad u legendarnego Alfreda Kruppa.

- Ten ogrom! - wykrzyknął Yozo, wspominając przejażdżkę powozem po gruntach posiadłości, rozległe trawniki, strażników w liberiach, wielkie wejście, magnata z szarą brodą i jego żonę o obfitych kształtach. - Czy pan Krupp nie wspominał, że ma trzysta pokoi?

- Byłem bardziej zdenerwowany niż podczas audiencji u szoguna - zachichotał Enomoto.

- Ta ogromna jadalnia i wspaniała zastawa - dodał Yozo. - Cały czas się bałem, że wezmę nie ten nóż i widelec.

Pamiętał, jak zamarło mu serce, kiedy zaczęli nadciągać służący uginający się pod ciężarem półmisków z ogromnymi kawałami mięsa. Przed przybyciem na Zachód rzadko jadali mięso - japoński jadłospis składał się głównie z ryb - i musieli się przemóc, by okazać, że smakują im ciężkie niemieckie potrawy. Udało im się jednak porozumieć włamanym niemieckim z wielkim przemysłowcem i jego żoną, a później również z jego służącymi, i zdobyli znaczną wiedzę na temat dział odtylcowych.

- Czyli popłynę na „Kaitenie” - stwierdził Yozo, wracając do rzeczywistości. Skrzywił się, gdy uświadomił sobie problem. - Komendant też na nim popłynie, prawda? Jak wiesz, nie jestem z nim w najlepszych stosunkach.

Enomoto wyprostował się i popatrzył ostro na Yoza. Nie był już przyjacielem, tylko przełożonym.

- Komendant Yamaguchi i minister marynarki Arai będą kierować operacją. Obaj są pobudliwi. Chcę, żebyś wywierał na nich uspokajający wpływ, a także byś był moimi oczami i uszami.

* * *

Kiedy po południu Yozo poszedł do portu, zastał marynarzy już na pokładach. Po raz ostatni sprawdzali okręty i przepowiadali plan, żeby każdy wiedział dokładnie, co ma robić i gdzie przebywać.

Spacerował po pokładach „Kaitena”, starając się wyczuć statek. Po zatonięciu „Kaiyo Maru” ten parowiec o napędzie kołowym z dwoma masztami i kominem został nowym okrętem flagowym. Był nieco mniejszy niż „Kaiyo Maru”, ale niewiele, a wyposażono go w trzynaście nowych pruskich dział. Yozo chodził od Jednego do drugiego, sprawdzając, czy są w dobrym stanie, czy przygotowano wystarczający zapas kul i prochu, czy każdy żołnierz wie, jakie jest jego zadanie, i czy gwinty nie są zablokowane ołowiem.

Kiedy następnego dnia trzy okręty wypłynęły z zatoki Hakodate, pogoda była dobra, ale wiatr silny jak zwykle. Gwałtowne podmuchy wzburzyły fale i trudno było utrzymać kurs. Kilka godzin później „Banryu” i „Takao” zaczęły zostawać w tyle. W końcu na „Takao” wywieszono flagę sygnalizacyjną, czerwony diament na białym tle: „Statek unieruchomiony. Kłopoty z silnikiem”. Z kolei „Banryu” zniósł wiatr i wkrótce okręt zniknął im z oczu.

Na pokładzie „Kaitena” zaległa cisza.

- Co teraz? - mruknął jakiś młodzieniec. Twarz miał już zniszczoną, lecz Yozo podejrzewał, że liczy sobie nie więcej niż szesnaście lat. - Mamy płynąć sami?

- Oczywiście - mruknął inny, wskazując głową oficerów na mostku. - Ci tam nie zawrócą, jak już raz coś sobie wbiją do głowy.

Yozo zmrużył oczy i popatrzył na mostek. Kapitan Koga, dowodzący okrętem, rozmawiał z komendantem i ministrem marynarki Arai. Chwilę później komendant przeszedł przez pokład tam, gdzie zebrała się jego milicja w niebieskich uniformach.

- Jesteście ze mną? - krzyknął. - Pokażemy południowcom, jak odbierać, co nasze. To będzie ciężka bitwa, ale toczyliśmy już cięższe. Damy tym tchórzom do myślenia!

Jeden przeciwko ośmiu. Ich szanse znacznie się zmniejszyły. Yozo wiedział o tym, ale zdawał sobie również sprawę, że dzięki temu ludzie są bardziej zdeterminowani. Żałował, że nie ma z nimi Enomota. Skoro komendant dowodzi, nie ma mowy o odwrocie, bez względu na szanse.

* * *

Następnego dnia o świcie „Kaiten” wpłynął pod parą do zatoki Miyako. Na jego maszcie powiewała amerykańska bandera. Osiem wielkich czarnych okrętów stało na kotwicy, podskakując lekko na drobnej fali. Każdy z nich był dużo większy od statku, na którym płynął Yozo. „Stonewall” siedział nisko na fali, długi jak straszny potwór morski. Na jego widok Yoza ogarnęły złe przeczucia. To była prawdziwa pływająca forteca, jeszcze wspanialsza, niż zapamiętał. Szybka i zabójcza. Jest jak wąż wśród królików, pomyślał, przypominając sobie, co znajomi holenderscy marynarze mówili mu o pancernikach.

Na pokładach okrętów panowała jednak cisza, z kominów nie wydobywała się para. Żagle zwinięto, nie dostrzegł ani jednego marynarza. Zupełnie jakby to było malowidło.

Yozo z ulgą dostrzegł kilka innych statków pod obcą banderą. Może uda im się podstęp. Wstrzymał oddech, kiedy „Kaiten” wpłynął między okręty, kierując się prosto ku

„Stonewallowi”. Dziwne, ale nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Zbliżali się do „Stonewalla” z ogromną prędkością. W ostatniej chwili marynarze spuścili amerykańską banderę i wciągnęli na maszt flagę Ezo.

- Banzai! - krzyczeli. - Banzai! Banzai!

Teraz byli już tak blisko, że Yozo widział twarze ludzi, którzy wypadli na pokład „Stonewalla”. Machali i pokazywali coś, otwierali usta do krzyku, choć ich głosy utonęły w ryku maszyn „Kaitena”. Potem, kiedy „Kaiten” zaczął zwalniać, rozbiegli się w popłochu.

- Teraz! - krzyknął Yozo, pochylając się przez nadburcie i waląc w podnieceniu ręką w reling. Musieli wystrzelić tylko salwę, żeby załoga „Stonewalla” uciekła, a wówczas mogliby zająć okręt bez walki. Rozejrzał się, uderzając niecierpliwie pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki, nasłuchując rozkazu otwarcia ognia. Ale rozkaz nie nadchodził. Przeklął głośno. Co robi komendant?

W następnej chwili rozległ się ogłuszający trzask pękającego drewna i jęk rozrywanego metalu. Siła zderzenia rzuciła Yoza na pokład. Marynarze i milicjanci wpadali na maszty, działa i luki. Walcząc o oddech, Yozo dźwignął się z pokładu i ruszył na dziób. „Kaiten” wbił się w masywną burtę „Stonewalla”. Jego drewniany dziób, który zarył się w nią do połowy, był najeżony kawałkami porozrywanego metalu i drewna. Yozo wychylił się przez nadburcie. Bukszpryt poszedł w drzazgi, ale na ile Yozo mógł się zorientować, wszystkie zniszczenia znajdowały się powyżej linii wody. Przynajmniej okręt nie zatonie.

Teraz wreszcie wydano komendę otwarcia ognia. Polowa ludzi pobiegła do burty i załaza pokład „Stonewalla” ogniem z karabinów. Milicjanci i żołnierze wspinali się na dziób.

- Idziemy! Dorwiemy ich! - krzyczeli.

Okazało się, że opanowanie „Stonewalla” abordażem będzie dużo trudniejsze, niż sądzili. W fazie planowania nikt nie przewidział, że pokład pancernika znajdzie się dużo niżej niż pokład „Kaitena” i że ludzie będą musieli skakać ze zniszczonego dziobu. W ten sposób na pokład nieprzyjaciela mogło się wdzierać tylko po kilku naraz. Na „Stonewallu” rozdzwonił się alarm, żołnierze z Południa wypadali z luków i biegali przez pokład, niektórzy zakładali po drodze mundury. Przez dym wystrzałów Yozo widział, jak pierwsza grupa atakujących zeskakuje z dziobu. Południowcy wycięli ich w pień, nim mieli szansę wyjąć miecz czy złożyć się do strzału.

Skoczyła kolejna grupa, prosto na włócznie i miecze południowców. Yozo słyszał, jak Arai i kapitan Koga krzyczą z mostku: - Dalej! Dalej! Abordaż! Abordaż!

Komendant spacerował po pokładzie, oczy mu płonęły, włosy powiewały na wietrze. Zachęcał swoich ludzi do walki.

Yozo biegał od działła do działła, sprawdzając, czy wszyscy są na swoich stanowiskach i czy panuje porządek, a potem przyłożył ręce do ust i krzyknął: „Ognia!”. Rozległ się straszliwy huk i dym zasłonił pokład „Stonewalla”. Kiedy się rozwiął, Yozo zobaczył, że jest dosłownie usłany zabitymi i umierającymi. Potem „Kaiten” zwrócił działa przeciwko innym okrętom, które zaczęły odpowiadać ogniem. Niebo zrobiło się czarne od dymu, morze wybuchało spadającymi pociskami, a w powietrzu unosił się dławiący dym.

Pociski trafiały w pokład „Kaitena”. Ludzie umierali w milczeniu, z płonącymi oczami. Niektórzy szli chwiejnie, krwawiąc. Młodzieniec, który w czasie burzy trzymał się tak dzielnie kola sterowego „Kaiyo Maru”, kiedy płynęli na Ezo, stał niedaleko Yoza. Nagle rozległ się wystrzał, a chłopak cofnął się i złapał za brzuch - spomiędzy palców płynęła mu krew. Yozo objął go ramieniem i przytrzymał, ale chłopak tylko westchnął, zrobił się zupełnie bezwładny i osunął na

ziemię. Inny młodzieniec stracił połowę ramienia. Yozo, ogłuszony hukami dział i krzykami umierających, skupił się na tym, do czego go wyszkolono - sprawdzał działa, pomagał przy ich ładowaniu, zajmował miejsce poległych.

Walczyli przez dobrą godzinę, aż ujrzeli parę unoszącą się z kominów okrętów wojennych wroga. Nie czekając, aż będą gotowe do podjęcia pościgu, „Kaiten” oddał ostatnią salwę, oderwał się od „Stonewalla”, zawrócił i wypłynął z portu.

Skierowali się z powrotem ku Ezo. Okręt miał ciężki przechył i z wyraźnym trudem utrzymywał się na wodzie, ale wkrótce wiatr wypełnił żagle i maszyny pracowały pełną parą. Ludzie, którzy nadal trzymali się na nogach, oddychali z ulgą, zaczęli się uśmiechać i klepać po plecach. Twarze mieli brudne od prochu i potu. Połowa odniosła rany, ale uśmiechali się i wiwatowali. Każdy zabity żołnierz wroga stanowił powód do radości. Zaatakowali osiem okrętów i zdołali wydostać się z portu. Nie zostali pokonani, zatopieni ani wzięci w niewolę. Wrogowi nie udało się nawet ruszyć w pogoń. To był powód do radości.

Komendant spacerował po pokładzie. Miał na sobie skórzane buty i czarny płaszcz, który powiewał na wietrze, ukazując karmazynowe podszycie. Jego wypomadowane włosy wisiały wokół twarzy.

- Dobra robota, chłopcy - krzyczał, a oczy mu błyszczały.
- Pokazaliśmy im, na co nas stać!

Yozo wytarł rękawem czoło. Ranni leżeli na pokładzie wśród trupów, jedni w czarnych kurtkach, inni w niebieskich, wszędzie walały się ludzkie członki. Drewniane klepki pokładu lepły się od krwi, a powietrze cuchnęło śmiercią. Najgorsze było to, że musieli porzucić swych dzielnych towarzyszy, którzy zeskoczyli na pokład „Stonewalla”.

Yozo pokręcił głową. Zrobili, co w ich mocy, zamiast siedzieć i czekać, aż południowcy przybędą i ich zniszczą.

Gdyby zdołali przejąć „Stonewalla”, mieliby szansę obrócić losy wojny na swoją korzyść i odstraszyć wrogów. Ale nie udało im się. Mogli tylko wrócić na Ezo, szykować umocnienia i czekać na wrogą flotę.

Następnego ranka, ledwie „Kaiten” rzucił kotwicę w zatoce Hakodate, Yozo został wezwany przez Enomota. Jeszcze nim odsunął drzwi do kwatery prezydenckiej, słyszał, jak przyjaciel krąży po pokoju. Enomoto był w mundurze, włosy miał błyszczące, podobnie jak guziki i miecz przy boku.

- Czyli komendant nas zawiódł - warknął, a na jego skroni pulsowała żyła. - Wielki wojownik zapomniał wydać rozkaz otworzenia ognia, aż zrobiło się za późno. Zapomniał wydać rozkaz!

Podszedł do barku i nalał Yozowi whisky. Ich oczy spotkały się na chwilę, a potem twarz Enomota złagodniała. Pokręcił głową.

- Więc co się stało? To niepodobne do komendanta, popełniać błędy - szczególnie tak kosztowne.

Yozo raz za razem analizował wydarzenia poprzedniego dnia, próbując zrozumieć, dlaczego komendant nie wydał tak ważnego rozkazu. Nagle przypomniał sobie, jak wpadł do Jego pokoju tej nocy, kiedy zginął Kitaro, i zastał go przy pisaniu poematu śmierci. „Stoczę najlepszą bitwę mego życia i umrę za mój kraj”, powiedział mu komendant. „Czy męczyzna może prosić o większą chwałę?”.

- Jest przekonany, że przegramy - rzekł powoli Yozo. - Nie sądzi, żebyśmy mieli jakąś szansę, więc nawet nie próbuje.

- W takim razie dlaczego, u licha, wymyślił tę głupią wyprawę? Yozo wzruszył ramionami.

- Może nie myślał o zdobyciu przewagi na morzu. Może uważał, że to samobójczy atak, i dlatego nie nakazał otworzyć

ognia? Może chciał, byśmy staranowali „Stonewalla” i polegli w chwale?

Enomoto oddychał głośno.

- Atak banzai zgodnie z wielką samurajską tradycją - stwierdził. - Atakujemy, krzycząc jak szaleńcy, rzucamy się na wroga mimo dysproporcji sił i umieramy z honorem. - Zmarszczył brwi, zastanawiał się przez chwilę. - Ale my mamy większe ambicje niż zwykła śmierć. Założyliśmy Republikę Ezo. Południowcy mają przewagę sił, ale my mamy pomysły i ideały.

- Tak, tylko że przeżyją najlepiej przystosowani, a południowcy są lepiej przystosowani i jest ich więcej. - Yozo popatrzył na holenderski dywan, przypominając sobie, jak siedzieli tu z Enomotem i Kitarem i wspominali swoją podróż za granicę. A następnego dnia Kitaro już nie żył. Nadal często myślał o przyjacielu. Brakowało mu jego pogodnej natury. Bardzo żałował jego śmierci i nie zapomniał przysięgi, że pomści go któregoś dnia, kiedy wojna się skończy.

- Młody Kitaro był dobrym człowiekiem - powiedział Enomoto cicho, kiwając głową. - Ja też za nim tęsknię. Musimy wygrać tę wojnę, żeby nie umarł na próżno.

Ostatnie kwiaty wiśni opadły, a dzikie lilie i azalie zaczynały właśnie kwitnąć. Wzgórza wokół Gwiazdzistego Fortu pokryły się soczystą zielenią i kolorowymi plamami dzikich kwiatów, różowymi, żółtymi, niebieskimi i fioletowymi. Na niebie pojawiły się stada gęsi, bieliki szybowały wysoko nad ziemią, a niezliczone inne ptaki, jakich Yozo nie widział nigdy w życiu, nawoływały się i śpiewały.

Ale Yozo nie miał wiele czasu na podziwianie nieboskłonu nad Ezo, przyrody wyspy i jej lasów. Podobnie jak wszyscy był zajęty dzień i noc przy umocnieniach - kierował pracami oddziałów, które sypały wały, szykowały stanowiska dział nad portem i wznosiły palisadę w poprzek przesmyku. Szykowali się do inwazji, w której nadejście nikt nie wątpił. Enomoto wysłał oddziały wzdłuż wybrzeża, by wzmocnić garnizon w Esashi, gdzie zatonał „Kaiyo Maru”, i w Matsumae, które komendant zajął pięć miesięcy wcześniej i gdzie spalił zamek. Ale najwięcej ludzi skoncentrowano w Gwiazdzistym Fortcie, skąd można było bronić zatoki i Hakodate. Miasto było zupełnie wymarłe. Wszyscy, którzy mogli, uciekli.

Kiedy wiosna zmieniła się w lato, zaczęły napływać raporty, że flota południowców jest już w drodze. Niedługo potem przyszła wiadomość, że wróg zajął Esashi.

Pewnego pogodnego ranka Yozo wracał do fortu po codziennej inspekcji umocnień, kiedy minął go pędem żołnierz w podartym mundurze. Yozo pobiegł za nim do biura Enomota i właśnie zdejmował słomiane sandały, kiedy jego przyjaciel wyszedł, powiewając listem. Yozo widział po jego twarzy, że wieści są złe.

- Czyli Matsumae padło - stwierdził. Enomoto ponuro pokiwał głową.

- Nasi żołnierze walczyli dzielnie. Skończyły im się kule armatnie i zaczęli nabijać działa lżejszymi pociskami, ale nic to nie dało.

- Wielu ludzi straciliśmy?

- Zbyt wielu. Ocaleni uciekli do sąsiedniej wioski i bronią się tam, ale nie zdołają się długo utrzymać. Wkrótce wroga flota przybędzie.

Sześć dni później, w ciepły letni poranek dzwony w mieście zaczęły bić na alarm. Na horyzoncie zauważono osiem okrętów wojennych, kierujących się prosto do zatoki. Enomoto opuścił Gwiazdzisty Fort wznoszący się w głębi lądu i założył kwaterę w forcie Kamida, zaraz u wejścia do portu. Yozo udał się tam wraz z nim i obserwował przez lunetę zbliżanie się okrętów wroga ze „Stonewallem” na czele - cienką, szarą kreską, siedzącą nisko na wodzie. Trzy ocalałe statki z floty Północy - „Kaiten”, „Chiyoda” i „Banryu”, który zdołał wrócić bezpiecznie do portu - kursowały tam i z powrotem po zatoce, strzelając z dział, żeby uniemożliwić wrogowi wejście do portu. „Takao”, który miał awarię maszyn, dobił do brzegu nieprzyjaciela i jego załoga została wzięta do niewoli, a dwa pozostałe statki stracono w bitwach w obronie Matsumae i Esashi.

- Powinienem być tam teraz z nimi - powiedział Yozo, krzywiąc się i zaciskając pięści.

- Potrzebuję cię tutaj - odparł Enomoto. - Musimy zaplanować obronę.

Pod wieczór Yozo zobaczył biały rozbłysk, zaraz potem usłyszał huk przypominający grom. Po wodzie snuł się czarny dym, jeden z okrętów się zatrzymał.

- „Chiyoda” jest unieruchomiony! - krzyknął. - Chyba dostał w maszynownię.

- Niech pozostałe okręty odholują go bliżej fortu - rozkazał Enomoto. - Póki jego działa są sprawne, możemy go wykorzystać do obrony.

Popatrzyli po sobie. Stracili już wielu ludzi, a teraz jeden z okrętów został wykluczony z walki. Nagle tuż nad głową usłyszeli huk. Pocisk armatni wylądował na terenie fortu Kamida. Załoga biegła z wiadrami wody, żeby ugasić ogień.

Enomoto, Yozo i ich ludzie bronili wejścia do portu przez kolejne dwa dni, ale wreszcie flota południowców zaczęła oblegać miasto. Wrogie okręty wpłynęły do portu, siejąc zniszczenie. Obdartym resztkom armii Północy pozostało tylko bronić się do końca, jednak pętla zaciskała się coraz bardziej.

* * *

Było piękne popołudnie u progu lata. Yozo przykucnął za wałem ziemnym usypanym nad portem. Twarz miał czarną od sadzy, a ręce poparzone. W ustach czuł smak prochu, policzki pokrywał mu gęsty zarost. Nie mył się od wielu dni. Zmienił się w maszynę do zabijania. Celował, strzelał, ładował broń. Kiedy lufa karabinu robiła się zbyt gorąca, by utrzymać ją w dłoniach, zanurzał ją w wiadrze z wodą.

Ludzie wokół niego wystrzelowali salwę za salwą. Kule armatnie przelatowały z gwizdem nad ich głowami i zarywały się w ziemię na terenie fortu, wokół nich rosły stosy urwanych członków i trupów. Nikt nie miał czasu grzebać zabitych i powietrze wypełniał smród rozkładu. Yozo skulił się, kiedy nad głową przeleciał mu kolejny pocisk, po czym wstał i zaczął strzelać.

Gdy zapadła noc, został na miejscu, by złapać kilka godzin snu na ziemi, koło towarzyszy. Potem, kiedy słońce rzuciło pierwsze jasne promienie na zrujnowane umocnienia i żdźbła trawy wynurzające się ze zdeptanego błota, zobaczył, że część jego towarzyszy wykorzystwała przerwę w bitwie, by

pospiesznie wykopać masowy grób. Nagle uświadomił sobie coś dziwnego. W porcie panowała cisza.

Wyjrzał zza wału i zobaczył, że okręty wroga wycofały się, jakby w ramach jakiegoś planu. Wyprostował się i patrzył zaskoczony, jak do portu wpływa statek pod francuską banderą. O ile mu było wiadomo, Francuzi opowiedzieli się po ich stronie. Statek płynął jednak spokojnie, a okręty południowców nie próbowały go zatrzymać.

Odwrócił się, gdy obok niego stanął Marlin. Sierżant przyłożył lunetę do oka, a potem opuścił ją i skrzywił się.

- Merde! - mruknął. - Co za tchórze.

Pomiędzy statkiem a lądem wymieniono sygnały. Potem spuszczone na wodę szalupę - popłynęła przez zatokę. Z miejsca, w którym stał Yozo, wyglądała jak jakiś wodny owad.

Z dziewięciu francuskich oficerów trzech poległo, sierżant Cazeneuve był ciężko ranny. Yozo z niedowierzaniem patrzył, jak kapitan Brunet i jego trzech towarzyszy przepychają się wśród żołnierzy zebranych na brzegu, depcząc ciała poległych. Jeden trzymał wysoko w górze francuski sztandar, drugi powiewał dużą białą flagą. Nieśli na noszach sierżanta Cazeneuve. Yozo widział przez chwilę jego bladą twarz i długie członki owinięte prymitywnymi opatrunkami. Załadowali go na szalupę, a potem sami wsiedli.

Yozo obserwował ich z mieszanką wściekłości i złych przeczuć. Skoro francuscy przyjaciele uciekali, ich sytuacja musi być naprawdę beznadziejna.

Kapitan Brunet stał na rufie, drobna, elegancka, wąsata postać kołysząca się wraz z ruchami łodzi. Patrzył na wał, gdzie stali Yozo i Marlin, i machał ręką. Potem przyłożył dłonie do ust i krzyknął. Jego słowa popłynęły nad wodą.

- Marlin! Venez! Vite, vite! Marlin pokręcił stanowczo głową.

- Idź! To twoja szansa - powiedział Yozo. - Dlaczego masz ginąć za naszą sprawę? Nie ma w tym hańby. Idź, skorzystaj z szansy. Idź!

Marlin położył rękę na ramieniu Yoza.

- Tutaj przynależę - stwierdził. - Niech te tchórze uciekają. We Francji nic mnie nie czeka prócz gilotyny.

Yozo przełknął ślinę. Marlin jest uparty zupełnie jak Japończyk i tak samo zależy mu na honorze, pomyślał. Stali ramię w ramię i patrzyli, jak szalupa płynie przez zatokę, a potem małe sylwetki ludzi wspinają się na pokład francuskiego statku.

Kiedy Francuzi odeszli, obrońcy przygotowali się na swój koniec. Yozo stracił rachubę czasu. Nie wiedział, jak długo walczą, wiedział tylko, że póki żyje, nie podda się. Na terenie fortu zakwitła jedna jedyna azalia, delikatne różowe płatki wśród kamieni. Niegdyś porośnięte trawą pagórki były zryte pociskami. Słońce prażyło bezlitośnie skórzane hełmy. Lato wywierało na nich swoją zemstę.

Dwudziestego dnia oblężenia wróg zaatakował przed świtem, zalewając miasto i fort ogniem z dział. Z domów w mieście pozostało niewiele, jedynie poczerniałe od ognia belki i góry ruin.

Nagle Yozo zauważył, że wielkie działo na wschodnim skraju fortu Kamida zamilkło. Żołnierze, którzy je obsługiwali, leżeli nieruchomo na ziemi.

- Marlin! Tutaj! - krzyknął.

Razem z Francuzem wspiął się na zrujnowany mur fortu i pobiegł w stronę działa. Razem załadowali je i zwrócili przeciwko pancernikowi oraz pozostałym okrętom. Statki skierowały całą siłę ognia na mały fort, ale oni wciąż ładowali i strzelali, ignorując grad pocisków. Jakimś cudem zdołali walczyć dalej.

Yozo posłał kolejny pocisk w stronę statków. Rozległ się donośny huk, który odbił się echem od gór. Nad zatoką buchnął płomień, a potem w powietrze uniosła się kolumna gęstego czarnego dymu. Szczątki statku wylatywały z niej na wszystkie strony. Yozo patrzył przez chwilę zaskoczony, a potem roześmiał się głośno. Udało mu się trafić prosto w ładownię wrogiego okrętu.

Przyglądał się, jak jednostka tonie, jak tworzy się wokół niej wielki wir i obraca niczym ogon węża, grożąc pociągnięciem pod wodę innych statków i wzbudzając fale, które walą w wybrzeże. Tylko bukszpryt i maszt nadal sterczały nad wodę. Na powierzchni unosiły się trupy. Niektórzy ludzie jeszcze żyli, chwyтали się belek albo płynęli desperacko w stronę brzegu. Dym zasnuł niebo, w mieście i w porcie zrobiło się ciemno, jakby zapadał zmierzch.

Yozo i Marlin pokleпали się po plecach. Ich triumfalne okrzyki podjęli ludzie przyglądający się katastrofie z brzegu.

Ich radość trwała jednak krótko. Wkrótce potem usłyszeli za plecami krzyki. Wrogowie sforsowali niemal pionowe zbocza góry Hakodate, która stanowiła naturalną osłonę miasta, i zbiegali z jej zboczy. obrońcy byli otoczeni ze wszystkich stron. Jeszcze przez jakiś czas udawało im się odpierać ataki wroga, ale południowcy nacierali coraz mocniej, aż zepchnęli Yoza, Marlina i resztki armii Północy na sam brzeg morza. Teraz walczyli wręcz, mieczami, pikami i bagnietami, wszystkim, co wpadło im w ręce, aż ziemia zrobiła się śliska od krwi. Wszędzie leżały trupy - obrońców, południowców, świeże i wzdęte rozkładem. Ludzie padali na ziemię i umierali.

Przez dym Yozo zauważył komendanta Yamaguchiego szarżującego na szeregi wroga z tak strasznym grymasem na twarzy, że nawet zaprawieni w bojach żołnierze z Południa cofali się z przerażenia. Jeden po drugim zastępowali mu

drogę, ale zabijał ich ciosami miecza. Nikt nie śmiał do niego strzelić, a jeśli już się odważył, to chybiał.

Kiedy zapadł wieczór, rozległ się wielki huk. To „Kaiten”, ostatni z okrętów Północy, wyleciał w powietrze. Błysk wybuchu oświetlił zrujnowane domy i ulice miasta. Wszędzie szalały pożary, a górę Hakodate zasnuł czarny dym.

Yozo, ogłuszony hukami wystrzałów, brzękiem mieczy, okrzykami wojennymi i wrzaskami umierających, walczył mieczem i kolbą karabinu. Wreszcie udało mu się zrobić wyłom w szeregach wroga i potykając się o ciała zabitych, ruszył przez miasto na poszukiwania snajpera.

Ruiny rzucały długie cienie. Krył się wśród nich, wspinał na kupy gruzu. Wokoło brzęczały muchy, a powietrze było pełne popiołu. Ubranie miał w strzępach, cały był poraniony i posiniaczony, w uszach dzwoniło mu od hałasu bitwy. W głowie pozostała mu tylko jedna myśl: znaleźć i zabić snajpera.

Zauważył jakiś cień kryjący się między dwoma zburzonymi ścianami. Obiegł róg ulicy, gotów zaatakować, i nagle stanął jak wryty. Zobaczył twarz człowieka, który wcale nie był snajperem wroga. Patrzyli na siebie nieruchomym wzrokiem na wymarłej ulicy.

- Tajima!

Yozo usłyszał wyraźnie chrapliwy okrzyk komendanta mimo harmidru bitwy. Yamaguchi wykrzywił twarz. Ociekała krwią, pokrywał ją brud i proch. Yozo wiedział, że sam wygląda równie okropnie.

- Nasz czas nadszedł, Tajima - warknął komendant. - Dziś umrzemy w służbie szoguna. Możemy równie dobrze zrobić to jak mężczyźni i odejść ramię w ramię do innego świata - popatrzył na niego pogardliwie. - Powinienem był cię zabić za to, jak upokorzyłeś mojego człowieka, uciekając się do

cudzoziemskiego podstępu, ale nie jesteś wart nawet skrwawienia mojego miecza.

Słońce zachodziło, wielkie i czerwone. Nad głową Yoza przeleciał nietoperz. Yozo widział zrujnowaną ulicę za plecami komendanta, widział jego płonące oczy. Wybuchy i wystrzały milkły w oddali.

Oślepiiony wściekłością i nienawiścią przypomniał sobie ciało Kitara oświetlone blaskiem księżyca. Krew waliła mu w uszach. Wiedział, że jeśli komendant sięgnie po miecz, zabije go bez wahania i Kitara nigdy nie zostanie pomszczony. Poszukał naboju, włożył go do karabinu i uniósł broń do ramienia.

Przez chwilę wahał się z palcem na spuście. Strzelanie do dowódcy to zbrodnia karana śmiercią. Będzie zhańbiony na zawsze, stanie przed sądem wojennym i zostanie stracony. Ale wojna w zasadzie się skończyła, a wszyscy i tak zginą. Przypomniał sobie, że komendant zabił wielu własnych ludzi, pamiętał także wywieszoną w sali ćwiczeń listę przewin karanych rytualnym samobójstwem: jeśli komendant polegnie, wszyscy jego ludzie będą musieli zginąć wraz z nim - ta zasada była najstraszniejsza.

Mimo to Yozo nie mógł się zmusić do naciśnięcia spustu, póki przed jego oczami nie ukazała się twarz martwego Kitara. Obiecał go pomścić, dał słowo, a obowiązek zemsty brał pierwszeństwo nad wszystkimi innymi. To była sprawa honoru. Zastrzelili komendanta jak psa, równie brutalnie, jak on zabił Kitara.

Nacisnął spust. Rozległ się ogłuszający huk i z lufy uniosła się chmura dymu. Kolba uderzyła go w ramię.

Poprzez dym widział, jak komendant zgina się w pół. Oczy i usta miał otwarte, krew lała się z jego brzucha. Powoli cofnął się, rozłożył ramiona. Przez chwilę patrzył mu w oczy i Yozo miał wrażenie, że widzi na jego twarzy wyraz zaskoczenia.

Potem Yamaguchi upadł. Yozo słyszał głuchy łomot, z jakim jego ciało zderzyło się z ziemią.

Nagle Yozo zaczął się trząść na całym ciele. Chciał podbiec do komendanta, sprawdzić, czy naprawdę nie żyje, ale koło ucha gwizdnęła mu kula. Odwrócił się i zobaczył czarny mundur i stożkowy hełm. To był ten snajper wroga, którego szukał.

Wiedział, że powinien podnieść karabin, ale już go przestało obchodzić, czy żyje, czy umarł. W uszach dźwięczał mu poemat śmierci komendanta: „Choć moje ciało zgnije na wyspie Ezo...”. Przez tyle miesięcy dręczyła go świadomość, że musi się zemścić za śmierć Kitara. Wreszcie tego dokonał i może umrzeć z honorem.

Odwrócił się twarzą ku wrogom, a kiedy to robił, przed oczami przesuwały mu się wydarzenia z całego jego życia. Tak, pomyślał, jest dokładnie tak, jak miało być. Zginie tutaj, u boku komendanta, a jego ciało zgnije na wyspie Ezo.

夏

LATO

Hana zacisnęła palcami prawej stopy rzemień drewniaka i uniosła go nieco, oceniając wagę. Wielkie, ciężkie drewniaki wyglądały jak błyszczące czarne kopyta. Była w nich tak wysoka, że mogła patrzeć ponad głowami zebranych. Na zewnątrz słyszała pomruk tłumu, brzęk żelaznych pierścieni na laskach strażaków, kiedy uderzali nimi w ziemię, oraz ich chrapliwe okrzyki:

- Cofnąć się! Cofnąć się! Zrobić przejście dla Hanaogi z domu Tamaya!

Była idealnie umalowana, począwszy od dolnej wargi, na której widniał płatek czerwieni, a skończywszy na zapudrowanych na biało rękach i stopach. Paznokcie u nóg miała jasnoróżowe od soku z krokosza, włosy nawoskowane i ułożone w ogromny wachlarz, pęknięty pośrodku jak brzoskwinia. Z tyłu zwisały jedwabne wstążki, z przodu ozdoby z macicy perłowej. Cała fryzura najeżona szylkretowymi i srebrnymi szpilkami była tak ciężka, że Hanę bolała od niej szyja. Było jej gorąco w przepysznych kimonach, ale ledwie na to zważała. Co innego zaprzętało jej myśli.

- Jesteś pewna, że tak będzie dobrze? - szepnęła, rzucając ostatnie desperackie spojrzenie na Tamę, która prostowała swoje obi. Tama była ubrana w równie bogate kimono jak Hana, z brokatową narzutką haftowaną w białe żurawie na ramieniu. Na spódnicy i plecach miała wyhaftowane srebrne i złote żółwie.

- Oczywiście. Skoncentruj się na ósemkach - Tama uśmiechnęła się, ukazując na chwilę w białej twarzy pomalowane na czarno zęby. - Zrób dokładnie tak, jak cię uczyłam.

- O co chodzi? - spytała ciotka. Ona również włożyła swoje najlepsze kimono z eleganckiego czarnego jedwabiu, a

do niego czerwone obi. Jej oczy były zaskakująco żółte w białej twarzy, usta miała jaskrawoczerwone.

- O to, co zwykle - odparła Tama. - Co robić, kiedy odkryje...

Stara kobieta rozciągnęła usta w uśmiechu i poklepała Hanę po ramieniu.

- Nie martw się tym, moja droga - zaświergotała. - Będzie taki podniecony, że nic nie zauważy. Zawsze tak jest.

- Tylko dopilnuj, żeby się dobrze bawił - dodała Tama. - Rób tak, jak cię uczyłam, a wszystko będzie dobrze. Ale dość zamartwiania się. Czas iść.

Odsunięto drzwi i do środka wdarł się gorący, wilgotny wiatr, przynosząc zapachy pieczonych wróbli i węgorków, węgla i dymu, a także fioletowych irysów, które kwitły przy centralnym bulwarze. Małe praktykantki przybrały poważny wyraz twarzy i wyszły dumnie na zewnątrz. Chidori niosła na jedwabnej poduszce fajkę Hany, a Namiji jej zestaw do pisania. Cztery dwórki, Kawanoto i Kawayu, pulchna, uśmiechnięta Kawagishi i smukła Kawanagi, ruszyły za nimi, najpierw te niższe, potem wyższe, wszystkie w identycznych czerwonych kimonach. Po odpowiedniej przerwie zjawiała się majestatyczna Tama w swoich ogromnych drewniakach. Watowane obrąbki jej kimon kołysały się kusząco.

Ciotka poprawiła Hanie kołnierz i obrąbki kimon, a także wyprostowała węzeł obi.

- Pamiętaj, nie spiesz się - powiedziała. - Trzymaj głowę wysoko. Niech na ciebie patrzą!

Unosząc spódnicę lewą ręką, Hana położyła prawą na ramieniu jednego ze służących, odetchnęła i wyszła na upał. Wokoło rozległy się westchnienia, a potem zapadła kompletna cisza. Mężczyźni patrzyli na nią z napięciem. Hana przyglądała im się przez rzęsy - błyszczące, ogolone głowy, połyskujące koki, szeroko otwarte oczy i usta. Może i

wystawiono mnie na sprzedaż, pomyślała, ale nigdy nie zobaczą u mnie gniewu czy bólu. Niech na mnie patrzają, jak powiedziała ciotka. Wyprostowała się i spojrzała prosto przed siebie. Każda chwila, każdy gest muszą być doskonałe.

Ćwiczyła pilnie ósemkowy chód, aż stopy miała otarte do krwi paskami drewniaków. Trudno było zachować równowagę, tak były wysokie, a co dopiero poruszać się wdzięcznie i uwodzicielsko, obracać prowokacyjnie stopy i kołysać się. Teraz po raz pierwszy miała to zrobić publicznie.

Przechyliła prawą stopę - drewniak niemal położył się na boku, kopnęła energicznie spódnice kimon i wyrysowała krawędzią buta półkole w kurzu. W dzwoniącej ciszy słyszała, jak wewnętrzna krawędź drewniaka szoruje po ziemi. Jej spódnice otworzyły się, ukazując na moment widzom smukłą białą kostkę nogi i karmazynową chińską krepę, a potem ciężki jedwab opadł na miejsce. Hana postawiła stopę przed sobą w taki sposób, by powstał na ziemi rysunek cyfry osiem. Potem odetchnęła, zakołysała się lekko w tył i przód, a następnie, wyrzucając do przodu ramię i biodro, kopnęła lewym drewniakiem, zatoczyła nim łuk i dostawiła do prawego.

Obok niej w ten sam niezwykły sposób szła Tama. Chidori i Namiji kroczyły przed nimi niczym dwie małe łódki holujące dwa wielkie żaglowce, a za nimi ciągnęła flotylla praktykantek i służących. Służący szli również przed nimi. Jeden niósł wielką latarnię ozdobioną piwonią, godłem domu Tamaya, dwóch trzymało nad głowami Hany i Tamy nasmarowane tłuszczem parasole, a inni odpychali tłum i usuwali z drogi gałązki i opadłe liście.

Hana odetchnęła wilgotnym powietrzem letniego wieczoru. Zatraciła się w biciu bębnów, brzęczeniu pierścieni na laskach strażaków, pomruku tłumu. Z wysokości drewniaków mogła patrzeć ponad głowami tłumu na rzędy

czerwonych latarni połyskujących pod okapami. Ich światło sprawiało, że na ulicy było jasno jak w dzień. Z dołu dobiegały ją pełne zachwyty szeptu:

- To Hanaogi, Hanaogi. Piękna jak sen.

Procesja przeszła od domu Tamaya przez Edo - cho 1, bramę na końcu ulicy, i wielki bulwar do Chryzantemowej Herbaciarni znajdującej się opodal Wielkiej Bramy. W zwykły dzień Hana mogła tam dojść w kilka minut, ale dziś zabrało jej to godzinę.

Z herbaciarni przy bulwarze dobiegał ją dźwięk shamisenów, brzęk miseczek z sake, śpiew i śmiechy. Niskie głosy mężczyzn mieszały się z wysokimi głosami kobiet. Ludzie tłoczyli się na balkonach, przyglądając się przemarszowi.

U drzwi Chryzantemowej Herbaciarni służący pomogli Hanie zdjąć drewniaki. Mitsu czekała na nią na kolanach.

- Witamy! Witamy! - wołała.

Hana uśmiechnęła się do niej. W ciągu miesięcy od ich pierwszego spotkania brała udział w wielu przyjęciach w herbaciarni, a kiedy nie było klientów, często siadała na ławce na zewnątrz i paliła fajkę. Teraz były starymi przyjaciółkami.

Mitsu odsunęła drzwi, zapraszając przybyłych do cienistego korytarza. Chidori i Namiji weszły jako pierwsze, grzecznie skłaniając głowy. Potem wkroczyły praktykantki, a następnie Tama. Klęcząc na zewnątrz, Hana słyszała jej głos, donośny i czysty.

- Panowie, proszę, powitajcie naszą nową gwiazdę, Hanaogi! Ze spuszczonego wzrokiem Hana weszła do środka.

Znalazła się w sali bankietowej połyskującej od złota, rozjaśnionej świecami w wielkich złotych lichtarzach. Mężczyźni spoczywali ze skrzyżowanymi nogami przy niskich stołach zastawionych miseczkami z jedzeniem i

butelkami sake. Twarze mieli zaczerwienione. Wśród nich były gejsze i dwóch błaznów.

Na środku zasiadł mężczyzna, który zapłacił za całą uroczystość. To on dziś w nocy będzie jej patronem. Hana uśmiechnęła się na widok jego szerokiej twarzy i zmysłowych ust. Wbijał w nią wąskie oczy, nie kryjąc pożądaną.

Dziwnie było pomyśleć, że zna go teraz dużo lepiej, niż kiedykolwiek poznała własnego męża. Siadali razem przy sake i rozmawiali. Mówił jej, że jest piękna, był dla niej uprzejmy i przynosił jej prezenty - zwoje jedwabiu na kimona, luksusową pościel. Wypytywał ją nawet o jej przeszłość, wówczas uważała, by udzielać niejasnych odpowiedzi. Nie był przystojny w klasyczny sposób, ale na pewno bystry i ambitny. Miał w sobie uderzającą energię i był młody, zaledwie kilka lat starszy od niej. Pochodził z południa, stopniowo jednak jego dialekt zaczął brzmieć łagodniej w jej uszach.

Przedtem Hana zawsze uważała zdobywców miasta za brutalnych, pozbawionych ogłady prostaków. Mówiła sobie, że wojna wkrótce się zakończy i wszyscy odejdą. Lecz przychodziły coraz gorsze wieści. Nikt jej nie szukał. Nikt po nią nie przyjechał, żeby spłacić jej dług i zabrać ją stąd. Tymczasem południowcy okazali się dobrymi klientami. Rezerwowali ją sobie, płacili rachunki.

Miała teraz tylko jedno zmartwienie. Ten mężczyzna zapłacił za jej dziewictwo, ale wkrótce odkryje, że wcale nie jest dziewicą.

- Ze wszystkimi jest tak samo - zapewniała ją Tama. - Kobiety sprzedają swoje dziewictwo kilka razy. Jemu wystarczy wiedza, że jest pierwszym patronem sławnej kurtyzany.

Mimo to Hana zastanawiała się, jak on się poczuje, gdy to odkryje. Miała nadzieję, że zapamiętała wszystko, czego uczyła ją Tama.

Minęło dużo czasu, nim Tama skończyła wygładzać swoje spódnice i uniosła w górę czerwoną miseczkę z laki, napelnioną po brzeg sake.

- Panowie, to szczęśliwy dzień - powiedziała wysokim głosem. - Za Masaharu - samę, naszego gospodarza, i nową kurtyzanę domu Tamaya, Hanaogi!

Mężczyźni, kurtyzany, gejsze i błaźni unieśli czerwone miseczki i wypili zimne sake.

- Masaharu - sama! Ty szczęściarzu! - wykrzyknął ktoś.

- Użyj sobie! - dodał ktoś inny.

Jeden z gości wstał i wygłosił mowę o czynach wojskowych. Masaharu, które bledną w porównaniu ze zdobyciem najpiękniejszej kurtyzany, jaką widziano w Yoshiwarze. Mówił i mówił, chwiejąc się i bełkocząc,

Oczy miał jak szparki w nalanej twarzy.

Masaharu poruszył się niecierpliwie. On też był zaczerwieniony. Być może wypił tyle, że zaśnie, jak tylko posiłek się skończy, pomyślała Hana. Nie wiedziała, czy będzie z tego powodu zadowolona, czy rozczarowana.

* * *

Wreszcie bankiet dobiegł końca i Hana wróciła do swoich pokoi w domu Tamaya. Praktykantki zdjęły z jej włosów stroik i wyjęły szpilki, przebrały ją w cienką, niemal przezroczystą koszulę nocną i zawiązały jedwabne obi tak, by łatwo było je rozwiązać. W pasek włożyły arkusze zwiniętego papieru.

Hana wahała się przez chwilę. Potem odetchnęła głęboko i odsunęła drzwi do sypialni. Masaharu opierał się o podłokietnik, popijając sake i paląc fajkę o długim srebrnym cybuchu. Kimona, które Hana miała na sobie dzisiaj, wisiały

udrapowane na wieszakach na ścianach pokoju, połyskując złotem i srebrem. Przygotowano też adamaszkową pościel i czarną narzutę. Paliły się dwie lampy. Masaharu wyciągnął rękę, kiedy zasuwiała za sobą drzwi.

- Nigdy żaden mężczyzna nie wytrwał tak długo, otrzymując w nagrodę jedynie widok pięknej twarzy - powiedział, prostując długie, smukłe palce. Czowała słaby zapach jego skóry, widziała jego ogorzałą twarz o wysokich kościach policzkowych, podniecenie płonące w jego oczach. - Zaczarowałaś mnie.

Stała i patrzyła na niego, świadoma tego, jak wygląda jej smukłe ciało osłonięte jedynie przezrzystą jedwabną gazą długiej luźnej koszuli.

- Wiem, jak to jest z wami, mężczyznami - odezwała się kokieteryjnie. - Kochacie polować, ale kiedy schwytnacie jelenia...

- No, ale ty nie jesteś jeleniem...

Chwycił koniec obi i jej koszula otworzyła się z przodu. Wówczas złapał ją za ręce i pociągnął na siebie. Ze śmiechem próbowała się opierać, ale był dla niej zbyt silny. Przekreślił się i przysunął usta do jej warg, aż poczuła dreszcz. Coś się w niej budziło. Nigdy wcześniej nie czuła dotyku miękkich warg na swoich ustach i nie miała pojęcia, jakie to podniecające. Kiedy kładła się z mężem, wszystko działo się szybko, późno w nocy, w ciemności. Zawsze miała nadzieję, że zaraz będzie po wszystkim. Leżała bez ruchu, czekając, aż mąż znieruchomieje, a potem ją odepchnie. Nie sądziła, że to może wyglądać w ten sposób.

- Niech na ciebie popatrzę - powiedział Masaharu. Odchylił kołnierz jej koszuli i zaczął lizać i skubać delikatną skórę na jej karku. - Nie wierzę, że mam cię tylko dla siebie - szepnął. Lizał jej szyję i piersi, a potem objął wargami jej sutek. Zadrżała i zamknęła oczy, kiedy przesunął ręką po

wewnętrznej stronie jej miękkich białych ud. Tama nauczyła ją, jak udawać rozkosz, ale ona już wiedziała, że dziś w nocy nie będzie musiała korzystać z tych nauk.

Masaharu delikatnie rozłożył jej nogi. Była zadowolona, że wyrywała i przycinała włoski u jadeitowej bramy. Tama powiedziała jej, że mężczyzna potrafi ocenić umiejętności seksualne kobiety, widząc, jak przycina włosy w tym miejscu. Stanowczość ruchów Masaharu wskazywała, że jest w tych sprawach ekspertem.

Poczuła między nogami ciepło jego oddechu.

- Piękna jak róża - wyszeptał, napawając się tym widokiem, a potem zaczął delikatnie gładzić, naciskać i badać wszystkie zagłębienia, aż odszukał najbardziej czułe miejsce, którego nigdy wcześniej nie dotykał nikt prócz niej samej.

- Drogocenny klejnot - szepnął.

Kiedy poczuła jego język, przypomniała sobie, co mówiła Tama, że mężczyźni uważają soki kobiet za eliksir życia. A potem nagle ogarnął ją spazm, przeganiając wszystkie myśli, przenikając ją do szpiku kości, aż nie wiedziała już, co robi Masaharu, i krzyczała głosem, który ledwie rozpoznawała jako własny.

Po jakimś czasie uniosła się na łokciu i przesunęła palcami po smukłym młodym ciele Masaharu, podziwiając jego gładką skórę i twarde mięśnie. Pamiętając o lekcjach Tamy, przesunęła językiem po jego piersi i sutkach, smakując słony pot, radując się jego jękami rozkoszy. Potem wzięła w usta jego członek - jadeitową kolumnę, jak go nazywała Tama - i zaczęła lizać i ssać, grać na nim jak na instrumencie, by przedłużyć jego rozkosz i napawać się jego jękami. Doprowadziła go niemal do spełnienia, a potem przerwała, by znów zaprowadzić go prawie na szczyt.

Wreszcie usiadła na nim i zaczęła się kołysać. Poczula w sobie gorący wytrysk, kiedy jego ciało wygięło się pod nią w łuk. Krzyknął głośno.

- Jesteś nazbyt okrutna - wyjęczał, dysząc ciężko. - Chciałem zachować nasienie. Teraz będziemy musieli zaczynać wszystko od początku.

Śmiejąc się, objęła go ramionami. Noc dopiero się zaczynała.

Minął miesiąc od debiutu Hany. Teraz oczekiwano od niej, że będzie nie tylko rozmawiać z klientami i pić z nimi sake. Pojawiły się też inne, bardziej subtelne zmiany. Ludzie traktowali ją inaczej, a ona sama też czuła się inna. Zachowywała się bardziej pewnie. To prawda, była więźniem, miała dług do spłacenia i klientów, z którymi wolałaby nie sypiać, ale taki już był los kobiety. Sypianie z mężem również nie należało do przyjemności. Kiedy wspominała swoje dawne życie, odnosiła wrażenie, że wówczas była bardziej więźniem niż teraz.

Kochała wczesne popołudnia, gdy nie było klientów i mogła siedzieć z włosami zwiniętymi w nieporządny węzeł, w cienkim letnim kimonie, wachlować się i palić fajkę albo popijać mrożoną herbatę z grubego ceramicznego kubka. Tego dnia, kiedy już się wykąpała i ubrała, wybrała się za róg, do domu Otsune. Idąc, myślała o tym, co fryzjerka powiedziała jej dzień po debiucie.

Jadły chłodny makaron pszenny, który Otsune kupiła od wędrownego sprzedawcy. Zanurzały go pałeczkami w małych miseczkach z sosem przyprawionym chrzanem i cebulą, a potem wciągały głośno do ust.

- Ciotka jest z ciebie dumna - powiedziała Otsune. - Interesy nie szły dobrze w domu Tamaya, w zasadzie w całej dzielnicy, ale ty znowu sprowadziłaś tu życie. Mężczyźni cię kochają, tak mówi Tama. Marnowałaś się jako żona, ukrywając swe talenty.

- Mam tylko kilku klientów - odparła Hana z uśmiechem. - Ciotka powiedziała, że mogę odmawiać, ile mi się podoba, i kazać im czekać, jak długo będę chciała.

- Dzięki temu bardziej cię pragną, więc twoja cena rośnie i ciotka więcej zarobi - przypomniała jej surowo Otsune. - Tu zawsze chodzi o pieniądze, nie zapominaj o tym, Hana

uśmiechnęła się do siebie. Było gorąco i wilgotno, słońce prażyło bezlitośnie. Na wyższych piętrach domów zawieszono bambusowe ekrany, żeby ocienić i ochłodzić wnętrza. Słyszała brzęczenie dzwonków wietrznych i czuła zapach kwiatów rosnących wzdłuż ulic Yoshiwary. Wszyscy kłaniali jej się, kiedy przechodziła.

Miała szczęście, rozumiała to teraz, ale wiedziała, że jej sukces w roli kurtyzany zależy od zachowania tajemniczości. Póki pozostanie poza zasięgiem mężczyzn, pozwolą jej wieść takie życie, jakie wiodła Tama, ale kiedy jej uroda zwiędnie, to życie się skończy. Podskakiwała jak łódka z papieru w strumieniu, nieświadoma mułu na dnie - w porównaniu z ponurym życiem za murami, to był pływający świat. Tu, w mieście, w którym nie zapada noc i gdzie czas stoi w miejscu, ona i inne kurtyzany żyły jak w romansie. Dlatego mężczyźni tu przychodzili: by zapomnieć o trudnej rzeczywistości po drugiej stronie muru, za Fosą Czarnych Zębów.

Wielu skłonnych było słono zapłacić za kilka godzin z nową sławną kurtyzaną. Niektórzy byli starzy i pomarszczeni, mieli obwisłe ciała, ale okazywali się tak mądrzy i dowcipni, że przyjmowała ich raz po raz. Inni chcieli tylko rozmawiać albo żeby ich przytulała, jakby była ich matką. Jeden wysoki urzędnik rządowy opowiedział jej o swoich nieszczęściach i płakał jak dziecko.

Hana przebierała wśród nich i tylko niektórzy zostali jej kochankami. Jedni byli mistrzami seksu, chętnymi do próbowania nowych technik, wyginali się we wszystkich możliwych pozycjach i za wszelką cenę starali się nie rozlać nasienia. Inni chcieli badać wszystkie otwory jej ciała albo zamawiali dodatkową kobietę czy chłopca. Niektórzy przynosili podręczniki i sprawdzali, czy spróbowali już wszystkiego. Większość jednak chciała się po prostu dobrze bawić.

Hana starannie przestrzegала wskazówek Tamy, żeby nie począć dziecka. Wiedziała, kiedy może zająć w ciąży, i wówczas albo nie chciała sypiać z klientami, albo wkładała w siebie złożone kawałki papieru dla ochrony. Przez dwa kolejne dni kazała sobie również palić na brzuchu zioła, co powinno jej zapewnić ochronę na cały następny rok. Wiedziała, że większość służących i wiele kurtyzan było dziećmi kobiet z dzielnicy. Słyszała również o kobietach, które umarły przy porodzie lub w wyniku prób zakończenia ciąży, i uznała, że należy się jej za wszelką cenę wystrzegać.

Niektórych kochanków lubiła bardziej, innych mniej. Nigdy nie zapomniała o ostrzeżeniu Otsune, że to tylko gra niemająca nic wspólnego z romanssem czy uczuciami. To tylko zabawa. Pamiętała, żeby nigdy, przenigdy nie stracić dla nikogo serca. Tu chodzi o ciało, a nie o serce, powtarzała sobie. Poza tym uważano to za transakcję, pieniądze przechodziły z rąk do rąk, co też rzutowało na stosunki z kochankami.

Mężczyźni, którzy płacili, by spędzać z nią czas - przynajmniej ci starsi - wiedzieli równie dobrze jak ona, że kiedy mówi, że ich kocha i że są dla niej jedyni, robi to, ponieważ dają jej za to pieniądze. Wiedzieli, że udaje i mówi to samo każdemu mężczyźnie. Niektórych z młodszych tak oczarowała, że bankrutowali, żeby móc ją często widywać.

Hana wiedziała, że dla nich wszystkich Yoshiwara jest światem baśniowym, do którego mogą uciec od nudnych żon, dzieci, domu i pracy. Wszyscy byli oczywiście żonaci, ale przy niej zachowywali się zupełnie inaczej. Żony wybrała im rodzina i musieli zachowywać wobec nich odpowiedni dystans, w jej towarzystwie natomiast mogli się odprężyć - flirtować, śmiać się, przekomarzać i bawić jak mali chłopcy. Nie musieli dbać o zachowanie godności ani martwić się, jak wypadną. Płacili za wolność bycia tym, kim chcieli być. Nikt

jednak nie miał złudzeń i właśnie dlatego ta gra była taka doskonała.

Kiedy Masaharu prosił o nią, zawsze miała dla niego czas. Napominała się w myślach, że dla niego to też tylko gra, ale niekiedy łapała się na tym, że żałuje, iż nie jest inaczej.

* * *

Hana odsunęła drzwi prowadzące do małego domku Otsune. Wypaczone drewno zaskrzypiało w prowadnicach. Weszła do środka i natychmiast poczuła zapach przypalonych włosów i farby. Otsune zawsze była czymś zajęta. Na tyłach domku miała kołowrotek i krosna, a kiedy nie czyściła swoich narzędzi ani nie pracowała nad peruką, gręplowała, przędła albo tkala.

Ale dziś w domu panowała cisza. Krosna nie stukały, a w piecyku nie paliły się węgielki. Otsune siedziała przy stole na środku pokoju, głowę opierała na rękach. Podniosła ją, kiedy Hana weszła. Twarz miała bladą, a oczy spuchnięte i czerwone.

- Co się stało? - Hana podbiegła do niej, ale zatrzymała się w połowie drogi, kiedy zobaczyła na stole gazetę. Wiedziała, że nowy rząd zabronił wydawania gazet, ponieważ popierały Północ, i że większość redaktorów aresztowano i zamknięto w więzieniach. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje w kraju.

Przez chwilę nie śmiała patrzeć, ale potem uklękła, przytrzymując się brzegu stołu, i rzuciła okiem na drobne znaki.

- Francuski statek przybył do Jokohamy - szepnęła Otsune, wycierając oczy rękawem.

Hana spojrzała na nią zaskoczona.

- Czy to... już koniec?

Choć dzień był gorący, zadrżała. Jeśli wojna naprawdę się skończyła, mogło to tylko oznaczać, że Północ przegrała, a

południowcy wygrali. A także, że będzie zmuszona dowiedzieć się, co się stało z jej mężem. Myśl o nim sprawiała, że skuliła się ze strachu. Co będzie, jeśli zacznie jej szukać i znajdzie ją tu, w Yoshiwarze? Nie zapyta, dlaczego tu skończyła. Zabije ją, tego była pewna.

Otsune trzęsły się ręce. Sprawiała wrażenie bezradnej i zagubionej, była tak niepodobna do siebie, że Hana przestraszyła się jeszcze bardziej.

- Te nazwiska są takie trudne - w głosie Otsune usłyszała rozpacz. - Próbowałam je odczytać. Piszą tu, że na pokładzie są jeńcy - Francuzi, którzy walczyli u boku naszych mężczyzn. Nie wszyscy zostali złapani. Niektórzy zginęli. - Patrzyła na drobny druk. - Nie, nie zostali pochwyceni, poddali się. Mówią o nich straszne rzeczy. Zobacz, tutaj: „Francuscy tchórze porzucili oddziały Północy...”. Jak mogą tak pisać? To nieprawda. To odważni, lojalni ludzie. Zostali ze swoimi żołnierzami i walczyli u ich boku, choć mogli odjechać i wrócić do własnego kraju. Piszą, że zostaną odesłani do Francji i osądzeni. Przypuszczam, że rozkażą im popełnić harakiri, czy co tam robią we Francji.

Położyła głowę na rękach.

- Czytam tę listę nazwisk, ale jego nie mogę znaleźć. To takie okropne nie wiedzieć - szepnęła.

- Twój patron... - Hana aż sapnęła ze zdumienia, nagle pojawiający, dlaczego Otsune jest taka zdenerwowana.

- Jeśli nie żyje, chcę o tym wiedzieć - załkała Otsune. - Nie mogę znieść myśli, że poległ gdzieś na Ezo, że jego ciało zjadają zwierzęta. Jeśli nie żyje, powinien zostać przywieziony tutaj i pochowany.

- Twój patron był cudzoziemcem? - Tak.

Hana stłumiła okrzyk przerażenia. Widziała wysokich, niezgrabnych cudzoziemskich żeglarzy o różowych twarzach i wielkich nosach, wałęsających się po centralnym bulwarze w

cudacznych mundurach. Zapuszczali się w mroczne zaułki, gdzie stały najtańsze domy. Mieli reputację rozrabiaków. Zawsze myślała, że przyjmowały ich tylko dziewczęta najniższej klasy. Nigdy nie słyszała, żeby jakiś cudzoziemiec został patronem.

Otsune otworzyła szufladę w jednej z dużych skrzyń stojących przy ścianie i wyciągnęła małe drewniane pudełko. Postawiła je na stoliku, otworzyła i wyjęła pukiel jasnobrązowych włosów. Leżały na jej dłoni jak pasmo jedwabnej przędzy, nie były grube i mocne jak włosy Japończyków, tylko miękkie i delikatne.

- Gdy mieszkałam w domu Yamatoya, przychodzili do nas czasami cudzoziemcy, choć niewielu. Zwykle żołnierze albo marynarze. Pamiętam, że byłam wtedy w klatce - nigdy nie zapomnę tego dnia - kiedy pojawił się po raz pierwszy wielki mężczyzna o dużych okrągłych oczach. Patrzył prosto na mnie. Nie wiedziałam dlaczego. Wszyscy pozostali patrzyli na inne dziewczęta, młodsze ode mnie, ale jemu spodobałam się właśnie ja. Potem mnie zarezerwował. Dziewczęta zwykle odmawiały cudzoziemcom, ponieważ bały się ich i nie chciały ryzykować utraty stałych klientów obrażonych przyjmowaniem obcych. Na mnie jednak nie było wielkiego popytu, więc zgodziłam się z nim położyć. Początkowo też się bałam, lecz był miły i delikatny. Potem za każdym razem, gdy przychodził, prosił o mnie. Wydawał mi się groteskowy, póki do niego nie przywykłam. Chciał nie tyle seksu, co pocieszenia i czułości. Chciał czuć, że komuś na nim zależy. I mówił naszym językiem. Nie warczał na mnie, nie komenderował i nie bił mnie, w ogóle nie zachowywał się jak mężczyzna i za to lubiłam go coraz bardziej. Potem wykupił moją wolność. Powiedział, żebym znalazła mały domek i kupił go dla mnie. Ale później, jak wiesz, nadeszły złe czasy i

polecono mu, by wracał do swojego kraju. Odmówił. Powiedział, że chce zostać z ludźmi, których szkolił.

Otsune sięgnęła do kołnierza i odpięła broszę, a potem oparła łokcie na stole i zapatrzyła się w nią. Ręce jej się trzęsły. Na chwilę przycisnęła broszę do ust.

- Pewnego dnia przyszedł i powiedział, że wyjeżdża na trochę. I dał mi to, broszę, którą nosił zwykle na kurtce. Potem odciął pukiel włosów i powiedział mi, żebym go zachowała. I dał mi pieniądze - wszystkie, jakie miał. Tak wyglądał koniec. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Nie wiem nawet, czy żyje. Bardzo za nim tęsknię, za jego dużymi rękami, śmiesznym nosem. Chciałabym tu znaleźć jego nazwisko...

Odwróciła się, jej twarz połyskiwała od łez. Zająła się imbrykiem.

- Może uciekł - powiedziała Hana. - Może wraca. Nie rozpaczaj jeszcze.

- Zwiększają strażę - powiedziała Otsune, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie. - Nie zauważyłaś? Zatrzymują ludzi u Wielkiej Bramy. To może oznaczać tylko jedno, że wojna naprawdę się skończyła i że żołnierze Północy uciekają. Wiesz równie dobrze jak ja, że jest tylko jedno miejsce, gdzie policja nie przychodzi - Yoshiwara. Tutaj próbują się dostać wszyscy, którzy muszą się ukryć.

Hana wzięła jej dłonie w swoje ręce i zaczęła gładzić. Może patron Otsune również tu zmierza? Miała taką nadzieję.

* * *

Hana przeszła przez bramę prowadzącą na Edo - cho 1 z oczami wbitymi w ziemię, pogrążona w myślach. Było późne popołudnie, na ulicach zrobiło się tłoczno. Kobiety już wchodziły do saloników za kratkami, a gdzieś tam pobrzękiwały shamiseny. Mężczyźni spacerowali bulwarem, gapili się na nią i szeptali, gdy ich mijała. Nagle z domu Tamaya wypadła mała Chidori. Jej czerwone rękawy

powiewały, w rękę trzymała list. Zobaczyła Hanę i skłoniła się jej, a potem przebiegła przez bramę i skierowała się ku jednej z herbaciarni. Dzwonki u jej rękawów brzęczały.

Tłum zamilkł i rozstąpił się, gdy na ulicy pojawiło się dwóch cudzoziemców w dziwacznych strojach. Hana popatrzyła na nich ciekawie, mając świeżo w pamięci opowieść Otsune. Trudno było sobie wyobrazić, jak można przyjmować takie dziwaczne stworzenia, a jeszcze trudniej, że można darzyć je uczuciem.

Zbliżała się właśnie do wejścia do domu Tamaya, kiedy zauważyła młodą kobietę kręcącą się niespokojnie na ławce na zewnątrz. Jej ubiór i uczesanie wskazywały, że to ktoś z miasta, mimo że kimono miała dość jaskrawe i wyzywające, a z włosów sterczały jej liczne szpilki. Odwróciła się w stronę Hany i zbladła, jakby zobaczyła ducha. Hana patrzyła na nią zaskoczona. W jej twarzy było coś znajomego.

Potem nagle wszystko do niej wróciło i przerażona ruszyła szybko przed siebie. Słyszała za sobą kroki, ktoś złapał ją za rękaw. Sapnęła, powrócił do niej koszmar podróży do Yoshiwary.

- Czego chcesz? - krzyknęła przerażona. - Zostaw mnie w spokoju!

- Hana - sama, Hana - sama - powtarzała kobieta. - To ja, Fuyu.

Hana zadrżała, przypomniawszy sobie spojrzenie, jakie Fuyu wymieniła tamtego koszmarne go wieczoru z ciotką. Nadal słyszała jej słowa: „Na pewno dojdziemy do porozumienia”. A potem ożyły wspomnienia magazynu i więzów, a także uczuć, jakich doznała, uświadomiwszy sobie, że została sprzedana.

Odwróciła się do Fuyu. Jej okrągła twarz, szeroko rozstawione oczy i kształtne usta były niemal ładne. Hana

dostrzegła przebiegłość w jej oczach i nieładny sposób, w jaki wykrzywiała usta.

- Nie pamiętasz mnie? - spytała Fuyu. - To ja cię tu przyprowadziłam.

Hana wyrwała jej rękaw kimona.

- Sprzedałaś mnie! - krzyknęła. - Wzięłaś pieniądze!

Fuyu spuściła wzrok.

- Nie wzięłam pieniędzy - wymamrotała. - Pomogłam ci. Hana zmarszczyła brwi z niedowierzaniem.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - oświadczyła i ruszyła do środka. Fuyu kroczyła u jej boku, nie przestając mówić.

- Nie chcesz wiedzieć, jak się mają sprawy w Edo? Mój pan ma lombard. Ludzie zastawiają u niego różne rzeczy, kiedy czasy są ciężkie, więc dobrze mu się powodzi i zna wiele wieści.

Hana przyspieszyła, próbując się odczepić od swojej towarzyszki. Nie rozumiała, po co Fuyu za nią idzie.

- Miasto jest wyludnione - ciągnęła Fuyu. - Niełatwo żyć pod okupacją. Lepiej ci tutaj, gdzie interes kwitnie. Musisz mieć wielu klientów na swoje usługi.

Hana była już niemal przy wejściu, ale Fuyu nadal za nią szła, wciąż mówiła.

- Rząd jest już stabilny. Nasi mężczyźni go nie usuną. Mówiło się w mieście o Republice Ezo, ale nikt nie wierzy, by zdołali przywrócić władzę szoguna. Wygląda na to, że będziemy musieli nauczyć się żyć z południowcami. Słyszałam, że jesteś wśród nich popularna.

Kiedy Hana odsunęła kotarę, Fuyu zastąpiła jej drogę.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, by zadośćuczynić za swój czyn? Może przekazać komuś wiadomość?

Hanie zabiło mocniej serce na myśl o wielkim pustym domu, który porzuciła w mieście, o Oharu, swojej pokojówce, i o Gensuke, starym słudze. Bardzo chciała wysłać im

wiadomość, dać im znać, że nic jej nie jest, i dowiedzieć się, gdzie przebywają. Wiedziała, że to ryzykowne, bo jeśli jej mąż nadal żyje, bez wątpienia wróci do domu i zapyta o nią, ale była odpowiedzialna za Oharu i Gensuke, więc nie mogła pozwolić, by myśleli, że nie żyje.

- Wejdz - powiedziała wreszcie. - Napiszę coś, jeśli obiecasz dostarczyć to dyskretnie.

Yozo otworzył oczy i poruszył wargami. Poczł w ustach gorzki smak. Człnki miał sztywne i obolałe, ubranie i włosy brudne, cały lepił się od potu. Ale żył, to było najważniejsze. Żył. Zamknęli go w bambusowej klatce, tak malej, że kiedy próbował wyprostować plecy, uderzał głową w sufit. Przy każdym poruszeniu się klatki na zewnątrz słyszał szuranie stóp i chóralne stękanie tragarzy. Po drugiej stronie prętów zalegały cienie, od czasu do czasu przez szczeliny wpadało światło. Pochylił się i przyłożył oko do szpary. Zobaczył żołnierzy w czarnych kurtkach i słomianych kapeluszach, uzbrojonych w miecze i włócznie. Maszerowali na tle słońca, obwiedzeni niewyraźnymi aureolami światła. Choć Yozo był oszołomiony, za dobrze znał mundury południowców, by ich natychmiast nie rozpoznać. Zmarszczył brwi i zacisnął pięści, czując, jak sznur, którym go związano, wbija mu się w nadgarstki. Za żołnierzami widział drzewa, wysokie i proste jak kraty więzienia.

Próbował się zorientować, gdzie są i dokąd go zabierają - przypuszczał, że karawana klatek znajduje się gdzieś w górach w północnej części lądu, zapewne w drodze do więzienia Kodenmacho w Edo, na proces, a potem na miejsce straceń. Jeśli będzie miał szczęście, umrze, nim dotrą na miejsce.

Na jego policzku przysiadł komar. Yozo potrząsnął gwałtownie głową. Utkwił wzrok w trójkątym splocie bambusowej klatki i kropkach światła tańczących w szczelinach. Nawet pod drzewami panował ogromny upał.

Przynajmniej straszny ból głowy, który go dotąd dręczył, zmienił się w tępe pulsowanie, zaś ból ręki i ramienia dawało się znieść. Wrócił myślami do ostatniej bitwy, w gorączce obchodził raz po raz zrujnowany dom i wypatrywał komendanta na ulicy. Widział, jak się odwraca, jak go rozpoznaje, słyszał chrapliwe słowa wyzwania. Pamiętał, jak

uniósł karabin, słyszał strzał, zobaczył, jak komendant pada. Pamiętał, że był tam ktoś jeszcze. Przypomnił sobie czarny mundur i stożkowaty hełm, i to, że nie obchodziło go już, czy zaraz umrze.

Co się zdarzyło później? To prawdziwy koszmar. Co się stało z Enomotem i z towarzyszami broni, z którymi walczył ramię przy ramieniu? Przypuszczał, że wszyscy nie żyją albo siedzą w klatkach tak jak on i zmierzają do Edo na egzekucję. Pomyślał o latach, jakie spędził w Europie na pracy i nauce, zdobywaniu wiedzy dla swego kraju - tylko po to, by skończyć w ten sposób, kucając zamknięty w klatce jak zwierzę we własnych nieczystościach.

Jęczał i rzucał się, kopał z furją, aby tragarze stracili równowagę. Bok klatki przebiła nagle włócznia, usłyszał chrapliwy ryk. Cofnął się gwałtownie w cętkowany półmrok.

Stopniowo światło zaczęło się zmieniać. Widział przez szpary, że drzewa gęstnieją, a cienie robią się coraz dłuższe. Klatka zaczęła się przechylać, najpierw nieznacznie, a potem coraz bardziej, aż Yozo siedział przyciśnięty do jej tylnej ściany. Słyszał jęki i przekleństwa tragarzy, ich ciężkie oddechy. Zwalniali coraz bardziej. Wkrótce zaczęli się zatrzymywać po każdym kroku. Było dziwnie cicho, jakby reszta konwoju poszła dalej i zostali tylko oni.

Rozległ się szelest i cichy trzask, w lesie poruszyło się jakieś stworzenie, może jelen. Coś zaskrzeczało - być może małpa - i cała puszcza ożyła. Słyszał głośnie krakanie, trzepot skrzydeł, skrzypienie i jęk gałęzi.

Potem jakby nikąd nadszedł szum, zupełnie jak poryw wiatru, i nagle klatka spadła na ziemię. Odbiła się od niej, a następnie walnęła w coś mocno. Yozo zwinął się w kłębek, lecz po chwili ostrożnie uniósł głowę. W ciszy rozległy się głuche uderzenia, dziwne gulgotanie i cichy, głęboki syk. Potem pojawił się potworny cień, zawisł nad nim. Coś

podeszło bliżej - było za duże na człowieka, ale za małe na niedźwiedzia. Yozo patrzył na to coś odrętwiały i zafascynowany: to okrutny rodzaj śmierci zostać rozszarpanym przez dzikie zwierzę.

Potem, ku swemu wielkiemu zdumieniu, usłyszał głos.

- Uwaga!

Przecięto bambusowy skobel i drzwi klatki stanęły otworem. Pojawiła się w nich twarz jakby górskiego demona, z długim nosem i wielkimi okrągłymi oczami. Yozo uśmiechnął się tak szeroko, że aż zaboląła go posiniaczona twarz i popękane wargi. Znał te stalowoniebieskie oczy, jasną skórę i kwadratową szczękę, pokrytą teraz jasnobrazowym zarostem.

- Marlin! - sapnął.

Francuz przyłożył do ust brudny palec. Wokół klatki zebrali się jacyś ludzie, ręce sięgały po Yoza, wyciągały go na zewnątrz, przecinały więzy. Padł na ziemię i niezgrabnie poruszał rękami i nogami, usiłując odzyskać w nich czucie. Nadgarstki miał czerwone i obtarte do krwi, a włosy pozlepiane potem i brudem. Z jednej strony głowy czuł coś twardego jak strup. Pomacał to i przeszył go ostry ból. Najwyraźniej była to rana, która sama się zamknęła.

Powoli usiadł i się rozejrzał. W krzakach leżeli ludzie w czarnych kurtkach. Z gardła jednego tryskała krew, innemu spływała z ramienia. Odcięta ręka leżała kawałek dalej. Mężczyzna z brodą, ubrany w słomiany kapelusz o szerokim rondzie, przesuwiał szmatą po ostrzu wielkiego noża, inny zbierał porzucone miecze i włócznie. Ktoś podszedł do Yoza i powiedział coś niewyraźnie w północnym dialekcie, po czym poklepał go uspokajająco po ramieniu. Ci niscy, zwinni ludzie poruszali się lekko jak jelenie. To kraina niedźwiedzi, pomyślał Yozo. A to myśliwi, którzy na nie polują.

Za sobą usłyszał ciche warczenie. Dwa psy z wyszczerzonymi zębami i najeżonym białym futrem pilnowały czterech tragarzy przytulonych plecami do drzewa. Yozo spojrział na Marlina. Zamiast schludnego francuskiego munduru miał on na sobie bawełniany kaftan, niczym japoński wieśniak, jego wielkie szorstkie pięty sterczały ze słomianych sandałów. Włosy zarosły mu na uszy, a twarz ukrywała nieporządna broda. Jakoś się zmienił, pomyślał Yozo, jest inny niż przedtem. Nie chodziło tylko o ubiór. Wydawał się młodszy, radośniejszy. Jego oczy były jasne, krok energiczny, jakby wraz z mundurem zrzucił z siebie ciężar odpowiedzialności.

Marlin podszedł do tragarzy, którzy trzęśli się ze strachu i tak bardzo wyszczerzali zęby, że Yozo widział ich dziąsła.

- Przykro mi, chłopaki - powiedział Francuz cicho. - Albo idziecie z nami, albo poderżnę wam gardła. Nie mogę ryzykować, że nas wydacie.

- Jesteśmy z północy, panie - jęknął jeden, trzęsąc się okropnie. Było oczywiste, że południowcy zmusili miejscowych, by byli tragarzami. Marlin zmarszczył brwi, jakby rozważał opcje.

- W porządku - powiedział wreszcie, wzruszając ramionami. - Puszczę was wolno. Ale pamiętajcie, jeśli będę miał z tego powodu jakieś kłopoty, psy was odszukają, bez względu na to, gdzie się ukryjecie.

Rozejrzał się po raz ostatni po polanie, a potem on i jeden z myśliwych wsunęli ręce pod ciało Yoza. Ten jęknął w proteście, ramię zaczęło go rwać, ale oni podnieśli go i ruszyli w las.

Myśliwi prowadzili. Przemykali wśród drzew, obchodzili skały i przeskakiwali strumienie, jakby znali każdy kamień i liść w tej puszczy. Przecięli lesistą dolinę, nurkując wśród paproci i krzewów, a potem wspięli się na skalistą grań. Tam,

przitulona do zbocza, stała prowizoryczna chata kryta gałązkami. Wyglądała niemal jak część lasu. Otworzyli drzwi i przykucnęli wewnątrz, dysząc i nasłuchując pogoni. Panowała zupełna cisza, wyjąwszy świergot ptaków i szelest wiatru w gałęziach.

Marlin wyciągnął zza paska metalową butelkę i przysunął do ust Yoza. Woda. Yozo pił łapczywie i czuł, jak wracają mu siły.

Myśliwi zdjęli kapelusze. Mieli twarze jak kora, popękane i zniszczone, a ukryte wśród włosów oczy błyszczące niczym jagody.

Yozo skłonił się w podzięcie. Zapewne wyglądał jeszcze gorzej niż oni.

- Mój brat potrafi pokonać niedźwiedzia jedną ręką - oświadczył jeden z myśliwych, wskazując podbródkiem towarzysza. Yozo zobaczył, że ma on zawieszony na szyi niedźwiedzi pazur. - Kilku żołnierzy to żaden problem.

- Chcesz jeść? - spytał inny. Wyjął z torby jakieś śmierdzące brązowe paski i wyciągnął zachęcająco. - Górski wieloryb - wyjaśnił. Uśmiechnął się, ukazując zepsute zęby. - Tak go nazywacie wy, ludzie z nizin, prawda?

Yozo jęknął i pokręcił głową.

- Mam kulki ryżowe - powiedział Marlin. Pogrzebał w plecaku i wyciągnął paczuszkę owiniętą w liście bambusa. Yozo rozwinął liście i ostrożnie ugryzł kulkę, potem jeszcze raz.

W chacie było gorąco i wilgotno. Ściany i drzwi wykonano z gałęzi. Zatechły zapach wydzielalo coś czarnego i puchatego w rogu - niedźwiedzia skóra. Jeden z myśliwych stanął w wejściu i zagwizdał nisko, zupełnie jakby nawoływał jakiś ptak.

- Jak... jak się tu znalazłeś? - wychrypiał Yozo. - Co się stało z Enomotem i... i z resztą?

Marlin popatrzył w ziemię i zaszurał słomianym sandałem.

- Później - wymamrotał. - Jak będziesz silniejszy.

- Nie, teraz - zażądał Yozo gwałtownie.

Marlin wyjął z za pasa nóż i zaczął strugać kawałek drewna, obracając go w palcach.

- To się stało po tym, jak zniknąłeś - zaczął. - Komendant też gdzieś zniknął. Straciliśmy połowę ludzi, niemal skończyła nam się amunicja i wiedzieliśmy, że jeśli walki potrwać dłużej, wszyscy zginemy. Enomoto był w swoich pokojach. Okna wypadły, to była ruina, ale ten jego barek jakimś cudem ocalał. Wyjął whisky, którą tak lubił, i nalał nam po szklaneczce.

Marlin urwał i Yozo usłyszał trzeszczenie gałązek, gdy coś dużego mijało chatę.

- A potem? - spytał.

- Potem generał Otori mnie wezwał. Chciał, żebym mu pomógł przekonać Enomota, by skapitulował.

- Skapitulował? - powtórzył Yozo z pełną niedowierzania wściekłością. - Enomoto?

Marlin kiwnął głową.

- Nie chciał tego. Południowcy to banda tchórzy, powtarzał. Ruszyli na nas tylko dlatego, że Amerykanie przekazali im „Stonewall” i z powodu ogromnej przewagi liczebnej. Był zdecydowany ponieść śmierć w walce. Powiedział, że jeśli będzie musiał, zginie z własnej ręki.

Yozo wyobraził sobie ten pokój, przypomniał sobie, kiedy ostatni raz widział Enomota.

- Wy, Japończycy, i ta wasza samurajska duma - parsknął Marlin, nie wiadomo, czy z podziwem, czy z niedowierzaniem. - Potem przemówił Otori: „Jeśli chcesz umrzeć, możesz to zrobić o dowolnej porze”. Tak powiedział.

Nadal mieliśmy zadanie do wykonania, o to mu chodziło. Nie było potrzeby spieszyć się do śmierci.

Marlin urwał, a jego twarz spochmurniała na to wspomnienie.

- Widziałem, że trafił. Enomoto spacerował przez chwilę po pokoju, a potem się odezwał: „Nasi ludzie byli lojalni aż do śmierci. Zasługują na życie. Oddam się w ręce wroga pod warunkiem, że pozwolą im odejść”. I tak zrobił. Otori też się poddał.

Czyli Enomoto był w rękach wroga. W takim razie naprawdę przegrali. Yozo oparł głowę na rękach. Tyle razy siedział z Enomotem i popijał whisky, dyskutując z zapalem o tym, jak wszystko ulepszą, gdy wrócą do Japonii. To Enomoto nalegał, by stawili opór południowcom, zabrali flotę i popłynęli na Ezo, to Enomoto stworzył wspaniałą Republikę Ezo, w której wszyscy ludzie byli równi, to Enomoto zorganizował demokratyczne wybory. Jeśli ktoś zasługiwał na życie, to właśnie on.

- Powinieneś jego uratować! - jęknął. - Nie mnie. Jaki ze mnie pożytek?

- Enomoto to dumny człowiek - odparł Marlin. - Wątpię, żeby zgodził się na ratunek. Poza tym było nas tylko trzech, a w konwoju jest masa żołnierzy. Nie dostalibyśmy się w pobliże Enomota, więc postanowiłem odbić ciebie. W końcu jesteś moim towarzyszem broni.

- Ilu naszych pojмали południowcy? - spytał Yozo.

- Puścili wolno szeregowych żołnierzy, wzięli tylko dowódców. Patrzyłem zza muru, kiedy pakowali klatki. Jeden z rannych wyglądał mi na ciebie, więc postanowiłem zaryzykować i poszedłem.

Dalej strugał kawałek drewna. Yozo miał wrażenie, że Marlin unika jego wzroku. Być może ktoś widział, jak zabija komendanta, i rozeszły się plotki. Wszyscy wiedzieli, że była

między nimi zła krew. Znów wrócił myślami do zrujnowanego miasta, zobaczył twarz komendanta, przypomniał sobie Kitara, moment, kiedy unosił karabin.

- Jeśli chodzi o komendanta Yamaguchiego, to nikt nie wie, co się z nim stało - odezwał się Marlin, zupełnie jakby czytał mu w myślach. - Zniknął w środku bitwy. Zapewne jest gdzieś pod stosem trupów.

- A ty? - zapytał Yozo powoli. - Jak ty uciekłeś?

- Południowcy niespecjalnie chcieli mnie złapać. Można zabić cudzoziemca, ale jeśli go aresztujesz, będziesz się musiał tłumaczyć przed władzami w Edo. Zresztą i tak nie mieli dostatecznie dużej klatki.

Jeden z myśliwych skrzesał ognia, zapalił świecę i postawił w oknie. W jej migotliwym świetle wielki nos Marlina i jego głęboko osadzone oczy jeszcze bardziej upodabniały go do demona.

- Widziałem, jak ładują klatki na łodzie, i znalazłem taką łódź, która zabrała mnie na ląd. Szedłem za konwojem, lecz wkrótce zorientowałem się, że zwracam zbyt wielką uwagę. Tutejsi ludzie nigdy nie widzieli cudzoziemca i wszędzie, gdzie się zjawiałem, zbierały się tłumy, więc postanowiłem unikać miast, trzymać się gór i tam wypatrywać konwoju. Wiedziałem, że żołnierze będą musieli iść główną drogą na południe. Potem poznałem moich nowych przyjaciół i czekaliśmy na odpowiednią chwilę.

- Dziękuję - powiedział Yozo z ukłonem. - Ocaliłeś mi życie. - Choć był słaby i gorączkował, wiedział, co należy zrobić. Spojrzał Marlinowi w oczy. - Teraz musimy zrobić to samo dla Enomota i Otoriego.

Marlin ponuro pokiwał głową.

- Wiedziałem, że to powiesz - stwierdził. - Ale to nie będzie łatwe.

- Przeszliśmy tyle razem, Enomoto i ja - powiedział Yozo. - Nie mogę po prostu przyglądać się, jak go sądzą i zabijają.

- Są bardzo silnie strzeżeni, on i Otori. Potrzeba nam więcej ludzi. I nie zapominaj, że sam teraz jesteś zbiegiem. Jeśli jednak zamierzasz zaryzykować i podążyć za konwojem do Edo, pójdę z tobą.

Coś przedarło się z hałasem na wzgórzu. Dwa psy stanęły, dysząc z wywalonymi językami. Merdały z całych sił ogonami. Myśliwi klepali je i przytulali, i rzucali im paski niedźwiedziego mięsa.

- A tymczasem spróbujmy przywrócić ci ludzki wygląd - powiedział Marlin do Yoza. - Chodźmy nad rzekę, umyjesz się. Bardzo ci tego trzeba.

Yozo przedzierał się przez krzaki, schylając się nisko. Po ponad miesiącu w drodze potrafił zniknąć wśród drzew równie dobrze jak myśliwi polujący na niedźwiedzie. Kula zagwizdała nad jego głową i wbiła się w pień drzewa, a gdzieś za nim cichł w oddali tupot biegnących stóp i trzask łamanych gałęzi. Potem krzaki się przerzedziły. Wspiął się na wzgórze, pokonując zarośla i kupy zakurzonych liści pod ciemnymi koronami drzew. Zatrzymał się na chwilę, by otrzeć czoło i odetchnąć. Niedaleko niego wśród pni przemknął duży cień. Marlin.

Przez liście drzew na szczycie wzgórza przenikały promienie słońca. Yozo wdrapywał się przez płataninę korzeni, przebijał przez krzaki, aż wreszcie wyszedł na słońce i rzucił się na ziemię niemal bez tchu. Znajdował się wysoko nad piękną żółtą równiną, szeroką połacią ziemi porośniętej dywanem trawy i dzikich kwiatów. Marlin padł obok niego i leżeli przez chwilę, dysząc, pod palącymi promieniami słońca świecącego na zamglonym błękitnym niebie.

Kiedy oddech mu się uspokoił, Yozo przycisnął ucho do ziemi i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Ostrożnie uniósł głowę. Powietrze wypełniały puszyste nasiona ostów i aromat kwiatów. Ptaki uwijały się nad nimi, gdzieś w górze krzyczały dzikie gęsi.

- Zgubiliśmy ich - powiedział i zaśmiał się triumfalnie.

- Wrócą - powiedział Marlin. - Wytropią nas w końcu. Łatwo nas zauważyć. Lepiej idź dalej sam, mój przyjacielu. - Na jego dużej twarzy pojawił się uśmiech.

Yozo również się uśmiechnął. W bawełnianym kaftanie, z ogolonym przodem głowy i włosami związanymi w węzeł mógł uchodzić za wieśniaka, ale Marlin był wyższy od wszystkich. Tu, na północy, byli wśród przyjaciół. Wieśniacy witali ich jak bohaterów, karmili i ukrywali. Kiedy żołnierze z

południa pukali do ich domów, podawali im fałszywe informacje i wysyłali w złym kierunku.

Yozo i Marlin, kiedy tylko mogli, trzymali się gór, by unikać straży. Jeśli musieli iść drogą, Marlin ukrywał twarz pod głębokim jak kosz słomianym kapeluszem, niczym żebrzący mnich. Mimo to przyciągali spojrzenia.

- Nikt nigdy nie widział takiego wielkiego i dobrze odżywionego mnicha - stwierdził kiedyś Yozo.

Równina pod nimi ciągnęła się aż po horyzont - morze złocistego ryżu, gotowego do zbiorów, podzielone na szachownicę małych poletek. W poprzek lasu szła cienka linia, po której poruszały się sylwetki ludzi. Yozo popatrzył w dół, szukając wzrokiem konwoju z klatkami, ale nic nie widział.

Potem zauważył ciemną smużkę na horyzoncie. Nad nią unosił się dym.

- Tam! - wykrzyknął, mrużąc oczy - Czy to... Edo? Marlin dźwignął się na łokciu i osłonił oczy dużą ręką.

- Szkoda, że zgubiłeś tę swoją lunetę - powiedział. Yozo pokiwał głową.

- To Edo, jestem pewien. Tylko co zrobimy, jak się tam dostaniemy? Musimy zacząć werbować ludzi i planować akcję.

- Enomoto jest już zapewne w więzieniu, czeka na proces.

- Chyba że udało mu się uciec, co znając go, jest całkiem możliwe. - Yozo nie chciał kusić losu, wypowiadając to na głos, zdawał sobie jednak sprawę, że równie dobrze Enomoto może już nie żyć. Muszą przynajmniej odkryć, co się z nim stało.

Zbadał półkę skalną, na której odpoczywali, i znalazł ścieżkę dla kóz prowadzącą w dół urwiska. Marlin ruszył za nim. Ostrożnie opuszczali się na dół, szukając uchwytów na ręce, przeskakując z jednego kruszącego się występu na drugi.

Cienie zrobiły się już długie, kiedy zeskoczyli z ostatniego występu na dno doliny. Pola ryżowe zaczynały się niemal u stóp wzgórz. Ruszyli wąskimi krętymi ścieżkami, cały czas starając się mieć drogę w zasięgu wzroku. Kiedy zrobiło się zbyt ciemno, by iść dalej, znaleźli jakiś zagajnik i położyli się pod drzewem. W brzuchach im burczało. Szykowali się na długą noc.

Nagle z krzaków wyskoczył mały szary królik i popatrzył na nich, marszcząc nosek. Marlin rzucił się na niego, złapał go za uszy i uniósł, pusząc się z dumy. Obaj wiedzieli, że palenie ognia jest ryzykowne, ale znajdowali się daleko od drogi i miasta, dobrze ukryci wśród drzew, a poza tym odczuwali taki głód, że nic ich nie obchodziło. Yozo oczyścił ziemię i zebrał chrust, a Marlin poderżnął królikowi gardło i obdarł go ze skóry. Kiedy upiekli zwierzę, pożarli je błyskawicznie. To był ich pierwszy porządny posiłek od dłuższego czasu.

Następnego dnia natrafili na rzekę i ruszyli w dół nurtu, aż znaleźli miejsce, gdzie woda była płytka. Przeszli na drugą stronę. Przeciwległy brzeg porastała srebrzysta wysoka trawa, której przypominające pióra kłosa kołysały się wysoko nad ich głowami.

- Wygląda mi to na bagna - stwierdził Marlin. - Jeśli nie będziemy uważać, zapadniemy się po pas.

Yozo zrobił kilka kroków między kępami, badając stopami grunt. Ziemia była wyschnięta i twarda.

- Nie mamy wyboru - powiedział. - Przynajmniej nie zostawimy śladów. Jeśli nie będzie padać, damy radę.

Ruszyli w drogę jeden za drugim, przedzierając się przez chaszczę, deptając łądygi i odsuwając na bok kołyszące się kłosa. Nie słyhać było żadnych dźwięków prócz szelestu liści, chrzęstu słomianych sandałów i świergotu małych ptaszków przefruwających z jednego źdźbła na drugie. Yozo patrzył na słońce. Miał nadzieję, że zacierają na zachód.

Byli już głęboko na bagnach, kiedy zaczęło się robić wilgotno, a potem grząsko. Yozo zdjął sandały i szedł boso, stopy zapadały mu się przy każdym kroku, a błoto próbowało je wciągnąć głębiej. Słońce paliło niemiłosiernie. Otarł pot, który zalewał mu oczy, nogi bolały go od wyciągania ich z lepkiego błota. Marlin włókł się za nim, klnąc siarczyście.

- Zaraz stąd wyjdziemy - powiedział Yozo, udając wesołość, której wcale nie czuł. Rozejrzał się po morzu trawy i uświadomił sobie z przerażeniem, że się zgubili. W bitwie przynajmniej wiedział, gdzie jest wróg i jak z nim walczyć, ale tutaj, na pustkowiu, wśród białych kołyszących się wiechci, nie miał pojęcia, w którą stronę się zwrócić.

Przez źdźbła trawy zauważył nieopodal wzniesienie.

- Tam jest już chyba sucho - powiedział spokojnie.

Byli zupełnie wyczerpani, kiedy dotarli do pagórka. Kiedy się na niego wspinali, do uszu Yoza dobiegł jakiś hałas. Początkowo tylko szept, ledwie słyszalny wśród szumu traw i chrzęstu kamyków pod ich nogami. Potem zmienił się w jednostajny szum głosów, brzęków i kroków.

Pochylając nisko głowę, Yozo wyrzał spomiędzy traw i jęknął z trwogi. Przed nimi wznosiły się wysokie ziemne mury, całkowicie blokujące drogę. To były potężne umocnienia, wiele razy wyższe od nich. Znajdowali się tak blisko, że widzieli w górze słomiane ściany straganów oraz przechadzających się wśród nich ludzi. Zupełnie natomiast stracili z oczu drogę.

- Cokolwiek to jest, odgradza nas od Edo - stwierdził Yozo ponuro.

- Będziemy musieli to obejść.

Obejrzał się na Marlina i aż zaniemówił ze zdziwienia. Wielki Francuz uśmiechał się tak szeroko, jakby właśnie jedną ręką pokonał wroga.

- To Japońska Grobla, mój przyjacielu - wykrzyknął, jakby ledwie mógł powstrzymać podniecenie. Znad straganów na szczycie muru unosił się dym, wiatr przynosił kuszący zapach jedzenia.

Yozo zmierzył go karcącym wzrokiem i uderzył w ramię. Musieli zachować ciszę.

- Nie rozumiesz? - spytał Marlin. - To jest Yoshiwara. Jesteśmy prawie na miejscu. Możemy się tam ukryć.

Yozo otworzył usta ze zdumienia, ale potem dotarły do niego słowa towarzysza i on również zaczął się śmiać. Yoshiwara, miasto za murami. Od lat nawet o niej nie pomyślał. Marlin miał rację. To był inny świat, tam w środku panowały inne prawa. Jeśli się do niej dostaną, wszystko będzie dobrze. O ile się dostaną. Zmarszczył brwi, przemyślał sprawę, próbował sobie wyobrazić teren.

- Musimy jakoś wyminąć strażników, nigdy nas nie przepuszczą - powiedział. - Wyglądamy jak żebracy. Trzeba się będzie dostać jak najbliżej podstawy grobli, a potem iść wzdłuż niej aż na skraj palisady. Później spróbujemy przebyć Fosę Czarnych Zębów i wspiąć się na mur. To nie będzie łatwe, ale powinno nam się udać.

- A dlaczego nie poczekać na wieczór i nie wejść tam wraz z innymi? - spytał Marlin. Kręcił się niecierpliwie. - Musimy tylko dostać się na groblę.

Yozo spojrzał na przyjaciela, na jego wielką kwadratową twarz, rzadkie brązowe włosy i wąsy, na długie ręce i nogi wystające z bawełnianego kaftana i nogawic. To najbardziej niedorzeczna rzecz, jaką słyszał w życiu.

- Wmieszać się w tłum? Ty? Żołnierze na pewno sprawdzają dokumenty, a my żadnych nie mamy.

- Znają mnie - powiedział Marlin niefrasobliwie.

- Znają cię? - Yozo roześmiał się głośno.

- Oczywiście - Marlin nadal się uśmiechał. - Jeśli ktoś nas zatrzyma, powiem, że jesteś moim służącym. Zostaw to mnie.

Yozo westchnął. To był najbardziej szalony plan ze wszystkich szalonych planów, w jakich brał udział, ale Marlin wydawał się pewien swego, a nigdy dotąd go nie zawiódł.

- Lepiej ukryjmy się i zaczekajmy na zmrok - powiedział Yozo niechętnie.

Zeszli z pagórka, próbując nie zdradzić swojej obecności poruszeniami trawy, i znaleźli plamę cienia pod liśćmi paproci. Zwinęli się tam na ziemi i czekali na zachód słońca.

Yoshiwara. Yozo był światowym mężczyzną, odwiedził zachodnie kraje, ale mimo to nie mógł opanować podniecenia. Kiedy był chłopcem, uważał, że to najwspanialsze miejsce na świecie. Wszyscy rozmawiali o tamtejszych kurtyzanach i gejszach, wymieniali imiona tych najslawniejszych. Jak każdy młody człowiek Yozo marzył o tym, że pokaże się z piękną kurtyzaną u boku i wzbudzi powszechny podziw.

- Czyli znasz Yoshiwarę? - zwrócił się do Marlina.

- Tak jak ty znasz plac Pigalle i amsterdamską dzielnicę czerwonych latarni.

- Mój ojciec zabrał mnie tam po raz pierwszy, jak miałem trzynaście lat - powiedział Yozo. Zamknął oczy i usłyszał w myślach niski głos ojca. Musisz się nauczyć, jak być mężczyzną, powiedział. Yozo wyjechał potem za granicę i stał się częścią innego świata, a od powrotu ani razu nie pomyślał o Yoshiwarze, gdyż stał w obliczu wojny.

Ale teraz, kiedy słońce przetaczało się po niebie, pozwolił sobie na marzenia. Co to było za miejsce dla młodego człowieka - kobiety we wspaniałych jedwabiach uśmiechające się i machające zachęcająco, patrzące na niego tak, że pod wpływem ich spojrzeń czerwienił się po korzonki włosów. Potem pierwsze spotkanie z kurtyzaną w długich czerwonych kimonach, spowitą w chmurę perfum. Pamiętał jej uśmiech i

miękkie białe dłonie. Od tamtej pory poznał wiele kobiet jej profesji, lecz żadna nie była taka delikatna i tak niezwykle biegła w swej sztuce. Rozmarzony zastanawiał się, co się z nią stało - i jaka jest teraz Yoshiwara. Na pewno wojna odcisnęła i na niej swe piętno.

Marlin miał rację - to idealna kryjówka. Jako samuraj musiałby zostawić u bramy miecz, a wraz z nim swój status. Poza Yoshiwara samuraje patrzyli na kupców z góry, uważając ich za wulgarne stworzenia, które kalały sobie ręce pieniędzmi, ale tam w środku wszyscy jechali na jednym wozie. Tak naprawdę w Yoshiwarze kupcy byli królami i nosili się jak szlachetnie urodzeni, wydawali przyjęcia i zabawiali kurtyzany. Nawet wieśniacy byli tam mile widziani, jeśli mieli pieniądze.

Kiedy zapadł zmrok, Yozo i Marlin przebrnęli przez bagna do podnóża grobli. Yozo popatrzył uważnie na nierówny mur z ubitej ziemi, po czym zaczął się na niego wspinać, szukając oparcia dla rąk i nóg. Starał się zachowywać jak najciszej. Był w połowie drogi, kiedy rozległ się trzask. Marlin zsunął się na samo dno bagna, pociągając za sobą lawinę kamieni. Yozo uniósł głowę, spodziewając się twarzy wpatrujących się w dół, ale na górze panował taki hałas, że ginęły w nim wszystkie inne dźwięki.

Szczytem grobli szła oświetlona latarniami droga, wzdłuż której stały stragany z jedzeniem, drzeworytami, pamiątkami i książkami oraz wszelkimi możliwymi przebraniami, jakie można było sobie wymyślić, od szat lekarza po fałszywe samurajskie koki. Mężczyźni mijali go obojętnie, pasy mieli związane modnie, nisko na biodrach. Tragarze uwijali się wokół, dźwigając palankiny.

W oddali połyskiwały ciasno stłoczone domy, nad których dachami unosił się dym. Yoshiwara. Wyrastała na równinie jak miasto z baśni. Unosiła się w ciemności, tańczyła w

świetle, wabiła mężczyzn jak ogień ćmy, równie nęcąca jak zachodni raj Buddy Amidy. Ponad tupotem stóp rozbrzmiewały dźwięki muzyki i odgłosy zabawy.

Yozo otrzepał brud z ubrania i przygładził włosy.

- Szczęście, że jest noc - mruknął. Owinął szal wokół głowy, żeby ukryć twarz, tak że tylko oczy i nos pozostały widoczne. Spodziewał się, że Marlin włoży swój kapelusz, ale Francuz ruszył drogą pewny siebie i arogancki, jak każdy hulaka planujący noc w mieście.

- Pamiętaj, ani słowa - rzucił przez ramię. - Ja będę mówił za nas obu.

Szli wraz z tłumem mężczyzn. Yozo przyglądał się im ukradkiem - w większości byli to południowcy i prostaki, sądząc po akcencie i wyzywających strojach. Myśl, że ci mężczyźni nie tylko okupują jego kraj, ale i sypiają z tutejszymi kobietami, wprowadziła go we wściekłość. Pomacał nóż zatknięty za pas. Potem poczuł rękę Marlina na ramieniu. Wielki Francuz wyczuł jego wściekłość.

Byli już prawie na zakręcie, który prowadził do Yoshiwary, kiedy zobaczyli grupę żołnierzy blokujących drogę i zatrzymujących wszystkich. Marlin przeszedł wśród nich, jakby ich tam nie było. Yozo pochylił głowę i szedł za nim, kiedy brzydki mężczyzna z okrągłą głową, ubrany w czarny mundur, zastąpił mu drogę.

- Dokumenty - warknął z południowym akcentem.

Yozo ścisnął rękojeść noża, ale nim zdążył coś zrobić, Marlin odwrócił się i złapał go za kołnierz.

- Idiota - warknął po angielsku, potrząsając nim. - Jesteś zbyt powolny. Ruszaj!

Strażnikowi opadła szczęka.

- Cholerny przygłup - powiedział Marlin i strzelił Yoza w głowę.

Strażnicy cofnęli się, kłaniając się nerwowo, wyraźnie pod wrażeniem ogromnego cudzoziemca. Marlin ruszył dalej, a Yozo za nim, uśmiechając się w duchu, masując głowę i szurając nogami, jak większość tępych służących.

Właśnie gratulował sobie, że im się tak udało, kiedy dogoniło ich dwóch chudych cudzoziemców i ruszyło po obu ich stronach. Yozo rozpoznał ich mundury. Angielscy marynarze, twardziele o ogorzałych twarzach i tym mocnym zapachu obcych.

Zbliżyli się do Marlina i zastąpili mu drogę. Widać było wyraźnie, że Yozo i strażnicy dla nich nie istnieją. Marlin spróbował ich obejść najpierw z jednej strony, potem z drugiej, ale marynarze nie ustępowali.

- Francuzik, co nie? - spytał jeden po angielsku. - Myślałem, że wszystkich was wywalili.

- Co tu robisz, ubrany jak te małpy? - zapytał drwiąco drugi. Pchnął Marlina, ten cofnął się kilka kroków. Niebezpiecznie było wszczynać tu bójkę. Yozo zdawał sobie sprawę, że jeśli zwrócą na siebie uwagę, strażnicy odkryją, kim są.

- Chcecie wejść do Yoshiwary? - warknął Marlin do Anglików. - Nie wpuszczą was, jak wszczniecie burdę.

Obszedł ich i ruszył szybko w dół krętej drogi prowadzącej do Wielkiej U ramy. Yozo szedł zaraz za nim. Jak we śnie minął kołyszącą się wierzbę I ujrzał znajomy, pokryty dachówkami dach bramy, wielkie drewniane wierzaje, teraz szeroko otwarte, i czerwone latarnie wiszące po obu stronach. Strażnik, gruby mężczyzna o byczym karku i wielkich, pokrytych tatuażami rękach, wstał na widok Marlina i uśmiechnął się szeroko.

- Shirobei - przywitał go Marlin. - Ty nadal tutaj?

- Monsieur - odparł strażnik. - Witamy z powrotem. Czekaliśmy na pana. Ci ludzie sprawiają kłopoty, czy tak?

Nagle Yozo znalazł się za bramą. Unoszony przez tłum, patrzył na przepyszne domy i rzędy czerwonych latarni. Oddychał słodkimi perfumami i czuł muśnięcia jedwabiu, gdy mijały go delikatne stworzenia z pomalowanymi na biało twarzami. W tłumie kręciły się bogato ubrane dzieci.

Przed sobą, ponad tłumem, widział brązową głowę Marlina, który przepychał się główną ulicą. W pewnej chwili skręcił w boczną uliczkę. Zaskoczony Yozo podążył za nim.

Hana stała przy Wielkiej Bramie Yoshiwary, kłaniając się wdzięcznie młodemu mężczyźnie o niskim czole, który właśnie wsiadał do palankinu. Wsadził głowę do środka, potem wyjął ją i obejrzał się na Hanę z wyrazem niemal komicznej rozpaczony na twarzy. Służący stali wokoło, namawiając go do pośpiechu. Chodziły słuchy, że to wschodząca gwiazda nowego rządu, że piastuje ważne stanowisko w ministerstwie finansów, ale przy niej zachowywał się jak nadąsany mały chłopiec.

Zwykle żegnała się z klientami w domu, ale ten błagał ją tak żałośnie, żeby odprowadziła go do bramy, aż się zgodziła. Pomyślała, że jest jeszcze wcześniej i że zobaczy ją niewielu mężczyzn, więc włożyła bawełniane kimono i stare haori i wyszła na ulicę tylko z odrobiną pudru na twarzy.

Aż do tej pory starała się nie patrzeć poza Wielką Bramę. Należała do Yoshiwary i wiedziała aż za dobrze, że świat zewnętrzny jest dla niej zamknięty. Dziś złamała jednak swoje postanowienie i spojrzała, wypatrując posłańca z listem od Oharu i Gensuke. Minał ponad miesiąc, odkąd dała Fuyu list dla nich, ale nadal nie otrzymała odpowiedzi.

Po drugiej stronie bramy widziała krętą drogę, która prowadziła na Japońską Groblę, z daleka wyglądającą jak wielki mur zbudowany w poprzek równiny. Na jej szczycie poruszały się sylwetki widoczne na tle bladego nieba, pojawiały się i znikwały wśród słomianych stoisk, które połyskiwały w słońcu. Gdzieś zapiał kogut, było przyjemnie chłodno.

Wiatr przynosił zza bramy aromaty miasta - zapachy, które niemal zapomniała. Dobiegał ją stukot i głosy dzieci. Nad bagnami krzyczały głośno gęsi. Tu, w Yoshiwarze, była skazana na Pięć Ulic. Pomyślała z nagłą tęsknotą, że za Wielką Bramą świat ciągnie się w nieskończoność. Po

godzinie drogi przez bagna i poletka ryżowe znalazłaby się w Edo, które teraz trzeba było koniecznie nazywać Tokio, a po kilku dniach dotarłaby nawet do Kano, gdzie dorastała. Nagle wyobraziła sobie dom rodziców z rozklekotaną bramą, przestronnym gankiem i wielkimi cienistymi pokojami. O tej porze roku drzwi deszczowe byłyby odsunięte, a w domu panowałby przyjemny chłód.

To w słoneczny poranek, taki jak dzisiejszy, pożegnała się z rodzicami. Pamiętała, jak machali na pożegnanie, kiedy wyglądała ze ślubnego palankinu: jej ojciec wysoki i poważny, a matka mała i okrągła, skulona w jego cieniu, mrugająca szybko, by powstrzymać łzy. Była taka dumna, że córka wychodzi dobrze za mąż. Hana obiecała jej, że dołoży starań, by ich nie zawstydzić. Patrzyła z palankinu, jak robią się coraz mniejsi w oddali. A teraz nagle poczuła taką tęsknotę za nimi, że łzy napłynęły jej do oczu.

Tuż koło niej na murze wylądowała wrona. Jej krakanie przywróciło Hanę do rzeczywistości. Wszędzie wokół niej kobiety kłaniały się kochankom, którzy powoli wspinali się na zbocze, demonstrując swoją niechęć do odejścia. Wzbijali chmury kurzu i zatrzymywali się przy Wierzbie Ostatniego Spojrzenia, by jeszcze raz popatrzeć na kobietę, z którą spędzili noc. Młody mężczyzna wsiadający do palankinu znów obejrzał się na nią.

- Nie zniosę tego - powiedział płaczliwie. Zdaniem Hany jego wąskie zachodnie spodnie i marynarka nie pasowały do starannie zawiązanych słomianych sandałów i białych skarpetek tabi. - Zapomnisz o mnie, gdy tylko odejdę. Będiesz zajęta swoimi licznymi kochankami.

Uśmiechnęła się do niego jak matka do krnąbrnego dziecka.

- Ależ z ciebie głuptasek - powiedziała ze śmiechem. - Wiesz dobrze, że tylko ciebie kocham. Muszę widywać się z

innymi, bo to moja praca, ale tylko na tobie naprawdę mi zależy. Nie zmrużę oka, póki cię znów nie zobaczę. Cały czas będę o tobie myślała.

- Mówisz to każdemu - stwierdził smętnie, ale i tak się uśmiechnął. Patrzyła, jak pochyła się i wchodzi do drewnianej skrzynki, zdejmując sandały i podwija nogi. Tragarze dźwignęli palankin na ramiona i ruszyli truchtem w stronę zbocza. Hana stała i kłaniała się, póki nie znikli jej z oczu.

Kiedy ostatni klient odszedł, kobiety stojące przy bramie popatrzyły na siebie i uśmiechnęły się. Teraz przez kilka cennych godzin mogły być sobą. Hana ziewnęła i ruszyła z powrotem do domu Tamaya. Marzyła o kilku godzinach spokojnego snu. W oddali zadźwięczał dzwon, brzęczenie cykad unosiło się i opadało. W ich grze było już coś jesiennego. Z domów w zaułkach dochodziło rytmiczne walenie towarzyszące produkcji papieru. Cała Yoshiwara wydawała się gotowa zapaść w sen.

Hana mijiała właśnie Chryzantemową Herbaciarnię, kiedy ktoś odsunął kotarę.

- Hanaogi - sama! Hanaogi - sama! - rozległo się wołanie.

Hana stłumiła westchnienie. Mitsu miała na sobie wytarte kimono i kaftan. Zwykle wyglądała nieskazitelnie, nawet rano, ale dziś na jej twarzy nie widniała nawet odrobina pudru. Jej starzejąca się skóra

miała kolor pergaminu, oczy były niemal ukryte w jej fałdach, a włosy okalały twarz białą grzywą. Niemniej, ku zaskoczeniu Hany, Mitsu niemal podskakiwała z podniecenia. Rozejrzała się po ulicy, jakby sprawdzała, czy nikt nie słucha, po czym podbiegła do niej drobnymi kroczkami.

- Mam wspaniałe wieści - oświadczyła, zasłaniając usta dłonią. - Saburo wrócił!

Hana spojrzała na nią zdziwiona, zastanawiając się, co to za wieści sprawiły, że Mitsu zachowuje się w tak niezwykle dla niej sposób.

- Saburo? - powtórzyła.

- Saburosuke z domu Kashima - wyjaśniła Mitsu, podkreślając każdą sylabę kiwnięciem głowy. Roześmiała się.

- Dzielnica znowu odżyje!

- Saburosuke Kashima...

Nawet na wsi Hana słyszała o Kashimie. Kiedy wychodziła za mąż, jej matka posłała służącego do sklepu Kashima w Osace po czerwony jedwab na ślubne kimono. Nikt nie ma wspanialszych jedwabów, twierdziła. Kashima byli niewyobrażalnie bogaci i niezwykle wpływowi. Hana słyszała plotki, że wspomagali pieniędzmi obie walczące strony, żeby pozostać na szczycie bez względu na to, kto wygra.

- Oczywiście, jego posłaniec przyszedł prosto do mnie, do Chryzantemowej Herbaciarni - świergotała Mitsu, klepiąc rękę Hany. - Widzisz, to wybredny człowiek. Wie, która herbaciarnia w mieście jest najlepsza.

Uśmiechnęła się szeroko, oczy jej błyszczały.

- Był naszym najlepszym patronem, nim zaczęła się wojna. Kiedyś zamówił sobie wszystkie dziewczyny z Yoshiwary, całe trzy tysiące, i kazał zamknąć Wielką Bramę na jedną noc, żeby wydać przyjęcie. Nasi kucharze harowali przez wiele dni! Wypróbował wszystkie najlepsze dziewczyny i zawsze powtarzał, że szuka kobiety idealnej. Ale kiedy wybuchła wojna, wyjechał do Osaki, jak wszyscy nasi najlepsi klienci. Teraz wrócił. I wiesz, co mi powiedział jego człowiek? Pierwsze, co mi powiedział?

Hana pokręciła głową.

- Powiedział: „Mitsu - sama, kim jest ta Hanaogi, o której ciągle słyszymy? Mój pan pragnie ją poznać. Zarezerwuj ją

dla niego zaraz". Widzisz, nawet mimo wojny twoja sława rozeszła się po kraju.

Na ulicy jakby nagle zapadła cisza. Hana poczuła dziwną obawę.

- Ale ja już jestem zarezerwowana - powiedziała powoli. - I to na wiele miesięcy naprzód.

- Poprzesuwałam nieco twoje zobowiązania - odparła Mitsu energicznie. - Zobaczysz się z nim dziś wieczorem.

Dwoje dzieci w jaskrawych kimonach przemknęło przed herbaciarnią, goniąc się, piszcząc i chichocząc.

- Ale... - Na tę noc zarezerwował ją Masaharu, jej ulubiony klient i mężczyzna, który zapłacił za jej debiut w roli kurtyzany. Hana przestrzegała rady udzielonej jej przez Otsune: nigdy nie zapominać, że dla niego jest jedynie zabawką. Masaharu płacił za swoją przyjemność i nie było w tym nic więcej. Zawsze uważała, żeby zachować dystans i nie stracić dla niego serca. Lecz pomimo wszystkich tych wysiłków czekała na jego wizyty. - Co powiedzą moi klienci, kiedy przybędą i dowiedzą się, że spotkanie zostało odwołane?

- Nie odwołane, odłożone. Dobrze jest kazać im czekać. To sprawia, że bardziej nas pragną.

- Ale Masaharu to mój stały klient!

- Może i tak. Masaharu jest nowy w Yoshiwarze, a choć ma wiele pieniędzy do przepuszczenia, Saburo jest dużo ważniejszym klientem. Twoja ciotka i ojczulek znają Sabura bardzo dobrze, podobnie jak Tama. Będą zachwyceni. - Zaśmiała się przenikliwie. - Saburo wrócił! Będzie tak jak kiedyś. Znowu czuję się młoda!

Hana poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka.

- Nie muszę się z nim kłaskać, jeśli go nie polubię - mruknęła. - Będzie musiał o mnie zabiegać jak inni.

Mitsu zmarszczyła czoło. Jak wszystkie kobiety goliła brwi, widać więc było tylko cień ich zarysu.

- Nie bądź głupia - powiedziała. - Lubienie nie ma tu nic do rzeczy. Nie jesteś tu długo, zawsze o tym zapominam. To bardzo ważny człowiek.

Hana przełknęła ślinę.

- Jest stary czy młody? - spytała. - Czy jest przystojny? Bystry?

- Jest bogaty i tylko tyle musisz o nim wiedzieć. A teraz idź do domu, prześpij się. Będiesz dziś potrzebowała dużo siły.

Nim Hana zdążyła powiedzieć coś więcej, Mitsu zniknęła w herbaciarni. Załopotana za nią kotara.

Hana zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę domu Tamaya. Mogła sobie wyobrazić panujące tam podniecenie. Ciotka i ojczulek będą nalegali, żeby zgodziła się z nim położyć. Tama będzie ją przekonywać, że to wielka okazja. Kopnęła kurz na drodze. Kiedy tylko zaczynała sądzić, że jest panią swego losu, zawsze zdarzało się coś, co jej przypominało o jej niewolnictwie. Mimo wspaniałych strojów należała do tych ludzi.

Dotarła do bramy, która prowadziła na Edo - cho 1 i domu Tamaya. Zatrzymała się, bawiąc się wachlarzem. Postanowiła, że pójdzie zobaczyć się z Otsune. Ona będzie wiedziała, co robić.

* * *

Kilka chwil później Hana klęczała przed drzwiami Otsune, próbując je odsunąć. Okazało się jednak, że są zamknięte, co ją bardzo zdumiało. W Yoshiwarze nikt nie zamykał drzwi, a już szczególnie Otsune. Pchnęła panel jeszcze raz, pewna, że się zaciął, a potem potrząsnęła nim.

Później przyszło jej do głowy, że może przyjaciółka zachorowała, więc zapukała.

- Otsune! Jesteś tam? - krzyknęła.

Usłyszała w środku kroki i dźwięk, jakby odsuwano coś ciężkiego. Odetchnęła z ulgą. Drzwi uchyliły się nieco.

- Co się stało? Spałaś? - spytała Hana, odsuwając drzwi do końca. Błady promień słońca padł na sandały stojące w wejściu i na stopień prowadzący do małego pokoju Otsune. W tym świetle wewnątrz domku wyglądało jak płaskorzeźba. Cień Hany był zupełnie czarny, o ostrych brzegach. Kiedy weszła do środka, uświadomiła sobie, że prócz tej kałuży światła w pomieszczeniu panuje mrok, jest wilgotno i duszno jak w łaźni. Otsune musiała zamknąć drzwi deszczowe, pomyślała Hana ze zdumieniem.

Nagle ktoś złapał ją mocno za ramiona. Krzyknęła przestraszona. Napastnik odwrócił ją i pchnął na bok. Potknęła się i poleciała do przodu, wyciągając przed siebie ręce, by zamortyzować upadek. Nogi zaplątały jej się w stojące przy wejściu sandały, a wtedy do końca straciła równowagę i upadła. Stojak na sandały przewrócił się z trzaskiem. Ktoś zasunął drzwi i zapadła całkowita ciemność. Usłyszała szcęk opadającego skobla.

Teraz już nic nie widziała. Niepewnie spróbowała się podnieść. Macała rękami w poszukiwaniu czegoś znajomego, ale odskoczyła gwałtownie z okrzykiem przerażenia, kiedy jej dłoń natrafiła na szorstki materiał. Słyszała czyjś oddech, czuła zapach potu mężczyzny i smród brudnych ubrań, czuła ciepło promieniujące z czyjegoś ciała. Ktoś tu był, tuż przy niej. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, rozróżniła jakąś postać.

Szaleniec albo żebrak, pomyślała, a puls walił jej głośno w uszach. Musiał się tu wedrzeć i zabić Otsune, a teraz jest z nim uwięziona, sam na sam. Krzyknęła, ale mężczyzna chwycił ją i zatkał jej usta ręką tak mocno, że poczuła na języku pot i brud. Naparł na nią całym ciałem, więc zaczęła

się wyrywać, ale on tylko przytrzymał ją mocniej. Czowała narastającą panikę, kopała i walczyła o oddech, pewna, że za chwilę rzuci ją na ziemię i zerwie z niej kimona. Zmusił ją, żeby uklękła, nadal przyciskając dłoń do jej ust.

- Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy - powiedział cicho. - Proszę, nie hałasuj.

Patrzyła na niego przerażona. W świetle przesączaającym się przez szparę w drzwiach widziała jego potargane włosy, ciemną brodę i błyszczące oczy.

- Wybacz - powiedział. - Proszę cię, nie krzycz.

Drżała ze strachu. Kiwnęła głową, a wówczas napastnik ją puścił. Zaciśnęła pięści i przypomniała sobie o sztylcie zatkniętym za obi. Jeśli ten mężczyzna choćby drgnie, dźgnie go z całej siły.

- Gdzie jest Otsune? Co jej zrobiłeś? - spytała gwałtownie, szeptem.

- Zaraz wróci - powiedział. - Jestem jej... gościem. Przepraszam, że cię przestraszyłem.

Ukląkł naprzeciwko niej i przyglądał jej się nieufnie. Zauważyła, że zachowuje się jak wojskowy, klęczy z rozstawionymi szeroko kolanami i trzyma się bardzo prosto. Twarz miał pokrytą bliznami i zaciekami brudu, ale idealnie spokojną. Oceniał ją wzrokiem. Uniósł wysoko brwi, jakby się zastanawiał, jakie to stworzenie właśnie schwytał.

Nagle uświadomiła sobie, że to najprawdopodobniej uciekinier, żołnierz z armii Północy. Pewnie dlatego zaryglowano wejście i zamknięto drzwi deszczowe. Uciekał. Miał więcej powodów do obaw niż ona.

- Nie zdradzę cię - powiedziała cicho. Jej strach zniknął. - Tutaj wszyscy jesteśmy z Edo, lojalni wobec sprawy Północy.

Mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze i spojrzał na nią spod potarganych włosów.

- Nie ma już sprawy Północy - powiedział gorzko. - Wszystko skończone.

Czyli walczył po naszej stronie, pomyślała. Być może nawet walczył u boku jej męża i wiedział, co się z nim stało. Jednak myśl o mężu przypomniawszy jej, że ten rozdział jej życia jest już zamknięty. Teraz była kurtyzana, a mąż nigdy nie przyjmie jej z powrotem, bez względu na to, co się stanie.

Usta mężczyzny wykrzywił grymas.

- Widziałem na ulicy południowców - stwierdził. - Słyszałem ich głosy. Wy, kobiety, sprzedajecie swoje ciała wrogom. Hana skuliła się, jakby ją uderzył.

- Wszyscy musimy jakoś przeżyć - powiedziała wreszcie drżącym głosem. - Żyję, ty też żyjesz. Lepiej nie pytać, jak nam się to udało.

Mężczyzna skulił ramiona.

- Wybacz - powiedział, a Hanę ogarnęła fala współczucia. Ten człowiek walczył za ich sprawę i został pokonany. Może odniósł rany, może musiał popełnić okropne czyny. Wrócił do Edo w łachmanach, nie mogąc trzymać głowy wysoko - trudno było sobie wyobrazić, jak się czuje. Położyła rękę na jego dłoni.

- Oboje wycierpieliśmy wiele - powiedziała łagodnie. - Ale przeżyliśmy. Tylko to się liczy.

Popatrzył na nią i nagle poczuła zadowolenie, że ubrała się jak służąca, a nie we wspaniałe szaty kurtyzany.

- Nazywam się Hana - powiedziała i uśmiechnęła się.

Yozo przeszedł dreszcz, kiedy poczuł na swojej ręce dłoń dziewczyny. W mroku widział tylko owal jej twarzy, blady jak księżyc, i czarne rozpuszczone włosy. Czuł miękkość jej skóry, spokój, jaki niosła jej obecność, zapach jej rękawów i włosów. Była młoda - na to wskazywał jej głos - i bardzo drobna. Kiedy ją przytrzymał, miał wrażenie, że trzyma dziecko.

Jej dotyk wywołał w nim uczucia, o których istnieniu zdążył zapomnieć. Kiedyś wiódł inne życie, pamiętał to teraz, takie, w którym mężczyźni nie walczyli i nie umierali, takie, w którym były kobiety o miękkiej skórze i łagodnych głosach. Tamto życie wydawało się pełne możliwości. Obecne ograniczało się jedynie do kwestii przeżycia.

Tkwiał uwięziony w tym domu dostatecznie długo, by dojść do wniosku, że to gorsze niż zamknięcie w bambusowej klatce. Pomieszczenie było ciasne i zagracone, a co najgorsze, przed wyjściem Marlin uparł się, że zamknie drzwi deszczowe, i zostawił go w ciemności, żeby dławił się dymem i smrodem spalonych włosów. Yozo miał wrażenie, że wtrącono go prosto do piekła. Jego miejsce było na oceanie, na pokładzie statku, albo na Ezo, na polu bitwy u boku towarzyszy, lub w górach wraz z polującymi na niedźwiedzie. Na pewno nie tutaj, w maleńkim domku, gdzie niczego nie był pewien.

Chodził w kółko i klął, kiedy ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Żołnierze, pomyślał, wyciągając nóż zza pasa. Potem usłyszał głos kobiety i odłożył broń. Postanowił wciągnąć ją do środka, nim zaalarmuje sąsiadów, a kiedy miał ją już tutaj, zaczął się zastanawiać, kto to jest. Była zbyt wyrafinowana jak na dziewczynę z Yoshiwary, to zauważył od razu, choć ledwie pamiętał kobiety, które spotkał, kiedy ojciec przyprowadził go tu po raz pierwszy.

A potem położyła dłoń na jego ręce. Wiedział, że wygląda i zachowuje się jak dzikus, a jednak ona się go nie bała.

Usłyszał pukanie do drzwi, po chwili ktoś zapukał jeszcze raz - sygnał, jaki uzgodnił z Marlinem. Zdjął skobel i wielki Francuz wszedł do środka, schylając się nisko, żeby nie uderzyć głową w nadproże. Jego kobieta weszła zaraz za nim, w obu rękach niosła tobołki.

- Ara! Tu nie ma czym oddychać! - wykrzyknęła Otsune, odkładając tobołki. Rozłożyła wachlarz i zaczęła się gwałtownie wachlować. - Starszy bracie, musiałeś się tu dusić! Czy to ty, Hano?

Marlin przeszedł przez pokój i odsunął drzwi deszczowe. Do środka napłynęło świeże powietrze, zrobiło się widno. Yozo odwrócił się, ciekaw, jak wygląda dziewczyna. Pobiegnęła przywitać się z Otsune i kiedy klęczała w ukłonie, słońce podkreślało jej smukłą postać i czarne włosy spadające na plecy, a także wzór w białe chryzantemy na jej kimonie w granatowym kolorze.

Yozo aż wstrzymał dech na widok jej skośnych oczu, delikatnego nosa i małych, pełnych ust. Mylił się. To była dziewczyna z Yoshiwary. Wskazywała na to jej pewność siebie i brak skrępowania przy mężczyznach. Nie klęczała w milczeniu ani nie uciekła na tyły domu jak żona samuraja, wręcz przeciwnie, jego uwaga wyraźnie sprawiała jej przyjemność. Jednak miała też w sobie niewinność kobiety, która od niedawna uprawia tę profesję.

Spojrzała na Marlina, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności, a potem przycisnęła ręce do ust i odskoczyła, szeroko otwierając oczy. Mężczyźni zaczęli się śmiać. Przez chwilę Yozo widział przyjaciela jej oczami - ciężka postać o muskularnych rękach, ogromnym nosie, zaskakująco niebieskich oczach i nogach jak pnie drzew. Marlin naprawdę wyglądał jak olbrzym w domu dla lalek.

Otsune otworzyła jeden z pakunków i wyjęła ryż owinięty w liście bambusa oraz miseczki z piklami, duszonym bakłazanem i kawałkami smażonego tofu. Hana zwinęła włosy w węzeł, ukazując przy tym miękką białą skórę na karku, i podeszła do skrzyni stojącej pod ścianą pokoju, skąd wyjęła tace. Ustawiła je przed Yozem i Marlinem. Obaj jedli chciwie, delektując się każdym kęsem. Minęły miesiące, odkąd jedli tak cudowny posiłek.

- Musisz się umyć, mój przyjacielu - stwierdził Marlin, wycierając wąsy wierzchem owłosionej dłoni. - Umyć i ogolić. Wtedy znów będziesz wyglądał jak człowiek.

Otsune biegła wokoło, jakby na świecie nie było nic ważniejszego niż opieka nad swoim mężczyzną i jego przyjacielem. Teraz padła na kolana przed Yozem, pochyliła się i przyjrzała jego twarzy.

- Hano - odezwała się. - Nasz Yozo musi wtopić się w tłum, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi. Potrzebne mu strzyżenie. Jak sądzisz, powinien być samurajem czy kupcem? Czy może obciąć mu włosy na modłę zachodnią, jak robią południowcy?

Hana przechyliła głowę na bok.

- Ma długie włosy - stwierdziła. - To pozwoli wykonać dowolną fryzurę. Otsune zna się na strzyżeniu - dodała, zwracając się do Yoza.

- Zwykle czeszę kobiety, ale na pewno sobie poradzę - zapewniła Otsune ze śmiechem.

Hana zmarszczyła brwi.

- Nie sądzę, żeby ktoś wziął cię za kupca. - Udawała powagę, ale Yozo widział uśmiech czający się w kącikach jej ust. - Jesteś na to za chudy. Wszyscy kupcy, jakich znam, są grubi i bladzi i mają wiszące brzuchy, ponieważ spędzają za dużo czasu w domu, licząc pieniądze. I na pewno nie powinieneś być samurajem, bo będziesz się cały czas wdawał

w bójki. Nie - powiedziała, przysiadając na piętach. - Myślę, że powinieneś być jednym z tych młodych strażników, którzy ścigają klientów niepłacących za usługi. Miejscowi zauważą, że jesteś nowy, ale klienci nie zwrócą na ciebie uwagi, a to o klientów musimy się martwić. Otsune, powinnaś go przedstawić ciotce z domu Tamaya, da mu pracę. Mogłabyś powiedzieć, że to twój kuzyn świeżo przybyły ze wsi. To dobre wyjaśnienie, dlaczego nikt go tu wcześniej nie widział.

Otsune podała Yozowi miskę, którą napełniła ciepłą wodą. Wyszedł na zewnątrz, na tyły domu, rozebrał się do przepaski na biodrach i umył najlepiej, jak się dało.

- Kiedy będziesz się już mógł pokazać na ulicy, musisz iść prosto do łaźni - stwierdziła Hana surowo, kiedy wrócił. Yozo nachmurzył się i odwrócił wzrok, wściekły, że już ma nad nim taką władzę, że oczarowała go, nawet się o to nie starając, i że nie może oderwać od niej wzroku.

Usiadł, a Otsune przycięła mu brodę, a potem naostrzyła brzytwę na kamieniu i ogoliła mu podbródek oraz policzki, z wprawą posługując się długim ostrzem. Potem zajęła się jego włosami. Siedział w milczeniu, kiedy grube czarne pukle spadały na materiał, który rozłożyła na drewnianej podłodze. Cieszył się z jej lekkiego dotyku, kiedy przesuwała jego głowę w tę i w tamtą stronę, czuł dziwną lekkość i chłód przy uszach. A Hana kręciła się przy nim w tym swoim bawełnianym kimonie, napełniając herbatą filiżanki. Yozo próbował ją ignorować, a jednak zauważył, z jaką ciekawością mu się przygląda i jak szeroko otworzyła oczy, kiedy resztki brody i długich włosów zniknęły, odsłaniając jego młodą twarz. Zrobiła się nieśmiała, kiedy spojrzał jej w oczy. Odwróciła wzrok.

Otsune cofnęła się, podziwiając swoje dzieło. Hana uklękła koło Yoza.

- Pewnego dnia, starszy bracie, musisz mi opowiedzieć, gdzie byłeś i co robiłeś - odezwała się. - Chcę wiedzieć wszystko.

Jej głos był cichy i niski. Kiedy rozmawiała z Otsune, mówiła piskliwie i zalotnie, jak dziewczęta z Yoshiwary, ale teraz zwróciła się do niego tak poważnie, że musiał odpowiedzieć.

- Opowiem ci, obiecuję. Pewnego dnia.

Wyprostował ramiona. Muszę zachować ostrożność, powiedział sobie. Nie mogę dać się zbałamucić tej kobiecie. Muszę odszukać Enomota i pozostałych towarzyszy.

W drugim tobołku Otsune przyniosła starannie złożone ubrania. Yozo narzucił granatowy kaftan, włożył nóż za pas, a potem zwinął i zawiązał na głowie ręcznik. Kobiety przysiadły na piętach. Popatrzyły na niego, potem na siebie i uśmiechnęły się.

- Idealnie - stwierdziła Otsune, zwracając się do Marlina, który leżał na plecach jak zwalone drzewo, zajmując pół pokoju. Głowę miał opartą na poduszce.

Yozo poderwał się na nogi i zrobił krok w stronę drzwi.

- Nie tak szybko, mój przyjacielu - powiedział Marlin, chwytając go za rękaw. - W Yoshiwarze są szpiedzy, a ty jesteś ściganym zbiegiem. Daj mi czas się rozejrzeć, nim zaczniesz biegać po mieście. Ludzie mnie tu znają.

- Proszę, bądź ostrożny - błagała Otsune, patrząc na Yoza wielkimi oczami. - Nie sprowadzaj na nas kłopotów, nie teraz, kiedy odzyskałam mojego Jeana. Wojna się skończyła i południowcy wiedzą, że uciekinierzy kryją się przede wszystkim tutaj. Ludzie mówią, że po ulicach chodzą policjanci przebrani za klientów, wmieszani w tłum. - W jej oczach pojawiły się łzy. - Tak bardzo za nim tęskniłam - dodała cicho, kładąc rękę na masywnym udzie Marlina. - Yoshiwara była kiedyś zamkniętym światem, a ludzie szoguna

nigdy tu nie przychodzili. Jednak ci nowi nie szanują starych obyczajów.

Yozo westchnął. Wzruszyło go, że jego przyjaciel, ten gburowaty cudzoziemiec, którego zawsze uważał za samotnego wygnańca, ma kobietę, i to taką oddaną.

- Wątpię, czy policja zwróci uwagę na zwykłego służącego, skoro w mieście pojawił się ogromny Francuz - powiedział. Poklepał Otsune po ramieniu. - Ale nie martw się. Zaczekam godzinę czy dwie, nim wyjdę.

Z oddali dobiegło ich stłumione bicie dzwonu świątynnego, popłynęło nad polami w stronę małych domków, stłoczonych na tylnych uliczkach Yoshiwary. Dźwięk rezonował w niewielkim pokoju, sprawiając, że papierowe drzwi drżały we framugach. Hana zbladła.

- Nie sądziłam, że jest już tak późno - szepnęła. - Bardzo chciałam z tobą porozmawiać, Otsune, ale teraz nie ma na to czasu.

Otsune pogładziła jej rękę.

- Wiem, o co chciałaś mnie spytać. - Rzuciła okiem na mężczyznę, pochyliła się bliżej do Hany i powiedziała szeptem: - Ten człowiek, o którym wszyscy mówią, powiadają, że to potwór, tak naprawdę jednak to tylko mężczyzna, bogatszy niż inni, ale z takim samym apetytem. Dopilnuj, żeby miał dużo jedzenia i picia, a wszystko będzie dobrze. Przyjdź jutro i powiedz mi, jak było.

Yozo patrzył to na jedną, to na drugą. Nie miał pojęcia, o czym mówiły, ale Hana nagle zrobiła się niespokojna, jak dzikie zwierzątko złapane we wnyki.

- Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz - powiedział do niej. - Jesteśmy tu teraz, Marlin i ja. Będę cię chronić.

Marlin usiadł.

- Oczywiście. Nie pozwolimy nikomu zrobić ci krzywdy.

- Muszę robić, co mi każą - odparła Hana ze smutkiem. - Kiedy służyliście w wojsku, musieliście wykonywać rozkazy, czy tego chcieliście, czy nie. Tak samo jest ze mną. - Yozo znów poczuł na dłoni dotyk jej palców. - Ale dziękuję ci - dodała, po czym pokłoniła się i pożegnała.

W progu zatrzymała się, pełna wdzięku w swoim granatowym kimonie i z włosami opadającymi na plecy, włożyła na bosc stopy drewniaki i odsunęła drzwi. Przez chwilę stała skąpana w słońcu. W pokoju rozległo się dźwięczenie owadów. Zniknęła.

- To prawdziwa piękność - stwierdził Yozo, kręcąc głową ze smętnym uśmiechem.

Marlin objął ramieniem Otsune. Ta spojrzała na Yoza, jakby chciała sprawdzić, czy szokuje go takie okazywanie uczuć, a potem oparła się o Marlina i uniosła ku niemu twarz.

- Ja mam tutaj całe piękno, jakiego pragnę - odparł Marlin, uśmiechając się do niej.

Jedną ręką trzymając nad głową parasolkę, a drugą unosząc spódnicę, Hana spieszyła wielkim bulwarem. Od rana zdążono już zawiesić w drzwiach domów czerwone kotary, a pod okapami czerwone latarnie, wszystkie z napisem „Saburosukeye Kashima”. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, widziała te znaki. Serce biło jej niespokojnie na ten widok.

Każdy krok przybliżał ją do chwili, kiedy pozna Saburę. Próbowwała sobie przypomnieć radę Otsune, ale mogła myśleć jedynie o wydarzeniach tego poranka. Nigdy nie widziała, żeby mężczyzna traktował kobietę w taki sposób, jak Marlin traktował Otsune, z taką czułością. No i jeszcze ten Yozo. Uśmiechała się na samą myśl o nim. Widać było, że jest odważny, a jednak delikatny. Wyglądał tak znajomo, a przecież był zupełnie obcy.

Jego twarz zmieniała się zaskakująco, kiedy Otsune zgoliła mu brodę i obcięła włosy. To była męska twarz, kanciasta i mocno opalona, o szerokim czole i inteligentnych oczach - twarz mężczyzny, któremu można zaufać. Wciąż słyszała jego słowa: „Będę cię chronić”. Dla męża była częścią majątku. Dla swoich klientów zabawką. Nikt nigdy nie obiecał, że będzie ją chronił.

Ale powiedział również, że kobiety z Yoshiwary sprzedają swe ciała wrogom. Dreszcz ją przeszedł na to wspomnienie. To przecież prawda. Sypiała z wrogami i będzie to robić nadal. Nawet pozwoliła sobie na uczucia wobec Masaharu. Czy można się dopuścić większej zdrady?

Popołudniowe słońce paliło mocno, a powietrze wypełniał zapach kwiatów, pieczonej ryby i ścieków, tak intensywny, że miała wrażenie, iż się dusi. Przed jednym z domów ulicę zatarasowali mężczyźni wpatrzeni w dziewczyny, które właśnie wchodziły do klatki. Hana przeciskała się przez tłum, usiłując unikać dotyku spoconych ciał. Wśród klientów w

bogatych strojach zauważyła wychudzonych mężczyzn o głodnych oczach, zapewne zbiegłych żołnierzy Północy, jak Yozo. Nagle stanęła twarzą w twarz z dwoma potężnie zbudowanymi mężczyznami o grubych karkach, którzy przeciskali się przez tłum, bez wątpienia szukając zbiegów. Poczwała strach, ciężki i zimny jak żelazna pięść. Wyminęła ich szybko.

Przed domem Tamaya tkwała patykowata postać w połyskliwym czarnym kimonie. Rozglądała się po ulicy. To była ciotka - pomalowaną na biało twarz starej kobiety wykrzywiał gniew. Mała Chidori podbiegła do Hany, jej pulchne policzki połyskiwały od potu pod ciężkim makijażem. Złapała ją za rękaw.

- Szybko, starsza siostrze, szybko - wydyszała. Z kuchni dobiegał szcęk naczyń. To kucharze oprawiali ryby i szykowali ryż.

- Ale sobie wybrałaś porę na spóźnienie - wysyczała ciotka, kiedy Hana skłoniła się przeproszająco. - Wiesz doskonale, jaki to ważny dzień. Idź i się szykuj. Saburo w każdej chwili może się zjawić w Chryzantemowej Herbaciarni.

Jak resztę Yoshiwary, Edo - cho 1 zdobyły flagi i latarnie. Dziewczęta kręciły się wokoło, szczebiocząc z ozywieniem, gejsze kroczyły w towarzystwie służących, którzy nieśli za nimi ich shamiseny, błażni ćwiczili swe sztuczki, a z restauracji wybiegali młodzi ludzie, dźwigając stosy tac zastawionych jedzeniem. Wszyscy byli ubrani jeszcze wspanialej niż zwykle i wszyscy, jak wiedziała Hana, mieli nadzieję, że zwrócą na siebie uwagę Sabura, kiedy będzie szedł przez Yoshiwarę. Młode dziewczęta, które nigdy nie poznały Sabura, były pełne entuzjazmu, starsze kobiety wydawały się jednak dziwnie przygaszone.

Hana właśnie wchodziła za kotarę w drzwiach domu Tamaya, kiedy ciotka ją zatrzymała.

- Och, zapomniałam - powiedziała obojętnie. - Miałam ci coś przekazać. Pamiętasz tę Fuyu? Była tutaj, pytała o ciebie.

Hana aż westchnęła, zaskoczona. Fuyu musiała mieć dla niej list od Oharu i Gensuke. Przyniosła go osobiście, żeby dostać hojny napiwek. To dlatego ciotka unikała jej spojrzenia.

- Gdzie ona jest? - spytała.

- Nie było cię, więc kazałam jej wrócić jutro. Hana przysiadła ciężko na stopniu.

- Nie zostawiła... niczego dla mnie? - spytała, bliska płaczu.

- Nie - odparła ciotka, zmuszając ją, żeby wstała. - Był z nią ktoś. Jakiś mężczyzna.

Hana wyrwała ciotce ramię.

- Jaki mężczyzna? - spytała gwałtownie.

- Na pewno nie wyglądał na takiego, co ma pieniądze - stwierdziła ciotka, pociągając pogardliwie nosem.

- Ale był młody czy stary?

Jeśli był stary i kaleki, to na pewno Gensuke. Pieprzyk na podbródku ciotki zdrzął.

- Nie wiem, nie zwróciłam uwagi - powiedziała. - Chyba młody i nędznie odziany. Nie taki, jakich tu się spodziewamy.

Młody... Czyli nie Gensuke. Nagle Hanie przyszła do głowy okropna ewentualność. Założyła, że jej mąż zginął, a tak bardzo chciała odkryć, co się stało z Oharu i Gensuke, że podała Fuyu swój adres - właśnie Fuyu, ze wszystkich ludzi na świecie. Przypuśćmy jednak, że jej mąż nie zginął - przypuśćmy, że żyje - a Fuyu poszła do domu, zastała go tam i zgodziła się przyprowadzić go do niej. Gdyby wpadł we wściekłość, gotów był zaciągnąć Hanę do domu i uciąć jej głowę.

Drżąc z przerażenia, oparła się dłonią o ścianę.

- Kiedy... kiedy tu byli? - szepnęła.

- Jakiś czas temu - odparła ciotka. - Nie trać czasu, musimy iść na górę.

Hana wyprostowała się i poganiana przez ciotkę ruszyła do swoich pokoi. Służące szykowały pościel i skrzynie na ubrania gości, prostowały zwoje rozwieszane na ścianach i po raz ostatni poprawiały kompozycje kwiatowe.

Hana pomyślała, że jej jedyną szansą jest znalezienie kogoś, kto zdoła ją ochronić, kogoś tak wpływowego, że nawet jej mąż nie będzie śmiał stawić mu czoła. Przez chwilę myślała o Yozie, ale potem pokręciła głową. Nawet Masaharu nie miał dość władzy, a poza tym nie była aż tak głupia, żeby sobie wyobrazić, że zrobiłby dla niej coś, co zagroziłoby jego karierze.

Jednak był ktoś, kto mógłby ją ochronić, ktoś bogaty i wpływowy, kto nie miał zobowiązań wobec nikogo, i kto, jak wszyscy jej tu powtarzali, zawsze dostawał to, czego chciał: Saburosuke Kashima. Może więc sławny Saburo okaże się jej zbawieniem?

Hana siedziała w swoim pokoju i sama nakładała na twarz makijaż, cieniej niż zwykle. Zamiast nieprzejrzystej białej maski powstała taka, przez którą widać było wyraźnie delikatne rysy jej twarzy. Służące uczesały jej włosy w wysoką fryzurę, ozdobioną elegancką koroną z koralami i przebitą kilkoma pozłacanymi i szylkretowymi szpilkami. Nawet jej kimona były skromniejsze niż zwykle, nieco zwiewne, odpowiednie na ciepły wieczór u progu jesieni - wierzchnie miało delikatny brzoskwiniowy kolor. Cały przepych skupił się w obi, wspaniałym brokatowym pasie wyszywanym w lwy i piwonie.

Kiedy popatrzyła na siebie w lustrze, Hana, którą znała, zniknęła. Zmieniła się w Hanaogi, kusicielkę rozgrywającą skomplikowaną partię gry, w której mężczyźni mogli robić, co chcieli, pewni, że nie poniosą za to żadnych konsekwencji.

Przyłapała się na żalu, że Yozo nie widzi jej teraz, kiedy jest najpiękniejsza. Wyobraziła sobie jego twarz, to, jak na nią patrzył - a potem pokręciła głową, ganiąc się za własną głupotę.

Jej salon był wysprzątnany i udekorowany w sposób zmysłowy i luksusowy. Powietrze pachniało aloesem, drzewem sandałowym, cynamonem i piżmem. Na końcu pokoju, przed pozłacanym parawanem z sześciu paneli leżały przygotowane trzy poduszki z adamaszku, jedna dla niej, jedna dla Kawanoto, jej ulubionej praktykantki, która miała być gospodynią przyjęcia, i jedna dla honorowego gościa. Przy każdej stało lakierowane pudełko na tytoń. O ścianę oparto instrumenty muzyczne, na wieszakach udrapowano kimona z przepięknymi haftami, wyłożono na widoku obi ciężkie od złotej nici, a w alkwie powieszono malowany zwój, który przedstawiał bociana na tle wschodzącego słońca. Było tu bardziej luksusowo niż w pałacu daimyo.

Kiedy zbliżał się czas przybycia Sabura, ciotka wpadła do pokoju i obejrzała Hanę od stóp do głów. Sękatymi palcami wyprostowała kołnierze jej kimon i poprawiła koronę we włosach. Służące przyniosły tace z jedzeniem: elegancko pokrojone gotowane warzywa, całe ośmiorniczki, półmiski z bladymi cienkimi nitkami makaronu i małe fioletowe bakłażany marynowane w sake. Ułożyły je na niskim stole koło flaszek z sake i winem śliwkowym oraz dużej szklanej misy z wodą, w której pływały małe przezroczyste rybki.

- Narybek - stwierdziła ciotka z dumnym uśmiechem. - Posłaliśmy po niego specjalnie na Kiusiu. Z pewnością nie jest tani. - Cmoknęła, niewątpliwie obliczając w myślach, jak wielkie pieniądze zainkasuje od gościa za to przyjęcie. - Saburo - sama ma bardzo wyrafinowany gust.

Hana odetchnęła głęboko i zmusiła się do zachowania spokoju. Musiała oczarować Sabura, żeby został jej patronem, ale w tym celu musi się z nim położyć. Nie zdoła tego uniknąć.

Tama udzieliła jej kilku rad, kiedy była tu jeszcze nowa:

- Zachęcaj klienta, by pił jak najwięcej, a potem, gdy się położycie, pozwól mu zaraz osiągnąć swoje. Później każ mu to zrobić jeszcze raz. Pamiętaj, by zaciskać pośladki i kręcić biodrami w prawo i w lewo. W ten sposób twoja jadeitowa brama będzie ciaśniejsza, a on szybko osiągnie satysfakcję. Wkrótce wyczerpie swoje siły i zaśnie, a wtedy i ty będziesz mogła się przespać.

Aż do dziś kładła się tylko z klientami, których lubiła, i nigdy nie musiała korzystać z rad Tamy. Tej nocy to się zmieni.

Poczuła panikę, gdy z ulicy przed domem Tamaya dobiegł ją stukot drewniaków, najpierw cichy, potem głośniejszy, jakby zbliżała się roztańczona karnawałowa parada. Słyszała śpiewy i klaskanie w dłonie. Wyślizgnęła się do bocznego

pokoju. Przez cienkie drzwi z papieru dobiegły ją wysokie głosy gejsz i szuranie stóp po tatami, kiedy goście wchodzili do środka.

Kiedy zamknęła oczy, słowa Yoza: „będę cię chronić” wciąż krążyły w jej myślach. Wściekła na siebie i na niego, że tak ją rozprasza, zacisnęła pięści i zmusiła się do skupienia.

Ciotka popatrzyła na nią, by się upewnić, że jest gotowa, a potem zamasyście otworzyła drzwi i Hana wyszła prosto w światło. Ujrzała ludzi zebranych w swoim pokoju, nieruchomych, jakby zamarli w blasku błyskawicy: błazna w beżowej szacie z chusteczką do nosa na głowie i stopami wstydliwie skierowanymi do wewnątrz, wyraźnie udającego kurtyzanę, uśmiechnięte gejsze o czarnych zębach, kołyszące wachlarzami, a w głębi pokoju, koło Kawanoto, potężnego grubego mężczyznę, który zapłaci za tę zabawę.

Uniosła spódnice, odsłaniając nagie stopy, w pełni świadoma, jaki to wywrze efekt. Kołysząc trenem, przepłynęła przez pokój i uklękła na swoim miejscu, naprzeciwko gościa. Uniosła miseczkę z saka, wypila, a potem popatrzyła przez rzęsy na Sabura.

Był gruby, i to bardzo, wyglądał zupełnie jak kluska - ale bogacze zwykle są grubi, powiedziała sobie w duchu. Był też Stary, lecz w tym również nie było nic niezwykłego. Miał na sobie kosztowne szaty z najcieńszego purpurowego i czarnego jedwabiu z poematem przepięknie wykaligrafowanym złotą nicią na rękawach i kołnierzu. Zdążył je już popłamić sake, a na piersi i pod pachami rozlewały się plamy potu. Na szczycie wielkiego cielska, niczym mandarynka na placku ryżowym wielkości dyni, tkwiła mała okrągła głowa z wyłupiastymi oczami otoczonymi fałdami skóry. Z twarzy przypominał ogromną ropuchę.

Hana przyjrzała mu się uważnie. Wiedziała, że przywykł dostawać wszystko, czego chce, ale zdawała sobie sprawę, że

ulec mu natychmiast byłoby fatalnym posunięciem. Najlepszą strategią będzie kazać mu poczekać, podsycać jego pożądanie przynajmniej do trzeciej przepisowej wizyty, żeby, kiedy wreszcie dopnie swego, tym bardziej go to podnieciło. Niemniej nie mogła go zwodzić w nieskończoność. Taki mężczyzna miał władzę ochronić ją przed mężem, i dlatego musiała go olśnić.

Ułożyła spódnice i popatrzyła poważnie na Sabura. Od kurtyzany oczekiwano, że będzie się spierać z klientem, igrać z nim jak kot igra z myszą. Pamiętając lekcje Tamy, odwróciła i pochyliła nieco głowę, żeby mógł zobaczyć jej niepomalowany kark.

- Czyli ty jesteś Saburo - sama - powiedziała jedwabistym głosem. - Zanedbywałeś nas tak długo, to nie do wybaczenia. A teraz zjawiasz się nagle i zamawiasz właśnie mnie, choć wcale mnie nie znasz.

- Czy wiesz, że nasza starsza siostra Tama umiera z miłości do ciebie? - włączyła się Kawanoto, otwierając niewinnie oczy. - Nie może spać, odkąd nas opuściłeś. Ale przepłakawszy za tobą wiele miesięcy, znalazła sobie nowego faworyta. Ty pewnie też znalazłeś kogoś w Osace, kto dbał o ciebie bardziej niż my.

- To nieprawda - zaprzeczył Saburo, śmiejąc się głupawo, a na jego paskudne policzki wypłynął fioletowy rumieniec. - Jak mógłbym woleć kogoś od was, drogie panie z domu Tamaya? - Uśmiechnął się, ukazując szczyrby po zębach. - Kiedy usłyszałem o sławnej Hanaogi, natychmiast wróciłem z Osaki. Naprawdę jesteś tak piękna, jak twierdzą, a nawet bardziej.

Odezwała się muzyka. Gejsze wygrywały melodię na shamisenach, bębnach i flecie, jedna z nich śpiewała. Potem dwie inne zaczęły tańczyć, rozkładając wachlarze, a błazen

nadal udawał kurtyzanę. Saburo patrzył na Hanę spod półprzymkniętych powiek.

- Jeszcze sake? - spytała Hana, dolewając mu alkoholu. Chciała mieć pewność, że dziś nie będzie z nim kłopotów.

Saburo uniósł miseczkę, wypił zawartość jednym haustem, po czym skinął na służącego, bystrookiego mężczyznę klęczącego przy ścianie. Mężczyzna przysunął się na kolanach. Trzymał w rękach kilka długości pięknego czerwonego adamaszku. Położył go przed Haną.

- Dlaczego sądzisz, że jestem na sprzedaż? - spytała, udając obrażoną, i ponownie napełniła miseczkę Sabura. Uważała, żeby sama prawie nie pić.

- Hanaogi nigdy nie traci głowy dla nikogo - zaświergotała Kawanoto. - My wszystkie mamy faworytów, ale ona nie. Mężczyźni mówią, że ma serce z lodu i nikt nie może go stopić. Każdy mężczyzna, który przychodzi do dzielnicy, chce zostać jej patronem, ale ona ich nie przyjmuje.

- Nie jestem każdym mężczyzną - zawarczał Saburo. Jego twarz zrobiła się purpurowa, a oczy i usta zmieniły się w wąskie kreski. Znów patrzył na Hanę, jakby sobie wyobrażał, jak wygląda pod warstwami kimon.

Na korytarzu dało się słyszeć poruszenie, po czym drzwi się odsunęły i na kolanach weszła ciotka. Natychmiast przycisnęła twarz do tatami, a potem uniosła głowę. W świetle świec jej twarz wyglądała jak biała maska, a peruka błyszczała od oliwy.

- Karp z rzeki Yodo! - zakrakała.

Weszła służąca, niosąc wysoko w górze dużą cyprysową deskę, na której leżał cały karp. Został pokrojony na plastry jasnoróżowego mięsa podbiegniętego czerwienią i ułożone na szkielecie z taką szybkością, że jego głowa nadal żyła i poruszała pyszczkiem. Ryba spoczywała na łożu z białej rzodkwi i ciemnozielonych wodorostów wyglądających, jakby

pływały w morzu. Rozległy się okrzyki podziwu, kiedy służąca ustawiła karpia na stole przed Saburem.

Saburo oblizwał wargi.

- Gdzie kucharz? - ryknął. - Dlaczego nie pokroił go na naszych oczach? To dopiero byłoby widowisko!

Służąca przyłożyła miseczkę z sake do pyszczka karpia, przechyliła ją i wlała kilka kropli, Saburo przyglądał się, jak gardło ryby kurczy się spazmatycznie, a potem zaczął się śmiać, trzymając się za brzuch i kołysząc z boku na bok. Służący, błazen i gejsze przez chwilę patrzyli na niego nerwowo, a potem przyłączyli się do jego śmiechu. Wreszcie Saburo zwrócił się do Hany, ocierając załzawione oczy. Jego twarz znieruchomiła jak kamień.

- Możesz grać, w co chcesz, moja piękna, ale w końcu cię zdobędę - oświadczył. - Będziesz tańczyć, jak ci zagram. Hana poczuła zimny dreszcz.

- Widzę, że jesteś mężczyzną, który dostaje, czego chce - powiedziała i wskazała miszkę z narybkiem. - Nawet to. Teraz nie sezon, prawda?

- Oczywiście - powiedział. - Chyba że na Kiusiu.

Kawanoto wyłowila kilka rybek i przełożyła do małej miseczki. Zalała je sosem sojowym, a rybki zaczęły rzucać się gwałtownie, ubijając sos na pianę. Hana wzięła pałeczki, ale nim miała czas wyjąć rybkę dla Sabura, ten złapał miszkę w obie ręce, przyłożył do warg i wciągnął w usta całą zawartość. Zacisnął wargi i trzymał rybki w ustach, wydymając policzki. Hana niemal słyszała, jak się tam rzucają, obijają o zęby, język i policzki. Potem Saburo przełknął, aż oczy wyszły mu na wierzch, i chwycił się za wielki brzuch, śmiejąc się głupkowato.

- Co za uczucie! - sapnął. - Ruszają się. Czuję, jak się ruszają! Zapadła długa cisza, aż wreszcie błazen i służący

zaczęli się śmiać, a gejsze zachichotały. Wszyscy klaskali. Hana uśmiechnęła się i klaskała wraz z nimi.

Nagle Saburo zrobił się fioletowobrązowy na twarzy, a po chwili nawet na łysej głowie. Bardzo powoli, jak wielkie drzewo w puszczy, przewrócił się na bok, westchnął głęboko i zaczął chrapać.

Hana zaczekała chwilę, by się upewnić, że naprawdę zasnął, przyglądała się, jak jego wielki brzuch unosi się i opada. Potem wstała powoli i nadal nieco zdenerwowana, wymknęła się z pokoju. Przynajmniej dzisiaj nie musi się kłopotać zabawianiem Sabura.

Kiedy Hana wyszła na zewnątrz, w dzielnicy panowała cisza. Ognie w papierowych latarniach zawieszonych pod okapami dachów i przed drzwiami zgaszono, więc gdy uniosła głowę, widziała setki gwiazd mrugających na ciemnym niebie. Pomyślała, że miała dziś szczęście z Saburem.

Kątem oka dostrzegła w ciemności jakiś ruch. Ktoś tam był, chyba mężczyzna. Obróciła się, by lepiej widzieć.

Nawet w ciemności od razu mogła powiedzieć, że to nie klient. Był za młody i zbyt wygłodzony, miał ten nieco szalony wygląd zbiega z Północy. Cofnęła się w cień. Był wysoki, dużo wyższy od niej, miał gruby kij i tobołek. Śmierdział przeпоconymi ubraniami i zatęchłą pościelą.

Skłonił się jak żołnierz.

- Wybacz - powiedział wyraźnie i głośno. - Szukam kurtyzany Hanaogi. Hana poczuła zadowolenie, że przebrała się i rozpuściła włosy.

- Czego od niej chcesz? - spytała.

- Mam wiadomość.

- Wejź do środka, spytaj o ciotkę i doręcz ją jej. Pokręcił głową.

- Mam rozkaz przekazać ją Hanaogi osobiście.

Zaskoczona, przyjrzała mu się uważniej. Mówił nieco przeciągle, jak mieszkańcy środkowej Japonii. Uświadomiła sobie, że musi pochodzić z Kano, jak ona i jej mąż. Nie tylko jego akcent wydał jej się znajomy, również coś w jego postawie, szeroko rozstawionych nogach, jakby szykował się do ataku. Twarz miał chudą, ukrytą pod zarostem, i czerwoną bliznę pod uchem. Była pewna, że widziała już kiedyś ten płaski nos i wypukłe czoło.

Nagle sobie przypomniała. To było tego dnia, kiedy jej mąż wyjeżdżał. Stała przed domem i obserwowała grupę młodych mężczyzn w niebieskich mundurach, czekających za

bramą. Jej mąż warknął coś i jeden wystąpił naprzód. Hana uniosła wtedy wzrok i przez chwilę patrzyła w oczy wysokiego, grubokościstego młodzieńca o zaciętej twarzy i potarganych włosach. Ku jej rozbawieniu zaczerwienił się po końcu uszu. Jej mąż pchnął go w stronę swego ojca, który stał, opierając się na mieczu, jak weteran wielu bitew. „Mój zaufany człowiek - powiedział mąż, klepiąc młodzieńca po plecach tak mocno, że ten aż postąpił kilka kroków naprzód, by się nie przewrócić. - Nie jest piękny, ale to dobry szermierz i umie pić. Ufam mu całkowicie”.

Przełknęła z trudem, próbując opanować drzenie głosu.

- Ichimura?

- Pani - skłonił się, a w jego oczach zobaczyła, że też ją rozpoznał. W domu za nimi trzasnęły drzwi, ludzie zaczęli z hałasem schodzić

po schodach. To były gejsze, zabierały ze sobą klientów, których nie stać było na spędzenie tu nocy. Kiedy cała grupa wyszła na zewnątrz, jeden z gości przewrócił się, a potem wstał, klnąc głośno, co wywołało u gejsz wybuchy donośnego śmiechu. Zniknęli za rogiem na wielkim bulwarze, śpiewając wesoło.

Ichimura patrzył w ziemię, jakby przerażony tym, że znajduje żonę swego pana w takim miejscu.

- Wszyscy nie żyją, Ichimuro - szepnęła Hana słabym głosem. Śpiewy cichły w oddali.

- Wiem - odparł Ichimura. - Poszedłem do waszego domu.

Hana gwałtownie wciągnęła powietrze, przypominając sobie ciemne pokoje, opróżnione nawet z poduszek, zamknięte drzwi deszczowe, węgielki gorejące w palenisku. Przypomniała sobie desperacką ucieczkę, walkę z drzwiami, odgłosy pogoni i to, jak biegła w stronę rzeki, zostawiając Oharu i Gensuke na pastwę losu.

- Nie jest już taki jak kiedyś, pani. Nikt o niego nie dba. - Urwał i otarł rękawem oczy. - Służący powiedzieli mi, co się stało. Była tam dziewczyna i kaleki starzec.

- Oharu i Gensuke! Nic im się nie stało? - Sama myśl o nich przyniosła Hanie pocieszenie.

- Miałem dostarczyć wiadomość ojcu mego pana - powiedział Ichimura, marszcząc brwi. - Służący powiedzieli mi, co się stało w Kano i że południowcy przyszli po ciebie i musiałaś uciekać. Nie słyszeli o tobie od tamtej pory. Uznali, że też nie żyjesz, więc dałem sobie spokój z poszukiwaniami i poszedłem do miasta. - Rozejrzał się i zniżył głos. - Stworzyliśmy ruch oporu, pani. Wypędzimy południowców i przywrócimy szoguna na należne mu miejsce. Niektórzy moi towarzysze dotarli wcześniej do Edo i przyjęli mnie do siebie. Rozpytywałem po mieście, tak na wszelki wypadek, gdybyś jednak żyła, ale potem skończyły mi się pieniądze.

- Więc poszedłeś do lombardu i spotkałeś...

- Kobietę o imieniu Fuyu. Powiedziała, że sądząc z opisu, chodzi o zbiegłą kobietę, którą spotkała zimą, i że musi to sprawdzić.

Więc to dlatego Fuyu ją odszukała i skłoniła podstępem do ujawnienia adresu jej domu. Zapewne wcale nie dostarczyła listu, uświadomiła sobie Hana z gniewem. Oharu i Gensuke nadal nie mają pojęcia, że ona żyje.

- Kiedy przyszedłem ponownie, Fuyu powiedziała, że cię znalazła, i przyprowadziła mnie prosto tutaj. Nie sądziłem, że to naprawdę ty, pani, ale potem przekonałem się, że jednak tak.

W świetle gwiazd Hana zobaczyła, że Ichimurze trzęsie się broda.

- A mój mąż? - spytała szeptem. - Mój mąż?

- Przykro mi, pani - odparł, przełykając z trudem. Hana wzięła go za rękę.

- Wejdz do środka - powiedziała łagodnie. - Poślę do kuchni po jedzenie i tytoń.

* * *

Kiedy Ichimura rozwiązywał sandały i wycierał stopy, Hana przypomniała sobie, że Saburo śpi w jej salonie. Na szczęście sala bankietowa była pusta, więc zaprowadziła Ichimurę właśnie tam. Ukłękł w wielkim pokoju o malowanym suficie, wśród pokrytych laką pudełek na tytoń, obrazów, zwojów i zapalonych świec. Siedział jak żołnierz, z wyprostowanymi plecami pomimo podartych ubrań. Kiedy widziała go po raz ostatni, był krzepkim młodzieńcem o szerokiej twarzy, ale teraz policzki zapadły mu się, a pod oczami miał ciemne kręgi. Położył na podłodze swój tobołek i zaczął go rozwiązywać.

Ze środka wyjął dwa pudełka, drewniane na zwoje i metalowe z mocno dopasowanym wiekiem, w jakich żołnierze trzymają prowiant. Skłonił się i podał jej oba, trzymając je z szacunkiem w obu wyciągniętych rękach. Były niespodziewanie lekkie. Położyła je na podłodze obok siebie.

- Proszę - zaczęła. - Opowiedz mi o moim mężu.

Ichimura przysiadł na piętach i popatrzył w ziemię. Kiedy podniósł wzrok, smutek malował mu się na twarzy.

- Opowiem ci, ile mogę, pani - powiedział powoli. - Walczyliśmy wiele miesięcy, ale wróg miał nad nami wielką przewagę i w piątym miesiącu wiedzieliśmy już, że zostaliśmy pokonani. Panował upał nie do zniesienia. Powinno padać, ale na Ezo nie ma pory deszczowej. Ludzie leżeli tam, gdzie padli. Było ich za wielu, żebyśmy zdołali ich pogrzebać. Rannych tylko opatrywano i zaraz wracali do walki. Mój pan walczył na pierwszej linii, prowadził każde starcie, lecz mówił niewiele. Wieczorami przesiadywał w swoich pokojach. Potem pewnego dnia posłał po mnie. To było piątego dnia piątego miesiąca. Miał przygotowane te pudełka. Powiedział:

„Ichimura, wracaj do Edo i oddaj je mojemu ojcu. Jeśli nie żyje, oddaj je moim braciom. Jeśli nie żyją, mojej matce. A jeśli ona też nie żyje, mojej żonie". Nie chciałem go opuszczać. Pragnąłem zginąć u boku towarzyszy i błagałem, by posłał kogoś innego, ale on miał ten swój wyraz twarzy. Powiedział: „Rób, co mówię, albo zabiję cię tu i teraz".

Hana niemal usłyszała gwałtowne słowa męża i widziała służących rozbiegających się jak kurczaki, by wypełnić jego rozkazy. Pamiętała, jak sama biegła w ten sposób.

- Poczekałem na przerwę w walkach, a kiedy opuszczałem fort, obejrzałem się za siebie. Mój pan obserwował mnie z bramy, sprawdzał, czy odszedłem. Przedarłem się przez miasto do portu, a potem zdołałem przepłynąć na ląd. Dalej szedłem pieszo. To była długa droga, pani, zewsząd otaczali mnie wrogowie. Czasami musiałem z nimi walczyć, ale nigdy nie zapomniałem, że mam rozkazy i zadanie do wykonania.

- A mój mąż?

- Kiedy dotarłem do Edo, dowiedziałem się, że wróg zaatakował o świcie i zbombardował fort. W końcu nasi przywódcy poddali się, zostali aresztowani i sprowadzeni tutaj w klatkach. Próbowałem się dowiedzieć, co się stało z moim panem. Wiedziałem, że nigdy nie pozwoliłby się wziąć żywcem, ale modliłem się, żeby udało mu się uciec. Później jednak spotkałem ludzi, którzy widzieli, jak padł.

- Mógł być ranny, a nie zabity - szepnęła Hana.

- Ale nie ma go tutaj, pani, i nikt go nie widział. Nikt nie wie, gdzie on jest.

- A co się stało z jego ciałem? Czy nie należy sprowadzić go tutaj i pogrzebać?

- Nie pojmujesz, jak wielu ludzi zginęło, pani - powiedział Ichimura. - Jeśli pan znalazł śmierć na Ezo, tam został pochowany. Codziennie modlę się za jego ducha.

Popatrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

- Pani, pozwól, że ci pomogę - powiedział cicho. - Wojna się skończyła, jesteś ostatnia z rodziny mego pana i chcę zrobić dla ciebie, co w mojej mocy. Pozwól, że cię stąd zabiorę. Hana pokręciła głową.

- Za późno na to. Ale muszę cię o coś poprosić. - Pochyliła się do niego i ściszyła głos. - Tu nigdy nie rozmawiamy o przeszłości. Mój mąż zginął jako buntownik przeciwko nowemu porządkowi, przeciwko cesarzowi, a tu jest wielu południowców. Błagam cię, dotrzyмай mojej tajemnicy. Nie mów nikomu, kim jestem. Od tego zależy moje bezpieczeństwo.

Ichimura pokiwał głową.

- Służyłem twojemu mężowi, pani, i będę służył tobie. Nie zdradzę cię. Hana cofnęła się, kiedy weszło dwóch służących. Powiedziała im, żeby zabrali Ichimurę do kuchni i zanieśli dwa pudełka na górę, do jej pokoi.

Przekradła się przez salon, rzucając okiem na Sabura, żeby sprawdzić, czy nadal chrapie, a potem poszła do sypialni, odesłała służące i zamknęła drzwi. Odetchnęła i trzęsącymi się rękami podniosła wieko drewnianego pudełka. Rozwinęła zwój.

Przeczytała pierwsze słowo: Pozdrowienia, napisane ręką jej męża. Choć był wieśniakiem, puszył się jak najbardziej arogancki z samurajów i jak oni pisał i czytał. W oczach zakręciły jej się łzy. Minęła chwila, nim mogła się skupić na dalszych pociągnięciach pędzelka.

Mój szlachetny ojciec, pisał dalej. Zbliży się koniec, ale będziemy walczyć w obronie imienia szoguna i honoru, nawet jeśli nasza śmierć pójdzie na darmo. Nasza sprawa jest słuszna i sprawiedliwa. Bądź pewny, że nie przyniosę wstydu ani tobie, ani nazwisku rodziny.

Przesyłam Ci wraz z tym listem kilka pamiątek. Kiedy powróci pokój, umieść je w naszym rodzinnym grobowcu w Kano. Moim przeznaczeniem jest zgnić na tej północnej ziemi, ale chcę, by te pamiątki spoczęły wraz z moimi przodkami. Taka jest moja ostatnia wola. Uważaj mnie odtąd za zmarłego.

Na dole mąż się podpisał i postawił swoją pieczęć w wyblakłym czerwonym tuszu. Ocierając łzy, Hana zdjęła wieko z metalowego pudełka. Poczła słaby zapach pomady do włosów. W środku leżał starannie złożony kawałek papieru morwowego, a w nim pasmo czarnych, poprzetykanych siwizną włosów, długie, błyszczące i zawiązane wstążką. Jego włosy, Jego zapach. Hana wzięła je w rękę, przypominając sobie ciężar jego ciała, kiedy kładł się na niej, słony zapach jego skóry i woń sake w jego oddechu. Pukiel włosów spoczywał na jej ręce zimny i ciężki. Kiedy odłożyła go z powrotem do pudełka, miała zatuszczoną dłoń.

Pod spodem zawinięta w inny kawałek papieru leżała fotografia. Szaro - biały obrazek zdawał się niknąć w świetle świec. Dorosły mężczyzna, równie stary jak jej ojciec. Znała to szerokie czoło, silną szczękę i pełne usta, dzikie oczy i błyszczące włosy szczesane z kościstej twarzy. Widziała zmarszczkę między oczami i bruzdy przy ustach. To była zła twarz, twarz, która ją przerażała.

Kiedy po raz pierwszy ją ujrzała, był dzień jej ślubu. Tej nocy wpatrywała się skromnie w jego wielkie palce u nóg o płaskich szerokich paznokciach, kiedy zdejmował z niej kolejne kimona. Starła się nie usuwać przed jego dotykiem i mocnym zapachem jego ciała. „Niech na ciebie spojrzę, moja piękna oblubienico, niech nasycę tobą oczy” - wymruczał. Potem wszedł na nią. Pamiętała jego chrapliwy oddech i jego skórę, gorącą i spoconą, przesuwaną się po jej skórze.

A teraz nie żył. Zapakował to pudełko własnymi rękami, zdając sobie sprawę, że to będzie jego ostatni czyn na tej ziemi. Ale nie otworzył go jego ojciec czy brat, nawet nie jego matka, tylko żona - żona, która go zdradziła, która kładła się z innymi mężczyznami i w głębi serca czuła dla niego pogardę.

W salonie rozległ się jakiś hałas. To ciotka przyszła sprawdzić, co z Saburem. Hana pospiesznie wrzuciła wszystko do pudełka, ukryła je w szufladzie i narzuciła na wierzch kimona. Przejrzy to potem, kiedy wszyscy wyjdą.

Yozo odsunął drzwi domu Otsune i rozejrzał się nieufnie po wąskiej uliczce. Spomiędzy kamieni i wzdłuż ścian rachitycznych domków wyrastały chwasty, gdzieś niedaleko piał kogut, a na wpół wyłysiały pies drapał się w słońcu. Nikogo nie było, kiedy wychodził, ciesząc się poranną ciszą, chłodnym powietrzem w płucach i kamienistą ziemią pod stopami.

To był jego drugi dzień w Yoshiwarze. Udało mu się przekonać Otsune i Marlina, by pozwolili mu wyjść. Kiwał głową, kiedy mu przypominali, że jest poszukiwany, i jeśli zrobi coś głupiego, wystawi na niebezpieczeństwo również ich. Chciał zacząć opracowywać plan uwolnienia Enomota, a tu, w mieście, na pewno byli jego towarzysze, żołnierze Północy ukrywający się w tym wyjętym spod prawa miejscu.

Skręcił na wielki bulwar i przyjrzał się bogatym domom o wejściach zasłoniętych kotarami, ich eleganckim drewnianym ścianom, salonom zamkniętym kratkami i balkonom pełnym flirtujących kobiet. Nie widział takiego przepychu od czasu, kiedy chodził po ulicach Europy. Daimyo zapewne mieszkali w pałacach równie wspaniałych jak te, ale ukrywali się za wysokimi murami i zamkniętymi drzwiami, jak to zawsze było w zwyczaju w Japonii - wyjąwszy Yoshiwarę, gdzie bogactwo wystawiano na pokaz. To miejsce wręcz zalewały pieniądze - pieniądze z południa.

Dzień dopiero wstawał, lecz ulica nie była całkowicie wymarła. Przed mniejszymi burdelami zbierali się żebracy, niczym padlinożercy walcząc o góry resztek jedzenia. Yozo poczuł mrowienie skóry na karku i odwrócił się. Z cienia po drugiej stronie ulicy przyglądała mu się grupa wytatuowanych mężczyzn z wypomadowanymi kokami. Domyślił się, że to strażnicy pilnujący zabawiających się panów. Dla nich to

miasto stanowiło terytorium wroga. Popatrzył na nich wyzywająco: miał dokładnie takie samo prawo tu być jak oni.

Przyglądał się sprzątacjom, zastanawiając się, czy któryś z nich nie okaże się zaraz żołnierzem z Północy, kiedy poczuł znajomy zapach - cierpki, słodkawy dym opium. Towarzyszył mu wszędzie, od tętniących życiem alei w Batawii na Jawie, po burdele przy placu Pigalle. Teraz przeniósł go z powrotem na ulice Londynu, Paryża i Amsterdamu, gdzie ospali młodzieńcy żuli brązowe kulki, a panie piły laudanum, by ukoić nerwy. Myślał, że Japonia to inny świat, ale Yoshiwara najwyraźniej taka nie była. Narkotyk wywołujący sny dotarł tutaj z Europy, Chin i holenderskich Indii Wschodnich. Mężczyźni zapalali właśnie swą pierwszą dzisiaj fajkę.

Ten aromat przywiódł mu na myśl czasy, gdy jako młodzieniec wystawał przed domem nauczyciela i z rosnącą wściekłością czytał raporty o wojnach opiumowych, w wyniku których Brytyjczycy zmusili Chińczyków do zalegalizowania opium i otworzenia chińskich portów na handel brytyjski, po to, by Kompania Wschodnioindyjska mogła je tam spokojnie sprzedawać. Druga wojna opiumowa skończyła się ledwie dwa lata przed wypłynięciem Yoza na Zachód, w 1860 roku wedle zachodniego kalendarza.

W tym samym roku Brytyjczycy zniszczyli Pałac Letni cesarza w Pekinie. Yozo pamiętał, jak dyskutował tę nowinę z przyjaciółmi, pełnymi zapału młodymi studentami, jak uświadomili sobie, że ich kraj też jest wystawiony na niebezpieczeństwo - że Japonia może zostać zaatakowana i zniszczona, że najeźdźcy mogą zmienić ich sposób życia. To był jeden z głównych powodów, dla których on i jego czternastu towarzyszy zostali wysłani na Zachód - by zamówić okręty wojenne i nauczyć się zachodnich sztuczek, by Japonia miała większą szansę pokonać tych ludzi w ich własnej grze. Jego rodacy rozgrywali karty lepiej niż

Chińczycy i póki co udało im się powstrzymać cudzoziemców.

Gruby mężczyzna szedł, sapiąc, w stronę Yoza, jego brzuch podskakiwał nad pasem.

- Wyjdzie za chwilę - wydyszał.

- Kto? - spytał Yozo, ale mężczyzna już wybiegł na ulicę i wykrzykiwał nowinę do kobiet, które wychylały się z balkonów burdeli.

Kotary nad wejściami uniosły się i z domów zaczęli wychodzić ziewający ludzie. Pełne zapału młode dziewczęta z pomalowanymi na biało twarzami, sprawiającymi wrażenie masek, staruchy o pomarszczonych policzkach, roześmiane dzieci i opryskliwi młodzieńcy ponieśli Yoza w tłumie uperfumowanych ciał. Tupiąc głośno drewniakami, zdążali bulwarem, a potem przez wykładaną płytkami bramę przeszli na boczną ulicę, gdzie zebrali się przed największym budynkiem ze wszystkich, bardzo przypominającym pałac. Na kotarach w drzwiach domu wypisano słowo „Tamaya”. Yozo zmarszczył brwi, rozpoznając tę nazwę. Tu właśnie Hana kazała mu przyjść szukać pracy. Choć sądził, że wyrzucił ją już z myśli, i tak tu trafił.

Przed wejściem stał ogromny, pokryty laką palankin. Jego połączane ozdoby błyszczały w słońcu. Obok zastęp służących, tragarzy i strażników w jedwabnych strojach wydymał dumnie piersi. Służące w granatowych kimonach wybiegły z domu i ustawiły się w dwóch długich szeregach wzdłuż ścieżki od wejścia do palankinu.

Yozo trzymał się na tyłach tłumu, który falował i szurał nogami, trącał się łokciami i walczył o lepsze miejsca.

- Już zaraz - szepnęła gdzieś za nim młoda kobieta do koleżanki.

- Może mnie zauważy?

- Nie ciebie, mnie. Nie ubrałam się tak na darmo. Zamówi mnie, jestem pewna!

Nagle na skraju tłumu zaczęło się jakieś poruszenie. Ludzie cofnęli się tak gwałtownie, że przycisnęli Yoza do ściany. Słyszał sapania i piski, a potem gniewne okrzyki.

- Wy, z drogi! Co wy robicie?

- Wyjdzie lada chwila.

- Hej - wykrzyknął chrapliwy głos z ciężkim południowym akcentem. - Czy ty nie jesteś jednym z tych tchórzy, którzy walczyli na północy?

Jakiś towarzysz wyraźnie znalazł się w niebezpieczeństwie. Yozo przepchnął się przez tłum, roztrącając ludzi łokciami, chciał zobaczyć, co się dzieje.

Plecami do bocznego wejścia do domu Tamaya stał wysoki kościsty mężczyzna i rozglądał się dziko wokoło. Wyglądał jak włóczęga, wychudzony i zaniedbany, z blizną na twarzy i dwoma mieczami zatkniętymi dumnie za pas. Strażnicy przepychali się ku niemu, ale kiedy znaleźli się bliżej, cofnęli się i stanęli na szeroko rozstawionych nogach, z kijami w rękach, obserwując go nieufnie. To oni są tchórzami, pomyślał Yozo.

- Naprzód! - krzyknął jeden, robiąc zamach. Mężczyzna złapał jego kij, wyrwał mu go, po czym rzucił z pogardą na ulicę.

- Co robiłeś w domu Tamaya? - krzyknął inny, usiłując go kopnąć. - Jesteś złodziejem, tchórzliwym złodziejem!

Tłum obserwował starcie w milczeniu. Potem jakaś kobieta pisnęła:

- Zostawcie go w spokoju!

Protesty narastały, początkowo niepewne, potem coraz głośniejsze, aż wreszcie ktoś krzyknął:

- Zostawcie go! Nic nie zrobił. On jest jeden, a was dziesięciu. Zostawcie go!

Z tłumu poleciał drewniak i trafił jednego ze strażników w plecy. Strażnik odwrócił się, a potem wziął zamach i uderzył mężczyznę kijem w ramię.

Twarz mężczyzny pociemniała.

- Tchórz, powiadasz - powiedział cicho, kładąc rękę na głowni miecza. - Zobaczmy, który z nas jest tchórzem.

Ale nim zdążył wyciągnąć miecz, strażnicy skoczyli na niego i przycisnęli go do ściany. Jeden walnął go w brzuch, a drugi wykręcił mu ręce za plecami, wykrzykując mu w twarz sprośności.

Yozo zorientował się po fryzurze mężczyzny, że należał on do milicji Kioto. Mimo to był jego towarzyszem, więc odepchnął ludzi i wmieszał się w starcie. Uderzył z całej siły pięścią w ucho strażnika, który przytrzymał mężczyznę, po czym zwrócił się ku kolejnemu, który runął w jego stronę. Walnął go pięścią w mięsisty brzuch, pozbawiając tchu. Kiedy strażnik upadł, Yozo rzucił się na trzeciego i przewrócił go na ziemię z taką siłą, że oderwał rękaw od jego jedwabnej kurtki. Kopnięciem powalił czwartego. Żołnierz Północy również walczył jak demon i powalił dwóch dalszych strażników.

- Chodźmy stąd - wykrzyknął, chwytając Yoza za ramię. Ale kiedy Yozo ruszył za nim, nagle otoczyli go strażnicy, którzy już zdążyli podnieść się z ziemi. Jego nowy towarzysz próbował zawrócić, ale połknął go tłum.

Yozo przeklął w duchu. Udało mu się zrobić dokładnie to, przed czym przestrzegał go Marlin - wpakował się w kłopoty. Jeśli strażnicy go aresztują, odkryją, że jest zbiegiem, Marlin i Otsune zostaną ukarani, a plan uratowania Enomota zakończy się, nim jeszcze się zaczął. Położył dłoń na sztylcie i odwrócił się do napastników, kiedy rozległ się ogłuszający wrzask.

- Przestańcie, ale to już!

Zapadła cisza, gdy starucha o stalowych oczach, od stóp do głów ubrana na czarno, ruszyła w jego stronę. Jej twarz przypominała pomarszczoną złośliwą maskę śmierci, na głowie miała czarną błyszczącą perukę. Wymachiwała na oślep laską. Yozo skulił się, kiedy kij spadł na jego głowę. Uniosła rękę, by uderzyć ponownie, gdy rozległ się szelest jedwabiu.

- Ciotko, ciotko, ja znam tego człowieka!

Yozo wyrwał się strażnikom i odwrócił. Z domu wyszły kobiety o pomalowanych twarzach, ubrane w przepiękne kimona. Stały u wejścia. Z tyłu, niemal ukrytą za nimi, dostrzegł drobną, wykwintną postać. Włosy miała kunsztownie ułożone, jej szata połyskiwała w słońcu. Mimo wszystko Yozo ją poznał. To była Hana.

W ciszy słyszał wyraźnie każde słowo.

- Należy do mojej służby. To straszny rozrabiaka, ale biorę za niego pełną odpowiedzialność. Straż, puścić go.

Strażnicy padli na kolana i skłonili się.

- Tak, pani - powiedzieli. - Przepraszamy.

Wstali i wycofali się, mrużąc pod nosem przekleństwa.

- To jest kuzyn Otsune, przyjechał ze wsi - wyjaśniła Hana starej kobiecie. - Obiecałam, że będę na niego uważać.

Postąpiła krok do przodu i skinęła lekceważąco na Yoza.

- Ty, słuchaj. Służące zaprowadzą cię do moich pokoi. Zostań tam, póki ktoś nie przyniesie ci rozkazów.

Kiedy służące zabierały go ze sobą, Yozo zobaczył jeszcze, jak z domu wychodzi grubas. Mężczyzna odwrócił się w jego stronę i widać było po jego wyłupiastych oczach, jakby rozpoznał Yoza. Potem wsiadł do palankinu, a tragarze z jękiem dźwignęli drążki na ramiona, purpurowi na twarzach i z nabrzmiętymi żyłami na czołach.

Kiedy palankin ruszył, gruby paluch rozsunał bambusową żaluzję i w szparze pojawiło się oko. Patrzyło na Hanę.

Patrzyło tak przez cały czas, kiedy palankin posuwał się wśród kłaniającego się tłumu. Wreszcie palankin zniknął wraz z orszakiem służących.

Yozo stał niepewnie w wejściu do luksusowych pokoi Hany. W łagodnym świetle, które wpadało przez papierowe ekrany, dostrzegł na podłodze tace z resztkami jedzenia, połamane pałeczki i przewrócone butelki sake - pozostałości niezwykle ekstrawaganckiego bankietu. Do piecyka wrzucono kadzidło. Jego zapach - skomplikowana mieszanka aloesu, drzewa sandałowego i mirry - wypełniał pokój. Yozo rozpoznał ten aromat. Unosił się z rękawów Hany.

Czyli do tego miejsca przynależy, pomyślał skonsternowany. Na pokładzie statku, w forcie czy na polu bitwy czuł się swobodnie, jednak wśród tej powodzi obrazków, draperii i kimon był całkiem zagubiony. Kiedyś może byłoby go stać na taką kobietę, ale teraz, w obecnej sytuacji, znajdowała się poza jego zasięgiem.

Zaczął krążyć po pokoju. Powiniennem szukać towarzyszy, a nie siedzieć w salonie prostytutki, pomyślał, marszcząc czoło. A jednak został. Powiedział sobie, że musi przecież podziękować Hanie za interwencję i ocalenie go przed aresztowaniem. Od odejścia powstrzymywało go coś jeszcze.

Dręczył go widok przypominającego ropuchę mężczyzny, który wsiadał do palankinu. Pamiętał strach na twarzy Hany, kiedy usłyszała wczoraj dzwon. Czy to dlatego, że wiedziała, że ma z nim spędzić noc? Rozglądając się po pokoju, Yozo zauważył przed połączonym parawanem spłaszczone poduszki, zupełnie jakby leżał na nich ktoś ciężki. Uderzył pięścią we wnętrze drugiej dłoni i skrzywił się, wyobrażając sobie, jak ten grubas bawi się tutaj, w buduarze Hany.

Zrobił dwa kroki i znalazł się w jej sypialni. Popatrzył na pościel w rogu - najlepszy jedwabny adamaszek, czerwona krepa z czarną aksamitną obwódką, wszystko mocno perfumowane. Na ścianach i na wieszakach wisiały kimona, był tu nawet stojak na miecze, odsunięty na bok.

Z ulgą stwierdził, że futony były rozłożone w wielu miejscach pokoju, jakby spała tu kurtyzana i jej praktykantki, a nie ułożone obok siebie, jak wtedy, gdy kurtyzana przyjmuje klienta.

Pod kimonami dostrzegł coś metalowego. Pudełko, nie pokryte laką czy inkrustowane kością słoniową, jakie dałby kurtyzanie klient, ale zwykłe metalowe, takie, jakie noszą żołnierze. Sam miał podobne. To prawdziwa niespodzianka zobaczyć coś takiego wśród perfumowanych jedwabi w sypialni Hany. Widać miała męża, kochanka, brata albo ojca, który walczył na wojnie, i to on je przysłał. Odwrócił się. Wojna należała do przeszłości i chciał, żeby tak zostało. Dusząc się wśród tych watowanych kimon, perfum, kremów i pudrów, wrócił do salonu.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na brokatowej poduszce i wziął fajkę z długim cybuchem. Mężczyzna podobny do ropuchy patrzył na niego tak, jakby go znał. Yozo też był pewien, że kiedyś go już widział, lecz za nic nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Potem przez papierowe ekrany dotarł do niego słaby zapach opium i wtedy sobie przypomniał.

Opium. Minęło niemal siedem lat od chwili, kiedy on i jego towarzysze rozbili się w drodze do Holandii i musieli spędzić piętnaście dni na Jawie, w porcie Batawia, bardzo niezdrowym miejscu. Pewnej nocy Yozo z Enomotem i Kitarem zgubili się w labiryncie alejek cuchnących przyprawami, opium i ściekami.

Szli, potykając się w ciemności, szczególnie paskudną boczną ulicą, kiedy otworzyły się jakieś drzwi i wybiegła z nich dziewczyna. Wpadła prosto na Yoza z takim impetem, że zatoczył się na drewnianą ścianę. W żółtym świetle padającym z domu zobaczył białą twarz ze skośnymi oczami i wysoko osadzone kości policzkowe. Dziewczyna miała wykrzywione ze strachu usta i ogromne źrenice.

Podnosił się właśnie na nogi, kiedy z tego samego budynku wypadł tłum mężczyzn, porwał z ziemi dziewczynę i zaniósł ją, choć krzyczała i kopała, z powrotem do środka. Yozo, Enomoto i Kitaro popatrzyli po sobie i już mieli iść jej z pomocą, kiedy w drzwiach dostrzegli ciemny cień. Mężczyznę, grubego niczym zawodnik sumo, o małej głowie i oczach niknących w fałdach tłuszczu. Wyglądał bardziej jak przywódca jakuzi niż jak miejscowy. Yozo uświadomił sobie, że dziewczyna też wyglądała na Japonkę.

- Co się dzieje? - zawołał do grubasa.

- Ta dziewczyna to moja własność - odparł mężczyzna wysokim metalicznym głosem. - To sprawa prywatna, nie musicie się kłopotać. Dziękuję za pomoc, panowie. - Kiedy drzwi się zamknęły, słyszeli dochodzące ze środka krzyki i odgłosy razów. Odchodząc, Yozo uświadomił sobie, że gdyby nie zablokował dziewczynie drogi, być może zdołałaby uciec.

Wiele czasu minęło od tamtej pory i niemal o tym zapomniał. Teraz wszystko sobie przypomniał tak wyraźnie, jakby to się zdarzyło wczoraj: żółte światło padające z otwartych drzwi, brudny zaułek, blada, przerażona twarz kobiety, błysk oczu mężczyzny. Po ciemku Yozo ledwie widział jego twarz, ale była na tyle charakterystyczna, że nadal ją pamiętał. Mężczyzna utył znacznie i był jeszcze bardziej nadęty, ale to na pewno on.

Poinformowali wtedy o tym incydencie holenderskie władze Batawii, ale niestety nie zdołali odszukać domu w labiryncie uliczek. Powiedziano im, że to część miasta, do której nie zapuszczają się uczciwi ludzie, i że pełno tam gangów parających się wszystkim, od handlu opium po handel kobietami. Podobno na Japonki był wielki popyt, sprzedawano je jako konkubiny chińskim kupcom. Zdarzały się też morderstwa, dlatego doradzono im, żeby się tam więcej nie zapuszczali.

Yozo wziął węgielek, przytrzymał przy główce fajki i wciągał powietrze, póki tytoń się nie zapalił. Myślał intensywnie. Najlepiej będzie nie mówić nic Hanie. I tak przecież nic nie mogła zrobić w tej sprawie.

Wypuścił dym z płuc. Będzie jednak musiał uważać. Jeśli nikt inny jej nie strzeże, sam się tym zajmie.

Hana zatrzymała się przed drzwiami do swoich pokojów i odetchnęła. Wiedziała już wiele o mężczyznach, a Yozo był tylko jednym z nich, napomniła się w myślach surowo. Nikim więcej.

A jednak był kimś więcej.

Przypomniała sobie niedawne krzyki i szamotaninę, podskakującą fryzurę Ichimury gdzieś w środku tłumu zbirów. Aż westchnęła z przerażenia, kiedy zniknął pod masą wzniesionych do ciosu rąk i kołyszających się koków.

I nagle zjawił się Yozo. Nie miała nawet czasu pomyśleć, co on tam robi, kiedy wmieszał się w bijatykę. Patrzyła z podziwem, bez tchu, jak z zimną krwią skutecznie usuwa przeciwników, wymierzając kopniaki i uderzenia niczym mistrz sztuk walki. A teraz - o ile nie uciekł - czekał na nią tutaj, w jej pokojach.

Nieśmiało odsunęła drzwi. Yozo siedział ze skrzyżowanymi nogami i palił fajkę. Jego oczy zabłysły, kiedy ją zobaczył. Zasunęła za sobą drzwi i uklękła naprzeciwko niego. Wygładził włosy i wyprostował ubranie. Wyglądał zupełnie inaczej niż podczas starcia na ulicy, choć zdarzyło się to zaledwie kilka chwil temu. Przyjrzała się jego twarzy, jego bystrym oczom i silnym ustom. Miał surową minę.

- Myślałam, że Otsune i Jean kazali ci się trzymać z dala od kłopotów - powiedziała prowokująco, usiłując zachować lekki i niefrasobliwy ton.

- Uratowałam mi skórę - stwierdził, odpowiadając jej spokojnym spojrzeniem.

Westchnęła. Teraz, kiedy zobaczył jej luksusowe pokoje, wspaniałe draperie, poduszki z adamaszku ułożone starannie koło lakowych pudełek na tytoń i góry futonów, widocznej przez podwójne drzwi do sypialni, nie mógł już mieć wątpliwości, kim jest.

- Mój sekret się wydał - rzekła po chwili milczenia. - Miałam wielką nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, czym się zajmuję.

- Z pewnością żyjesz w wielkim przepychu - stwierdził, unosząc brew. - Nigdy nie widziałem takiego luksusu. Musisz mieć wielu wielbicieli, tak wielu, że możesz w nich przebierać. - Ponownie nabił fajkę, obracając gałkę tytoniu w palcach, aż zabarwiły się na brązowo. Kiedy znów się odezwał, mówił cicho. - Czy nie martwi cię jednak, że trzeba za to drogo zapłacić? Widziałem, jak ten mężczyzna patrzył na ciebie, gdy wychodził. Nie masz pojęcia, kim on jest, a jednak pozwalasz mu pieścić swoje ciało. Jak możesz to znieść?

Hana skuliła się, jakby ją uderzył.

- Żadne z nas nie ma wyboru - odparła, a głos jej się trząsł. - Nawet ty. Kurtyzany nie są takie jak inne kobiety, jesteśmy innym gatunkiem. Może nie zawsze taka byłam, ale nie wstydzę się tego, co robię. - Wyprostowała się. - Poza tym mylisz się. Wiem, kim jest ten człowiek. Nazywa się Saburosuke Kashima i jest bogaty, dużo bogatszy, niż ty będziesz kiedykolwiek.

Yozo zmarszczył brwi.

- Bogaty, powiadasz. A wiesz, skąd pochodzą jego pieniądze?

- To kupiec i ma wielkie imperium handlowe - Hana próbowała mówić wyzywająco, ale głos jej się załamał. Krępowало ją otwarte spojrzenie Yoza.

- Równie dobrze mógł pożyczać pieniądze i posyłać zbirów, by bili ludzi, kiedy nie płacą na czas. Albo handlować opium lub kobietami. - Yozo urwał. - Chyba go kiedyś spotkałem, w Batawii. Jeśli mam rację, jest niebezpieczny.

Hana wyjęła zza obi wachlarz.

- W Yoshiwarze przebywa wielu złych mężczyzn, którzy przychodzą tu ukryć się przed prawem. Nie jestem taka niewinna, jak sądzisz. A tu, w domu Tamaya, jestem zupełnie bezpieczna. Ciotka i ojczulek nigdy nie pozwolą mnie skrzywdzić, za dużo we mnie zainwestowali.

Urwała, kiedy uświadomiła sobie, że nigdy z nikim tak nie rozmawiała. Mężczyźni płacili jej za słuchanie ich, a nie mówienie o sobie. Yozo jednak był wyraźnie zainteresowany nie tyle jej ciałem, co tym, jak żyła. Poczowała się wzruszona jego troską.

- Wolno mi wybierać, z kim śpię. Zawsze tak było, aż do tej pory - powiedziała. - Ale Saburo to co innego. Jeśli ciotka może zarobić pieniądze na zmuszeniu mnie, bym z nim spała, wówczas mnie do tego zmusi.

Pochyliła się ku Yozowi.

- To była pierwsza wizyta Sabura i miałam szczęście. Zasnął i spał jak dziecko przez całą noc.

Yozo wytrząsnął fajkę, a potem położył ręce na udach. Były opalone i silne, ręce pracującego mężczyzny. Hana położyła dłoń na jego dłoni.

- Dziękuję ci, że obchodzi cię, co się ze mną stanie.

Odłożył fajkę, oparł się na łokciu i wbił w nią wzrok, podpierając głowę na ręce. Było w nim coś - nawet w sposobie, w jaki się poruszał - co różniło go od mężczyzn, których dotąd znała. Miał na sobie pożyczony strój służącego - rozpoznała rzeczy, które Otsune przyniosła mu wczoraj - opaloną jak u chłopca twarz pokrywały mu blizny, a jednak zachowywał się arogancko jak księżę.

Przywykła już, że mężczyźni padają jej do stóp. Mogła się stać, kim zechcieli - kochanką, powiernicą, matką. Dlatego za nią płacili. Ale przy Yozu nie potrafiła grać. Sądziła, że umie oczarować każdego mężczyznę, przy nim jednak czuła lęk. Zdawał się przenikać wzrokiem jej maskę, widział ukryte w

niej dziecko. Nie była nawet pewna, czy jej legendarna uroda wywarła na nim jakieś wrażenie.

- Powiedziałeś, że gdzie widziałeś Sabura? - spytała. Pokręcił głową.

- To bez znaczenia.

- Nie w Japonii - domyśliła się. - To było gdzieś indziej. Byłeś... poza Japonią?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Zaczynała pojmować, co sprawiało, że był taki inny. Nie знаła nikogo, kto by choć marzył o wyjeździe z Japonii. Gdzieś stamtąd pochodzili cudzoziemscy żeglarze i ukochany Otsune, Jean. Yozo też częściowo przynależał gdzie indziej, wiedział o rzeczach, o których ona nie miała pojęcia, widział świat, którego nie potrafiła sobie nawet wyobrazić.

- Powiedziałeś, że powiesz mi wszystko - szepnęła, przysuwając się bliżej. Jej ramię otarło się o jego ramię. Poczowała dreszcz podniecenia.

Przez chwilę patrzył w dal, a potem wziął fajkę i zaczął obracać w palcach.

- Znasz powiedzenie „gwóźdź, który wystaje, trzeba wbić głębiej”? Ludzie myślą, że jesteśmy skażeni, ja i moi przyjaciele, ponieważ byliśmy za granicą i spotykaliśmy się z ludźmi takimi jak Jean. Mówią, że Jesteśmy szpiegami albo zdrajcami, a nie prawdziwymi Japończykami. - Uśmiechnął się, ale to był smutny uśmiech.

- Jak tak nie myślę - zapewniła go. - Ale czy byłeś w kraju Jeana? Chciałabym wiedzieć, jak tam jest, w miejscu, skąd pochodzi.

Yozo westchnął.

- Tam jest pięknie - powiedział powoli. - Stolica, Paryż, jest niemal tak wielka jak Edo, ale budynki wzniesiono tam z kamienia, a nie z drewna. Są tak wysokie, że szyja boli, jak się na nie patrzy. Nawet niebo ma inny kolor, jaśniejszy, bledszy.

Hana zmarszczyła brwi, próbując to sobie wyobrazić.

- A ludzie? - spytała. - Czy wyglądają jak Jean? - Pomyślała o jego wielkim ciele, dziwnym kolorze włosów, szorstkiej skórze i zaskakujących niebieskich oczach i pospiesznie zasłoniła usta ręką. - Kobiety też? Czy mają czarne włosy jak my, czy są takie jak Jean?

Yozo nadal patrzył w dal, jakby myślami był gdzieś daleko.

- W pewnym sensie mają rację - powiedział cicho, jakby do siebie. - Nie jestem prawdziwym Japończykiem. Nie przynależę już tutaj, za długo byłem za granicą. To jest zamknięty świat, a ja nie jestem jego częścią. Tyle widziałem, tyle wiem, zadaję za wiele pytań.

Hana chciała mu powiedzieć, że rozumie i że w Yoshiwarze ona jest wyrzutkiem, że też tu nie przynależy.

- Skąd pochodzisz? - spytała. - Gdzie jest twój dom i rodzina?

- Nie żyją, wszyscy. Twój zapewne również. Nie zawsze byłem biednym żołnierzem, a ty nie zawsze byłaś kurtyzaną. Nie przynależysz do Yoshiwary, prawda? Wszyscy próbowaliśmy jakoś przeżyć, sama to powiedziałaś.

Patrzył na nią uważnie, a ona dostrzegła drobinki złota w jego brązowych oczach. Potem ujął jej rękę i uniósł do ust. Hana zadrżała pod dotykiem jego warg, szybko cofnęła się. Jej ciało należało do ciotki. Nawet przebywanie sam na sam z Yozem stanowiło wykroczenie. Jeśli ktoś ich przyłapie, dostanie baty. Wolała nawet nie myśleć, co zrobią jemu.

Yozo też zmarszczył brwi.

- Mężczyźni płacą za ten przywilej - odezwał się. - Ale mnie nie stać nawet na to.

Hana próbowała się odsunąć, stłumić pragnienie, jakie w niej płonęło, lecz całkiem straciła kontrolę nad sobą. Popatrzyła na niego, a on ujął jej twarz w obie dłonie. Kiedy

jego usta dotknęły jej warg, miała wrażenie, że tak właśnie powinno być, że to spełnienie marzenia.

Przesunęła ręką po jego twarzy, pogładziła jego policzek, a potem wzięła jego dłoń, wyczuwając odciski w jej wnętrzu.

- Ta ręka walczyła - powiedziała cicho.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem - odparł, gładząc ją po włosach. - zawsze będę cię chronił.

Hana objęła go, poczuła przy sobie jego gorące ciało. Ich usta znów się spotkały. Zamknęła oczy i pozwoliła się pochłonąć fali pożądania, jaką budził w niej jego dotyk.

Na korytarzu za drzwiami było cicho. Całkiem zapominając o rozwadze, przylgnęła do niego całym ciałem, a ich usta połączyły się w pocałunku tak namiętnym, że aż dech zaparło jej w piersiach.

Ranek był gorący i parny. Yozo siedział w sypialni Hany w domu Tamaya i przesuwiał palcami po jej włosach, które opadały błyszczącą kaskadą na puchate futony. Pomyślał, że bogowie zapewne wzięli go pod swoją opiekę. Minęło już kilka dni od starcia przed domem Tamaya, a on nadal nie mógł uwierzyć, jak bardzo zmieniło się jego życie.

Ich kradzione wspólne chwile były niezwykle słodkie, tym słodsze, że musiały być ukradkowe. Kochał jej zapach, miękkość jej skóry, kiedy brał ją w ramiona. Dla świata była sławną pięknoscią, ale przy nim mogła być sobą.

Nad bagnami zbierały się dzikie gęsi, a na murach Yoshiwary kwitły pierwsze tykwy. Lato zbliżało się ku końcowi. Po tylu nieszczęściach - przegranej wojnie, desperackich bitwach w palącym upale - Yozo wreszcie zaczął zapominać o koszmarze przeszłości i patrzeć w przyszłość.

Jeszcze ani razu się nie kochali. Wiedział, że oddała mu serce, ale jej ciało było zarezerwowane dla innych mężczyzn. Myśl, że nigdy nie spędzi z nią nocy, stała się dla niego torturą - jednak mimo wszystkich przeszkód był szczęśliwszy, niż śmiał marzyć.

Nie zapomniał o swojej misji uwolnienia Enomota i Otoriego - ta sprawa zaczęła nabierać kształtów. Żołnierz Północy, któremu pomógł, Ichimura, przyłączył się do niego wraz z dwoma towarzyszami, Hikiem i Heizem. Razem robili, co mogli, by odszukać uwięzionych towarzyszy.

Za każdym razem, gdy przychodził tu rano, Hana odprawiała służące i zamykała drzwi sypialni, pozostawiając tylko wąską szparę, żeby słyszeć, czy ktoś idzie. Kawanoto, jej młoda praktykantka i powiernica, obiecała stać na straży i ostrzec ich, jeśli pojawi się ciotka.

Hana leżała na boku i uśmiechała się do niego.

- Czy to prawda? Czy Saburo naprawdę zniknął? - spytał.

- Nie wrócił nawet raz. Ciotka powiedziała, że przysłał wiadomość, wyjechał w interesach do Osaki. Oczywiście zapewniłam ją, że jestem bardzo rozczarowana. - Uśmiechnęła się przebiegle.

- Wróci - powiedział Yozo. - Ale zajmiemy się tym, kiedy nadejdzie właściwa pora. - Pocałował ją w nos, wdychając zapach jej włosów, czując, jak przesuwają się po jego piersi, gdy się do niego przytuliła.

- Podobałeś mi się wczoraj w zachodnim stroju - szepnęła. - Byłeś taki przystojny.

- Ciotka jest bardzo zadowolona - odparł. - A wszystko dzięki tobie.

Hana przekonała ciotkę, że dom Tamaya wyróżni się spośród innych, jeśli będzie miał tłumacza dla bogatych cudzoziemców, którzy zaczęli przychodzić do Yoshiwary. Wcześniej, o ile nie przyprowadził ich jakiś Japończyk, zawsze ich odprowadzano, ponieważ nie potrafili się porozumieć z dziewczętami - wszystkich, z wyjątkiem zagranicznych marynarzy, którzy nie byli zainteresowani rozmową i szli prosto do burdeli niskiej klasy w bocznych uliczkach. Hana powiedziała ciotce, że kuzyn Otsune umie mówić w cudzoziemskich językach i że mając go za tłumacza, dom Tamaya mógłby przyciągnąć dużo lepszą i bogatszą klientelę.

- A więc Tama przyjęła wczoraj pierwszych klientów z Zachodu - stwierdziła.

- Było ich dwóch. Anglicy. Tama pragnęła wiedzieć, czy chcą posłać po dodatkową dziewczynę albo chłopca, ale wyjaśniłem jej, że nie mogę zadać po angielsku takiego pytania. - Roześmiał się. - Powiedziałem jej, że mamy ich zachęcać, by przyszli znowu, a nie odstraszać.

- Anglicy wydają się bardzo dziwni - powiedziała Hana, również się śmiejąc. - Myślałam, że przyszli się tu zabawić.

- Dali Tamie hojny napiwek, więc była zadowolona. I zamówili ją na dziś, czyli też byli zadowoleni.

Dobiegło ich bicie dzwonu w świątyni na drugim końcu bulwaru. Hana drgnęła i spojrzała na Yoza.

- Mamy dla siebie tak niewiele czasu, i to zawsze rano - stwierdziła smętnie.

- Znajdę sposób, żeby cię stąd zabrać - obiecał, całując jej włosy. Wstał i owinał się kaftanem. Czas iść. Rzucił ostatnie tęskne spojrzenie na sypialnię i nagle zauważył, że coś się zmieniło.

Na małym domowym ołtarzyku, ukrytym w cieniu, leżały świeże ofiary. Stała tam też fotografia i zapalone świece. Metalowe pudełko, które zauważył wcześniej, tkwiło za fotografią.

Widok tego zdjęcia wywołał u Yoza wstrząs silny jak cios. Przez te kilka dni znajomości ani on, ani Hana nie opowiedzieli sobie wiele o swoim dawnym życiu. Yozo mówił głównie o podróży do Europy, choć wiedział, że dla Hany to było jak fantazja. Milczał na temat wojny na Ezo i tego, co tam robił. Nie pytał też o przeszłość Hany ani o to, jak trafiła do Yoshiwary. Tutejsze kobiety nigdy nie rozmawiały o swojej przeszłości. Dla klientów ich życie zaczynało się w chwili, gdy przybywali na miejsce. Yozo cieszył się przy Hanie intymnością, o jakiej nie mogli marzyć zwykli klienci, ale mimo to nie pomyślał, żeby zapytać ją, kim kiedyś była. Tymczasem teraz jej owiana tajemnicą przeszłość zdawała się napierać na niego, grożąc zniszczeniem świeżo odnalezionego szczęścia.

Podszedł do ołtarza i z ociąganiem spojrzał na twarz przedstawioną na fotografii - czuł w głębi duszy, że ją rozpozna, a równocześnie doświadczał nieopanowanej ciekawości. Wypłowiła i pożółkła fotografia zwijała się na brzegach. Trudno było coś na niej rozróżnić w świetle świec,

ale Yozo rozpoznał szerokie czoło, przenikliwe oczy i gęste włosy zaczesane do tyłu.

Dreszcz przeszedł mu po plecach, a gardło ścisnęło się boleśnie. Akurat kiedy zaczął nowe życie, gdy sądził, że wojna i jej koszmar zostały już za nim, ta twarz wróciła, żeby go prześladować. Przełknął z trudem, słysząc znów w uszach huk wystrzałów, czując żar płonącego miasta. Ponownie obchodził róg zrujnowanego domu i widział przed sobą tę twarz. Nie miał bowiem wątpliwości, kim jest mężczyzna z fotografii - komendant Yamaguchi.

Patrzył na zdjęcie, dusząc się od zapachu kadzidła i dymu świecy. Tylko z jednego powodu to zdjęcie mogło się znaleźć w pokoju kobiety, która skradła mu serce. Była córką albo siostrą, albo - to było nie do pomyślenia - żoną jego wroga. Powinienem teraz wyjść bez słowa wyjaśnienia, powiedział sobie w duchu. Nie miał prawa tu być. Ale potem przypomniał sobie Sabura i ciemny zaułek w Batawii. Saburo mógł wkrótce wrócić, a on nie dopuści, by Hana wpadła w jego ręce.

- Ten człowiek... kim on dla ciebie jest? - spytał niskim głosem. - Czy to twój brat? Może ojciec?

- Mój mąż. - Jej słowa były jak kamienie wpadające w jezioro, wzbudzające fale ciszy. - Znałeś go?

Zacisnął pięści, czując, że zaczyna się pocić. Nie mógł jej skłamać, byli sobie zbyt bliscy. Wiedział jednak, że jeśli powie jej prawdę - że zabił tego człowieka - straci ją na zawsze.

Zawahał się, rozważając, co odpowiedzieć.

- Wszyscy znali komendanta Yamaguchiego - powiedział wreszcie.

- Proszę, zachowaj moją tajemnicę - poprosiła żarliwie. - Mój mąż był buntownikiem jak ty, i to sławnym. Jeśli ktoś się o tym dowie, będę zrujnowana. Mężczyźni, którzy tu

przychodzą, to sami południowcy. - Słyszał panikę w jej głosie.

Kiwnął głową. Zapadła długa cisza.

Kiedy znów się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała ulga.

- Wiem, że był wielkim człowiekiem i wojownikiem. Wszyscy go podziwiali. Moi rodzice mówili, że spotyka mnie wielkie szczęście, ponieważ wydają mnie za męża za takiego człowieka. Ale ja się go zawsze bałam. To okropne, co mówię, ale byłam szczęśliwa, kiedy pojechał na wojnę. Potem trafiłam do Yoshiwary. Tak się lękałam, że wróci, znajdzie mnie tutaj i zabije.

Odsunęła fotografię i świece i wzięła pudełko.

- I wtedy Ichimura przyniósł mi list od niego i to pudełko. Początkowo nie wiedziałam, co powinnam zrobić, ale potem uświadomiłam sobie, że moim obowiązkiem jest go opłakiwać. Wiedziałam, że możesz zauważyć tę fotografię i go rozpoznać, ale nie żyje teraz nikt, kto mógłby okazać szacunek jego duchowi. Jego ostatnim życzeniem było, by te pamiątki pochowano w rodzinnym grobowcu w Kano, i zamierzam wypełnić jego wolę. Był szorstki i okrutny, niemniej był moim mężem.

Otworzyła pudełko.

- To dziwne, ale mam takie wrażenie, jakbym go nigdy nie знаła. Napisał poemat i kiedy go przeczytałam, poczułam wzruszenie.

Wyjęła mały zwój i rozwinęła go. Yozo znowu znalazł się na Ezo, widział ciało Kitara w blasku księżyca i wpadał do kwatery komendanta. Widział przed sobą jego twarz i pędzelek w jego ręce. Słyszał, jak pyta sardonicznie: „Tajima, napisałeś już swój poemat śmierci?”. Pierwsza linijka poematu komendanta wyryła mu się w pamięci. Rozpoznał pewne pociągnięcia pędzelka, gdy przeczytał słowa:

Choć moje ciało zgnije na wyspie Ezo Mój duch strzec będzie mego pana na wschodzie.

Sama fotografia nie zdołała przekonać go do końca, że komendant był mężem Hany, ale teraz, kiedy zobaczył jego poemat, wiedział, że to prawda: to był ten sam człowiek.

- Nawet nie wiem na pewno, czy nie żyje - szepnęła Hana, zwijając papier i chowając go do pudełka. - Ichimura opuścił Ezo przed ostatnią bitwą i nie widział, jak zginął. Zawsze gdzieś we mnie czai się strach, że może jednak ocalał i mnie odszuka.

Kiedy to powiedziała, Yozo uświadomił sobie, że jest jedyną osobą na świecie, która wie na pewno, co się stało z jej mężem.

- Ja też mam tajemnicę - zaczął schrypniętym głosem; ale nie potrafił jej powiedzieć, że zastrzelił swojego dowódcę, że zastrzelił komendanta. Bez względu na to, co czuła do męża, ta zbrodnia była zbyt okropna, by ją wyznać.

- Ja... walczyłem w ostatniej bitwie. Byłem tam, widziałem, jak padł. - Pokręcił głową. - Nie prosź mnie, bym powiedział coś więcej. On nie żyje, uwierz mi. Wiem, że nie żyje.

Objęła go, a on ukrył twarz w jej włosach.

- Nie rozmawiajmy o tym więcej - poprosiła. - To już koniec. Teraz jesteśmy razem.

Hana stała w drzwiach domu Tamaya, kłaniając się ostatniemu z klientów, który skręcał właśnie w bulwar, a potem wróciła do swoich pokoi, nadal zajęta w myślach rozmową, jaką odbyła z Yozem dzień wcześniej.

O tyle rzeczy chciała go spytać - na początek o to, jak zginął jej mąż i co się stało z jego ciałem - ale wiedziała, że nigdy się na to nie zdobędzie. Widziała ból na twarzy Yoza; było oczywiste, że ledwie mógł znieść myśli o wojnie. Powinnam być wdzięczna, że powiedział mi choć tyle, pomyślała.

Nie wiedziała nawet, jak dobrze znał jej męża, tylko że był obecny przy jego śmierci. Musieli walczyć ramię w ramię. Lecz teraz miała pewność, że jej mąż nie żyje. Wielki ciężar spadł jej z serca, kiedy Yozo poznał jej sekret. Nie była już sama. I nie bała się męża. Z pomocą Yoza znajdzie sposób na ucieczkę i wrócą razem do jej domu, do Oharu i Gensuke.

Znajdzie też sposób, by przeschmuglować go dziś w nocy do swojej sypialni. Może ukryje go w skrzyni na futony? Myśl o tym sprawiła, że zaśmiała się głośno. Wiedziała, że jest zbyt dumny, by zgodzić się na coś tak haniebnego.

Służące uwijały się wokoło, sprzątając naczynia i zwijając futony. Hana podeszła do ołtarza, zapaliła świece i kadzidło i ułożyła świeże ofiary. Usłyszawszy kroki, obejrzała się z nadzieją, że to Yozo przybywa na poranną wizytę. Serce jej zamarło, kiedy dotarło do niej, że to nie jego szybkie kroki, tylko szuranie nogami. Owinęła się kaftanem i pobiegła do sali przyjęć.

Chwilę później na korytarzu rozległ się kaszel i do pokoju weszła ciotka spowita w chmurę tytoniowego dymu. Hana spojrzała na nią zdziwiona. Stara kobieta włożyła proste bawełniane kimono, jakby ubierała się w pośpiechu, była bez makijażu i peruki. Miała w oczach dziwny blask. Podeszła do

alkowy i wyprostowała wiszący tam zwój, przyjrzała się półce z przyborami do ceremonii picia herbaty i przesunęła ubijarki oraz bambusowe łyżki, a potem uklękła obok pudełka z tytoniem i zaczęła nabijać fajkę.

- Jak długo jesteś już z nami, moja droga? - spytała chrypliwym, starczym głosem. - Ponad pół roku, prawda? Polubiłam cię, jakbyś była moją własną córką.

Hana zdjęła imbryk z piecyka, napełniła dzbanek z herbatą i grzecznie skinęła głową. Zastanawiała się, do czego ciotka zmierza. Okazywanie przyjaźni było do niej niepodobne.

- Od chwili, gdy cię zobaczyłam, wiedziałam, że sobie poradzisz - ciągnęła ciotka. - Naprawdę przywróciłaś życie Yoshiwarze. Jest niemal tak wspaniała jak w swe najlepsze dni, kiedy to ja byłam gwiazdą wśród kurtyzan, sławną w całym kraju - nie aż tak, oczywiście, ale prawie. A dom Tamaya jest tu najśłynniejszy, i to też twoja zasługa. Żaden inny nie ma kurtyzany z twoim czarem. Masz rezerwacje na wiele miesięcy z góry. Jesteśmy z ciebie bardzo zadowoleni, moja droga.

Pochyliła się do przodu. Jej twarz była pomarszczona, Hana widziała rysujące się pod zniszczoną skórą delikatne kości. Mogła się domyślać, jaką piękną ciotka kiedyś była.

Nic w zachowaniu starej kobiety nie wskazywało, że zamierza odejść. Zganiła służące, a potem posłała Kawanoto po jedzenie do ulicznych sprzedawców, przez cały czas energicznie pykając z fajki. Później napiła się herbaty, którą poczęstowała ją Hana. Jeśli nie odejdzie wkrótce, pomyślała Hana z rozpaczą, ranek dobiegnie końca i nie będzie szans na wizytę Yoza.

Wreszcie ciotka zaciągnęła się głęboko fajką, wydmuchała chmurę dymu i przysiadła na piętach.

- Chciałam ci przekazać nowinę, jak tylko odejdą klienci. Wiem, że będziesz zachwycona takim niezwykłym szczęściem. Zaslugujesz na nie, ty najbardziej ze wszystkich.

Hana wyprostowała się, spoglądając na nią podejrzliwie. Ciotka zwykle od razu przechodziła do rzeczy. Cokolwiek zamierzała powiedzieć, nie będzie to nic dobrego.

- Będzie mi smutno, kiedy odejdiesz - oświadczyła ciotka.

Hana przestała oddychać. Co ciotka miała na myśli? Czyżby zamierzała anulować dług Hany i dać jej wolność? Nawet nie śmiała marzyć o czymś takim. Nie, chodziło o coś innego.

- Wiem, że też będziesz za nami tęsknić - ciągnęła ciotka.
- Oczywiście, musisz się spakować, ale mamy masę czasu na przygotowania i skompletowanie ci odpowiedniej wyprawy.

Ktoś z pewnością zaproponował wykup mojej wolności, pomyślała Hana. W takim razie, dlaczego ciotka nie mówi tego wprost, tylko robi uniki?

- To będzie wspaniała uroczystość. Saburo zamierza zamknąć Yoshiwarę na całą noc i wydać największe przyjęcie, o jakim słyszano.

Hana popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Saburo...?

- Tak, złowiłaś najgrubszą rybę w kraju, tę, za którą uganiają się wszystkie dziewczęta. Przez tyle lat był lekkoduchem. Zawsze powtarzał, że szuka kobiety doskonałej, i wygląda na to, że wreszcie taką znalazł. Nie jestem zaskoczona, zważywszy na twoją urodę i talenty. Zamierza wydać dla ciebie wielkie przyjęcie, kiedy wróci z Osaki.

- Chcesz powiedzieć... że Saburo złożył ofertę i przyszłaś zapytać, czy się zgodzę? - Hana, zdrętwiała z przerażenia, ledwie mogła mówić.

- Moja droga dziewczyno, trzeba działać szybko, jeśli chce się tu robić interesy. Gdybyśmy nie zgodzili się od razu, mógł zacząć szukać gdzie indziej. To najbardziej pożądanym mężczyzną, jaki kiedykolwiek wkroczył do Yoshiwary. Pamiętaj, ojczulek i ja mamy na względzie jedynie twój najlepszy interes. Jesteś tylko młodą dziewczyną, nie masz pojęcia, jaki jest świat.

Hana oniemiała na moment. Potem słowa same się z niej wylały, nim zdążyła je powstrzymać.

- Chcesz powiedzieć, że sprzedałaś mnie Saburowi? Ale... ale nie możesz tego zrobić!

Uśmiech skamieniał na twarzy ciotki. Miała w oczach błysk, który przypominał Hanie, że bez względu na to, jak jest wspaniała i sławna, nadal należy do niej.

- Mogę zrobić, co zechcę, moja droga - powiedziała ciotka spokojnie. - Nie zapominaj, że nie spłaciłaś nam jeszcze choćby jednego miedzianego mon ze swego długu. Jesteś nam winna bardzo dużo pieniędzy, więcej z każdym dniem. Ale nie martw się, wszystko obliczyliśmy - ile mogłabyś dla nas zarobić, gdybyś została, i ile dostaniemy, jeśli przyjmiemy ofertę Sabura. To hojny człowiek i postanowił cię mieć.

Twarz starej kobiety zmieniła się, uśmiechnęła się zimno.

- To dla twojego dobra, moja droga. Myślmy o twojej przyszłości.

Hana przełknęła z trudem. Nie mogła sobie wyobrazić niczego okropniejszego.

- Nie musisz się o nic martwić - zapewniła ciotka lekceważącym tonem, wstając. - Nie będziesz nawet musiała przyjmować dłużej klientów. Odwołałam wszystkie rezerwacje - dodała. - I nie wyobrażaj sobie, że uciekniesz - zapewniła, kiedy Hana otworzyła usta, żeby zaprotestować. - Jesteś na to zbyt cenna. Póki Saburo po ciebie nie przyjedzie, zostaniesz w swoich pokojach. Dopilnujemy, żebyś miała

jedzenie i przybory do szycia, papier i książki, i co tylko chcesz. Och, a co do tego Yoza, powiedziałam służącym, że ma cię nie nachodzić. Możesz się tu świetnie bawić, czytając, szyjąc, ćwicząc ceremonię picia herbaty i szykując się na dzień przybycia Sabura. Ojczulek już wszystko ustalił i przyjął depozyt. Jesteś teraz własnością Sabura.

Hana siedziała nieruchomo jeszcze przez długi czas po tym, jak drzwi zasunęły się za ciotką, a jej kroki ucichły w oddali, zbyt ogłuszona, nawet żeby płakać. Potem, kiedy zaczęły do niej w pełni docierać słowa ciotki, poszła do sypialni, schowała twarz w futony i płakała tak długo, aż nie zostało jej więcej łez. Właśnie kiedy po raz pierwszy w życiu zakosztowała szczęścia, straciła wszystko i została sprzedana Saburowi. To los okropniejszy, niż mogła sobie wyobrazić. Nawet Yozo nie mógł jej teraz ocalić.

Jesień

秋

Pora tajfunów nadeszła i minęła, drzewa zmieniły kolor i liście zaczęły opadać. Rankami dachy Yoshiwary, jej drewniane pasáže i wybrukowane ulice pokrywał szron. To była pora chłodnego powietrza i przepysznie błękitnego nieba, lecz na uliczkę, gdzie mieszkała Otsune, rzadko zaglądało słońce.

Siedząc z Marlinem w małym domku Otsune, Yozo westchnął i pyknął z fajki. Miał dość wygnania, tych ciasnych pięciu ulic zamieszkałych przez wymalowane kobiety i mężczyzn wyjętych spod prawa, z conocnym napływem pijanych amatorów rozkoszy. Chciał wreszcie wrócić do prawdziwego świata.

- Mam wieści!

Drzwi odsunęły się i do środka wpadł Ichimura. Włosy sterczały mu dziko wokół głowy. Od czasu bójki przed domem Tamaya stał się tu regularnym gościem.

- Admirał Enomoto - powiedział zdyszany, zrzucił sandały z nóg i padł na tatami obok Yoza i Marlina. - Znaleźliśmy go. I generała Otoriego również!

Yozo pochylił się do przodu, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Okazuje się, że wcale nie są w więzieniu Kodenmacho - Ichimura porwał miseczkę z sake i wypił ją duszkiem. - Są w obozie dla jeńców wojennych na terenie zamku, za bramą Hitotsubashi - Miejsce Dyscyplinarnego Zamknięcia, tak to nazywają. Jest tam pięć obozów, w każdym dwustu ludzi, a wszystkie są okropne.

- Widziałeś Enomota i Otoriego? - spytał Yozo.

- Nie. Dowiedziałem się tego od Eijira, jednego z naszych ludzi. Zapuścił włosy, żeby wyglądać jak lekarz, i skłonił strażników, żeby go wpuścili.

- Jak się miewają?

- Powiedział, że są w dobrym zdrowiu, dość wychudzeni. Humor też im dopisuje.

- A to więzienie jak wygląda? - włączył się Marlin, marszcząc krzaczaste brwi.

- Eijiro mówi, że to okropne miejsce, bardzo brudne i zawszone, i nie ma tam wiele jedzenia - ryż i zupa, to wszystko. No i śmierdzi. Szeregowi są stłoczeni w długiej sali z dwoma rzędami tatami, jeden człowiek, jedna mata. Niektórzy są ranni, a wielu choruje, ale admirał i generał mają przynajmniej własny pokój. Eijiro wraca tam dziś z jedzeniem, kocami i lekarstwami, zabierze tyle, ile zdoła unieść.

- Musimy wydostać Enomota i Otoriego. I tak wielu innych, ilu zdołamy.

- To nie będzie łatwe. Zamek jest ufortyfikowany i strzeżony, a mury wysokie. Ale krążą plotki, że admirał i generał mają być wkrótce przeniesieni do więzienia Kodenmacho.

Yozo odłożył fajkę i pochylił się.

- Wiesz kiedy?

- W ciągu najbliższych dziesięciu dni. Eijiro robi, co może, żeby dowiedzieć się więcej.

- Wiesz, że w więzieniu Kodenmacho jest miejsce straceń? - spytał Marlin. Siedział jak pan domu, dolewając sake do miseczek, poprawiając węgle w piecyku i rozdając suszone placki ryżowe. Yozo napił się sake i uniósł brew.

- Byłeś w tym więzieniu?

- My, francuscy oficerowie, pracowaliśmy dla szoguna, kiedy przybyliśmy do Japonii. Chodziliśmy wszędzie i widzieliśmy wszystko.

- Nie tracą ich za zamkniętymi drzwiami - stwierdził Yozo. - My tak tutaj nie postępujemy, wy u siebie zresztą też.

- Wiedział to z doświadczenia, w Paryżu był świadkiem

działania gilotyny. - Jeśli planują egzekucje, wykonają je publicznie, jako ostrzeżenie, i zatkną głowy skazanych na włóczniach na moście Nihon.

- Musimy dopilnować, by tak się nie stało, nieprawdaż? - powiedział Marlin, wstając i idąc do pracowni Otsune. Wrócił kilka chwil później ze zwojem papieru i pędzelkiem i podał je Ichimurze.

- Zabiorą ich do więzienia przez bramę Hitotsubashi. - Ichimura rozłożył papier na ziemi, obciążył rogi, starł trochę tuszu i zaczął rysować prymitywną mapkę. - Będą musieli przejść mostem Tokiwa nad wewnętrzną fosą, a potem iść prosto tutaj, przez Kandę - ciągnął, rysując linię wyobrażającą główną drogę. - Tam mieszkają ludzie lojalni wobec szoguna, lojalni aż do śmierci. Jeśli zaatakujemy konwój, wesprą nas. Możemy na nich liczyć.

- Musimy wysłać wiadomość do Enomota i Otoriego - powiedział Yozo.

- Enomoto się poddał - odparł Marlin, kołysząc wielkim palcem. - Może nie chce zostać uwolniony. Może to uznać za sprawę honoru, iść na śmierć z wysoko podniesioną głową. To dumny człowiek.

- W takim razie się myli - stwierdził Yozo obcesowo. - Jeśli go uwolnimy, to będzie wielki cios dla nowej władzy. Wielu zwolenników Północy zjednoczy się wokół niego i tchnie nowe życie w naszą sprawę. Uwolnię go, czy tego chce, czy nie.

- Sam jesteś zbiegiem, nie zapominaj o tym - zwrócił mu uwagę Marlin. - Skończysz z głową na moście Nihon, obok Enomota.

- To ryzyko, jakie gotowy jestem podjąć - odparł Yozo, sięgając po butelkę z sake i napełniając miseczki zebranych. - Musimy się dowiedzieć, kiedy dokładnie wyruszy konwój i jaką trasą. Będą się spodziewać zasadzki i zmienią plan w

ostatniej chwili, więc trzeba i to wziąć pod uwagę. Jaką mamy broń?

- Koszary milicji są zabezpieczone i pod strażą, ale wślizgnąłem się tam pewnej nocy - powiedział Ichimura. - Zabrałem karabiny iglicowe Dreysego, karabiny Minié, pistolety oraz trochę mieczy i sztyletów.

- Świetna robota - Yozo poklepał go po ramieniu. Bardzo chciał znów poczuć karabin w dłoni.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając sake. Yozo wytrząsnął fajkę i ugniótł w palcach kolejną kulę tytoniu, marszcząc brwi. Marlin poprawił się i przeklął, a potem wyciągnął przed siebie długie nogi, masując sobie kolana.

- A co się dzieje w mieście? - spytał po chwili. - Chodzą plotki o tajemniczej śmierci właściciela lombardu.

- Och, to - uśmiechnął się szeroko Ichimura. - Tylko o tym słyszysz, jak pójdziesz do balwierzka.

- Chodzisz do balwierzka z takimi włosami? - spytał Yozo.

- No dobra, do łaźni. Ludzie powinni mieć lepsze tematy do rozmów. - Pochylił się ku towarzyszom. - Trutka na szczury - wysyczał. - Właściciel lombardu nagle zachorował, zaczęły mu wypadać włosy, a potem krew mu poleciała z nosa i uszu i zmarł w ciągu kilku godzin.

- Paskudna śmierć - stwierdził Marlin.

- Jego żona to zrobiła? - spytał Yozo.

- Nikt tego nie wie. To był podły starzec. Wielu ludzi chciało go zabić. To mógł zrobić ktoś, kto był mu winien pieniądze, albo bandyta, którego oszukał. W każdym razie policja się tym zajmuje. Będę was informował.

Roześmiał się wesoło. Yozo odpowiedział mu uśmiechem. Czasami zapominał, jaki młody jest Ichimura.

* * *

Po wyjściu Ichimury Yozo i Marlin siedzieli razem, pykając z fajek. Yozo odchylił głowę do tyłu i wypił miseczkę

sake, delektując się alkoholem palącym w gardle. Czuł, jak rozgrzewa mu policzki, odpręża go i sprawia, że świat wydaje się lepszym miejscem.

- Masz wątpliwości co do naszej operacji, widzę to - powiedział Marlin, patrząc na niego surowo. Od czasu przybycia do Yoshiwary Francuz przytył i wyglądał teraz jak dobrze odżywiony kot. Było oczywiste, że jest szczęśliwy ze swoją kobietą i wcale mu nie spieszo do opuszczania domu.

- To szalony plan, ale chyba nic innego nie możemy zrobić - odparł Yozo. - Jesteśmy to winni Enomotowi i Otoriemu. Ale ty nie musisz iść, Jeanie. Właściwie lepiej będzie, jeśli zostaniesz. Za bardzo rzucasz się w oczy.

Marlin kiwnął głową.

- Jestem gotów iść z wami, jeśli zechcecie, ale masz rację, nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli wielki Francuz zwróci na siebie uwagę.

- No i musisz na siebie uważać ze względu na Otsune.

- To dobra kobieta - Marlin pokiwał głową w zamyśleniu.
- Nie chodzi tylko o to, że to ryzykowne przedsięwzięcie. Nigdy się nie wzbraniałeś przed ryzykiem. Chodzi o Hanę, prawda? - zapytał.

Yozo przytaknął. Wiedział, że musi dołożyć wszelkich starań, by uratować przyjaciół, ale wzdragał się na samą myśl o tym, że Hana wpadnie w łapy Sabura - przecieży przyrzekł ją chronić. A straszliwy sekret, który przed nią ukrywał, że to on jest winny śmierci jej męża, wiązał go z nią jeszcze mocniej.

- Otsune mówi, że pilnują jej bardziej niż dotąd - powiedział Marlin. - Mam wrażenie, że ciotka coś planuje.

- Jest więźniem, odkąd ta świnią złożyła ofertę - odparł Yozo. - Nie chcą dopuścić, żeby wymknęła im się z łap. Odwiedzam ją, kiedy mogę, i wielu rzeczy dowiaduję się w kuchniach. Saburo ma wrócić wkrótce. - Zacisnął pięści na myśl o krzywdzie, jaką ten grubas może wyrządzić Hanie.

- Siłą nic nie wskórasz, mój przyjacielu - stwierdził Marlin. - Jeśli spróbujesz ją uwolnić w ten sposób, będziesz miał do czynienia ze służącymi z domu Tamaya i z ludźmi Sabura. Musimy użyć podstępu.

Yozo zmarszczył brwi, myśląc o tym, jak bardzo pilnowana jest Hana.

- Kiedy Saburo się zjawi, urządzi wielkie przyjęcie, większe niż wszystkie, jakie ktokolwiek tu pamięta. Wtedy ciotka wypuści Hanę z jej pokoi. Będzie musiała się ubrać, żeby wziąć udział w... - wykrzywił usta, nie chcąc wypowiedzieć tego słowa.

- W ceremonii połączenia. Yozo kiwnął głową.

- Saburo zamknie Yoshiwarę na całą noc. Jeśli wywołamy chaos, pojawi się szansa na wydostanie Hany.

Ale co będzie, jeśli dzień, w którym będą mieli uwolnić Enomota, okaże się również dniem uczy Sabura? Co zrobi, jeśli będzie musiał wybierać między nimi?

Yozo potarł oczy i pokręcił głową. Po prostu nie miał pojęcia.

Dzień ledwie się zaczął, a w pokojach Hany już było pełno kobiet - służące zamiatały, odkurzały, składały pościel, praktykantki tłoczyły się wokoło, wznosząc okrzyki zachwytu nad naczyniami z laki, przyborami do ceremonii picia herbaty i wspaniałymi kimonami, jakie przysłał Saburo. Hana siedziała nieruchomo, próbując nie myśleć

o czekającym ją wieczorze. Nagle usłyszała na korytarzu piski podniecenia, dźwięk małych dzwoneczków i tupot dziecięcych stóp. Drzwi odsunęły się gwałtownie i Chidori oraz Namiji stanęły ramię w ramię, przyciskając pulchne dłonie do ust, z szeroko otwartymi oczami. Ich wielkie rękawy kołysały się jak skrzydła motyli.

Przebiegły przez pokój do papierowych parawanów, które zamykały balkon, i odsunęły je. Do pokoju wpadło światło, podkreślając czerwone

i pomarańczowe jesienne liście ułożone w wazonie w alkowie i pomalowane na złoto ściany, półki, zwoje na ścianach i kufer pełen już zapakowanych rzeczy. Widząc w świetle dnia wszystkie te znajome przedmioty, Hana uświadomiła sobie z przeraźliwą jasnością, że Saburo zabierze ją z Yoshiwary i nigdy już ich nie zobaczy.

Dziewczynki padły na balkonie na kolana i wyglądały na mężczyzn w przepaskach na biodrach i granatowych roboczych kaftanach, z młotkami zatkniętymi za paski, którzy wieszali na okapach latarnie. Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, że na każdej wymalowano znaki „Saburosuke Kashima”. Ci sami mężczyźni wspinali się po drabinach na drzewa wiśni i wieszali na gałęziach papierowe kwiaty, aż cała ulica zmieniła się w morze różu i bieli, jakby znowu nadeszła wiosna. Każdy róg tętnił życiem, rozmowami i śmiechem, brzęczeniem shamisenów i śpiewem.

Hana zamknęła oczy i wyobraziła sobie twarz Yoza, jego szerokie czoło, jasnobrązowe oczy i pełne zmysłowe usta. Przyszedł z wizytą poprzedniego dnia, upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu.

Wkrótce po wydaniu przez ciotkę zakazu wstępu Yoza do pokoju Hany Tama oświadczyła wyniośle, że to jedyna osoba, której może powierzyć liściki do niej, i od tej pory miała dla Hany jakąś wiadomość przynajmniej raz dziennie. Yozo powiedział Hanie, że stał się teraz częścią domu Tamaya, że jest tu prawie co wieczór i zabawia cudzoziemców. Zwykli klienci również lubili z nim rozmawiać. Nawet zaprzyjaźnił się z jej dawnym faworytem, Masaharu, pomimo faktu, że walczyli w wojnie po przeciwnych stronach. Służący również dobrze go znali i często przekazywali mu wiadomości dla Hany. Znał rytm życia domu, wiedział, kiedy pełno w nim ludzi i kiedy jest pusty.

Hana znalazła pretekst, by odesłać służące i przez kilka cennych chwil byli razem sami. Bezpieczna w jego ramionach, przytuliła się do niego jak dziecko. Przycisnęła głowę do jego piersi, czując ciepło jego ciała i bicie serca, pewna, że to ostatni raz, kiedy go widzi.

- Nie bój się, to nie jest pożegnanie - powiedział, wycofując się z uścisku i patrząc na nią uważnie. Otarł jej łzy.
- Powiedziałem ci, że będę cię chronił, i dotrzymam słowa. Robię, co mogę, by cię stąd wydostać.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, nagle dotarło do niej, co powiedział.

- To znaczy...?

- Podczas bankietu, kiedy wszyscy się upiją albo będą oszołomieni opium, będziesz miała okazję się wymknąć. Zaczekam w pobliżu, żeby ci pomóc.

Hana ujęła jego dłonie i przycisnęła do ust, kręcąc głową.

- Nie, nie, to szaleństwo. To zbyt niebezpieczne. Nie chodzi tylko o Sabura, wszędzie będą strażę. A jeśli nawet uda nam się wydostać z domu, Wielka Brama będzie zamknięta.

- Jean uwolnił mnie z bambusowej klatki, choć pilnował jej batalion żołnierzy. Jeśli on mógł to zrobić dla mnie, ja mogę uratować ciebie. Ludzie nam pomogą. Znajdę sposób.

Wziął ją w ramiona i przytulił. Hana poczuła jego palce we włosach, a potem ciepły dotyk jego warg na czole i policzkach. Ich usta spotkały się, chciwie zatoneły w pocałunku. Na chwilę kłopoty zniknęły, zapomniała o wszystkim.

- Gdybym zdołała uciec, pójdę za tobą wszędzie - szepnęła, pozwalając sobie na chwilę dzikiej nadziei.

- Jestem zbiegiem - odszepnął Yozo. - Jak mogę cię prosić, byś dzieliła ze mną takie życie?

- To wszystko nic nie znaczy. - Rozejrzała się po połyskujących złotem parawanach i zwojach, po przyborach do ceremonii picia herbaty i kimonach rozwieszonych na wieszakach. Przez te miesiące, które spędziła w uwięzieniu, wydawały jej się pętającymi ją kajdanami. - To wszystko nawet nie należy do mnie. Większość to własność ciotki.

Przysunęli do siebie twarze tak blisko, że ich oddechy mieszały się. Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła blizny na jego policzku. Jego skóra była ciepła i sucha, czuła pod palcami zarost na jego podbródku.

- Błagam, bądź ostrożny - poprosiła. - Wiem, że nic mi nie zrobią - jestem dla nich zbyt wiele warta żywa - ale o ciebie się boję.

- Nie tak łatwo mnie zabić - odparł. Uśmiechnął się i znów przyciągnął ją do siebie, gładząc po włosach. Zza okna dochodziło szczykanie parawanów, tupot drewniaków, brzęczenie jesiennych owadów. Jeśli gdzieś na świecie była bezpieczna, to właśnie w jego ramionach.

Usłyszeli głosy zbliżające się do pokoju i musieli się rozstać. Kiedy Hana została sama, zalała się łzami. To takie okrutne doświadczyć podobnej bliskości i być zmuszoną do rozstania.

Uklękła przed matowym lustrem z brązu i popatrzyła na siebie. Twarz, której mężczyźni pożądali tak bardzo, przyniosła jej tylko nieszczęście.

Popełniła wszystkie szaleństwa, przed którymi ostrzegały ją Tama i Otsune - straciła serce, beznadziejnie i całkowicie. Gdyby tak się nie stało, być może mogłaby po prostu odejść z Saburem, cieszyć się jego bogactwem i myśleć o czymś innym, kiedy będzie na niej leżał. Ale teraz wiedziała, że nigdy nie zaakceptuje takiego życia.

* * *

Cienie świec przesuwały się po podłodze. Czas płynął, zbliżając Hanę coraz bardziej do chwili, kiedy będzie musiała stanąć przed Saburem. Znów przypomniała sobie dotyk warg Yoza na swoich ustach, jego twarde ciało i czułości, jakie jej mówił.

- Szkoda, że odchodzisz - powiedziała Kawagishi. Odwróciła się, udając, że jest zajęta układaniem tubek z kosmetykami, i otarła twarz ręką. - Może pewnego dnia ja również spotkam kogoś takiego jak Saburo - szepnęła, pociągając nosem.

- Zabrałabym cię ze sobą, gdybym tylko mogła - powiedziała Hana szczerze.

- Saburo musi być najbogatszym człowiekiem na świecie - stwierdziła Kawanagi. Dotknęła chudym palcem rękawa kimona, grubego od złotej nici, a w jej oczach pojawił się głód.

W oczach tych dziewcząt bogactwo Sabura czyniło go nieodparcie atrakcyjnym. Nie obchodziło ich, że jest stary i gruby, nie zauważały jego małych oczu i bulwiastych

policzków, widziały tylko przepych. Hana zdobyła to, czego pożałowało wiele dziewczyn w dzielnicy - Saburo nawet kupił jej wolność - i nie mogły pojąć, dlaczego nie podnieca jej myśl o takim szczęściu.

Hana patrzyła na nie w milczeniu. Kawagishi była blada, a Kawanagi boleśnie chuda. Obie wyglądały na przygaszone, jakby już dawno straciły nadzieję, jakby wiedziały z gorzkiego doświadczenia, że kobietom przeznaczone jest cierpienie i głupotą jest oczekiwanie od życia czegoś innego. Zmarszczyła brwi. To nie moje przeznaczenie, powiedziała sobie surowo. Musi zrobić wszystko, co w jej mocy, by samej decydować o swym losie.

- Na pewno ma ogromny dom - powiedziała Kawanagi.

- Raczej wiele domów - stwierdziła Kawagishi w zamyśleniu. - Zobaczysz, każe na terenie swojej posiadłości zbudować dom specjalnie dla Hany.

Obie patrzyły na nią szeroko otwartymi oczami, jakby nie mogły sobie nawet wyobrazić takiego szczęścia.

- Będiesz jego ulubioną konkubina, tylko pomyśl o tym. I urodzisz mu dzieci - powiedziała Kawanagi, a jej chudą twarz rozjaśnił uśmiech. Hana usiłowała odpowiedzieć jej tym samym, ale dręczyły ją tak złe przeczucia, że trudno jej było słuchać ich szczebiotu.

- Przyprowadzi dziś przyjaciół - dodała Kawagishi. - Jednemu z nich możesz się spodobać, Kawanagi.

- Albo ty, Kawagishi - odparła Kawanagi.

- Albo my obie - powiedziały chórem i zaniósły się śmiechem. Nawet nadąsana Kawayu przyszła z wizytą, choć Hana podejrzewała,

że po prostu szukała okazji, żeby odnieść jakąś korzyść z jej triumfu. Po pracowitej nocy z klientami jej włosy wyglądały jak gniazdo ptaka. Ubrała się w sfatygowane nieświeże kimono, w dodatku niestarannie je zawiązała.

Unosił się wokół niej cierpki zapach, jakby nie wzięła dziś kąpieli.

- Odkąd przybyłaś, stałaś się ulubienicą ciotki - powiedziała zjadliwie. - Ciągłe o tobie gadała, zupełnie nie wiem dlaczego. Nie rozumiem, czemu Saburo wybrał właśnie ciebie.

- Saburo ceni sobie jakość - zauważyła Tama spokojnie. - Tak hojny mężczyzna zdarza się tylko raz na pokolenie.

Hana uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

Tama jako jedyna nie była przygnębiona, nie tryskała entuzjazmem i nie przeżuwała w duszy zazdrości. Była niczym kot siedzący nad mysią dziurą, nieruchomy i skupiony.

Bez makijażu i w prostym bawełnianym kimonie narzuconym na duże ciało wyglądała dokładnie na osobę, którą była - wiejską dziewczynę o ciężkich rysach twarzy - ale mimo to promieniowała czarem. Usiadła wygodnie, podkuliwszy nogi, paliła fajkę za fajką i udzielała rad. Służące podawały jej herbatę, grupa gejsz przyszła zapytać, jakie tańce powinny wykonać dziś wieczorem, a potem błażni, by sprawdzić porządek rozrywek, i służba z pytaniem, które kimona ma założyć.

- Mężczyźni to głupie stworzenia - stwierdziła Tama. - Pamiętasz tego Shojira? To było zaraz po twoim przybyciu, sądził, że może odwiedzać prócz mnie inną kurtyzanę. Chidori zauważyła go, kiedy wykradał się z domu Matsubaya, więc go przytrzymałyśmy i ucięłyśmy mu kok, prawda, Chidori?

Hana uśmiechnęła się z wysiłkiem. Wiedziała, że Tama próbuje oderwać jej myśli od wieczornej próby.

- A ci Anglicy - ciągnęła Tama, mrugając do niej. Sama myśl o Anglikach wystarczała zwykle, by dziewczyny zaczęły się śmiać, aż rozboleły je brzuchy. - Nic tylko mówią: „Och, nie mogę zrobić czegoś takiego”. - Zmarszczyła się z wyrazem

ogromnej dezaprobaty na twarzy. - Są trochę za starzy, żeby rozpocząć naukę, ale i tak dałam im kilka lekcji. I uwierzysz? Teraz nie sposób ich powstrzymać. Pilnuję jednak, żeby zawsze porządnie się wykąпали, nim się do mnie zbliżą. Mówią, że u siebie w kraju kąpią się tylko raz w tygodniu. Wyobraź sobie tylko! W każdym razie muszą być zadowoleni, skoro przysyłają do nas przyjaciół. Ale to Francuzów lubię najbardziej. Oni próbują wszystkiego.

Chidori przybiegła z balkonu i zaczęła się obracać na środku pokoju, powiewając czerwonymi rękawami.

- Patrzcie - szczebiotąła - ten taniec wykonam dziś wieczorem. Uniosła pulchne ramiona, wyduła z powagą usta i zrobiła krok czy dwa, a potem zatrzymała się, podbiegła do Hany i objęła ją mocno.

- Będę za tobą tęsknić, starsza siostró - powiedziała poważnie dziecinnym głosem. - Szkoda, że odchodzisz.

Hana pochyliła głowę, by ukryć łzy, kiedy drzwi się odsunęły i do pokoju weszła Otsune z wielkim tobołkiem. Uśmiechnęła się uspokajająco do Hany, po czym położyła tobołek na podłodze i zaczęła wyjmować grzebienie, prostownice do włosów i otwarte tubki z woskiem oraz pomadą, napełniając pokój piżmowym zapachem. Tama zwróciła się leniwie do swoich praktykantek.

- Kawagishi, Kawanagi, Kawayu i wy, Chidori i Namiji, wracajcie do swoich pokoi. Czas się szykować. Ja zaraz przyjdę.

Chidori otworzyła usta, by zaprotestować, ale kiedy Tama zmarszczyła brwi i pogroziła jej palcem, posłusznie poszła za pozostałymi. Tama odprawiła też służące i w pokoju zapadła cisza. Otsune wzięła prostownicę i zajęła się gęstymi czarnymi włosami Hany.

- Ciotka już idzie. Nie ma wiele czasu - powiedziała. Hana odwróciła się, żeby na nią spojrzeć.

- Musimy poczynić przygotowania, jeśli masz stąd dziś uciec. Serce Hany zaczęło walić z całej siły. Teraz zrozumiała, dlaczego

Tama siedzi tak cicho, z dziwnym wyrazem twarzy. Yozo dotrzymał słowa.

- Musisz dopilnować, żeby nikt, a szczególnie Saburo, niczego nie podejrzewał - szepnęła Otsune. - Udawaj szczęśliwą i podnieconą, niech myśli, że się cieszysz, że zostaniesz jego konkubina, że czekałaś na niego niecierpliwie. Wiesz, o co mi chodzi.

Hana bez tchu pokiwała głową.

- To nie będzie trudne. Robię to codziennie przy każdym kliencie.

- A kiedy dam ci sygnał, bądź gotowa odejść - dodała Tama.

- Jaki sygnał? - sapnęła Hana.

- Będiesz wiedziała, jak go zobaczysz. Ale najpierw musimy zmylić ciotkę. - Otsune znów się pochyliła nad włosami Hany, kiedy na korytarzu rozległy się kroki i do pokoju weszła ciotka ubrana w wytarte kimono, bez makijażu na pomarszczonej twarzy.

Trzymała w ręku długi zwój papieru, za szarfę miała zatknięte pędzelki i mruzczała do siebie:

- Trzydzieści tac z laki, trzydzieści miseczek do zupy, trzydzieści małych kwadratowych talerzyków, trzydzieści płytkich okrągłych półmisek... - Zaniemówiła na widok pustego pokoju i aż pisnęła z zaskoczenia.

- Co się stało? Gdzie są wszyscy? To najważniejszy dzień w historii domu Tamaya. Wszystkie dziewczyny powinny tu być i pomagać Hanie się szykować.

- Ciotko, ciotko - przerwała jej Tama. - Jak to dobrze, że przyszałaś. Te głupie dziewczyny kłóciły się o to, która będzie siedziała przy Saburze i która dostanie najlepsze kimono, to ze

złotymi chryzantemami. Potem Kawayu oskarżyła Kawagishi o kradzież klientów i zaczęła ją ciągnąć za włosy i popychać. Myślę, że rozerwała sobie rękaw kimona.

- Znowu ta Kawayu - parsknęła ciotka, wydymając usta. - Naprawdę powinniśmy się jej pozbyć.

- Robiły takie zamieszanie, że odesłałam je do swoich pokoi.

- Miałaś rację. Hana potrzebuje spokoju i ciszy, żeby się skupić przed dzisiejszym przyjęciem.

Hana siedziała w milczeniu, w nadziei, że ciotka nie dostrzeże napięcia na jej twarzy.

- Uspokołam je, ciotko. Ty nie zrobiłabyś tego lepiej - powiedziała Tama wyzywająco.

- Przekonamy się - odparła ciotka z oburzeniem. - To nie czas na kłótnie. - I wypadła z pokoju, a za nią Tama.

Otsune i Hana wstrzymywały oddech, póki ich kroki nie ucichły w oddali. Wtedy Otsune pogrzebała w swoim tobołku. Pod szpilkami do włosów oraz sznurami turkusów i koralu przyniosła starannie złożone wyblakłe ubrania. Wepchnęła je w ręce Hany.

- Szybko, załóż je na siebie - syknęła. Pilnowała przy drzwiach, kiedy Hana pobiegła do sypialni, schowała się za parawanem i rozebrała do czerwonej jedwabnej halki. Włożyła na siebie parę granatowych spodni o wąskich nogawkach, jakie noszą wieśniaczki albo praktykantki, i obciągnęła na nie halkę, najrówniej jak się dało. Ręce jej się trzęsły tak bardzo, że z trudem zdołała związać troczki spodni, po czym ze zgrozą stwierdziła, że włożyła je tyłem na przód. Zerwała je z siebie pospiesznie, odwróciła i włożyła jeszcze raz. Potem wciągnęła koszulę, czując, jak szorstki materiał ociera się nieprzyjemnie o jej wrażliwe piersi, włożyła spodnie kimono, a na nie kolejne, całkowicie zasłaniając prosty strój. Potem wróciła pospiesznie do sali przyjęć. Czuła, jak spodnie

ocierają się o spódnice i owijają wokół jej nóg. Bała się, że się przez nie potknie.

- Widać je? - szepnęła, obracając się i usiłując obejrzeć się w lustrze. - Nie wystają?

- Nic nie widać nawet teraz, a kiedy będziesz całkowicie ubrana, nikt ich nie zauważy - powiedziała Otsune spokojnie.

Mimo to serce Hany waliło jak młotem, a ona oddychała szybko i płytko. Zdawała sobie sprawę, jakie ryzyko podejmują. Igranie z takim mężczyzną jak Saburo to szaleństwo. Kupił ją za wielkie pieniądze, więc należała do niego. Mógł ją nawet zabić, gdyby takie miał życzenie. Ale nie zabije, powiedziała sobie. Jest dla niego zbyt cenna. Uroda zapewnia jej nieco ochrony, bo Saburo na pewno nie będzie chciał jej oszpecić. Jednak co innego z Yozem. Jest odważny i umie świetnie walczyć, ale Saburo ma zbyt wielu strażników, by dało się ich wszystkich pokonać w pojedynkę. Otsune objęła ją ramieniem.

- Nie martw się - powiedziała. - Nawet jeśli Yozo nie przyjdzie po ciebie dziś w nocy i będziesz musiała odejść z Saburem, odnajdzie cię i uratuje z pomocą Jeana. Możesz zaufać Yozowi. I Jeanowi. - Podała jej sakiewkę.

- Nie, nie, mam pieniądze - zaprotestowała Hana drżącym głosem.

- Weź i te, weź wszystko, co masz. Schowaj w rękawach, wszędzie, gdzie możesz.

Hana przygryzła wargę i zamknęła oczy. Musi zachować spokój, bez względu na to, co się stanie.

- Na długie życie i bezpieczną podróż - powiedziała Otsune, wpychając sakiewkę wraz z amuletem do rękawa Hany. Hana odetchnęła i usiadła przed lustrem, czując na udach szorstki materiał spodni. Otsune wzięła prostownicę z piecyka i zajęła się jej włosami.

Nawet w swoich pokojach na górze Hana usłyszała skrzypienie ciężkiego palankinu, kiedy stawiano go na ziemi, oraz odgłos, z jakim - przy wtórze jęków, sapania i przekleństw - wydobyło się z niego wielkie ciało.

- Głupcze. Tutaj, stój spokojnie. Co ty wyrabiasz? Do tej pory miała nadzieję, że wydarzy się coś, co uniemożliwi Saburowi przyjazd, ale tak się nie stało. Słyszała powitania i kroki na dole zmierzające do wielkiej sali bankietowej. Drzwi odsuwały się i zasuwwały, schodzili się goście. Słyszała lekkie kroki służących, które uwijały się z tacami pełnymi jedzenia i napojów.

Przez papierowe ekrany z ulicy napływały brzęki shamisenów, bicie w bębny, wysokie głosy kobiet i stukot drewniaków. Uroczystości rozpoczynały się w całej Yoshiwarze. Saburo wynajął wszystkie Pięć Ulic, więc jego goście mogli chodzić od domu do domu i rozkoszować się muzyką, tańcem, jedzeniem i wdziękami dziewczyn na koszt gospodarza.

Zapadła noc, napełniając pokój cieniami. Hana klęczała w towarzystwie Chidori i Namiji, czekając na wezwanie. W ustach jej zaschło, serce waliło jej jak młotem. Zobaczyła w lustrze swoje odbicie - to nie była Hana, tylko Hanaogi, patrzyła na nią jak stara przyjaciółka. Poczowała nagły przypływ pewności siebie. Hana może się bać, ale Hanaogi jest równa wszystkim.

Otsune przeszła dziś samą siebie. Twarz Hany była nieskazitelnie umalowana: oczy czarne, usta z karmazynowymi płatkami odcinającymi się ostrym kontrastem od śnieżnobiałej bieli, obramowanej kołnierzami kimon, niebieskiego w liście klonu i czerwonego ze złotym ażurem. Włosy miała ułożone w błyszczącą wieżę, na której pyszniła się korona pełna złotych ozdób i sznurów turkusów

opadających wzdłuż twarzy. Czuła na sobie ciężar wielu warstw kimon, słyszała ich szelest przy każdym ruchu. Szorstka bawełna na spodzie przypominała jej o czekającym ją zadaniu.

Dziewczynki patrzyły na nią wielkimi oczami. Były równie wspaniale ubrane jak ona i tak samo zdenerwowane. Wyjęła z włosów dwie szpilki i wręczyła każdej po jednej.

- Na szczęście - powiedziała. - Noście je, a zostaniecie wielkimi kurtyzanami.

Kiedy ciotka posłała po nią, przyjęcie trwało już w najlepsze. Czekając przed salą bankietową, Hana słyszała okrzyki pijanych gości i wybuchy śmiechu. Wyprostowała się dumnie. Da im przedstawienie, jakiego nigdy nie zapomną.

Drzwi odsunęły się i zapadła cisza. Stała przez chwilę, żeby mogli się jej dobrze przyjrzeć, po czym wysunęła bosą stopę spod ciężkich spódnic kimon. Rozległy się westchnienia, oklaski i okrzyki:

- Hanaogi!

Saburo leżał rozwalony na brokatowych poduszkach, z jedną ręką na podłokietniku. Szeroką twarz miał całą w czerwone plamy. Był chyba jeszcze grubszy, niż zapamiętała. Kiedy ich oczy się spotkały, pochyliła wdzięcznie głowę, zastanawiając się, co się kryje za tym wyrażającym zadowolenie z siebie uśmiechem i dlaczego zadał sobie aż tyle trudu, żeby ją kupić. Czy była trofeum, które doda do kolekcji, czy może miał wobec niej inne plany? Gdy zmrużył oczy, dostrzegła w nich nie tylko pożądanie, ale także coś, co sprawiło, że przeszedł ją dreszcz. Coś okrutnego.

Kołysząc trenem, przepłynęła przez pokój i uklękła przed nim. Tama siedziała obok w przepyszny czarnym kimonie z obi ciężkim od złotego i srebrnego haftu, zawiązanym z przodu w ogromny węzeł. Podała jej miseczkę z czerwonej laki pełną sake, a Hana przekazała ją z ukłonem Saburowi.

Ceremonia połączenia - trzy łyki sake z trzech miseczek - skończyła się bardzo szybko. Kiedy jednak Hana piła ostatni łyk, odniosła wrażenie, że przekracza granicę, zza której nie ma powrotu.

Walcząc z paniką, skłoniła się i uśmiechnęła do gości. Była tutaj połowa nowego rządu, przybysze mieli zaczerwienione twarze, unosili miseczki z sake w toaście za świeżo połączoną parę. Na małych stolikach przed nimi stały miseczki pełne jaj jeżowców, wnętrzności bonita, kawałków sashimi z mięsa żurawia i ryżu z małżami, sławnego afrodyzjaku.

Gejsze zaczęły znów tańczyć, ale nie pełne godności tańce, preferowane na początku zabawy, tylko dziksze, bardziej gorączkowe, do natarczywego rytmu bębnów.

Masaharu siedział po drugiej stronie sali z Kaoru, która przyciskała kolano do jego kolana, dolewała mu sake i śmiała się z jego żartów. Hana uchwyciła wzrokiem jej spojrzenie, a wówczas Kaoru obdarzyła ją jadowitym uśmiechem. Widok młodej, przystojnej twarzy Masaharu przypomniał Hanie noc, które spędzili razem, i ogarnął ją smutek. Jak proste byłoby wszystko, gdyby to Masaharu wziął ją na swoją konkubinę - no ale wówczas nie spotkałaby Yoza. Młody urzędnik rządowy, który przysięgał, że nie mógłby bez niej żyć, rzucił jej tęskne spojrzenie. Skoro tak bardzo jej pragnął, mógł ją przecież wykupić, powiedziała sobie w duchu. Tymczasem zrobił to kto inny. Obwisłe policzki Sabura i fałdy tłuszczu pod jego podbródkiem lepiły się od potu. Pochyliła się ku niemu.

- Gdzie byłeś przez cały ten czas? - zganiła go figlarnie. - Twoja praca była tak ważna, że nie mogłeś choć raz przyjechać z wizytą? - Wydeła usta. - Zaczynałam już myśleć, że wcale cię nie obchodzę.

Poruszył wachlarzem i chwycił jej nadgarstek lepką dłonią.

- Należysz teraz do mnie, moja śliczna - powiedział, mrużąc oczy jak żaba na widok muchy. - Nie mogę się doczekać, aż to wszystko się skończy. Widzę, że lubisz niegrzeczne zabawy.

Zacisnął mocniej rękę i Hana poczuła strach. Tama położyła dłoń na jego wilgotnym udzie.

- Przegapiłeś masę plotek, kiedy cię nie było - powiedziała jedwabistym głosem, patrząc na Hanę kątem oka. - Pamiętasz Chizanę z Chojiya, po drugiej stronie ulicy? Nie zgadniesz, co zrobiła.

- Na pewno mi zaraz powiesz - odparł Saburo, odwracając się leniwie w jej stronę.

- Ten lekkoduch Sataroten, który tak bardzo o nią zabiegał, syn bogatego kupca - była pewna, że się z nią ożeni, jeśli go przekona o swojej miłości. Myślała i myślała, jak najlepiej jej dowieść, i wiesz, co zrobiła?

Saburo pokręcił głową.

- Napisała do niego list, że zamierza sobie uciąć koniec małego palca na dowód miłości do niego. I naprawdę to zrobiła. Nie masz pojęcia, jakie wybuchło zamieszanie. Oczywiście zemdląca, a czubek jej palca wyleciał za okno. Dopiero później dotarło do niej, jakie to było głupie.

- Ożenił się z nią?

- Oczywiście, że nie. Kto by zechciał dziewczynę bez palca?

- Wiesz, co powiadają - powiedział Saburo, patrząc przebiegle na Hanę. - Największym kłamstwem kurtyzany są słowa „kocham cię”. Największym kłamstwem klienta są słowa „ożenię się z tobą”.

Tama rozpoczęła kolejną zabawną historyjkę, ale ciotka zaklaskała w dłonie.

- Nasz szlachetny patron, Saburo - sama, przygotował dla nas niezwykłą niespodziankę. Chodź, Chubei, nie wstydź się!

Chubei klęczał w progu w bawełnianym kaftanie o szerokich rękawach, ręce opierał na podłodze i klaniał się. Pracował jako kucharz w domu Tamaya, ale był sławny w całym Edo. Hana знаła go dobrze. Uprzejmy człowiek, niski i okrągłutki, z błyszczącą łysiną i mięsistymi rękami, zawsze nienagannie umytymi. Jedyłą jego wadą była słabość do sake, a dzisiejszy wieczór wyraźnie nie stanowił wyjątku, gdyż policzki miał nienaturalnie zaczerwienione. Zataczając się lekko, przeszedł przez salę i ukląkł naprzeciwko Sabura. Ubrani na biało pomocnicy ustawili przed nim niski stół, na którym leżały dwie duże drewniane deski do krojenia.

Saburo oblizwał wargi i napił się sake. Hana natychmiast napełniła jego miseczkę ciepłym bursztynowym płynem.

- Chubei! - ryknął. Kucharz skulił się pod jego wzrokiem.
- Czyżbyś zapomniał o moim specjalnym rozkazie?

Kucharz odwrócił się i klasnął kilka razy w dłonie. Dwóch pomocników przyniosło drewniane wiaderko, uważając, by ani kropla wody nie spadła na tatami. Goście siedzieli ze skrzyżowanymi nogami przy swoich stołach, przyglądając się z uwagą.

Kucharz podwiązał rękawy, a potem niczym magik wyciągnął z wiaderka rybę, wzdęte stworzenie w czarne i brązowopomarańczowe paski o białym podbrzuszu. To była najbrzydsza ryba, jaką zdarzyło się Hanie widzieć. Chubei uniósł ją, a ona rzuciła się dziko, chlapiąc wodą, otwierając i zamykając mały pyszczek. W środku połyskiwały małe zęby, brzuch pokrywały kolce.

- Takifugu - oświadczył Saburo, uśmiechając się szeroko.
- Rozdymka.

- Torafugu - poprawił go dumnie Chubei. - Rozdymka tygrysia, najlepsza, jaka jest. Kosztowała fortunę, szczególnie o tej porze roku.

- Uczta stosowna dla bogacza - stwierdził Saburo, uśmiechając się z zadowoleniem. - I oczywiście dla jego przyjaciół.

- Zamówiłeś trzy, szanowny panie. Jedna jest już oprawiona. Przygotowaliśmy dla ciebie sake z pieczoną płetwą fugu.

- Wszystko w swoim czasie - odparł Saburo. - Zobaczmy najpierw, jak kroisz tego potwora.

- Często przygotowujemy fugu na oczach biesiadników, ale po raz pierwszy robię to w sali bankietowej - powiedział Chubei nieco nerwowo. Hana przyglądała mu się niespokojnie. Tama powinna kierować przyjęciem, ale jakoś tak się stało, że robił to Saburo.

- Czy nie jest trująca? - szepnęła.

- Co za dziecko z ciebie! - wykrzyknął Saburo. - Nie, jeśli zostanie właściwie przyrządzona. To królowa ryb. Ale nie zaprzataj tym swojej ślicznej główki, to nie dla ciebie. To danie dla mężczyzn! Z wyjątkiem szoguna, oczywiście. Nie wolno mu było jej spożywać, bo mogłaby go zabić. W końcu i tak udało nam się go pozbyć bez pomocy fugu. Czy nie tak, panowie?

W sali rozległy się śmiechy. Hana zapomniała, że całe towarzystwo składało się z południowców.

- Hanaogi - sama ma rację, mój panie - powiedział Chubei cicho. - Tylko najlepsi kucharze potrafią właściwie przygotować fugu. To bardzo trudne zadanie, łatwo popełnić błąd. Jeśli draśniesz nożem wątrobę, cała ryba zostanie zatruta.

- Igranie ze śmiercią - stwierdził Saburo, zacierając grube ręce. - Właśnie dlatego to takie podniecające.

- Co roku wielu umiera z tego powodu - ostrzegł Chubei.
- Ale nie w domu Tamaya. Podaję fugu od lat i nigdy jeszcze nie straciłem klienta. - Pochylił się. - Czy wiesz, że to jedyne ryby, które potrafią zamknąć oczy? Kiedy zabijasz fugu, zamyka oczy i krzyczy jak dziecko.

Pomocnicy rozłożyli noże i przygotowali dwie tace, jedną z napisem „trujące”, a drugą z napisem „jadalne”. Przytrzymując rzucającą się rybę lewą ręką, Chubei wziął długi nóż, zamachnął się i jednym cięciem odciął jej ogon. Chwilę później obok drżącego ciała leżały płetwy i pyszczek. Zrobił to tak szybko, że ryba nie miała czasu krzyknąć. Ciało ryby dygotało, a otwór, gdzie przed chwilą znajdował się pyszczek, otwierał się i zamykał spazmatycznie.

- Brawo! - wykrzyknęli goście. - Co za mistrz!

Chubei przekroił pyszczek na pół, oczyścił deskę i położył płetwy na tacy z napisem "jadalne". Saburo pochylił się, oczy mu błyszczały. Kucharz wbił nóż przy kręgosłupie ryby i zdjął skórę. Hana zauważyła, że jego dłoń drży nieco. Zastanawiała się nerwowo, ile sake zdążył wypić. Rozległ się pełen podziwu szmer, kiedy Chubei zdjął skórę w jednym kawałku, zmieniając połyskliwą rybę w kawał mięsa, po czym rozplatał jej brzuch i wyjął błyszczący pęcherz, miękki jak galareta.

- Wątroba - powiedział i odłożył ją na tacę z napisem „trujące”. - Samica - dodał, wyciągając wnętrzności i również wrzucając na tacę „trujące”, wraz ze skórą i oczami. Pokroił oczyszczone mięso w plastry tak cienkie, że niemal przezroczyste, i ułożył na okrągłym talerzu, kładąc jeden na drugim, jak płatki chryzantemy.

- Chryzantema, kwiat śmierci! - Saburo promieniał, oblizywał wargi. - Kto chce pierwszy spróbować?

Hana przypomniała sobie białe chryzantemy na pogrzebie dziadka i zadrżała. To nie był dobry moment na myślenie o śmierci.

Rozdzieliła parę pałeczek, wzięła kilka plastrów mięsa i zanurzyła w sosie sojowym. Saburo otworzył wielkie usta, zamknął oczy i odchylił głowę, kiedy położyła delikatnie jeden plaster na jego języku. Smakował go powoli, obracając w ustach, a potem cmoknął głośno wargami.

- Ciut trucizny - powiedział radośnie. - Moja górna warga drętwieje i język też. Czuję również charakterystyczne mrowienie tutaj. Pomacaj. Robi się twardy.

Złapał rękę Hany i przycisnął do swego krocza. Westchnął z rozkoszą i beknął. Za plecami Hany goście śmiali się służalczo.

- Co za uczucie! Spróbujcie panowie, spróbujcie. Dziś w nocy będziemy się bawić!

Pomocnicy w białych kaftanach przybiegli z kuchni z półmiskami już oprawionego fugu. Kawanoto i pozostałe praktykantki układały plastry delikatnego mięsa na małych talerzykach i rozdawały gościom.

- Przynieście sake z płetwą fugu! - wykrzyknął Saburo. - Czas na zabawę. Zdejmujemy ubrania!

* * *

Za każdym razem, kiedy Saburo wmuszał w nią sake, Hana wylewała ją ukradkiem. Musiała być trzeźwa, przygotowana na to, co nadejdzie. Jednak Saburo uparł się, że ma spróbować sake z płetwy fugu, i przyglądał się jej uważnie, kiedy wyjmowała płetwę, wdychała woń alkoholu i podnosiła miseczkę do ust.

- Wypij do dna! - zażądał gwałtownie.

Słodkie sake rozgrzewało przyjemnie. Hana odstawiła miseczkę i poczuła, jak to ciepło zakrada się w jej członki, jak w głowie zaczyna jej się kręcić. Pokój odpływał w dal, głosy zmieniły się w szmery. Miała wrażenie, że unosi się na wodzie. Próbowwała unieść rękę, ale nie mogła. Usta i język jej

zdrętwiały, powieki zrobiły się ciężkie, a w lędźwiach poczuła ból pożądania, kiedy mocny trunek rozpoczął swe czary.

Saburo wyciągnął grubą rękę i chwycił ją za kołnierze kimon, przyciągnął jej twarz do swojej. Zapach jego potu i wilgotny żar jego wielkiego ciała obezwładniły ją zupełnie. Otarł policzek o jej policzek, ale wówczas dotyk szorstkiej bawełny pod kimonami przywrócił ją do rzeczywistości. Nie może mu pozwolić, żeby zdjął z niej ubranie. Saburo szarpał jej spódnicę i dyszał ciężko. Znów odezwały się shamiseny i bębny, grały erotyczną balladę. Saburo uniósł na chwilę załamane oczy, żeby zobaczyć, co się dzieje, a Hana zebrała wszystkie siły i odepchnęła jego rękę.

Sake z płetwą fugu wywołało pożądany efekt. Policzki gości pałały, lędźwie płonęły, dwóch klientów już rzuciło się na dziewczyny. Reszta zaczęła grę w fanty. Praktykantki i gejsze były dobrze wyszkolone, więc niemal zawsze to mężczyźni przegrywali. Początkowo przegrany musiał wypić miseczkę sake, ale potem gra nabrała tempa i fantem stały się części ubrania. Mężczyźni zdejmowali pasy, później kaftany i koszule. Ci w zachodnich strojach mieli lepiej. Nim Masaharu zdjął marynarkę, kołnierzyk, krawat i kamizelkę, inni byli już tylko w przepaskach na biodrach. Hana, Tama i Saburo przyglądali się tej scenie, odrzucając propozycje włączenia się w grę.

Potem mężczyźni zaczęli klaskać w ręce i krzyczeć Chonkina! Shamiseny i bęben rozpoczęły melodię, a praktykantki i gejsze wstały i ustawivszy się w kręgu, krążyły jak lunaticzki w powolnym tańcu. Muzyka urwała się nagle i dziewczyny zamarły - wszystkie prócz małej uśmiechniętej Kawagishi, która wyraźnie chwiała się na nogach. Przy wtórze wiwatów, oklasków i śmiechów zdjęła kimona i stanęła chwiejnie w czerwonej jedwabnej halce. Jej brązowa skóra

dziwnie kontrastowała z pomalowaną na biało twarzą, pot perlił się na jej małych, młodych piersiach.

Wkrótce w pokoju przeważała nagość. Kawagishi padła, całkiem naga, na mężczyznę o sflaczałej twarzy i wydatnym brzuchu, chichocząc bezsilnie, kiedy obląpiał ją i przekręcał na plecy, a Kawayu, już nie nadąsana, tarzała się po matach z młodym urzędnikiem rządowym, niegdyś oddanym zalotnikiem Hany. Jęczała głośno, kiedy zerwał przepaskę biodrową i dosiadł jej.

Hana obserwowała, jak jego kościste pośladki unoszą się i opadają, widziała drzenie jego chudych pleców. Dotąd żadne przyjęcie, w jakim uczestniczyła w Yoshiwarze, nie zmieniło się w orgię. Tym bardziej lękała się władzy Sabura i jego apetytu. Udawał pijanego, ale widziała, że to pozory. Cały czas obserwował ją uważnie.

Goście i kobiety kłębili się na matach, kiedy Chubei wślizgnął się do sali i szepnął coś Saburowi.

- Tak, oczywiście, ty idioto! Przynoś! - warknął Saburo. Chwilę później Chubei wrócił, zdyszany i czerwony na twarzy, i postawił przed nim mały talerzyk. Leżało na nim blade posiekane mięso.

- Wątroba, panie - powiedział, przyciskając służalczo czoło do podłogi. - Wiem, że o nią prosileś.

Saburo obliznął wargi.

- Właśnie tego mi trzeba, trochę trucizny. Tylko odrobiny. Wystarczy mały dreszcz. Chcę poczuć, jak drętwieją mi usta, a członek ożywa. To doda smaczku temu wieczorowi. - Zwrócił się do Hany i przyciągnął ją bliżej do siebie. - A wtedy przyłączymy się do zabawy!

W kuchniach było gorąco, tłoczno i gwarnie. Wokoło kręcili się służący, pomocnicy kucharza zajęci byli siekaniem potraw. Kobiety kucaly przy piecach, dmuchały na węgielki, aż zaczynały się żarzyć, a chmury dymu wzbijały się ku poczerńiałym krokwiom. W szorstkich bawełnianych spodniach i granatowym kaftanie Yozo mógł uchodzić za jednego z mężczyzn zatrudnionych w Yoshiwarze. Wielu takich kręciło się tutaj, czekając, aż nadejdzie czas, by pomóc pijanym gościom wyjść. Byli gotowi nawet zanieść ich do bramy, jeśli okaże się to konieczne. Rozprawiali, ile sake będą mogli kupić za napiwki.

- Sam bym spróbował wątroby fugu - Chubei uniósł niepewnie miseczkę sake do ust i wypił, wylewając część na palce i poplamiony biały kaftan. Jego policzki zrobiły się ciemnoczerwone, a wygolona głowa świeciła się od potu pod grubą opaską. - To podobno prawdziwe wyzwanie. Mówią, że jest bardzo smaczna. Słodka, tłusta, kremowa. - Poklepał brzeg tacy z napisem „trujące”, na której leżały kawałki ryby, i z powagą pokręcił głową. - Ale nie zaryzykuję śmierci.

- Ani ja - powiedział Yozo sucho. - To zabawa dla bogaczy. Przykucnął w kącie, pod stopami czuł klepisko. Odetchnął głęboko, próbując opanować zniecierpliwienie. Nie minęło wiele czasu, odkąd Chubei zaniósł wątrobę fugu Saburowi. Grubas zapewne zje tyle, że usta zaczną mu mrowić, a język zdrętwieje, będzie się napawać igraniem ze śmiercią, jak większość koneserów. Jeśli najdzie go ochota na mocniejsze wrażenia, zje więcej, żeby zdrętwiały mu i genitalia. Istniała szansa, że przesadzi. Za każdym razem, kiedy w sali bankietowej rozlegał się hałas, Yozo podskakiwał, ale nic się nie działo.

Ponad szczykiem naczyń słyszał okrzyki i śmiech, walenie w bęben i brzęczenie shamisenów. Skrzywił się i zacisnął

pięści. Nie mógł znieść myśli o rękach Sabura na ciele Hany. Tak długo czekał na okazję wyprowadzenia jej z Yoshiwary, a teraz, kiedy nadeszła ta chwila, dręczyło go, ile rzeczy może pójść źle. Wiedział jednak, że plan po prostu musi zadziałać.

Pomyślał o ostatniej rozmowie z Haną, przypomniał sobie jej oczy, jej śmiech, owal jej twarzy i dotyk jej miękkiej ręki na swojej. Taka kobieta nie powinna przebywać w podobnym miejscu ani być zmuszana schlebiać takiej kreaturze jak Saburo. Uśmiechnął się do siebie. Enomoto albo Kitaro, czy też któryś z jego towarzyszy z wyprawy do Europy, powiedzieliby, że zrobił się miękki, że miejsce mężczyzny jest wśród towarzyszy. Zgadzał się z nimi całkowicie, póki nie poznał Hany.

- Wątroba fugu to silny afrodyzjak. - Czubki uszu Chubei były purpurowe w świetle latarni. - Róg nosorożca ani się do niej umywa, podobnie jak korzeń żeń - szenia. Nie masz pojęcia, co tam się dzieje. A to była tylko sake z płetwą fugu. Stary zbereźnik nie podzieli się z nikim wątrobą. Założę się o tysiąc ryo, że martwi się, czy zaspokoi naszą Hanę. Zapewne boi się, że mu nie stanie. Wszyscy się tego boimy. Jeśli ktoś go powstrzyma, żaden z nas nie kiwnie nawet palcem.

Yozo spojrział na niego ostro, zastanawiając się, czy kucharz coś podejrzewa. Wszyscy wiedzieli, że nosił wiadomości do Hany. Popatrzył na pozostałych mężczyzn o chudych nogach i ostrych rysach twarzy, zanoszących się śmiechem z jakiegoś żartu. Ciekawe, ile oni wiedzą, pomyślał.

- Nie uwierzysz, jaki ten staruch dał mi napiwek - powiedział Chubei. Dym wypełniał pomieszczenie, pokrywki na garnkach podskakiwały.

Cała dzielnica jakby oszalała. Przez cały czas rozbrzmiewał gorączkowy tupot drewniaków, przenikliwe głosy i wybuchy dzikiego śmiechu, piski i pochrząkiwania. Ludzie kopulowali na ulicy jak zwierzęta. Yozo zmarszczył

brwi. Wszystko zależało od tego, czy będzie gotowy i skorzysta z okazji, kiedy nadejdzie. Łatwiej byłoby na polu bitwy, pomyślał. Musi wykorzystać wszystko, czego się tam nauczył. Potem jednak przypomniał sobie płonące ruiny Hakodate i twarz komendanta i wzdrygnął się.

* * *

Drzwi do sali bankietowej odsunęły się z trzaskiem.

- Pomocy! Pan Saburo się otruł! - krzyczeli ludzie. Zapanował chaos.

Yozo poderwał się na równe nogi. Ledwie śmiał żywić nadzieję, że tłścioch będzie tak głupi, by przedawkować wątrobę fugu. Nie mógł powstrzymać radosnego uśmiechu, ale zaraz zmarszczył brwi i sprawdził, czy sztylet nadal tkwi za pasem. Czas działać. Za nim rozległ się jęk.

- To nie moja wina - Chubei jakby skurczył się w swoim białym kaftanie kucharza. Twarz miał szarą i ścisnął rękami brzeg stołu. Policzki mu się trzęsły.

Ojczulek wpadł przez frontowe wejście, ciągnąc za sobą chmurę zwiertzałego dymu tytoniowego, bawełniany kaftan spadł mu z ramion, a brzuch wisiał nad pasem. Yozo zaklął w duchu. Nie spodziewał się, że pojawi się tak szybko. Wszyscy mogli się upić, ale nie ojczulek. Będzie pilnował Hany. W końcu to jego najcenniejsza inwestycja.

- Coś ty zrobił? - ryknął. - Zrujnowałeś nas!

- Chubei niczemu nie jest winien - powiedział Yozo gwałtownie. - Saburo zamówił wątrobę i ją zjadł. Nie umrze. Naje się strachu, to wszystko.

Ojczulkowi odebrało mowę. Gapił się na Yoza, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś śmie mu odpowiedzieć. Yozo wytrzymał jego spojrzenie. Inni mężczyźni pobiegli do sali bankietowej. Ojczulek się obrócił.

- Wracać tu, wszyscy. Zamknąć drzwi. Musimy to wyciszyć. Tajima, jesteś sprytny, pójdziesz ze mną.

- Może to wina sake? Alkohol wzmacnia objawy zatrucia fugu - wysunął ostrożne przypuszczenie Yozo.

- Lepiej weź łopatę, tak na wszelki wypadek - mruknął ojczulek. Yozo spojrział na niego pytająco.

- Musimy wykopać dół i zakopać go po szyję - wyjaśnił ojczulek. - To jedyna odtrutka. Chłód ziemi wyciąga truciznę.

Trzymając wysoko latarnię, ruszył ciemnym korytarzem niczym zapaśnik sumo. Dyszał ciężko, ale poruszał się zaskakująco szybko jak na tak grubego człowieka. Yozo podążał kilka kroków za nim. Zatrzymali się u drzwi sali bankietowej. Zapach dymu, świec, tytoniu, sake i wymiocin był gęsty jak ściana. Połowa świec leżała przewrócona, ale na szczęście zgasły, nim wywołały pożar. Inaczej dom spłonąłby jak hubka.

Trzymając się za ojczulkiem, Yozo szedł przez salę. Deptał w ciemności po miękkich wilgotnych ciałach. Nadzy mężczyźni i kobiety, jedni na drugich, z rozrzuconymi kończynami. Niektórzy czołgali się i grzebali w stertach ubrań. Yozo rozejrzał się i w cieniu pod ścianą zauważył Masaharu. Na chwilę ich oczy się spotkały. Yozo szukał wzrokiem Hany, ale nigdzie jej nie widział. Ciotka biegła niespokojnie, przyciskała suche ręce do policzków, w świetle świec jej paskudna twarz pałała jak maska demona.

- Ojczulku - wyjęczała. - Dzięki bogom, że jesteś. Zrób coś, szybko. Nigdy nie wrócimy do interesu, jeśli to się rozejdzie.

- Głupcze! Co robisz? - wykrzyknął jakiś szorstki głos.

- Zejdź mi z drogi!

- Rozsuńcie parawany, trzeba mu powietrza!

- Nie, nie ruszajcie ich, musi mieć ciepło!

Po drugiej stronie sali stali strażnicy Sabura w jedwabnych strojach. Tręcili się łokciami i wpatrywali w podłogę.

Kiedy ojczulek i Yozo przepychali się do przodu, usłyszeli głos Hany.

- Saburo - sama! Saburo - sama! Ojczulek uniósł wyżej latarnię.

Yozo popatrzył na Sabura. Grubas leżał na plecach jak wielki karaluch, ręce i nogi podskakiwały mu w drgawkach. Tak, tego mężczyznę widział tamtej nocy w Batawii. Ten potwór sprzedawał opium i więził kobiety. Wybałuszone oczy Sabura wyglądały tak, jakby miały wyskoczyć z oczodołów, z otwartych ust sączyła się ślina i po podbródku spływała na czarny jedwabny kołnierz.

Saburo skupił wzrok na twarzy Yoza. Skrzywił się, jakby on też go rozpoznał, a potem jego ciało zeszywniało. Rzęził, walczył o oddech.

Hana klęczała przy nim, przyciskała ręce do ust. Spojrzała na Yoza wielkimi oczami. Jej twarz była biała pod grubym makijażem. Obok niej klęczała Tama. Wydawała się zupełnie spokojna, ale na jej policzku drgał mięsień, a w oczach miała dziwny blask. Yozo nagle nabrał podejrzeń, że obie zachęcały Sabura, by zjadł więcej wątroby niż powinien. To nie byłoby takie trudne.

- Mówiłam mu, żeby przestał, ale mnie nie słuchał - szepnęła Hana, a głos jej się trząsł. - Jadł coraz więcej. Chciał, żebym ja też zjadła, ale odmówiłam.

- Powtarzał: „Myślisz, że nie jestem mężczyzną?” - powiedziała Tama do ojczulka. Omijała wzrokiem Yoza. - Za każdym razem, kiedy błagałyśmy, by przestał, zjadał więcej. Potem zaczął się skarżyć, że zimno mu w stopy.

Yozo ukląkł obok Sabura i podniósł jego rękę. Była sztywna. Skórę miał wilgotną, a z porów wydzieliał się kwaśny zapach. Puls, trudny do odszukania w zwałach tłuszczu, miał powolny i słaby. Goście i strażnicy zaczęli jęczeć, rozległy się okrzyki przerażenia:

- Moje stopy! Mam zimne stopy!

Yozo zastanawiał się, czy nóż Chubei mógł skazić którąś z trzech ryb. Albo może jedna była szczególnie trująca? Czasami tak się zdarza.

- Musimy wynieść go na zewnątrz - warknął ojczulek. - Szybko, albo go stracimy. Tama, zabierz stąd Hanę.

Tama wzięła Hanę za rękę i zmusiła ją, by wstała. Kiedy strażnicy cofnęli się, by dać kobietom przejść, pod Haną ugiwały się nogi. Yozo podskoczył do nich, ale Tama zmierzyła go wzrokiem, objęła Hanę ramieniem i wyprowadziła z sali wśród szelestu jedwabiu.

- Tajima, niech ludzie zaczną kopać - nakazał ojczulek. - Na tyłach domu, jak najdalej od ulicy, gdzie nikt nic nie zobaczy. I niech się zachowują cicho.

Dwóch strażników patrzyło dziwnie na Yoza. Zauważyli, jak próbował podejść do Hany, i zapewne rozpoznali go z bójki, w jaką wdał się kilka miesięcy temu. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował, to kłopoty.

Szybko przebrnął przez ciała i góry jedzenia i wpadł na Masaharu, który kierował się do wyjścia. Południowiec miał przekrzywiony kołnierzyk i koszulę wyciągniętą ze spodni uszytych na modłę zachodnią. Yozo widział, że jest zupełnie trzeźwy.

- Wychodzę - powiedział Masaharu. Jego południowy akcent ledwie już było słychać.

Yozo spojrzał mu w oczy. Miał wiele okazji, by go poznać, odkąd zaczął pracować w domu Tamaya. Wiedział, że może mu zaufać.

- Dobry pomysł - odparł. Dotknął amuletu, który trzymał w rękawie, i zaczął się modlić, by bogowie byli po jego stronie.

Kiedy Yozo wybiegł z domu Tamaya, niemal wpadł na luksusowy palankin Sabura rzucający wielki cień, jakby to sam grubas stał tam z wyciągniętymi rękami niczym dzikie bóstwo opiekuńcze i zabraniał mu wyjść. Yozo uznał to za zły znak, ale odsunął od siebie tę myśl.

Wyszedł na ulicę i rozejrzał się zdumiony. Wokoło pełno było ludzi. Klaskali, kręcili się wokół drzew wiśni w kręgach, przytupując drewniakami, jakby zamierzali tańczyć, aż padną. Wokoło skakali mężczyźni w maskach o wykrzywionych ustach i wybałuszonych oczach. Groteskowe twarze czaiły się w ciemności.

Yozo rozglądał się uważnie, aż zauważył koło domu jakiś ruch. Pod ścianą dostrzegł dwie niewielkie postacie ubrane w robocze stroje, z głowami i twarzami owiniętymi szalami.

Masaharu wyszedł chwilę później, smukły i elegancki w zachodnim płaszczu. On również rozejrzał się szybko, po czym odszedł, trzymając się skraju drogi, gdzie tłum był najrzadszy. Kierował się ku bramie na końcu Edo - cho 1. Dwie postacie wychynęły nieśmiało z cienia i ruszyły za nim, ze schyłonymi głowami, jak służący. Były ubrane po męsku, ale drobne kroczyki i nieco pochylone ramiona zdradzały, że to kobiety. Cała trójka wyglądała bardzo podejrzanie. Yozo szedł więc w pewnej odległości za nimi, rozglądając się co chwila - ludzie jednak byli zbyt pijani, by coś zauważyć.

Wszystko szło zgodnie z planem, gdy nagle rozległ się trzask i drzwi domu Tamaya odsunęły się gwałtownie. Rozległy się burkliwe głosy i ciężkie kroki. Dwóch wielkich mężczyzn wychynęło zza palankinu Sabura, ich błyszczące łysiny i sztywne koki unosiły się nad tłumem. Yozo dostrzegł jedwabne stroje i rozpoznał byczy kark oraz wąskie oczy jednego, a także lisią twarz drugiego. To ci strażnicy przyglądali mu się w sali bankietowej.

Skoczył w tłum tańczących ciał, czując wszędzie wokół siebie ruch. Nie spodziewał się, że ktoś zareaguje tak szybko. Wiedział aż za dobrze, co ojczulek i ciotka zrobią, kiedy odkryją, że ich najcenniejsza kurtyzana zniknęła. Zwołają wszystkich mężczyzn i bandytów z Yoshiwary i poślą ich na poszukiwania na bagna. Będą jej szukać, póki nie znajdą. Wszystkich współników ucieczki poddadzą torturom, a sama Hana zostanie sprowadzona w kajdanach z powrotem do Yoshiwary, zbita, a może nawet zabita. Skrzywił się na tę myśl. Musi po prostu dopilnować, by tak się nie stało.

Strażnicy ruszyli na tyły domu. Tam spodziewali się go zastać. Sądziło się, że nadzoruje służbę kopiającą dół. Zaraz odkrywają, że go tam nie ma. Wszystko jedno, co się stało, wszystko jedno, co będzie musiał zrobić, by temu zapobiec, trzeba ich powstrzymać, by szukając go, nie wpadli na dwóch „służących” Masaharu. Musi dopilnować, nawet za cenę życia, by Hany nie złapano.

Jakiś młodzieniec podszedł do Yozo i objął go za ramiona, jego oddech cuchnął sake. Na szyi miał zawieszoną komiczną maskę z zaciśniętymi ustami i głupią miną. Idealne przebranie.

- Pożycz mi ją - poprosił Yozo i włożył ją na głowę. Zaczerwieniony młodzieniec o załzawionych oczach odszedł, zbyt pijany, by coś zauważyć.

Yozo zawiązał maskę na głowie i przepchnął się na skraj tłumy. Masaharu był teraz daleko przed nim, skręcał na wielki bulwar. Flety i bębny wygrywały dziką melodię, a tłum tańczył coraz szybciej. Słodki zapach opium unosił się ze wspaniałych herbaciarni. Nawet Chryzantemowa Herbaciarnia wyglądała tak, jakby goście pograżyli się w makowym śnie.

Przez otwory w masce Yozo zobaczył, że strażnicy wychodzą z rogów i kierują się w jego stronę. Twarze mieli wykrzywione z wściekłości, roztrącali pijanych ludzi, którzy padali bezwładnie na ziemię.

Bulwar kończył się Wielką Bramą oświetloną czerwonymi latarniami. Zwykle wieczorem to tamtędy przychodzili goście, ale dziś wszystkie Pięć Ulic należało do Sabura, więc wielkie odzwia zaryglowano. Wytatuowany stróż stał na swoim stanowisku, a obok niego wysoki mężczyzna, na widok którego Yozo poczuł ulgę - Marlin. Masaharu i jego dwaj służący zbliżali się już do bramy. Stróż podszedł szybko do małej bocznej furtki ukrytej w cieniu wierzby. Za plecami Yozo słyszał oburzone krzyki pijanych. Strażnicy już go doganiali.

Wyciągnął sztylet. Musiał ich powstrzymać, nim zbliżą się do bramy. Trzeba to zrobić szybko i cicho, nie zwracając niczyjej uwagi. Nie ma miejsca na błędy, ma tylko jedną szansę. Wolałby oczywiście wyzwać ich na pojedynek - jeden na jednego, honorowa walka - a nie ukrywać się za maską i atakować z zaskoczenia, ale nie mógł ryzykować. W ciemności nikt nie zauważy dwóch dodatkowych ciał na ziemi.

Przepchnął się w ich stronę przez roztańczony tłum. Mimo pięknych strojów widać było, że to zwykli bandyci. Mężczyzna o byczym karku szedł przodem, rozglądając się uważnie. Ukryty za maską Yozo ruszył ku niemu, zataczając się, jakby był pijany. Poczuł ciepło jego ciała i smród potu, a potem kwaśny odór krwi, kiedy wbił mu nóż głęboko w brzuch. Obrócił gwałtownie ostrze, by nóż nie utknął w ciele, po czym go wyszarpnął.

Oczy mężczyzny otworzyły się szeroko, zatoczył się, machając rękami. Z ust popłynęła mu krew. Upadł do tyłu, prosto na strażnika o lisiej twarzy, który szedł zaraz za nim. On też przewrócił się do tyłu, a jego czaszka z trzaskiem uderzyła o kamienie.

Na chwilę zapadła cisza.

- Głupcze! Złaż ze mnie! - Strażnik zaczął spychać z siebie wielkie ciało towarzysza. Yozo ciał jego gardło i poczuł, jak nóż przebija kości. Strażnik wydał gulgoczący dźwięk i zamilkł.

Wszystko zajęło tylko kilka sekund. Tłum nie zwrócił na nic uwagi. Yozo wytarł nóż o rękaw i schował za pas. Wykonał zadanie, choć nie tak czysto, jak planował.

Zdjął maskę, rzucił ją na bok i pobiegł ku bramie, roztrącając hulaków. Jeśli nie będzie działać szybko, nie zdoła wydostać się niepostrzeżenie. Masaharu i jego dwaj służący już wyszli na zewnątrz.

Yozo pozdrowił Marlina, nagle uświadamiając sobie, że być może widzi go po raz ostatni. Popatrzył na jego szerokie czoło, głęboko osadzone oczy i kwadratową szczękę pokrytą zarostem. Pamiętał tę twarz, gdy patrzyła na niego przez drzwi bambusowej klatki, i ciężar jego ręki na ramieniu, kiedy powstrzymał go przed zabiciem komendanta. Pamiętał, jak Marlin wyglądał w za krótkim stroju wieśniaka, gdy przepychał się wśród południowców i cudzoziemskich marynarzy przez Wielką Bramę Yoshiwary i dalej bulwarem, a jego głowa podskakiwała ponad tłumem. Francuz raz po raz ratował mu życie i był mu prawdziwym przyjacielem - być może najlepszym, jakiego miał.

Marlin wcisnął mu teraz w ręce karabin, miecz i worek z amunicją.

- Uważaj - powiedział. - Tam na zewnątrz wielu cię szuka. Będzie ich więcej po dzisiejszych wydarzeniach.

Yozo kiwnął głową.

- Będzie mi cię brakować - powiedział szczerze. - Wrócę, kiedy to się skończy.

- Jeszcze się spotkamy - odparł Marlin. - Enomoto, Otori, wszyscy. I zobaczymy znów szoguna na jego zamku.

Pamiętaj, co powtarzał Kitaro: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

Yozo roześmiał się i pokręcił ze smutkiem głową, wspominając Kitaro i jego miłość do sławnej powieści Dumasa, którą przeczytał dawno temu na Zachodzie.

- Niech żyje szogun! - powiedział. - Jestem twoim dłużnikiem. Znajdę sposób, żeby spłacić swój dług.

- Wystarczy, że jesteśmy przyjaciółmi.

Yozo wyciągnął rękę na styl zachodni, a Marlin ją uścisnął, a potem poklepał go po plecach.

Stróż stał przy malej bocznej furtce, oglądając się raz po raz przez wytatuowane ramię i wykrzywając dziko. Yozo uklonił się. Wiedział, że stróż ryzykuje surową karę, pozwalając im przejść. Niespodziewanie, gdy Yozo wymknął się na zewnątrz, stróż się uśmiechnął.

Na krętej drodze, która przechodziła ponad Fosą Czarnych Zębów, stały palankiny. Dalej droga wiała się pod górę, na Japońską Groblę wznoszącą się niczym czarna ściana na tle nocnego nieba. Na jej szczycie tu i ówdzie rozbłyskały światła, a ogniska buchały snopami iskier. Chmury zasłoniły księżyc. Na oświetlonych latarniami ulicach było tak jasno, że Yozo nawet nie zauważył, że jest pełnia. Księżyc rzucał złocisty blask na wysokie mury Yoshiwary, stragany i wierzby rosnące na zewnątrz.

Większość tragarzy spała, zwinięta w kłębek w swoich pojazdach. Piękny, oficjalnie wyglądający palankin czekał pod samą bramą. Masaharu chodził w tę i z powrotem, aż łopotąły poły jego zachodniego płaszcza. Wyciągnął sakiewkę i wcisnął w dłoń Yoza. Ten nie chciał jej przyjąć, ale po chwili zmienił zdanie i zatknął ją za pas. Otworzył usta, żeby podziękować, ale Masaharu z surowym wyrazem twarzy podniósł ostrzegawczo rękę.

Yozo skłonił się. Kilka miesięcy temu nawet sobie nie wyobrażał, że można podziwiać, a nawet lubić południowca.

- Mam nadzieję, że znów się spotkamy - powiedział.

- Na pewno - odparł Masaharu. - Powodzenia.

Obok niego stała Otsune ubrana w granatowy roboczy strój. Zdjęła kaptur i Yozo zobaczył jej słodką okrągłą twarz i drobne zmarszczki na bladym czole. Uśmiechała się przez łzy. Chwyciła go za rękę.

- Szybko - powiedziała. - Postaramy się, żeby nikt nic nie podejrzewał.

Ona i Marlin byli dla niego jak rodzina. Czuł się strasznie, żegnając się z nimi. Skłonił się, żałując, że nie może jej przytulić jak Francuz, ale wiedział, że byłaby zaszokowana, gdyby to zrobił.

Hana siedziała z podwiniętymi nogami w palankinie. Jej nadal umalowana na biało owalna twarz pałała w ciemności. Popatrzyła na niego, jakby nie mogła uwierzyć, że przyszedł. Wyciągnęła do niego rękę. Yozo ujął jej dłoń, rozkoszując się jej miękkością. Spojrzał jej w oczy, a ona się uśmiechnęła. Ta chwila - mieć tu Hanę bezpieczną dla siebie - była warta całego ryzyka.

- Zawsze mówiłeś, że będziesz mnie strzec - powiedziała.

- I dotrzymałeś słowa.

- I zawsze będę cię strzegł - zapewnił. Nasłuchiwał. Nikt ich nie gonił, nie słyhać było tupotu pogoni, okrzyków za bramą. Choć trudno było w to uwierzyć, udało im się.

Marlin i Otsune już weszli z powrotem za mury. Rygle bocznej furtki zapadły na miejsce. Muzyka i śpiewy ucichły.

Tragarze podnieśli palankin, przeszli przez fosę i wspięli się na pochyłe zbocze Japońskiej Grobli. Yozo szedł przodem. Na szczycie grobli czekali na nich w ciemności Hiko i Heizo. Ruszyli za palankinem, Hiko potężny, Heizo mały i mocno

zbudowany, z okrągłą głową. Yozo uśmiechnął się na ich widok, cieszył się, że ma ze sobą tych prostych żołnierzy.

Na chwilę zatrzymał się przy Wierzbie Ostatniego Spojrzenia i popatrzył na Yoshiwarę ukrytą za drzewami w dole. Ze swymi światłami, muzyką, okrzykami i śmiechem, zdawała się rajem na ziemi, ale wiedział, że za tym przepychem kryje się przemoc i okrucieństwo.

Biegąca za nim droga niknęła w ciemności. Odwrócił się tyłem do Yoshiwary i ruszył w noc.

Hana obudziła się i wzdrygnęła, ponieważ podskoki i kołysanie się palankinu ustały. Ostatnie, co słyszała, nim zasnęła, to trzeszczenie drewnianych paneli i wiatr gwizdzący nad bagnami.

Leżała zwinięta w kłębek w zimnym ciasnym pudełku, z podciągniętymi pod siebie nogami. Poruszyła palcami u nóg, próbując odzyskać w nich czucie. Na moment wpadła w panikę, nie wiedząc, gdzie się znajduje, a potem przypomniała sobie wszystko, co się zdarzyło tej nocy. Wróciły do niej koszmarne obrazy - nabrzmiała twarz Sabura, kiedy umierał, napierający ze wszystkich stron tłum, zamaskowane twarze i okropny strach, że ktoś ją rozpozna. Chciała uciekać najszybciej, jak mogła, ale musiała iść powoli, jakby się wcale nie spieszyła.

Z drżeniem przypomniała sobie grube palce Sabura i jego oczy jak u ropuchy, ciężkie ciało napierające na nią, kiedy wkładała kawałki wątroby fugu do jego ust, a potem to, jak zaczął się dławić i skarżyć, że zimno mu w stopy. Pamiętała, jak pobiegła do swoich pokoi i zdarła z siebie kimona, pełna strachu, że ktoś tam zaraz wpadnie i ją zobaczy. Pamiętała, jak potem znalazła się na ulicy, po raz pierwszy od miesiący, przekonana, że wszyscy na nią patrzą. Niemal czuła kij ojczulka spadający na jej plecy i jego nóż podrzynający jej gardło.

Usłyszała dzwon świątynny wybijający godzinę, równe kroki stróża i suchy trzask, z jakim uderzał w kije. Potem drzwi palankinu odsunęły się i zobaczyła Yoza. Jego spokojne oczy i uśmiech widziała w blasku księżyca. Za nim rysowały się w ciemności sylwetki domów stłoczonych przy uliczce tak wąskiej, że nad okapami ledwie widać było gwiazdy. Znowu znalazła się w prawdziwym świecie. Był duży, zimny i

ciemny, lecz wiedziała, że póki ma przy sobie Yoza, wszystko będzie dobrze.

- Gdzie jesteśmy? - spytała. Jej głos zabrzmiał dziwnie donośnie w panującej ciszy.

- We wschodnim Edo - odparł Yozo. - To nadal miasto szoguna. Nie możemy zatrzymać się w gospodzie, jesteś zbyt dobrze znana. Wieść o tym mogłaby dotrzeć do Yoshiwary. Zanocujemy u wdowy po jednym z naszych towarzyszy. Możemy jej ufać. Obawiam się, że warunki będą skromne, bardzo różne od tego, do czego przywykłaś.

Roześmiała się niepewnie.

- Nie jestem taka rozpieszczona, jak sądzisz. Nim przybyłam do Yoshiwary, wiodłam zupełnie zwyczajne życie, bez wymyślnych potraw i wspaniałych kimon.

Kiedy to mówiła, dotarło do niej, co właśnie zrobiła. Zostawiła za sobą wszystko, na czym jej zależało - Otsune, Tamę i Kawanoto, obszerne pokoje, cenne kimona, draperie i przepiękne prezenty, jakie ofiarowywali jej klienci. Próbowwała odsunąć od siebie tę myśl, nie mogła jednak powstrzymać strachu. Zagryzła wargi. Teraz nie miała nic, tylko to, co zdołała zapakować - bawełniane kimono, pudełko męża i to drugie, z jego listem. Będzie musiała udać się do Kano i włożyć to wszystko do rodzinnego grobowca. Była mu to winna.

Przynajmniej miała pieniądze - Otsune i Masaharu o to zadbali, zresztą miała też własne.

Miała na sobie męski strój. Owinęła szczelnie szarfą twarz, by ukryć makijaż. Coś poruszyło się u jej stóp - szcur. Przypomniała sobie swój ostatni pobyt w mieście, kiedy spotkała Fuyu. Teraz Edo wydawało się jeszcze bardziej wymarłe, jakby wszyscy mieszkańcy uciekli.

Tragarze wskazali im skromny dom z roślinami w doniczkach pod ścianą. Wybiegła z niego młoda kobieta,

przecierając oczy, uśmiechając się i kłaniając. Poprowadziła Hanę i Yoza przez nędzne, pachnące wilgocią pokoje do małej sypialni na tyłach i przyniosła rondel z gorącą wodą oraz torbę ryżowych plew. Kiedy wykładała pościel i koszule do spania, Hana zmyła z siebie makijaż, potem wyjęła grzebienie i wstążki z włosów i czesała je tak długo, aż opadały długą, miękką kaskadą niczym czarna jedwabna zasłona. Spojrzała na siebie w lustrze. Hanaogi zniknęła na zawsze, znowu była tylko Haną.

- Obawiam się, że to skromna kwatery, ale przynajmniej jesteś tu bezpieczna. - Yozo klęczał przy ścianie i obserwował ją pilnie. Położył swoje miecze na stojaku, gdzie w każdej chwili mógł po nie sięgnąć, a karabin przy poduszce. W Yoshiwarze musiał udawać służącego, ale teraz i on był sobą. Wydawał się starszy, poważniejszy. Był żołnierzem, i to wysokiej rangi. Kiedy zwracał się do Hika i Heiza, Jego głos brzmiał stanowczo, jakby przywykł do rozkazywania, co poruszyło Hanę. Widziała, że jest podniecony wolnością, tym, że znowu jest tam, gdzie jego miejsce.

- Mam takie same kłopoty jak ty, a może nawet większe - powiedział. - Ty musisz się martwić o ojczulka i ludzi z Yoshiwary, a mnie ściga połowa armii południowców. - Westchnął i potarł oczy. - Nie myślmy o tym teraz, skoro mam cię wreszcie tylko dla siebie.

W świetle świecy Hana widziała jego uśmiech, męską twarz i wyraziste oczy. Nigdy nikt nie wydawał jej się równie piękny. Tęskniąc za jego dotykiem, pochyliła się ku niemu, jakby jej wola zniknęła, jakby jej ciało już jej nie słuchało.

Wziął jej rękę i uniósł do ust. Hana zamknęła oczy. Drżała, trochę przestraszona uczuciami, jakie ją ogarnęły. Nie miała pojęcia, jak bardzo się dotąd powstrzymywała, jak bardzo ukrywa przed sobą, co czuje. Miłość się sprzedawało i kupowało, jej praca polegała na dawaniu przyjemności. Kiedy

szeptala kochankom slodkie slowka, wiedzieli, ze powtarza to samo kazdemu. To zawsze byla gra. Ale teraz wszystko sie zmienilo.

Yozo przyciagnal ja do siebie i pocalowal. Dotyk jego warg wywolal w niej dreszcz, czula, jak jej ciało wygina sie ku niemu, jak mu sie poddaje, jak sie przed nim otwiera.

- Czekalem tak dlugo - powiedzial schrypnietym glosem. Przesunal palcami po jej wlosach, gladzil jej kark, czula cieplo jego oddechu, gdy calowal jej oczy i nos. Potem rozchylik jej koszule i odszukal piersi, ujal je w dlonie, pocierajac kciukiem sutki. Hana czula, jak w jej brzuchu rozpala sie rozkosz. Yozo calowal ja namietnie, z zarem. Byli tylko oni dwoje, ciemnosc, mały pokój, wegielki w piecyku, cisza.

Nikt nigdy nie dal jej takiej czulości. Jego dotyk, delikatny, a równocześnie podniecający, przynosl rozkosz wieksza niz wszystko, czego do tej pory zaznala. Slyszała własne jęki, kiedy przesuwal dloni i ustami po jej piersiach, po czulej skórze na brzuchu, kiedy gladzil jej uda, przesuwal jezykiem po jej ciele coraz niziej, az odszukal schludnie przycięty trójkat wlosów lonowych. Zanurzyl w nich nos, tracal ja jak kot, a potem zaczal zlizywac soki, jakie z niej wyplywaly. Byla bezbronna, jęczala pod jego dotykiem, az nagle przeszył ja dlugi, boleśnie rozkoszny skurcz.

Potem Yozo lezal przy niej. Pozadliwie przesunela reką po jego piersi i muskularnych plecach, tulac twarz do jego gladkiej skóry, wdychajac zapach jego wlosów. Pociagnela go na siebie, poczula szorstki zarost, kiedy otarl sie policzkiem o jej policzek, jego twarde ciało, walenie serca.

- Ty - szepnal, kiedy kotylsali sie razem, coraz szybciej. A potem zatoneła w slodkim niebycie, który napełnil rozkoszą jej brzuch, wspial sie po jej plecach i siegnal az po koniuszki palców i czubek jezyka. Uslyszała jęk Yoza i poczula, jak na niej nieruchomieje.

Leżeli długi czas, trzymając się w ramionach, patrzyli na siebie w zdumieniu. To nie jedyna ich noc, będą mieli ich wiele. To dopiero początek, nowe życie.

Rankiem młoda wdowa przyniosła im śniadanie. Kiedy zasunęła za sobą drzwi, Hana i Yozo jedli w milczeniu, patrząc na maleńki ogród - kilka skał i wykrzywioną sosnę skąpaną w jesiennym słońcu. Hana włożyła bawełniane kimono, które zabrała ze sobą z domu Tamaya, i związała włosy na karku w prosty węzeł.

To był pierwszy poranek jej wolności. Wielkie miasto leżało u jej stóp, mogła iść, dokąd chciała, i robić, co chciała. Była tak daleko od Yoshiwary, że ojczulek nigdy jej nie znajdzie. Nikt nie wiedział, kim jest. W zimowym ubraniu stanie się zupełnie nie do poznania.

Już postanowiła, gdzie chce iść. Zawsze wiedziała. Myślała o tym często - wielki dom z ogrodem, gdzie wśród bambusów i sosen stały kamienne latarnie, a skały nad małym stawem porastał mech. Liście klonów są już pewnie całkiem czerwone, a Gensuke owija krzaki słomą na zimę. Tak, zabierze tam Yoza. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie jego podniecenie, kiedy po raz pierwszy zobaczy jej dom.

Odwróciła się do niego i stwierdziła, że wpatruje się pustym wzrokiem w ogród. Była taka podniecona, tak zajęta planami na przyszłość, że zapomniała, iż miasto nie jest dla niego bezpiecznym miejscem. W Yoshiwarze nie groziły mu władze Południa, ale teraz będzie musiał zachować ostrożność. Napotkał jej wzrok i spojrział pytająco, bębniąc palcami o zniszczone tatami. Widząc jego zmarszczone czoło, zastanawiała się, co mu leży na sercu.

- Obawiam się, że muszę cię opuścić na jakiś czas - powiedział. - Muszę się zająć pewną sprawą.

Hana drgnęła, zaskoczona. Nie spodziewała się czegoś takiego.

- Opowiadałem ci o moich przyjaciółach, Enomocie i Otorim. Dziś jest ten dzień, kiedy zostaną przeniesieni do

więzienia Kodenmacho. To nasza jedyna szansa, żeby ich uwolnić. - Ujął jej rękę w obie dłonie i przytrzymał. - Wiem, że zrozumiesz. To sprawa życia lub śmierci.

Hana zamrugała szybko. Nie spodziewała się, że pożegnają się tak nagle, tak szybko. Yozo objął ją i przycisnął wargi do jej czoła.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? - szepnęła.

- Nie chciałem ci psuć naszej wspólnej nocy. Zresztą nie ma się czym martwić. Przemyśleliśmy starannie plan, we wszystkich szczegółach. Wrócę wieczorem, a Enomoto i Otori będą ze mną.

Mimo tych zapewnień Hana wiedziała, że podejmuje ogromne ryzyko. Równie dobrze sam może trafić do więzienia, a nawet na miejsce straceń. Jednak jako córka samuraja i wdowa po samuraju zdawała sobie sprawę, że go nie powstrzyma. Powinna podzielać jego entuzjazm, wiedzieć, że nie robi tego tylko dla Enomota i Otoriego. Tak długo dusił się w Yoshiwarze, odgrywając rolę pokornego służącego. Tu, w Edo, pragnął znów być w centrum wydarzeń.

Po jej policzku spłynęła łza. Otarła ją, po czym odgarnęła długie pasmo włosów, które opadło jej na twarz, i założyła je za ucho. Zamknęła oczy, czując na skórze ciepłe palce Yoza.

- Czekał na mnie tutaj - poprosił. Pokręciła głową.

- Od tak dawna chcę wrócić do domu. Tam na ciebie zaczekam.

- W swoim domu? - Twarz Yoza spochmurniała. - Ale on należał przecież do twojego męża.

- Nigdy go tam nie było - odparła. - Większość czasu byłam sama, tylko ja i służba. To mój dom, nie jego, a teraz także twój. Stoi w Yushimie, niedaleko rzeki, koło świątyni Korinji. - Wyobraziała sobie ulicę, rzekę, świątynię i wielki dom z dymem kłębiącym się pod okapami. Samo

wypowiedzenie na głos tych nazw sprawiło, że poczuła przyjemne ciepło.

- Jest coś jeszcze. - Yozo patrzył na ogród.

Hana uświadomiła sobie, że nie usłyszał ani słowa z tego, co powiedziała. - Co?

- Muszę ci coś powiedzieć o twoim mężu, o tym, jak zginął. - Wyraz jego twarzy sprawił, że poczuła strach.

Pochyliła się ku niemu i położyła rękę na jego udzie.

- Nie chcę nic wiedzieć - powiedziała stanowczo. - Chcę tylko, żebyś wrócił bezpiecznie.

Na zewnątrz ciszę przerwał dźwięk cykad. Yozo pokręcił głową i znów zabębnił palcami w tatami.

- Powiedziałem ci, że widziałem, jak twój mąż padł, ale nie powiedziałem ci dlaczego. - Odetchnął głęboko. Unikał jej wzroku. - To ja go zabiłem.

Hana cofnęła się.

- Ty? Nie wrogowie? - sapnęła.

W pokoju zapadła głucha cisza. Przyszła wdowa zabrać tace po śniadaniu, a oni siedzieli w milczeniu, póki nie wyszła. Yozo patrzył nieruchomym wzrokiem na ogród, skulił ramiona. Hana chciała mu powiedzieć, że nie musi mówić nic więcej, ale uniósł rękę i zmarszczył brwi.

- Kazał zabić mojego przyjaciela, Kitara - zaczął głosem tak cichym, że ledwie go słyszała. - Przysiągłem się zemścić, ale musiałem poczekać do końca wojny, gdyż zbrodnią jest zabić jednego z własnych dowódców. Kiedy jednak dostrzegłem szansę, nawet się nad tym nie zastanawiałem. To było podczas ostatniej bitwy, wszyscy wiedzieliśmy, że i tak zginieemy. Stałem z nim twarzą w twarz na pustej ulicy w Hakodate, a kiedy znów zaczął się ze mnie natrzęsać, zastrzeliłem go. - W oczach Yoza pojawił się dziwny płomień, jakby znów się znajdował w tym odległym dzikim miejscu, znów przeżywał to wszystko. - Nadal dręczy mnie to w snach.

Aż do teraz nie mogłem się zdobyć, żeby ci o tym opowiedzieć. Byłem pewien, że znienawidzisz mnie za to. W końcu komendant Yamaguchi był twoim mężem, bez względu na to, co do niego czułaś.

Hana patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Jej zdaniem to nie była zbrodnia, tylko święty obowiązek, dokonać zemsty za śmierć towarzysza. Zresztą mężczyźni często zabijali się nawzajem. Jej mąż przechwalał się tym, ilu ludzi zabił, również własnych żołnierzy. A gdyby wrócił, zabiłby i ją, więc w pewnym sensie Yozo ocalił jej życie.

- Po prostu nie mogłem dłużej tego ukrywać - powiedział.
- Nie chciałem, żeby między nami były tajemnice.

Wzięła jego rękę i przytrzymała w swoich dłoniach.

- To niczego nie zmienia, jeśli o mnie chodzi. Jeśli chodzi o nas - szepnęła. Z jakichś powodów stał się jej teraz jeszcze bliższy.

- Możesz mi wybaczyć? - spytał, przenosząc na nią wzrok.

- Nie mam ci czego wybaczać. Chcę tylko, żebyś wrócił do mnie bezpiecznie.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił, a potem cofnął głowę i patrzył na nią długo, po czym powoli wyprostował ramiona.

- Twój dom stoi w pobliżu dawnych koszar milicji. Ichimura mieszka w pobliżu i tam mamy się z nim spotkać. Heizo, Hiko i ja. Pójdę z tobą, dopilnuję, żebyś dotarła bezpiecznie na miejsce.

Oparła policzek na jego ramieniu i pocałowała go w szyję, a potem przesunęła ręką po jego twarzy, po policzku, nosie i podbródku, po zmarszczkach w kącikach ust, po gładkich czarnych włosach. Chciała mu powiedzieć, że będzie się modlić, by nie stało się nic złego, ale nie mogła znaleźć słów. Uświadomiła sobie, że Yozo nie spodziewa się wrócić.

- Powiedziałeś, że będziesz mnie chronił - szepnęła. - Nie zapominaj o tym.

- Masz na to moje słowo - odparł i skłonił się z powagą.

* * *

Szli spiesznie przez miasto, Hana kilka kroków z tyłu. Kiedy pokonali plac przed bramą Sujikai, Hana przypomniała sobie kobiety, które tu widziała, wymalowane i upudrowane, gotowe się sprzedać każdemu za kulkę ryżu. Smród śmieci i gnijącego jedzenia unosił się nad rzeką Kanda, kiedy szukali przewoźnika, by przeprowadził ich do przystani w pobliżu jej domu.

Wkrótce znaleźli się na pustkowiu, przez które uciekała przed żołnierzami. Zasadzono tu krzaki morwy - na gałęziach nadal pozostało kilka żółtych liści. Hana wiedziała, że moment rozstania jest bardzo bliski, lecz pomimo smutku i obawy o Yoza, widok tego znajomego miejsca przyniósł jej pociechę. Wreszcie wracała do domu.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy zobaczyła znajome mury z dachówkami na szczycie i mech porastający kamienie. Yozo zatrzymał się przy bramie i przeczytał nazwę na tabliczce.

- Seizo Yamaguchi.

Hana chciała go uściskać i powiedzieć, że go kocha, że nie ma znaczenia, co zrobił, że kocha go za to jeszcze bardziej. Chciała go błagać, żeby nie wyruszał na tę niebezpieczną misję - ale postanowiła być silna, napomniała się w duchu, że jest córką samuraja. Uśmiechnęła się i zamrugała, by pozbyć się łez. Życzyła mu szczęścia równie powściągliwie jak żona.

Yozo wziął jej rękę i po raz ostatni przycisnął do warg, a potem ruszył w stronę rzeki. Patrzyła za nim, na jego szerokie plecy, dwa miecze zatknięte za pas. Obejrzał się i uśmiechnął, a potem zniknął jej z oczu.

Otworzyła bramę, ledwie zdając sobie sprawę, dokąd idzie, nadal ogłuszona tym, co jej powiedział. To niczego nie

zmieniało. Ponure dni, kiedy była żoną komendanta Yamaguchiego, należały do przeszłości. Oddała serce Yozowi i żarliwie modliła się, by wrócił bezpiecznie.

Rozejrzała się, nagle dostrzegając, gdzie jest. Nie było jej tutaj prawie rok. Między kamieniami dziedzińca rósł mech, pod murem piętrzyły się zwały opadłych liści. Ogród wypełniały chwasty, a wielka wiśnia jeszcze urosła. Dom wyglądał na opuszczony, z mchem na dachu i brakującymi dachówkami, bardziej jak siedziba lisów i borsuków niż miejsce, gdzie mieszkają ludzie. Niemniej był to ten sam dom, ten sam ogród. Zobaczyła dym unoszący się spod okapów i przyspieszyła kroku, myśląc o tym, jak szczęśliwi będą Oharu i Gensuke, kiedy ją zobaczą. I jak będą zaskoczeni.

Wielkie drzwi od frontu były zamknięte i zaryglowane. Pchnęła je, ale nie chciały się przesunąć. Z nadproża i okapów zwisały pajęczyny, w rogach widziała gnijące kupy liści. Poszła do wejścia dla rodziny, umieszczonego z boku budynku, otworzyła je i przekroczyła próg. Zamrugnęła gwałtownie, gdyż oczy piekły ją od dymu kłębiącego się w środku.

W blasku wpadającym przez szpary pomiędzy zamkniętymi drzwiami deszczowymi widziała wielkie i mroczne wnętrza, pociemniałe od dymu krokwie i pokoje wykładane tatami, niknące w cieniu. Czuła dym i zapach gotowanego jedzenia. Pomyślała, że Oharu pewnie jest w kuchni, szykuje obiad.

Potem dostrzegła w ciemności ruch. Jakaś postać siedziała ze skrzyżowanymi nogami przy palenisku i paliła fajkę.

Z głuchym łoskotem upuściła na podłogę swój tobołek i uniosła ręce do ust, by stłumić okrzyk przerażenia.

Przez chwilę myślała, że widzi ducha, ale ten człowiek był prawdziwy - szerokie ramiona, arogancko uniesiony

podbródek, wypomadowane rozpuszczone włosy, gęste i błyszczące.

Ugięły się pod nią kolana, zaczęła dyszeć, jakby tonęła. Chciała odwrócić się i uciec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Musisz zachować przytomność umysłu, nie tracić rezonu, powiedziała sobie. Jak Yozo mógł się tak bardzo pomylić?

Nie miała żadnych wątpliwości. To był jej mąż.

Komendant Yamaguchi schudł i znacznie się postarzał. Skóra na zapadniętej twarzy, zawsze niezwykle jasna, zrobiła się łykowata. Jego włosy, niegdyś błyszczące jak czarna laka, poprzetykane były siwizną. Miał ciemne cienie pod oczami, zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się jeszcze. Patrzył w milczeniu na Hanę, mierzył ją powoli wzrokiem od stóp do głów.

Miała wrażenie, że nogi ugięły się pod nią. Padła na kolana w progu, położyła dłonie na podłodze i przycisnęła do nich twarz.

- A więc to ty - powiedział. Rozpoznała jego groźny ton i ostry chłopski dialekt. - Widzę, że podróżowałaś. I nagle zjawiasz się tu w tym niestosownym stroju, z tobołkiem, jak jakaś ulicznica. Nie było mi przyjemnie wracać do domu, gdzie nie czekała na mnie żona.

Milczała, zwinięta w kłębek na zimnym klepisku.

- Straciłaś język? Nie powiesz nawet, że cieszysz się, że mnie widzisz?

- Myślałam... myślałam...

- Miałaś się zająć domem. Dlaczego cię tu nie było? Odetchnęła.

- Żo - żołnierze... - ledwie mogła mówić. - Żołnierze tu przyszli... żeby mnie zabić... ponieważ jestem twoją żoną. Mu - musiałam uciekać.

- Jesteś córką samuraja, a boisz się śmierci? Twoim obowiązkiem było bronienie domu.

Nagle ogarnęło ją ogromne poczucie winy, oddychała szybko i płytko. Kątem oka dostrzegła na podłodze swój tobołek, w którego środku schowała pudełko męża. Może jeśli je zobaczy, złagodzi to jego gniew. Może zrozumie, dlaczego zrobiła to, co zrobiła.

- Myślałam, że zginąłeś - szepnęła.

Sięgnęła po tobolek i położyła go przed nim na tatami, po czym rozwiązała węzły, choć bardzo trzęsły jej się ręce. Wyjęła metalowe żołnierskie pudełko oraz drugie, drewniane, na zwój. Pamiętała, jak je otworzyła w swoich pokojach w domu Tamaya, jak czytała raz po raz list i poemat, i jak ustawiła fotografię i pudełka na ołtarzu. Oplakiwała go, zapomniała o jego surowości i biciu, pamiętała tylko, że był jej mężem.

Teraz to on się cofnął, jakby zobaczył ducha. Wyciągnął przed siebie drżącą rękę, chudsza niż kiedyś, kościstą, z bardziej wystającymi knykciami.

- Ichimura mi to przyniósł - szepnęła, patrząc na niego prosząco. Pamiętała, jaki efekt wywierało to na mężczyznę, kiedy patrzyła tak na nich spod rzęs. - Przeczytałam twój list. Oplakiwałam cię. Zamierzałam zawieźć to do Kano i pochować, tak jak chciałeś.

Uniósł metalowe wieczko i zajrzał do środka. Była zaskoczona widokiem łez w jego oczach.

- Całe moje życie - wymamrotał. - A sprowadza się do tego, tylko do tego. Wojna przegrana, sprawa stracona, wszystko, w co wierzyłem, odeszło. - Usiadł na piętach i westchnął głęboko. - Powinienem umrzeć wraz z innymi. Co to za świat, w którym teraz przyjdzie nam żyć?

Sięgnął po fajkę i postukał nią powoli o brzeg pudełka na tytoń. Dźwięk odbił się echem w ciszy. Hana wstrzymała oddech. Czekwała, obserwując go czujnie. Nagle komendant zmrużył oczy i spojrzał na nią.

- Jesteś inna - stwierdził. - Podejdz.

Z walącym sercem uklękła naprzeciwko niego, a on chwycił jej podbródek między kciuk a palec wskazujący i ścisnął tak mocno, że aż zabolalo. Patrzył w jej twarz, obracając jej głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Miała wrażenie, że jego oczy zdzierają z niej warstwę za warstwą,

jakby mógł wyczytać całą jej historię, wszystko, co zrobiła. Jakby mógł zobaczyć miejsca, w których była, każdego mężczyznę, z którym spała. Jakby wszystko - również noc, którą spędziła z Yozem - miała wypisane na skórze jak tatuaż. Zacisnęła powieki, przypomniała sobie, że ojczulek przyglądał się jej w dokładnie taki sam sposób. Nagle mąż pchnął ją tak mocno, że upadła na plecy na tatami.

- Coś się zmieniło - powiedział, wykrzywając się z obrzydzeniem. - Nawet pachniesz inaczej. Byłaś małą głupią istotką, ale już nią nie jesteś. Nauczyłaś się nieposłuszeństwa. Masz to wypisane na twarzy.

Urwał, potem znów popatrzył na nią surowo.

- Nauczyłaś się myśleć. Spierasz się, przekrzywiasz głowę, patrzysz na mnie przez rzęsy. Nauczyłaś się podobać mężczyznom. Nie jesteś już moją skromną żoną, prawda?

Hana wiedziała, co będzie, i że nijak tego nie powstrzyma. Jej mąż parsknął z pogardą.

- Byłaś w Yoshiwarze, prawda? Zostałaś prostytutką. Ilu południowców korzystało z twojego ciała? Należysz do mnie, a oddałaś się wrogom! Przyniosłaś mi wstyd, przyniosłaś wstyd temu domowi. - Odwrócił się, czerwony z wściekłości.

Kiedy wymówił słowo „Yoshiwara”, wiedziała, że nie ma już dla niej ratunku. Zabije ją. Musiał, takie było prawo.

Złożyła ręce, czując, jak serce jej wali, a krew szumi w uszach. Gdyby tylko Yozo wrócił. Jeśli ktoś może ją ocalić, to tylko on. Ale Yozo nie wiedział, co się stało, dowie się, kiedy będzie już za późno.

- Nie próbuj zaprzeczać! - ryknął komendant. Twarz miał niemal czarną. - Przyszła tu kobieta o imieniu Fuyu. Powiedziała mi wszystko.

Fuyu. To imię było jak policzek. Hana wyprostowała się gwałtownie, zaskoczona własną wściekłością. Nie będzie dłużej klęczeć w milczeniu. W przeszłości godziła się z tym,

że ten mężczyzna jest jej panem, była posłuszna jego rozkazom i przyjmowała bez skargi jego bicie. Ale miał rację, zmieniła się. Nie miał już władzy nad jej duchem. Niech ją zabije, najpierw jednak powie mu, co myśli.

- Fuyu to stręczycielka! - krzyknęła. - Jak śmiesz wierzyć jej, nie mnie? To ona mnie sprzedała!

Komendant wzburzył dłonią włosy, tak że sterczały wokół jego twarzy jak płomień.

- Śmiesz mi odpowiadać? - ryknął. - Myślisz, że to jakaś różnica, czy miałaś wybór, czy nie? Nikt nie chce mieć za żonę kobiety z Yoshiwary!

Zacisnął pięść, aż strzeliły knykcie. Hana zadrżała. Pamiętała ten dźwięk zwiastujący uderzenie. Potem komendant wstał. Cofnęła się, zwinęła w kłębek i osłoniła rękami głowę. Czowała kopniaki w zębra, plecy, uda. Zaczekał, aż usiądzie, a potem uderzył ją w ucho tak mocno, że upadła, ogłuszona. Powoli się podniosła, a wówczas uderzył ją ponownie.

Pokój wirował jej przed oczami, w uszach jej dzwoniło, a głowa bolała tak bardzo, że ledwie mogła myśleć. Miała wrażenie, że jest cała posiniaczona, ale w przeszłości bił ją mocniej, dużo mocniej. Wyprostowała plecy i popatrzyła na niego wyzywająco. Umrze dumnie, a nie kuląc się i błagając o litość.

- Nawet nie płaczesz - stwierdził, tym razem łagodniej. - Straciłaś wszelki wstyd. Przynieś matę. Znasz procedurę.

Wstała, otrzepała się i poszła, kulejąc, do kuchni. Słyszała za sobą zgrzyt metalu o kamień i wiedziała, że ostrzy swój miecz. Oharu stała przy piecu, mieszając bez ustanku w garnku, a Gensuke przykucnął w rogu kuchni. Skulili się i odwrócili wzrok, oniemieli ze strachu, gdy weszła.

W kącie stała słomiana mata, której Oharu używała do suszenia rzodkwi i persymon. Była zakurzona i zapleśniała, a

kiedy Hana ją podniosła, na podłogę posypały się martwe owady.

Wyniosła ją na zewnątrz. Mąż szedł za nią. Podwiązał rękawy i zatknął miecze za pas.

- Tam - warknął.

Hana czuła, jak słońce grzeje ją w głowę. Dzień był taki piękny, oślepiająco błękitne niebo i gałązki drzew pochylające się nad domem, zasypujące dach złotymi, pomarańczowymi i brązowymi liśćmi. Obeszła kamienną latarnię i staw i ruszyła wśród sosen na polanę za magazynem, gdzie nikt nie mógł ich widzieć.

- Tutaj.

Rozwinęła matę i uklękła tyłem do niego, trzymając głowę wysoko. Ale choć postanowiła sobie, że nie okaże strachu, trzęsła się i szczękała zębami. Oddychała płytko i szybko, świadoma, że każdy oddech może być jej ostatnim.

- Módl się.

Ziemia była zimna. Przez cienką słomę wbijały jej się w łydki kamyki. Wietrzyk poruszał opadłe liście. Wrona przysiadła w pobliżu i patrzyła na nią okiem jak paciorek, potem otworzyła wielki czarny dziób i zakrakała chrapliwie. Ten dźwięk wydał się Hanie zaskakująco głośny w panującej ciszy. Był jak omen zwiastujący śmierć.

W Yoshiwarze zakosztowała życia i miłości. Gdyby nigdy nie opuściła tego domu, mogłaby się tu zestarzeć, ale nie poznałaby życia. Niczego nie żałuję, pomyślała. Wspomniała Yoza i ich wspólną noc. Nigdy wcześniej nie zaznała takiego szczęścia, nie czuła się tak spełniona. Pragnęła tylko zobaczyć go jeszcze jeden jedyny raz, nim umrze. Uśmiechnęła się, przywołując w pamięci jego obraz. Odejdzie, myśląc o nim.

Dobiegł ją zgrzyt metalu. To ostatni dźwięk, jaki usłyszy w życiu. Zamknęła oczy.

Zamierzali iść za konwojem aż do miejsca, gdzie droga się zwęża, tam zabić strażników i uwolnić Enomota i Otoriego. Południowcy sądzą, że stłumili wszelki opór w mieście, i strażników nie będzie

wielu, tragarze dźwigający klatki uciekną, a mieszkańcy Edo, którzy nienawidzą południowców, staną po ich stronie. Taki przynajmniej był plan - czy zadziała w praktyce, to była zupełnie inna sprawa.

Yozo brał udział w wielu szalonych przedsięwzięciach. Powiedział sobie w duchu, że przeżyje i to. Musi. Miał teraz kobietę, którą kochał; nie będzie dłużej ryzykował życia. Wciąż myślał o Hanie i ich rozmowie. Tak bardzo obawiał się jej reakcji, kiedy wyjawiał, że zabił jej męża. Przyjęła to jednak spokojnie i wybaczyła mu, a on tym bardziej ją za to podziwiał. Zdawał sobie sprawę, że może jej więcej nie zobaczyć, ale wiedział też, że teraz nie powinien tego roztrząsać. Musi się skupić na zadaniu - uwolnieniu Enomota.

Kiedy przedzierał się przez krzaki morwy, kierując się ku wierzbom i chałupom stojącym nad rzeką, notował w pamięci drogę powrotną do domu, w którym czekała Hana. Żałował, że nie ma ze sobą swego enfielda - snidera, ale zgubił go w ostatniej bitwie. Będzie mu musiał wystarczyć colt i miecz, który dał mu Marlin, kiedy opuszczał Yoshiwarę, chyba że Ichimura znalazł jakąś inną broń w arsenale milicji.

Z łodzi przy pomoście wysiadali właśnie Heizo i Hiko, a przewoźnik liczył swoją zapłatę. Yozo uśmiechnął się, gdy mu zasalutowali. Pojawił się też Ichimura, wlokąc za sobą worek marynarski, który brzęczał i podskakiwał. Miał na sobie ciemnoniebieskie nogawice i szorstki kaftan, jak robotnik, włosy nasmarował pomadą, żeby nie sterczały i nie wyróżniały go z tłumu. Uśmiechał się szeroko. Przyłożył ręce do ust i krzyknął coś, ale wiatr porwał jego słowa. Kiedy

podszedł bliżej, krzyknął znowu. Yozo zamarł, gdy dotarł do niego sens jego słów.

- Komendant wrócił! Żyje!

- Komendant? - powtórzył Yozo, próbując przełknąć ślinę. Dzień nagle zrobił się ciemniejszy i znacznie zimniejszy. - Chyba nie chcesz powiedzieć... nie mówisz... o komendancie Yamaguchim? - Poczł mrowienie na karku i okropne dławienie w gardle. - Nadal żyje? To niemożliwe!

Ichimura podbiegł do niego. Dyszał ciężko.

- Widziałem go na własne oczy - oświadczył radośnie. - Wczoraj. Mieszka niedaleko. Powiedziałem mu o naszych planach, a on mi na to, żeby nie był głupi. Wojna się skończyła, próbuje uniknąć aresztowania. Nie chce zwracać na siebie uwagi.

Yozo już go jednak nie słuchał. Zdrętwiał na myśl o śmiertelnym niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się Hana. Ale przecież do niego strzelił, widział, jak pada, widział, jak leży w kałuży krwi! Był zakrwawiony, jego krew wsiąkała w ziemię. Jak mógł przeżyć?

Zaraz po konfrontacji z komendantem Yozo został schwytany. Nie słyszał o nim podczas pobytu w Yoshiwarze, póki nie pojawił się Ichimura ze swoim przeklętym pudełkiem - ono tylko potwierdzało śmierć Yamaguchiego. Yozo jęknął. Jak mógł tak się mylić? Posłał Hanę na pewną śmierć!

Rozejrzał się z przerażeniem i uderzył dłonią w czoło, kiedy uświadomił sobie ciężką decyzję, jaką musi podjąć. Z jednej strony Enomoto, jego przyjaciel, wspaniały, mężny Enomoto, którego podziwiał i kochał jak brata. Całe jego życie i wychowanie - i kodeks samuraja, który wbijano mu w głowę od dzieciństwa - mówiły mu, że najważniejszą cnotą mężczyzny jest lojalność wobec sprawy i towarzyszy. Oddadzą za ciebie życie, a ty oddasz życie za nich. Wiedział, że nie nadarzy się druga szansa na ocalenie Enomota i

Otoriego i że jeśli plan zawiedzie, pójdą na śmierć. Jak mógł pomyśleć o zdradzeniu ich?

Lecz Hana zmieniła wszystko. Uświadomił sobie teraz, że znaczy dla niego więcej niż cokolwiek innego na świecie. Wszystko dla niej porzuci, nawet swój honor i szacunek towarzyszy. Wszystkie te lata na Zachodzie zmieniły go bardziej, niż sądził - a kiedy dokonał wyboru, wiedział, że nie będzie się oglądać za siebie.

Chwycił worek Ichimury i otworzył. Pełno w nim było karabinów, ale starych i zardzewiałych. Taka broń tylko by go opóźniała. Kopnął worek na bok.

- Czekaście tu - warknął.

- Nie ma czasu. Musimy iść.

Heizo, Hiko i Ichimura patrzyli na niego, jakby oszalał. Wszyscy zapewne wiedzieli o jego schadzках z Haną. Robił, co mógł, by utrzymać je w sekrecie, ale Yoshiwara, niewielkie miasto, huczała od plotek, a Hanaogi przecież była jej najślawniejszą kurtyzaną. Wszyscy mężczyźni musieli mu zazdrościć.

Gdyby jego towarzysze wiedzieli, co mu chodzi po głowie, uznaliby za szaleństwo stawianie uczuć ponad obowiązkiem, zwykłą kobietę ponad koniecznością uwolnienia kompana. Zapewne pomyśleliby, że kobiety są dobre jedynie po to, by się odprężyć.

Pokręcił głową. Wybór był okropny, ale już podjął decyzję. Nie miał żadnych wątpliwości. Musi ocalić Hanę.

- Przyłączę się do was później - oświadczył krótko.

- Ale...

Zaczął biec, choć był pewien, że się spóźni.

Marlin uczył żołnierzy szybkiego marszu i teraz Yozowi przydała się ta umiejętność. Wracając po swoich śladach, pomknął przez porośnięty morwami ugór ku ulicom, przy których stały zatechłe domy samurajów. Z każdym krokiem

odnosił wrażenie, że szare dachy i kamienne mury oddalają się od niego. Jak w koszmarnym śnie biegł, ile sił, a jednak zupełnie jakby stał w miejscu. Przeklął, kiedy uświadomił sobie z wściekłością, że zdąża w złym kierunku.

Wreszcie dotarł do wysokiego muru i bramy. Pchnął ją i skrzywił się, gdy zaskrzypiała głośno na zawiasach. Pod okapami tego dużego domu o ciemnym ganku kłębił się dym - dokładnie tak, jak opowiadała Hana. Yozo stał na końcu brukowanego dziedzińca, na którym rosła wielka wiśnia.

Wrony krakały. Słyszał brzęczenie owadów i odgłosy dobiegające z ulicy, ale w środku panowała cisza. Rozejrzał się, po czym przykucnął za drzewem i załadował broń, marząc, by trafiła się okazja do strzału.

Jeśli komendant odkrył, że Hana pracowała w Yoshiwarze, zabije ją. Samuraj musi zabić żonę, gdy się dowie, że go zdradziła, a co dopiero jeśli została prostytutką. Ten gwałtowny człowiek na pewno postanowił więc ściąć Hanę natychmiast, szczególnie jeśli sobie uświadomił, że sypiała z południowcami. To Yozo popełni przestępstwo, próbując go powstrzymać.

Miał nadzieję, że Hana zdołała opóźnić egzekucję. Na pewno nie błagałaby o litość, była na to zbyt dumna, ale może próbowała przekonać męża, że tylko odwiedzała rodzinę. Komendant bez wątpienia szybko odkryłby prawdę. Wystarczyłoby jedno jego spojrzenie, żeby wszystko zrozumiał. Zachowywała się i poruszała w sposób, który czynił oczywistym fakt, że nawykła budzić pożądanie mężczyzn.

Yozo musiał myśleć szybko. Jeśli komendant zamierza zabić żonę, robi to na zewnątrz, w miejscu niewidocznym dla innych. Tylko gdzie?

Przebiegł przez dziedziniec, starając się tak stąpać po mchu, by nie było słychać jego kroków, i krzywiąc się za

każdym razem, gdy noga ześlizgnęła mu się i żwir zachrząścił pod słomianym sandałem. Dotarł do domu i przez chwilę próbował wstrzymać oddech, stojąc w cieniu ściany. Wszędzie panowała cisza. Przed sobą widział ogród ze stawem i kamienną latarnią. Rozejrzał się i zobaczył przysadzisty biały budynek - magazyn. Kiedy ruszył w tamtą stronę, usłyszał zgrzyt metalu i serce zaczęło mu walić jak oszałałe.

Ledwie śmiać oddychać, wyjrzał zza rogu i natychmiast się cofnął. Hana klęczała jak posąg, twarzą do ściany, małe białe dłonie złożyła na kolanach. Miała na sobie to samo kimono co rano. Rozpuszczone włosy okalały jej twarz. Yozo zauważył też miękką białą skórę na jej karku. Hana, śmiertelnie blada, ale całkowicie opanowana, siedziała prosto. Kiedy to zobaczył, poczuł przyływ dumy, że potrafi zachowywać się z taką godnością w obliczu śmierci. Potem dostrzegł jej spuchnięty i posiniaczony policzek i musiał zacisnąć pięści, żeby nie krzyknąć z wściekłości.

Komendant stał nad nią z rozstawionymi szeroko nogami i dłonią na rękojeści miecza. Szykował się do uderzenia. Był chudszy i starszy niż wtedy, gdy Yozo widział go po raz ostatni, nie był jednak duchem. Podwiązał spodnie hakama i rękawy kimona i założył wzmocnioną stałą opaskę, jakby szedł w bój. Oczy miał wąskie, a usta zaciśnięte z determinacją.

Yozo wiedział, że jeśli komendant wyciągnie miecz, Hana umrze od jednego cięcia. Odwiódł kurek pistoletu. Trzask był zaskakująco głośny w panującej ciszy, ale komendant go nie usłyszał. Wyglądał na pogrążonego w myślach.

Yozo uniósł broń, przykucnął i wycelował. Pistolet był stary i Yozo nie miał pojęcia, na ile celny, w dodatku komendant znajdował się tak blisko Hany, że kula mogła trafić i ją. Nie było jednak czasu na nic innego. Yozo sapnął z determinacją i pociągnął za spust. Rozległ się ogłuszający huk

i z lufy uniósł się dym. Komendant odskoczył, potknął się i wyciągnął dłoń, by powstrzymać upadek. Kula wbiła się w mur, z którego posypały się kawałki kamienia.

Yozo zaklął. Zaskoczył komendanta, ale nie obezwładnił. Yamaguchi obejrzał się i zobaczył Yoza. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, oczy niemal wyszły mu z orbit. Ryknął jak lew i całe jego ciało spięło się z wściekłości. Twarz mu pociemniała, jakby miał zaraz wybuchnąć, wyrwał miecz z pochwy i zatoczył nim łuk. Klinga zaślniła w słońcu. Gdyby Hana nadal klęczała przed nim, rozplatałby ją od brzucha po ramię.

Ale jej już tam nie było. Na odgłos wystrzału drgnęła gwałtownie, a kiedy kula przeleciała przed twarzą komendanta, zmuszając go do cofnięcia się, odwróciła się i zobaczyła Yoza. Wówczas poderwała się z klęczek, zadarła spódnice i pobiegła do niego. Na chwilę ich oczy się spotkały. Jej były wielkie jak u przerażonego jelenia.

- Schowaj się za mną - nakazał. - Szybko.

Znów pociągnął za spust, ale tym razem komendant był przygotowany. Wykrzywiając usta, zrobił krok w bok i machnął mieczem. Yozo patrzył z niedowierzaniem, jak rozcina kulę na dwoje. Kawałki odbiły się od miecza i trafiły w ścianę, wzbijając kurz. Miecz połyskiwał w słońcu, nietknięty.

Klnąc, Yozo rzucił pistolet. Komendant biegł już w jego stronę z okrzykiem wojennym, trzymając miecz oburącz nad głową. Yozo wyciągnął swój w sam czas, by odparować cios. Stal zadźwięczała o stal, kiedy klingi zderzyły się ze sobą, krzesząc iskry. Siła uderzenia powaliła Yoza na kolana.

Poderwał się zaraz. Mierzyli się teraz wzrokiem, trzymając miecze w pogotowiu. Przesuwali się w przód i w tył, wyzywając przeciwnika, by zaatakował pierwszy.

Po miesiącach spędzonych w Yoshiwarze Yozo stracił formę, a jego miecz nie należał do najlepszych. Znał natomiast legendarną broń komendanta - dzieło sławnego płatnerza. Yamaguchi musiał dać miecz Ichimurze, kiedy uświadomił sobie, że wojna jest przegrana, a ten przywiózł go do domu. Yozo ogarnął wielki smutek. Wraz z komendantem walczyli po tej samej stronie, w obronie idei, w które wierzyli, a teraz ponownie się ze sobą starli. Przez chwilę miał ochotę cisnąć miecz na ziemię. Komendant był reliktem minionej epoki, a walka na miecze umierającą sztuką. Yozo już raz dokonał zemsty i dręczyło go to do tej pory. Powtórzenie tego wydało mu się złem. Potem jednak przypomniał sobie Kitara leżącego na równinie Ezo, pomyślał o siniakach na twarzy Hany i jego wątpliwości zniknęły.

- To znowu ty - warknął komendant. - Yozo Tajima. Nie mogę się od ciebie uwolnić. Gdziekolwiek pójdę, ty też tam jesteś. - Yozo rozpoznał błysk szaleństwa w jego oku.

- Pozwól jej odejść, po prostu pozwól jej odejść - powiedział. - Opuścimy Edo, udamy się na Ezo, nie zobaczysz nas nigdy więcej.

- Oszukałeś mnie już raz, Tajima, podszedłeś mnie zdradziecko. Teraz dokończymy to, co zaczęliśmy na Ezo, tylko tym razem to ty umrzesz. Ty i twoja ładaczka.

Yozo był dobrym szermierzem, ale wiedział, że komendant jest bezwzględny i nie ma litości, a to czyniło go niezwyciężonym. Pamiętał, jak się przechwalał, że klinga jednego z jego mieczy zardzewiała od ludzkiej krwi, która w nią wsiąkła.

Zdawał sobie sprawę, że musi uderzyć jako pierwszy. Miecze, ostre jak brzytwa, przetną ciało równie łatwo jak nóż przecina jedwab. Jednym cięciem można pozbawić człowieka ręki lub nogi albo rozplątać go na pół, tak jak komendant rozplątał kulę.

Yozo krzyknął na całe gardło i zaatakował, robiąc zamach mieczem. Rozległ się szczęk, gdy komendant odparował cios. Yozo obrócił się na palcach, zmienił chwyt i ciął znowu, po czym złapał rękojeść w obie ręce, uniósł nad głowę i opuścił ze świstem. Szczęk metalu był ogłuszający. Komendant przewidywał każdy jego ruch i bez trudu go blokował. Kiedy się rozdzielili, Yozo skoczył znowu, przechytrzył komendanta i wbił miecz głęboko w miękką tkankę jego ramienia, nim przeciwnik miał szansę odskoczyć. Krew zabarwiła czerwienią kimono Yamaguchiego, a ten nawet się nie skrzywił. Patrzył na Yoza, jakby wcale tego nie zauważył.

Potem uśmiechnął się. W jego oczach pojawiły się iskry. Śmiał się tym swoim aroganckim śmiechem. Krzyknął i skoczył, wymachując mieczem dziko. Tańczył wokół Yoza, jego spodnie hakama furkotały, był zwinny jak jelen. Atakował ze wszystkich stron, jego miecz migotał w słońcu, przecinał ze świstem powietrze. Wkrótce Yozo został przyparty do ściany, usiłował parować uderzenia. Wiedział, że wystarczy jedno celne cięcie, by zginął.

Komendant napierał, opuszczał miecz szybko i bez wysiłku, raz po raz. Odparowując ciosy, które padały jakby znikąd, Yozo się potknął. Zszedł z drogi miecza, ale nie dość daleko i ostra klinga rozcięła mu policzek. Nagły ból spowodował, że do oczu napłynęły mu łzy. Czuł, że twarz ma mokrą od krwi. Zacisnął zęby i machał mieczem, odparowując lawinę ciosów. Kiedy poczuł ostry ból w lewym ramieniu, zatoczył się wyczerpany. Dyszał ciężko, pokryty potem, a jego oddech zamieniał się w parę w jesiennym chłodzie.

Komendant stał nad nim ze wzniesionym mieczem, szykował się do ostatniego uderzenia. Uśmiechał się szeroko. Ledwie się spocił i Yozo uświadomił sobie, że mógł go pokonać dużo szybciej. Bawił się nim, jak kot bawi się myszą.

Przyparty do ściany, Yozo czekał na swój koniec. Yamaguchi, zamiast opuścić miecz i zakończyć jego życie, stał nieruchomy jak posąg, jakby chciał przedłużyć rozkosz tej chwili.

Yozo patrzył na niego, zastanawiając się, dlaczego nie uderza. Zupełnie jakby dawał mu szansę - jakby chciał zginąć.

Nagle poczuł oślepiającą wściekłość. Jeśli pisana mu jest śmierć, zabierze ze sobą tego demona.

- Za Kitara i Hanę! - wrzasnął, uniósł oburącz miecz w górę i wbił ostrze głęboko w warstwy jedwabiu na brzuchu komendanta. Poczuł, jak klinga opiera się o kręgosłup.

Resztką sił pchnął miecz jeszcze mocniej, aż zyskał pewność, że przebił przeciwnika na wylot. Wtedy przekręcił głownię i wyrwał, gotów uderzyć jeszcze raz.

Oczy komendanta otworzyły się szerzej, zachwiał się nagle. Yozo spodziewał się, że zaraz upadnie, ale on wydał wrzask tak czystej nienawiści, że Yozo aż zadrżał. Być może wcale nie był człowiekiem, może naprawdę nie dało się go zabić. I jakby na potwierdzenie tej myśli miecz komendanta opadł. Yozo widział, jak się do niego zbliża, odbijając promienie słońca. Próbował zrobić unik, uniósł broń, by sparować cios, ale wiedział, że już za późno. Komendant wygrał. Pójdą razem do nieba lub piekła.

Nagle rozległ się szcęk i miecz wyleciał z dłoni komendanta. Przez chwilę obracał się w powietrzu, po czym spadł na ziemię kawałek dalej. Oszołomiony Yozo podniósł wzrok.

Komendant się zachwiał. Krew tryskała z jego brzucha i ust. Zachwiał się znowu, nagle kolana się pod nim ugięły i padł na ziemię, wzbijając w powietrze opadłe liście.

Popatrzył na Yoza, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Jego usta zadrgały. Yozo pochylił się ku niemu, próbując uchwycić słowa.

- Dobrze walczyłeś. Wyświadczyłeś mi... przysługę.
Westchnął. Powoli blask jego oczu przygasł, głowa opadła
mu na bok.

Wciąż słysząc szczęk mieczy, Hana pognąła do domu i złapała naginatę z uchwytu nad progiem. Kiedy wróciła na miejsce, Yozo był przyparty do muru, a jej mąż stał nad nim ze wzniesionym mieczem i triumfalnym uśmiechem na twarzy. Widziała, jak Yozo nagle dźga mieczem i przebija brzuch jej męża, widziała szalony błysk w oczach komendanta, kiedy opuszczał miecz w ostatnim ciosie.

Nim miała czas pomyśleć, po prostu zapała się w miejscu, zatoczyła naginatą wielki łuk i z całej siły uderzyła w spadający miecz. Poczowała, jak ostrza zderzają się ze sobą. Zachwiała się pod wpływem uderzenia, ale utrzymała drzewce swojej broni, choć omal nie wypadło jej z rąk. Potem z ogromnym wysiłkiem odrzuciła miecz.

A teraz patrzyła na wysokiego, zakrwawionego mężczyznę leżącego na ziemi. Kurz i liście unosiły się w powietrzu. Słyszała w ciszy własny oddech. Żółty liść opadł z drzewa i spoczął na jego ręce.

Była tak pewna swej śmierci, że już pożegnała się ze światem. Teraz, kiedy wiedziała, że będzie żyć, wszystko wydało jej się takie piękne, że aż do oczu napłynęły jej łzy. Ściany magazynu lśniły w słońcu śnieżną bielą, bambusy kołysały się i szumiały na wietrze, w powietrzu czuła zapach dymu.

Patrzyła na człowieka, przed którym czuła strach od tak dawna, i ciągle obawiała się, że znów otworzy oczy, usiądzie i na nią spojrzy. Jego twarz była spokojna, o wiele bardziej niż za życia. Jeszcze nie tak dawno sądziła, że nigdy go już nie zobaczy - myliła się jednak. A teraz była świadkiem jego śmierci.

Yozo podniósł się z ziemi, uniósł rękę, kiedy Hana podbiegła do niego. Wytarł klingę skrajem kimona i schował miecz do pochwy, nie odrywając oczu od trupa.

- Zamierzam dopilnować, byś nie musiała go znów oplakiwać.

Podniósł z ziemi pistolet, przykląkł i przycisnął go do głowy leżącego. Hana zasłoniła uszy rękami. Ona też chciała mieć pewność, że mąż nie powstanie z martwych. Yozo patrzył przez chwilę w twarz komendanta, a potem odłożył pistolet, rezygnując ze strzału.

- Zasłużył na szacunek - powiedział poważnie. - Był wielkim wojownikiem, ze starej szkoły. Wyprawimy mu pogrzeb i zabierzemy jego prochy do Kano, żeby pochować w rodzinnym grobowcu wraz z jego pamiątkami.

Hana uklękła obok niego, nieśmiało wyciągnęła rękę i położyła na jego udzie.

- Już po wszystkim - powiedział cicho Yozo. - W końcu zwyciężył. Nie zdołałbym go pokonać. Chciał umrzeć i pozwolił, bym go zabił. - Powiedział to niemal ze smutkiem.

- To prawda. Nie było dla niego miejsca w tym świecie.

Yozo spojrział na nią i uśmiechnął się, a potem skrzywił się lekko i przyłożył rękę do krwawiącego policzka.

- Ty też jesteś wojownikiem. Uratowałaś mi życie.

- Nie, to ty uratowałaś życie mnie - odparła cicho. - Byłam pewna, że zginę. Nie sądziłam, że wrócisz na czas.

Gdy ujął jej rękę, poczuła ciepło jego ciała.

- Nie miałem wątpliwości, że właśnie to muszę zrobić. Kiedy usłyszałem, że komendant żyje, nie mogłem myśleć o niczym prócz ciebie i niebezpieczeństwie, w jakim się znajdujesz.

Uniósł do warg jej dłoni. Uwielbiała sposób, w jaki się śmiał - najpierw oczami, a dopiero potem kącikami ust, aż w końcu cała twarz promieniała.

- Zhańbiłem się - powiedział. - Tak uważają Heizo, Hiko i Ichimura. Zdradziłem moich przyjaciół. - Urwał, a potem westchnął. - Zresztą to i tak był szalony plan. Wątpię, by

ocalili Enomota i Otoriego. Zapewne wszyscy są już w więzieniu Kodenmacho.

- Chodź do środka - powiedziała Hana. - Musimy przemyć i opatrzyć twoje rany.

Yozo znów spojrzał na ciało komendanta.

- To koniec - stwierdził. - Jego ery, ery wojowników. Wszystkich tych starć i bitew, tej nienawiści między Północą a Południem.

Wstał powoli i ujął Hanę za rękę.

- W Yoshiwarze poznałem całkiem dobrze Masaharu. To dobry człowiek. W rządzie są inni tacy jak on. Wiem, że byli naszymi wrogami, ale wygrali, nie ma co do tego wątpliwości i musimy się z tym pogodzić. To prostacy, ci południowcy, nie mają kultury i stylu, ale są idealistami. Chcą wyrzeć na świat poza Japonią, a Masaharu wie, że kilku z nas tam było. Wykorzystanie naszej wiedzy i umiejętności ma większy sens niż trzymanie nas w zamknięciu. Musimy patrzeć w przyszłość, nie w przeszłość.

Przeszłość. Zaledwie zeszłej nocy Hana siedziała z Saburem, a potem jechała przez ciemność w palankinie, a wydawało jej się, jakby to było dawno temu. Przez całe swoje dorosłe życie walczyła z przeciwnościami losu - mąż, potem Yoshiwara - lecz teraz, kiedy patrzyła na Yoza, wiedziała, że przyszłość będzie zupełnie inna. Nie miała pojęcia, co będą robić ani gdzie pójdą, ale wiedziała, że bez względu na wszystko będą razem.

- Opowiadałaś mi o swoim domu. Jeszcze go nie widziałem - odezwał się Yozo. - Może mnie zabierzesz do środka?

Kiedy szli w blasku dnia przez ogród pełen opadłych liści, mieli wrażenie, że zaczynają nowe życie. Skręcili za róg magazynu i zobaczyli dom: dach kryty dachówkami, drewniane drzwi deszczowe i dym snujący się spod okapów.

Na ten widok Hana poczuła, że jest u siebie i że nic jej już nie grozi. Ujęła Yoza za rękę i zaprowadziła go do środka.

Podziękowania

Chciałabym podziękować Selinie Walker z Transworld, która z wielkim entuzjazmem podeszła do tej książki, bardzo zachęcała mnie do jej napisania i wskazywała mi właściwy kierunek. Jestem bardzo zobowiązana zarówno jej, jak i jej zespołowi: Deborah Adams, Claire Ward oraz wszystkim innym, którzy mnie wspierali, a kiedy było trzeba, okazywali mi wiele cierpliwości.

Ogromnie dziękuję też mojemu agentowi Billowi Hamiltonowi, który wspierał mnie jak zawsze, a ponadto zasugerował, żebym pojechała obejrzeć HMS „Warrior”. Dziękuję również Jennifer Custer i całemu zespołowi A.M. Heath.

Jestem bardzo zobowiązana Muzeum Ichiyo za zezwolenie na wykorzystanie pięknej fotografii kurtyzany Usugumo. Muzeum posiada kolekcję pamiątek po znanej pisarce Ichiyo Higuchi, która mieszkała na obrzeżach Yoshiwary. Akcja wielu jej powieści toczy się właśnie w tym miejscu.

Dziękuję też Kuniko Tamae za wynegocjowanie możliwości wykorzystania owego zdjęcia i za dostarczenie mi wielu cennych informacji na temat Japonii okresu Edo.

Piękna kaligrafia na stronach tytułowych poszczególnych części to dzieło Sakiko Takady.

Podczas pracy nad książką zaciągnęłam dług wdzięczności u japońskich historyków, z których prac korzystałam (pozwoliłam sobie jednak na swobodę tam, gdzie wymagała tego fabuła). Niektórych wymieniłam w Bibliografii, było ich jednak o wiele więcej.

Posłowie

Hana i Yozo to postacie fikcyjne, ale kanwą dla Kurtyzany i Samuraja stały się wydarzenia historyczne, m.in. historia o piętnastu młodzieńcach wysłanych do Europy, ostatnia próba przywrócenia władzy szogunowi przez Enomota i desperackie starcia na Ezo. Staralam się je opisać jak najwierniej. Katastrofa statku w Batawii, obiad u Alfreda Kruppa czy długa podróż „Kaiyo Maru” do Japonii również miały miejsce. No i oczywiście Yoshiwara istniała naprawdę.

W prawdziwym życiu Enomoto (którego pełne nazwisko brzmiało Takeaki Enomoto) uniknął egzekucji, ale nie dzięki akcji przyjaciół, tylko własnemu idealizmowi. Oto, co się wydarzyło. Przed ostatnią bitwą, kiedy było oczywiste, że Północ przegrała, Enomoto wysłał cenne tomy o taktyce morskiej, które przywiózł z Holandii, dowódcy sił Południa, wraz z notatką, że muszą zostać zachowane bez względu na to, co stanie się z nim samym. Kiedy się poddał, wielu członków rządu (składającego się niemal wyłącznie z południowców) domagało się jego egzekucji, ale inni twierdzili, że należy go oszczędzić, ponieważ okazał patriotyzm. Poza tym, jak to uświadamia sobie w książce Masaharu - postać fikcyjna - bardzo niewielu Japończyków odwiedziło Europę lub posiadało jakąś wiedzę o Zachodzie, więc byli bardzo cenni.

Enomoto spędził dwa i pół roku w więzieniu Kodenmachi. Przebywał w nim aż do stycznia 1872 roku, kiedy to cesarz Meiji ogłosił amnestię dla walczących po stronie szoguna. Natychmiast po wyjściu z więzienia otrzymał stanowisko rządowe na wyspie Ezo, którą wówczas przemianowano na Hokkaido. Został wiceadmirałem w powstającej Cesarskiej Flocie Japonii, a później specjalnym posłem w Sankt Petersburgu. Otrzymał też tytuł wicehrabiego: tylko dwóm ludziom związanym ze sprawą Północy przypadł

w udziale taki zaszczyt. Enomoto zmarł w 1908 roku w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

Prawdziwy Yozo bez wątpienia zrobiłby karierę równie wielką jak piętnastu prawdziwych młodych podróżników, choć ci, którzy przyłączyli się do Enomota w walce przeciwko nowej władzy, musieli poczekać do amnestii z 1872 roku. Jeden został zastępcą rektora Akademii Morskiej, inni otrzymali ważne stanowiska ministerialne, jeden został lekarzem cesarzowej, a jeden chirurgiem generalnym.

Po dwóch i pół roku spędzonych w więzieniu Otori (jego pełne nazwisko brzmiało Keisuke Otori) został dyrektorem szkoły Gakushuin dla szlachetnie urodzonych (japońskiego odpowiednika Eton), a później ambasadorem w Chinach i Korei. W stworzonym przez niego archiwum przechowywano pamiętniki i relacje tych, którzy walczyli na Ezo po stronie szoguna. Postawił w Hakodate pomnik ku czci żołnierzy Północy, którzy tam polegli - można go oglądać do dzisiaj.

Hakodate jest obecnie równie zimne i śnieżne jak wówczas. Byłam tam kiedyś w grudniu, gdy zbierałam materiał do niniejszej książki. Widziałam na własne oczy ten krajobraz i doświadczyłam mrozu oraz niespodziewanych zmian pogody, przeżyłam nagłe burze śnieżne, które pojawiały się, choć jeszcze przed chwilą niebo było czyste. Z Gwiazdzistego Fortu zostały tylko wały i fosa, zachowały się także mogiły niektórych dowódców. W urządzonym tam muzeum są przechowywane pamiątki i mundury.

Wybrałam się również w trzygodzinną podróż pociągiem przez półwysep, by zobaczyć „Kaiyo Maru” - po niemal stu latach, w 1975 roku odnaleziono wrak, wyciągnięto go z wody i w 1990 roku odbudowano okręt. Teraz stoi dumnie przy nabrzeżu w Esashi i zachwyca trzema pięknymi masztami oraz wielkim kominem. W środku umieszczono działa Kruppa, a w gablotach wystawiono odnalezione przedmioty:

zachodnie i japońskie miecze, pistolety, holenderskie noże i widelce, słomiane sandały, wachlarze, pudełka na lunch, monety i setki kul armatnich. Na Hokkaido panuje tak okropny klimat, że nic dziwnego, iż okręt zatonął. Kiedy próbowałam zrobić zdjęcie statku zdrętwiałymi z zimna palcami, wiatr przepchał mnie na drugą stronę portu.

Milicję Kioto komendanta Yamaguchiego stworzyłam na wzór Shinsengumi, osławionej bezlitosnej policji szoguna, która patrolowała Kioto i walczyła u boku ostatnich oddziałów szoguna na Ezo. Postać komendanta Yamaguchiego wzorowałam na wielkim bohaterze i dowódcy Shinsengumi, Toshizu Hijikacie. Poemat śmierci komendanta jest właśnie Jego autorstwa. Prawdziwy Hijikata nie pochodził z Kano, nie ma też wzmianek o jego ślubie, wiadomo jednak, że cieszył się niezwykłą popularnością wśród kobiet w Yoshiwarze. Zginął w wieku trzydziestu czterech lat w ostatniej bitwie w Hakodate - tam znajduje się jego grób.

Francuskich oficerów, których ewakuowano z Hakodate, odesłano do Francji. Rząd japoński żądał postawienia ich przed sądem wojennym i stracenia, ale Francuzi byli pod takim wrażeniem ich męstwa, że puścili ich wolno. Kapitan Jules Brunet został generałem i szefem sztabu armii francuskiej, a w 1881 i w 1885 roku otrzymał odznaczenia z rąk cesarza Meiji, zapewne za podszeptem Enomota - wówczas stojącego na czele Ministerstwa Marynarki.

Sierżant Jean Marlin naprawdę został w Japonii, kiedy jego koledzy wrócili do Francji - jednak dlaczego dokonał takiego wyboru i co potem robił, nie wiadomo. Zmarł w 1872 roku w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Został pochowany na cmentarzu międzynarodowym w Jokohamie.

* * *

Podobnie jak Hana i Otsune, wiele młodych kobiet z rodzin lojalnych wobec szoguna, szczególnie tych należących

do niższych warstw kasty samurajów, znalazło się na ulicy bez środków do życia, kiedy wybuchła wojna domowa. Mieszkanki Yoshiwary przedstawione w Kurtyzanie i Samuraju to postacie fikcyjne, ale nazwy ulic i domów publicznych (łącznie z domem Tamaya) są prawdziwe; stróż przy bramie zawsze nosił imię Shirobei.

W czasach, gdy rozgrywa się akcja mojej opowieści, Yoshiwara podupadła, gdy jednak południowcy przejęli władzę, wzięli ją pod swoje skrzydła i na chwilę jej los się odmienił. Wzniesiono nowe dzielnice, a rząd utworzył nawet Yoshiwarę dla cudzoziemców - nazwał ją Nowa Shimabara, od odpowiednika Yoshiwary w Kioto. Tysiąc siedemset kurtyzan i dwieście gejsz przeniosło się tam z Yoshiwary, lecz ponieważ przybysze z Zachodu nie wzięli ich pod opiekę - wyraźnie woleli oddawać się rozkoszy w tajemnicy - Nową Shimabarę wkrótce zamknięto.

W 1871 roku ogień strawił większość Yoshiwary. Została odbudowana w zachodnim stylu, niektóre obiekty miały aż pięć pięter. Ulice wytyczono zdecydowanie szersze, by w przyszłości pożar nie rozprzestrzenił się tak szybko. Na starych fotografiach zachowała się Yoshiwara właśnie z tego okresu - wygląda na nich całkiem inaczej niż w czasach, kiedy przebywała tam Hana.

Japonia szybko integrowała się ze światem zewnętrznym. Cudzoziemcy mieli niszczący wpływ na stare obyczaje, w tym również na Yoshiwarę. Potępiali sprzedawanie dziewcząt, uznając to za formę niewolnictwa, więc w 1872 roku rząd Japonii wydał Akt Emancypacji Prostytutek i Gejsz, uwalniający młode kobiety i unieważniający ich długi. Wiele z nich nie potrafiło jednak inaczej zarabiać na życie, a właściciele domów publicznych z Yoshiwary przemianowali jedynie swoje domy na „salony do wynajęcia” i działali dalej.

Kiedy po drugiej wojnie światowej prostytucja została w Japonii zdelegalizowana, zeszła do podziemia.

Pięć Ulic nadal istnieje - są wyraźnie zaznaczone na planie Tokio. Obecnie stoją przy nich tak zwane łaźnie z groźnymi wykidajkami przed wejściem. Bagna zniknęły, Japońska Grobla została zniwelowana i stała się zwykłą drogą, ale w miejscu, gdzie zaczyna się kręta ulica prowadząca do Yoshiwary, nadal można zobaczyć Wierzbę Ostatniego Spojrzenia. Do niedawna organizowano przy niej przedstawienia, w których aktorki przebrane za kurtyzany serwowały sake zdenerwowanym mężczyznom. Podczas pobytu w Tokio odwiedziłam miejscowy cmentarz w świątyni Jokanji i widziałam krytą pełną półek z małymi urnami z prochami tysięcy nieszczęśliwych dziewcząt, które tu pochowano. Większość ledwie skończyła dwadzieścia lat.

Jakieś dziesięć lat temu, kiedy przygotowywałam się do napisania powieści *Geisha: The Secret History of a Vanishing World* [Gejsza. Sekretna historia ginącego świata], przez kilka miesięcy mieszkałam wśród gejsz w Kioto i Tokio. To doświadczenie przydało mi się przy odtwarzaniu życia w Yoshiwarze. Choć obecna Yoshiwara prezentuje jedynie błady cień dawnego przepychu, jej legenda trwa nadal. Zachowała się w opowieściach z tego okresu, na drzeworytach i fotografiach. Dzięki nim możemy sobie wyobrazić ukiyo - pływający świat.

Leslie Downer, luty 2010